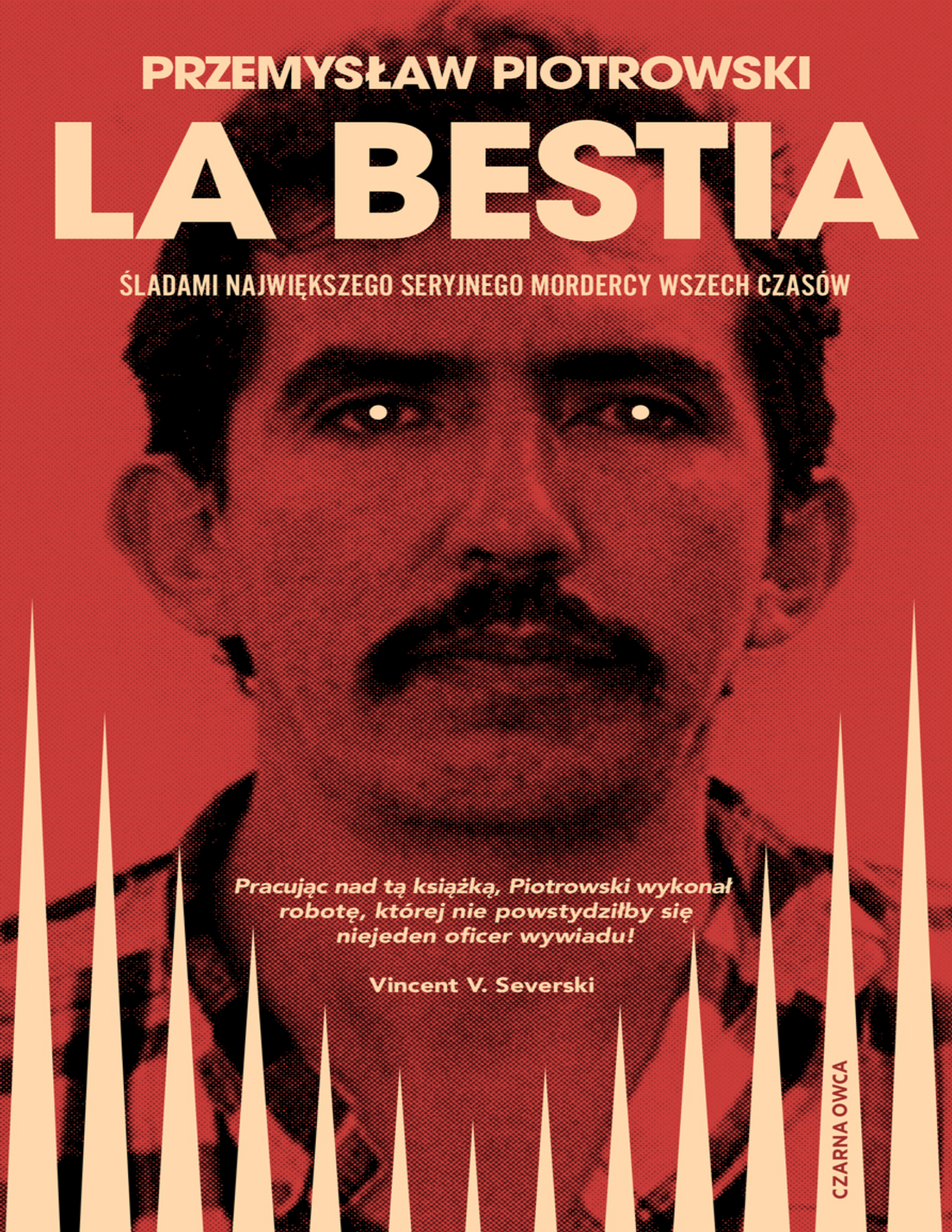




PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI

LA BESTIA

ŚLADAMI NAJWIĘKSZEGO SERYJNEGO MORDERCY WSZECZ CZASÓW

*Pracując nad tą książką, Piotrowski wykonał
robotę, której nie powstydziliby się
niejeden oficer wywiadu!*

Vincent V. Severski

CZARNA OWCA

PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI

LA BESTIA

ŚLADAMI NAJWIĘKSZEGO SERYJNEGO MORDERCY WSZECH CZASÓW

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Redakcja: Wojciech Adamski
Korekta: Bartosz Szpojda, Ewa Skibińska, Maciej Korbasiński
Projekt okładki: Tomasz Majewski
Zdjęcia na okładce: © Wikimedia Commons
Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright © Przemysław Piotrowski, 2023
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-075-0

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Spis treści

Strona redakcyjna

WSTĘP

NARODZINY ZŁA

Rozdział I

Rozdział 2

Rozdział 3

HORROR DZIECIŃSTWA I MŁODOŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

DEPRESJA I POCZĄTKI PRZESTĘPCZEJ PODRÓŻY

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8
EKSPLOZJA SZALEŃSTWA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

NA TROPIE BESTII

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

EPILOG

OD AUTORA

Przypisy końcowe

WSTĘP

Kolumbia to trudny kraj.

Chciałbym, abyście to zrozumieli już na samym początku, zanim jeszcze zabierzecie się do czytania. Byłem tam, doświadczyłem jej, odczułem ją na własnej skórze. Można powiedzieć o niej tyle dobrego, co złego, bo choć jest najpiękniejszym krajem, jaki widziałem, to tkwi w nim coś tak ponurego i mrocznego, że gdy piszę te słowa, mam nieodparte wrażenie, że to jedno z absolutnie nielicznych miejsc na świecie, gdzie mógł narodzić się potwór, którego historię na kartach tej powieści postaram się Wam przybliżyć.

Kolumbia to kraj ludzi twardych, surowych, w którym kolejne pokolenia wychowały się w kulcie przemocy. Z czasem dowiecie się o nim więcej, ale choć mógłbym tu przytaczać dziesiątki faktów czy ciekawostek, które Kolumbię charakteryzują, to właśnie przemoc wybija się na plan pierwszy. Jest wszechobecna, niemal namacalna. Czułem ją z każdym oddechem, jakby była rozpylona w powietrzu, a jej stężenie wydawało się tym większe, im bardziej oddalałem się od centrum kolejnych miast. W końcu, gdy przekraczałem umowną granicę, za którą zaczynały się podłe slumsy, miałem wrażenie, że oblepiała mnie niczym rój much uczujących na zwłokach, niemal natychmiast zatruwała umysł i ciało, a te dziesiątki oczu, śledzących mnie z zakratowanych okien, uchylonych drzwi czy zagraconych podwórek, paliły niemal żywym ogniem. Dość napisać, że od momentu opuszczenia centrum Bogoty przez dwa kolejne tygodnie nie natknąłem się na nikogo o europejskich rysach twarzy, a moim

jedynym kompanem, z którym mogłem porozmawiać w języku innym niż hiszpański, był wieloletni przyjaciel i towarzysz podróży Przemysław Żmuda. O Przemku napiszę jeszcze nie raz, bo tak naprawdę to właśnie on wziął na siebie największy ciężar, gdyż jako dokumentalista wyprawy bez przerwy wystawiał się na pożądlive, często nieżyczliwe czy wręcz wrogie spojrzenia mieszkańców najbiedniejszych dzielnic. Dziś wiem też, że bez trójki lokalnych przewodników, którzy zgodzili się nam pomóc w tropieniu zbrodni „Bestii”, nie pozyskałbym pewnych materiałów, które właśnie oni dla mnie przygotowali, nie odważyłbym się dotrzeć tam, gdzie ostatecznie dotarłem i gdzie – z różnym skutkiem – starałem się wywiedzieć o szczegółach okropieństw, które swego czasu miały tam miejsce. O Juanie Carlosie, Roberto i Jesusie Alberto też jeszcze opowiem, ale teraz skupmy się na głównym bohaterze tej historii – człowieku, którego w kontekście popełnionych czynów trudno jednak człowiekiem nazwać, bo bliżej mu do potwora z najgorszych koszmarów. Potwora, który w tym roku kończy odsiadywać wyrok i który ma szansę opuścić więzienie...

Luis Alfredo Garavito Cubillos¹ to najstraszniejszy i najokrutniejszy seryjny morderca w historii świata, powszechnie nazywany „Bestią”. Zwyródnialec, pedofil i okrutnik oskarżony, a następnie skazany za zabicie 138 dzieci, choć – jak sam przyznał podczas jednego z przesłuchań – nie pamięta wszystkich ofiar i może być ich o wiele, wiele więcej. Do dziś na terenie Kolumbii, Ekwadoru i Wenezueli odnajdywane są szczątki, które wiąże się z jego zbrodniczą działalnością.

Ta książka nie należy do lekkich i przyjemnych w odbiorze, ale skoro jest zapisem życia najbardziej przerażającego seryjnego mordercy w historii światowej kryminologii, nie może być inaczej. Nie jest to też klasyczny dokument, a niektóre imiona i nazwiska –

choć nieliczne – z powodów prawnych musiały zostać zmienione, o czym będę regularnie informował. Zrobiłem jednak wszystko, co w mojej mocy, aby na bazie znanych mi faktów odtworzyć tę ponurą historię tak drobiazgowo, jak to tylko możliwe, mimo to, aby zakleić pewne dziury, choćby z nieudokumentowanego i tak naprawdę nieznanego śledczym okresie z czasów wczesnej młodości Luisa Garavito, czasem musiałem puścić wodze fantazji. Proszę, miejcie to na uwadze...

Twarde fakty są jednak takie, że „Bestii” kończy się wyrok i być może w momencie, gdy czytacie te słowa, Luis Garavito znów jest wśród nas.

Oto jego historia...

CZĘŚĆ PIERWSZA

NARODZINY ZŁA

Rozdział I

Génova, Kolumbia, styczeń 1956 roku

Jorge siedział na kamieniu i żując liście koki, patrzył, jak wąską ścieżką drepcze karawana objuczonych mułów. Ich kopyta rytmicznie stukwały o zeschnięty grunt, wzbijając tumany kurzu, a towarzyszący im mężczyźni w skleconych z liści palmowych kapeluszach z szerokimi rondami co rusz poganiali zwierzęta wyglądające na wiecznie zaspane.

Początek roku w górach departamentu Quindío bywa zwykle bardzo słoneczny, a na niebie rzadko kiedy można zobaczyć choćby jedną chmurę, częściej zaś majestatyczne cielska szybujących sępów żółtogłowych albo ich jeszcze większych krewniaków, kondorów olbrzymich, które wykorzystując grasujące pomiędzy wzgórzami prądy powietrzne, krążą nad szczytami porośniętymi gęstym zielonym dywanem tropikalnej dżungli. Ptaszyska te, których rozpiętość skrzydeł sięga nawet trzech metrów, nigdy nie zwiastowały niczego dobrego, nawet jeśli ktoś kiedyś – Jorge nie miał pojęcia kto i kiedy – nadał im miano symbolu narodowego Kolumbii. Chłopak wiedział natomiast, że ich coraz częstsza obecność niepokoi ojca, który paląc fajkę i patrząc w niebo, zwykle wykrzywił usta w szkaradnym grymasie, a potem splotał na ziemię i zakasawszy rękawy, ruszał do pracy, tak jak jego ojciec i dziad, i wszyscy jego przodkowie. Jorge miał dopiero jedenaście lat i od dłuższego czasu

sam też pracował przy zbiorach kawy, której krzewy porastały wzgórza okalające Génovę, niewielką wieś, zagubioną w oceanie zieleni równie pięknej, co niebezpiecznej, tak mu ojciec zawsze powtarzał, czasem grożąc przy tym palcem, bo bywał surowy, choć uczciwy – no, to drugie może nie zawsze. Tego dnia Jorge miał wolne, z czego bardzo się cieszył; mniej zaś z tego, że od trzech dni chodził z ręką na uszytym przez matkę temblaku, a ból nie dawał mu spokoju i momentami ramię ciągnęło tak mocno, iż z trudem potrafił powstrzymać łzy, czego bardzo się wstydził.

– Jak jesteś głupi, to teraz będziesz cierpieć – powiedział mu ojciec o imieniu José Antonio, stary *campesino*² o twarzy naznaczonej ciężką pracą, ogorzałej od słońca, który całe swoje życie związał z uprawą kawy, a teraz nie mógł wybaczyć synowi, że w tak głupi sposób pozbawił się możliwości zarobkowania, w jego kontuzji dostrzegał jedynie rzadką możliwość, aby ten zbijał baki i wałęsał się bez celu po wsi i okolicach.

– Graliśmy w piłkę. To nie moja wina, że Gordito³ mnie sfaulował – odparł mały Jorge, sięgając do miski z liśćmi koki. Ojciec chlasnął chłopaka w dłoń, następnie spiorunował wzrokiem, który był niczym spojrzenie jaguara, króla dżungli; choć Jorge nigdy drapieżnika w naturze nie widział, to jednak tak go sobie wyobrażał.

– Koka nie jest dla leniwych smarków, tylko dla ciężko pracujących mężczyzn – rzucił ojciec nerwowo.

– Ale wtedy tak nie boli i...

– Ma boleć! – José Antonio podniósł głos, przypominający grom albo wystrzał z moździerza, które Jorge już nie raz słyszał i których bardzo się bał. – Może w końcu dotrze do twojego zakutego łba, że już czas dorosnąć i przestać bujać w obłokach. Czasy są trudne i nie możemy sobie pozwolić, aby nie pracować. W każdej chwili mogą się tu pojawić *los pájaros*⁴. Co wtedy zrobisz? Jak utrzymasz rodzinę, gdy

przyjdą i, miej nas Święta Panienko w opiece, zabiją mnie albo matkę?

Jorge nie chciał o tym słyszeć, ale słowa ojca zawsze wzbudzały w nim podskórny lęk. Do tej pory *los pájaros* jeszcze nigdy nie dotarli do Génovy, ale plotkowano, że byli widziani w Caicedonii, El Crucero, La Venadzie, a nawet nieodległym Las Guadas, w tym ostatnim zaledwie o kilka godzin drogi piechotą. Ile było w tym prawdy, a ile straszenia niegrzecznych dzieci, tego Jorge nie wiedział, ale sępy pojawiały się na niebie coraz częściej, a mężczyźni pracujący poza wsią opowiadali naprawdę przerażające historie. O niepokornych wieśniakach, których krzyżowano, obdzierano ze skóry czy nabijano na pal, którym wylupiano oczy i obcinano języki albo wyciągano je przez rozcięte gardła, skąd zwisały bordowe i nienaturalnie długie – proceder ten po latach przeszedł do historii pod nazwą kolumbijskich krawatów. Nic jednak nie wzbudzało w małym Jorge takiego przerażenia jak opowieści o najokrutniejszych bandach sympatyzujących z konserwatystami, które aby sterroryzować przeciwników politycznych, uciekały się do tortury nazywanej „cięciem kwiaciara” – morderstwa polegającego na tym, że w miejsce odciętej głowy wpychano w otwór szyi odrąbane za życia ręce i nogi, czego efektem był twór w postaci wazonu z korpusu człowieka udekorowanego ludzkimi członkami.

Mały Jorge nie rozumiał, skąd w dżungli wzięli się ci ludzie i czego tak naprawdę – poza mordowaniem – od nich chcieli, bo przecież czegoś chcieć musieli, ale ani ojciec, ani matka nie zamierzali mu tego wyjaśniać, w tej kwestii milczeli niczym zakłęci. Bez wątplenia jednak *los pájaros* wzbudzali powszechny strach nie tylko wśród dzieci, ale także u ojców, wujów i dziadków, którzy przecież niejedno w życiu widzieli, także krew, głowy nabite na pale, ciała oskórowane, wiszące na gałęziach głową w dół.

Génova, kilkutyśieczna wieś zagubiona gdzieś w głębi Kordyliery Środkowej Andów przecinających Kolumbię z północy na południe, do tej pory opierała się najazdom krwiożerczych band rozbójniczych i trudno było jednoznacznie stwierdzić dlaczego – być może za sprawą szczęścia albo woli Boga, pewnie bardziej tego drugiego. Mieszkali w niej ludzie ceniący sobie spokój i uczciwą pracę, w zdecydowanej większości *gaitanistas*⁵, ale po trochu i niepoprawni marzyciele, wierzący, że któryś z dostojników odziewających się w dwurzędowe garnitury w modne podobno prążki, noszących buty ze skóry krokodyla i kryjących nasmarowane brylantyną włosy w cieniu ciemnych kapeluszy z wąskim rondem, w końcu przeforsuje w stolicy pomysł, aby oddać ziemię chłopom, co w ich przeświadczeniu mogło w końcu wyrwać takich jak oni z permanentnej biedy, od lat drenującej nie tylko ich ciała, ale i umysły. Oczywiście to było tylko pobożne życzenie, bo zamiast tego wszyscy w kraju od lat toczyli krwawą wojnę domową, której natury tak naprawdę nikt nie rozumiał; nikt nie miał pojęcia, po co ludzie wzajemnie się mordują – chyba tylko po to, aby utoczyć przeciwnikom politycznym krwi, bo przecież poglądy obu stron w swej istocie niespecjalnie się od siebie różniły. Jorge tym bardziej tego nie pojmował, ale czasem podsłuchiwał rozmowy starszyny i wiedział, że przemoc wzmogła się gwałtownie po czymś, co rodzice, wujowie i sąsiedzi nazywali *El Bogotazo*, a czemu początek dało zastrzelenie przed budynkiem dziennika „El Tiempo”⁶ niejakiego Jorge Eliécera Gaitána, kandydata na prezydenta z ramienia Kolumbijskiej Partii Liberalnej. Stało się to 9 kwietnia 1948 roku, czyli w jego trzecie urodziny, dlatego tak dobrze tę datę zapamiętał. Podobno stolicę zalała wtedy fala przemocy, wiele budynków spłonęło, a ulice spływały krwią, którą zdrapywano z chodników i krawężników jeszcze przez długie tygodnie. Zginęło

pół tysiąca ludzi, ale choć zamieszki ostatecznie stłumiono, to *El Bogotazo* przeniosło się na prowincję. A tam, wiadomo, kompletnie nikt nie interesował się losem zwykłych obywateli, bo kogo miało to obchodzić; na pewno nie ludzi noszących garnitury w modne prążki i kapelusze z wąskim rondem – oni mieli na głowie ważniejsze sprawy niż wieśniacy mordujący się wzajemnie gdzieś w dżungli, gdzie nawet drogi nie dochodzą. Ci ostatni zaś przez kolejne lata, wiedzeni pragnieniem zemsty, różnili się tak zaciekle i zarazem bezsensownie, że zakrawało to na absurd. Mimo to nikt tej krwawej łaźni nie zauważał albo zauważyć nie chciał, a już na pewno nie próbował jej powstrzymać... I chyba tylko sępy i kondory cieszyły się z takiego obrotu sprawy, bo ich uczta trwała nieprzerwanie, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

– A ty co się tak obijasz, *amigo* ⁷?

Znajomy głos wyrwał Jorge z zadumy nad słowami ojca. Chłopak zerwał się z kamienia, spojrzał na półnagiego przybysza, niewysokiego, ale krępego mężczyznę w lnianych spodniach i skórzanych sandałach, na którego szerokiej klatce piersiowej lśniły blizny i krople potu, nie wiadomo, czego było więcej. Nieznajomy, nie spuszczać wzroku z młodzieńca, upił wody z menażki i poprawił przewieszony przez ramię karabin i wtedy Jorge upewnił się, z kim ma do czynienia, bardziej po karabinie niż rysach twarzy, bo tylko jeden mężczyzna miał taką broń i podobno nigdy się z nią nie rozstawał. Stanowiła ona zdobycz po jednej z wypraw odwetowych przeciwko *los pájaros*. Był to jedyny taki karabin we wsi, a pan Marín, bo takie nazwisko nosił ów mężczyzna, określał go jakoś tak dziwnie, nie po hiszpańsku – „kałasznikow”.

Mały Jorge wyprężył się, próbując znaleźć jakąś wymówkę, ale jak na złość żadna nie przychodziła mu do głowy, taki był zdenerwowany. Dopiero eksplozja bólu w prawej ręce uzmysłowiła

mu, że wcale nie musi się tłumaczyć – w końcu ręka jest złamana, ma prawo boleć i uniemożliwiać pracę.

– Mam p-przerwę, *señor* ⁸ Marín – wydukał, zacisnąwszy zęby, bo jednak uznał, że nie chce tego bólu pokazywać.

– Co ci się stało w rękę? – Mężczyzna podrapał się po szerokiej piersi.

– Grałem w piłkę nożną.

– To teraz gra się w piłkę nożną rękami?

– Nie, *señor* Marín. Po prostu... – Słowa stanęły Jorge w gardle, gdyż zrozumiał, że poskarżenie się na kolegę, który go popchnął, po czym on tak nieszczęśliwie upadł, że złamał sobie przedramię, mogłoby zostać odebrane przez mężczyznę jako oznaka słabości, a tego Jorge bardzo nie chciał. – Po prostu futbol to gra dla prawdziwych mężczyzn. A ja zawsze daję z siebie wszystko i...

– No, no, no... – Mężczyzna pokiwał głową z uznaniem. – Nie wiedziałem, że chłopak Díazów to taki twardy kawał skurczybyka. Marnujesz się, pracując jako *campesino*. Wolałbym cię widzieć z bronią w dłoni. Trzymałeś już kiedyś karabin?

– Nie, *señor*.

– Najwyższy czas, by to zmienić. Masz w sobie potencjał, aby walczyć o naszą sprawę. Za dwa, trzy lata zgłoś się do mnie. Jeśli oczywiście ojciec ci pozwoli. Nie chciałbym wzbudzać niepotrzebnych waśni między swoimi. Wojna toczy się gdzie indziej i musimy zrobić wszystko, żeby tu nie dotarła.

Broń błyszczała w promieniach słonecznych, jakby dopiero co została wypolerowana, i zapewne tak było. Może pan Marín właśnie ją wyczyścił, myślał Jorge, nie mogąc oderwać od niej wzroku, bo miała w sobie coś równie pięknego, jak niepokojącego, i to w zupełności wystarczyło, aby rozgrzać głowę jedenastolatka.

– Chciałbyś go dotknąć? – zapytał mężczyzna, widząc pożądlive spojrzenie młodzieńca, który niemal drżał, jakby stanął przed nim sam Jezus Chrystus. – To najlepszy karabin na świecie. Doskonała radziecka robota. Jeśli twój ojciec wyda zgodę, jutro mogę pokazać ci, jak się z niego strzela.

– Taaak... – odparł przeciągle Jorge, a jego serce zaczęło bić dwa razy szybciej.

– Porozmawiam z nim, gdy wróci z pracy. Pewnie znów odwiedzi Don Fernando. Tam go zapytam, pasuje?

Młody Jorge poczuł, że krew w jego żyłach buzuje jak zawartość w garnku z *mondongo*⁹. Tylko raz w życiu zdołał posmakować tego rarytasu, niecały rok temu na weselu swojej starszej siostry o imieniu María, i gdy to sobie uzmysłowił, szybko zmarkotniał – wszak szansa na to, że ojciec pozwoli mu pójść do lasu postrzelać z panem Marínem, była równie wielka jak to, że dziś na kolację znów na stole pojawi się gar z *mondongo*. Stary José Antonio Díaz nigdy nie był zwolennikiem rozwiązań siłowych, dla niego liczyła się praca, tak jak dla jego ojca, dziada i pradziada, którzy co prawda czasem chwyтали za broń, ale tylko gdy czuli się do tego przymuszeni, nigdy z własnej woli.

Może dlatego zawsze klepiemy biedę, zamyślił się Jorge – taka refleksja nachodziła go czasem, kiedy widział ojca wychodzącego do pracy, podczas gdy inni ojcowie, o czym słyszał od swoich kolegów, którzy mówiąc to, wyprężali dumnie klatki piersiowe, szli w dżunglę pod wodzą pana Marína właśnie, aby bić się ze złymi *los pájaros*. Spuścił głowę wyraźnie zasmucony, wtedy mężczyzna z kałasznikowem wyciągnął rękę i zmierzwił dłonią jego czarną czuprynę.

– Będzie dobrze, *amigo* – rzekł, po czym poprawił przewieszony przez ramię karabin i klepnął chłopaka w zdrowe ramię. – Dorośnij

i nabierz więcej sił, a przyjdzie czas, że będziesz miał okazję się wykazać. Ten kraj potrzebuje takich jak ty – dodał i ruszył wąską ścieżką w kierunku Parque Simón Bolívar ¹⁰, niewielkiego parku, który od pierwszych dni Génovy był sercem tej niepozornej wsi.

Jorge odprowadził mężczyznę wzrokiem. Patrzył na jego umięśnione, lśniące od potu plecy i zastanawiał się, czy słowa Pedro Antonio Marína sprawdzą się, czy zostanie jednym z podległych mu mścicieli, czego po trosze pragnął, aby wyrwać się z matni podłej biedy, a po trosze się bał, bo nie chciał skończyć jako jeden z ludzkich wazonów, jakie pozostawiali po sobie opętani żądzą mordy *los pájaros*. Jakąkolwiek los przygotował dla niego przyszłość, nawet przez myśl mu nie przeszło, że ten niewysoki facet z karabinem już niedługo zmieni imię na Manuel Marulanda Vélez, a do historii przejdzie jako „Tirofijo”, założyciel i przywódca słynnej partyzantki FARC – Rewolucyjnych Kolumbijskich Sił Zbrojnych, odpowiedzialnych za wywołanie wieloletniej i niezwykle krwawej wojny domowej, która pochłonęła ponad dwieście tysięcy ludzkich istnień.

Nie miał też pojęcia, że kilkutysięczna Génova, w której przyszedł na świat *señor* Marín, zdążyła zrodzić dopiero pierwszego potwora, drugi zaś miał opuścić łono matki już wkrótce i kilkadziesiąt lat później doprowadzić setki rodziców na skraj szaleństwa.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Do Génovy przybyliśmy w pięcioosobowej ekipie, na którą składało się trzech lokalnych przewodników o imionach Juan Carlos, Jesus Alberto i Roberto, mój dokumentalista Przemysław Żmuda oraz ja. To było piątego dnia po przyjeździe do Kolumbii. Poprzednie

spędziliśmy w Bogocie, drugim największym mieście Ameryki Południowej.

Po nocy w obskurnym hotelu w Ibaqué w dystrykcie Tolima przebyliśmy trasę przez szczyty Kordyliery Środkowej kolumbijskich Andów, w kulminacyjnym momencie wspinając się na trzy tysiące dziewięćdziesiąt trzy metry nad poziomem morza. Widoki, jakie dane nam było oglądać, już na zawsze pozostaną w mojej pamięci, podobnie jak moment, gdy po prawie dziesięciogodzinnej podróży i pokonaniu trzystu pięćdziesięciu kilometrów wąskimi górskimi szlakami w końcu dotarliśmy do miejsca, gdzie urodził się i wychował Luis Alfredo Garavito Cubillos.

Génova przywitała nas piękną słoneczną pogodą. Temperatura lekko przekraczała trzydzieści stopni, co było miłą odmianą po kilku dniach spędzonych w chłodnej i deszczowej o tej porze roku Bogocie. Zatrzymaliśmy się przy witającym przybyłych gości (termin turyści byłby raczej nadużyciem, bo na tych terenach Kolumbii turystyka właściwie nie istnieje) swojsko wyglądającym napisie „Yo (serduszek) Génova”, gdzie Jesus Alberto Sepulveda – adwokat, historyk i pisarz – opowiedział mi trochę o samej wiosce. Zaskoczył mnie już na samym wstępie, stwierdzając, że oprócz Luisa Garavito w tej niewielkiej miejscowości przyszedł na świat Pedro Antonio Marín, czyli słynny założyciel i wieloletni przywódca zbrodniczej lewicowej partyzantki FARC.

– Wyobraź sobie, Pepe ¹¹, że w tej kilkutysięcznej wsi urodziło się dwóch najśłynniejszych w ostatnim wieku ludzi w Kolumbii – powiedział wyraźnie podekscytowany. – Pierwszy to najbardziej przerażający seryjny morderca świata, który przyznał się do zabicia minimum dwustu dzieci, a drugi to rzeźnik odpowiedzialny za rozpętanie krwawej wojny domowej i śmierć ponad dwustu tysięcy.

Przyznam się od razu, że jadąc do Génovy, nie miałem o tym pojęcia, co nieuchronnie skłoniło mnie do zastanowienia się nad tym nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności.

– Dla mieszkańców wsi, zresztą nie tylko tej, to straszne piętno i nie lubią o tym gadać, bo bardzo się tego wstydzą – ostrzegł mój rozmówca i jak się później okazało, było w tym dużo racji.

O tym jednak później. Tymczasem zanim wrócimy do Garavito, kilka słów o „Tirofijo”. Żeby jednak zrozumieć, jakim cudem w tej niewielkiej mieścinie mogło urodzić się dwóch tak okrutnych osobników, należy przyjrzeć się społecznym uwarunkowaniom przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku.

Już we wstępie wspominałem, że Kolumbia niemal cuchnie przemocą. W późniejszych rozdziałach dowiedzie się, co dokładnie mam na myśli, ale chwilowo skupmy się na samej historii. Kolumbia od odzyskania niepodległości w roku 1819 za sprawą bohatera narodowego Simóna Bolívara niemal cały czas tonęła we krwi. Złożyło się na to wiele czynników, od historycznie zakorzenionej przemocy wpojonej mieszkańcom przez rządzących wcześniej Hiszpanów, po wieczne konflikty na tle religijnym, kulturowym i społecznym. Kolumbia jest krajem bardzo zróżnicowanym tak pod względem geograficznym, jak i narodowościowym. Wiele grup od zawsze próbowało tu przeforować swoje interesy, co zwykle – zwłaszcza wobec faktu, że władzę sprawowało tak naprawdę kilkaset rodzin obszarników wywodzących się od potomków białych Hiszpanów – powodowało ścieranie się tychże interesów. Na przestrzeni ponad stu lat doprowadziło to do ośmiu ogólnokrajowych wojen domowych i dziesięciu o charakterze lokalnym. Nie wnikając w szczegóły, aby Was nie zanudzać, wspomnę tylko, że na początku XX wieku ostatecznie wykrystalizował się podział na dwie frakcje: konserwatywną i liberalną. Obie rządziły krajem ze zmiennym szczęściem, ale krótko po drugiej wojnie światowej polaryzacja zaczęła się zaostrzać, czego kulminacją było zastrzelenie przed siedzibą dziennika „El Tiempo” kandydata na prezydenta z ramienia Kolumbijskiej Partii Liberalnej – Jorge Eliécera Gaitána.

Jego śmierć doprowadziła do wybuchu niekontrolowanej przemocy i ponaddziesięcioletniego okresu wojny domowej, który do historii przeszedł pod nazwą La Violencia. Wojna domowa jest

tu określeniem nieco na wyrost, bo tak naprawdę nie doszło do spektakularnych bitew, za to skalę okrucieństwa, jaką osiągnięto, trudno przyrównać do czegokolwiek w historii; mnie na myśl przychodzi ludobójstwo na Polakach na Wołyniu, z tą różnicą, że ich „Wołyń” ciągnął się Kolumbijczykom przez kilka dziesięcioleci. Tak naprawdę nikogo w stolicy to nie interesowało, a na prowincji rządzili co więksi kacykowie, którzy wzajemnie się zwalczali. Będący u władzy konserwatyści (śmierć zastrzelonego Gaitána sprawiła, że jego kontrkandydat z ramienia Kolumbijskiej Partii Konserwatywnej Laureano Gomez Castro zdobył urząd z łatwością) często wykorzystywali tych o podobnych poglądach i przyłożyli rękę do stworzenia wspomnianych los pájaros, czyli band najuboższych, najslabiej wykształconych i najbardziej rozczarowanych szesnastoletnimi rządami liberałów wieśniaków, którzy zaczęli siać terror w górskich wsiach i miasteczkach. Ich brutalność nie znała granic – aby zastraszyć przeciwników, posuwali się do ekstremalnych rzezi, często w sposób skrajnie okrutny torturując i mordując całe społeczności. Do najczęstszych praktyk zaliczały się: wylupywanie oczu oraz obcinanie palców, języków i uszu, obdzieranie żywcem ze skóry, palenie, nabijanie na pal, krzyżowanie i pozostawianie jeszcze żywych ofiar na pastwę drapieżnych ptaków, rozcinanie brzuchów i wyciąganie ofiarom wnętrzności (także płodów kobietom w ciąży), przybijanie do drzew, pozostawianie na słońcu i polewanie wodą, co powodowało bolesne poparzenia, ćwiartowanie jeszcze żywych ofiar (słynne cięcie kwiaciara); praktykowano też wiele innych sposobów zadawania śmierci. To oczywiście wymusiło odwet, więc stronnicy liberałów, do których należał Pedro Antonio Marín vel Manuel Marulanda, odpowiadali dokładnie tym samym, przez co kolumbijska prowincja na lata dosłownie utonęła w morzu krwi.

Próbowałem podjąć ten temat z ponadosiemdziesięcioletnim Don Fernando (co ciekawe, sam nie był pewny, ile dokładnie ma lat), miejscowym historykiem, świadkiem tamtych wydarzeń, ale okazał się niezbyt wylewny, większość pytań kwitując w sposób dający do zrozumienia, że „to już nigdy nie powinno się

powtórzyć”. Don Fernando osobiście znał „Tirofijo”, nie chciał się jednak przyznać, czy brał czynny udział w akcjach odwetowych, zaprowadził mnie za to do lokalnego minimuzeum, gdzie do spółki z lokalnym kustoszem (ciekawostką i zarazem dowodem panującej w Kolumbii biedy jest fakt, że ten stosunkowo młody mężczyzna nosił dwa różne, w dodatku dziurawe buty) opowiedzieli mi o historii Génovy, która – choć nie stała się nigdy miejscem typowych dla La Violencii rzezi – nie uniknęła wszakże sporadycznych, mniejszych bądź większych aktów przemocy. Opowieść została okraszona artefaktami od pierwszych indiańskich figurek po zdjęcia przyszłego dowódcy FARC.

Ten nieco przydługi wywód dotyczący historii jest istotny i potrzebny, aby pojąć, że przemoc w Kolumbii jest czymś, z czym spotkał się niemal każdy jej mieszkaniec, a wrażliwość na ludzkie cierpienie znacznie odbiega tu od tej, jaką mamy zaszczepioną my, Europejczycy. Jest to o tyle ważne w próbie zrozumienia tego, co stało się kilkadziesiąt lat później, że La Violencia tak naprawdę nie skończyła się na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a jej dumnym kontynuatorem był między innymi „Tirofijo”, który poprzez stworzenie lewicowej partyzantki FARC (potem pojawiły się inne ugrupowania paramilitarne, które potocznie zostały określone mianem guerillas) przyczynił się walenie do tego, że rozgorzał konflikt trwający aż do 2015 roku, kiedy to w końcu nowe dowództwo zawarło ze stroną rządową pokój. Gdy dodamy do tego ciągłe właśnie i mniejsze lub większe wojenki pomiędzy liberałami, konserwatystami i różnego rodzaju guerillas, silną polaryzację społeczeństwa i wyrosły na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych potężny biznes związany z produkcją kokainy na przemysłową skalę, można zaryzykować stwierdzenie, że przemoc i wyraźna atrofia pojęcia empatii właściwie na stałe zadomowiły się w świadomości niemal wszystkich mieszkańców Kolumbii. I nawet dziś, gdy wydaje się, że sytuacja w kraju uległa pewnej stabilizacji, jest tak, że prawie każdy obywatel widział kiedyś śmierć na własne oczy, ewentualnie znał kogoś, kto miał z nią bezpośrednią styczność, stąd zaś

niedaleka droga, aby wysnuć wniosek, iż przemoc jako taka musiała zapisać się w kodzie genetycznym Kolumbijczyków i bardzo trudno ją wykorzenić, czego dowód stanowi wciąż niezwykle wysoka przestępczość, także na terenach miejskich.

Powróćmy jednak do Génovy, gdzie po wizycie w muzeum wspólnie z jego kustoszem i Don Fernando zjedliśmy obiad w postaci pysznej mojarry – popularnego w Kolumbii dania z niewielkiej ryby z rodziny geresowatych występującej głównie w słonych wodach Morza Karaibskiego i u ujścia rzek. Smakowała znakomicie, uraczyliśmy się lokalnym piwem i jeszcze tego samego dnia wróciliśmy do pracy. Demony, które pozostawił po sobie Luis Garavito, przyciągały jak magnes...

Rozdział 2

Génova, Kolumbia, listopad 1956 roku

S kryte za chmurami słońce powoli nikło za szczytami, gdy młody Jorge podążał w dół zbocza w towarzystwie dwóch braci. Paco był starszy tylko o dwa lata, ale wyraźnie przewyższał go wzrostem, a jego szeroka klatka piersiowa i wyżyłowane ramiona sprawiały wrażenie, że liczy sobie nie trzynaście, a przynajmniej piętnaście wiosen. José Antonio, po ojcu, najstarszy z synów José Antonio Díaza, od dawna palił tytoń i od czasu do czasu wyjeżdżał z ojcem poza wieś, żeby handlować tym, co zostawało im przydzielone przez Don Pablo, właściciela większości ziem, na których Jorge pracował przy zbiorach kawy, herbaty i bananów.

Był środek listopada, czyli okres najbardziej wyętej pracy, która przy zbiorach kawy przypada dwa razy do roku, podczas pór deszczowych, bo wtedy ziarna nabierają kolorów, dojrzewają, zyskując jakość znaną na całym świecie, najlepszą z najlepszych, z serca Eje Cafetero ¹². W tym okresie trudno uniknąć przemoknięcia do suchej nitki, choć nie zawsze pada równie mocno, a najsilniejsze ulewy zwykle pojawiają się wieczorem i w nocy. Wtedy niebo dosłownie otwiera się i biada temu, kto nie zdąży wrócić do wioski, czy to z powodu kontuzji, o którą przy schodzeniu ze stromych zboczy przecież nietrudno, czy choćby z racji ludzkiej niefrasobliwości bądź kiepskiej znajomości terenu. Zaledwie dwa

tygodnie wcześniej śmierć poniosły dwie młode dziewczyny, co prawda przyjezdne, z wioski obok, mimo to gdy Jorge o nich myślał, robiło mu się smutno na sercu. Wtedy też przed oczyma stawał mu widok dwóch ułożonych przy ścieżce ciał, wciąż oblepionych błotem z lawiny, która zeszła ze zbocza i zabrawszy dziewczyny ze sobą, runęła do wąwozu, gdzie płynęła Río Gris¹³. Lokalni *campesinos* nauczeni doświadczeniem domyślili się, co mogło się wydarzyć, i nad ranem, gdy deszcz już zelżał, poszli szukać zaginionych nieszczęśnic. I pewnie szukaliby długo, gdyby opatrność im nie pomogła i nie sprawiła, że jedna z ofiar zatrzymała się na pniu przełamanej palmy woskowej, a jej przedramię nie zostało zupełnie zakryte przez materiał z lawiny błotnej.

Jorge zapamiętał, że zwłoki były dziwnie odkształcone, przypominały ludzki embrion, tylko wygięty nienaturalnie w drugą stronę. Nie był to miły widok i przez większość dnia przeznaczonego na pracę chłopak milczał. Zbierając żółte i czerwone ziarna kawy, rozmyślał nad tragizmem sytuacji i w ogóle sensem istnienia takich ludzi jak zmarłe dziewczyny i on sam, bo w takich chwilach nic z tego boskiego planu nie rozumiał i się w tym wszystkim gubił.

– A ty, młody, kiedy w końcu zamoczysz, co? – Z zamyślenia wyrwał go głos Paco, który na dodatek lekko go szturchnął w prawy bark.

– Zostaw smarka. To jeszcze dziecko. Przecież nie wyrosły mu nawet włosy na jajkach – włączył się do rozmowy José Antonio, spluwając przy okazji na jeden z ogromnych liści rozłożystej orchidei.

Jorge nie miał nastroju do rozmowy, więc zignorował przytyki starszych braci. Myśli o tamtych nieszczęsnych dziewczynach wciąż się w nim kotłowały i nie chciały odejść. Był najmłodszym z siedmiorga dzieci Izabeli i José Antonio Díazów, przez co zawsze

musiał starać się najbardziej, choć zwykle wszystko, do czego się zabierał, wychodziło mu średnio, co najwyżej dobrze. Ostatnio jego sytuacja, przynajmniej w jego ocenie, znacznie się pogorszyła, bo jeśli do niedawna jeszcze dogadywał się z Paco, to teraz starszy brat wyraźnie się od niego odsunął. Jorge doskonale wiedział dlaczego, choć nie do końca wierzył w prawdziwość opowieści, które brat tak namiętnie rozpowszechniał – jakoby zaliczył swój pierwszy raz ze starszą o dwa lata Andreą, dziewczyną z sąsiedniej wioski, która choć była niezbyt urodziwa, to podobno lubiła towarzystwo chłopców bardziej niż jej rówieśniczki, a nawet starsze koleżanki. Niestety dla Jorge, niewielu kompanów z wioski podawało tak jak on w wątpliwość wyczyn brata i przekonanie o inicjacji seksualnej Paco pozwoliło temu ostatniemu wskoczyć o stopień wyżej w hierarchii. Teraz w oczach synów sąsiadów tylko on, Jorge, pozostawał niegodnym uwagi smarkiem, który jeszcze nigdy z kobietą nie spółkował, choć pewnie Paco też nie, ale sprawiedliwości na tym świecie nie było.

Około kwadransa zajęło im dojście do wsi, która pomimo zapadającego zmroku i siąpiącego deszczu dopiero zaczynała budzić się do życia. Mężczyźni i młodzieńcy, którym rzucał się pierwszy wąż, wysypywali się z parterowych chałup i nie szczędząc gardeł, sunęli w kierunku Parque Simón Bolívar, aby jeść, pić i tańczyć do utraty tchu, jak prawie dzień w dzień, bo fiesta była dla Kolumbijczyków tym, czym tlen w powietrzu dla reszty ludzi.

– Kolumbijczycy mają gorącą krew, najgorętszą ze wszystkich narodów świata – tłumaczył mu kiedyś ojciec, gdy wrócił wyraźnie podchmielony i zebrało mu się na poważne rozmowy. – Ci tam, z innych krajów czy kontynentów, nigdy nas do końca nie rozumieją. Gdy Kolumbijczyk kocha, to na zabój. Gdy walczy, to do ostatniej kropli krwi. A gdy się bawi, to... niech ktoś spróbuje mu

tego zabronić... – Łypał wtedy na matkę i machał groźnie pięścią, choć na niej nie robiło to wrażenia i co najwyżej przewracała oczami lub wzdychała do nieba.

Wspólne spotkania po pracy były dla mieszkańców Gény codziennością. W obskurnych lokalach wokół parku przesiadywali głównie mężczyźni, pijąc piwo, rum albo taną brandy, słuchając muzyki, zerkając na krągłości spacerujących dziewcząt, niby nieśmiały, ale posyłających potencjalnym kochankom powłóczyste spojrzenia i kuszących ich niczym demonice z piekła rodem. Młodzi często przepuszczali wtedy większość lichej wypłaty, zwłaszcza gdy nie mieli na utrzymaniu rodziny, co dotyczyło głównie tych niewiele starszych od Jorge. Gdy już wystarczająco zaszumiało im w głowie, nieobyczajnie uganiali się za przyjezdnymi dziewczętami, czasem rówieśniczkami z ulicy obok, ale równie często wdowami zbiegłymi z zaatakowanych przez *los pájaros* wsi, nierzadko też zameżnymi matronami, które partnerzy – często lenie i pijacy prowadzący pasożytniczy tryb życia – bezwstydnie wysyłali po zarobek do sąsiednich wiosek, bo im nie chciało się wstawać do pracy.

Dziś była sobota, co oznaczało, że mało kto ze starszyny wróci tej nocy do domu o własnych siłach, ci zaś szczęśliwcy, których rum nie powali, i młodszy, mający zwykle plany dużo bardziej sprecyzowane, zapewne legną z partnerkami w łóżach, a krzyki rozkoszy obcujących ze sobą kochanków sprawią, że trudno będzie zasnąć chłopakom takim jak Jorge. Jemu pozostawało zakraść się pod okno lub uchylone drzwi i spróbować podejrzeć to i owo, a potem marzyć, żeby czas płynął choć trochę szybciej, żeby i on mógł w końcu skosztować kobiecego ciała.

Gwar rósł z każdym pokonanym metrem. Stojące w oknach młode kobiety dopinały ostatnie guziki fantazyjnych sukien, tak

kolorowych, że czasem trudno było nie dostać oczopląsu, inne poprawiały włosy albo nakładały własnoręcznie plecione naszyjniki i bransoletki z węzowej skóry i papuzich piór, przetykane koralikami lub bynajmniej nie szlachetnymi, choć bajecznie błyszczącymi kamieniami, a te już wyszykowane przekomarzały się na gankach z siostrami albo matkami, które ostrzegały je przed czyhającymi na nie niebezpieczeństwami. Mężczyźni w większości nie przykładali takiej wagi do strojów – nosili luźne lniane spodnie i koszule z długim rękawem z tegoż materiału, zwykle supłane pod szyją, z czego zresztą niewiele korzystało, chcąc w pełni wyeksponować szerokie barki i klatki piersiowe wyrobione ciężką pracą na wzgórzach i polach. Wielu miało ze sobą nieodzowną drewnianą fajkę, niektórzy wdziali kapelusze z szerokim rondem, których rolą tym razem nie była ochrona przed słońcem, a zadanie szyku, bo te uszyte przez krawców w Armenii czy Pereirze czekały w szafach tylko na takie okazje.

Aby nie rzucać się w oczy, minęli łukiem Parque Simón Bolívar, bo bracia najpierw chcieli zrzucić z siebie robocze łachy i opłukać się wodą; potem przeszli jeszcze około stu metrów nieużytkiem, po którym kręciło się kilka osłów i kundli, by w końcu dotrzeć do niewielkiej parterowej chałupy. Cała trójka była mocno wygłodniała, więc matka przyszykowała im po arepie ¹⁴ z przekrojonym wzdłuż na pół i upieczonym na ogniu bananem. Zjedli ze smakiem, tym razem bez ojca, który rano wziął muła i ruszył do Caicedonii, aby sprzedać nadwyżkę z tegorocznych zbiorów. Planowo miał wrócić za trzy do czterech dni i Jorge trochę się o niego obawiał, zwłaszcza w związku z pogłoskami o grasujących w górach *los pájaros* i widokiem krążących na niebie sępów, których było coraz więcej i których cienie towarzyszyły ludziom nieustannie, to zaś, jak mawiał ojciec, zawsze jest zły znak.

Ich niewielki, parterowy dom znajdował się w południowo-zachodniej części wsi, tej raczej biedniejszej, w otoczeniu sąsiadów, o których rodzice nie mieli najlepszego zdania. Wielu mężczyzn albo nie pracowało, albo robiło to jedynie dorywczo, popijało za to często bimbler albo taną brandy. Zza murów ich syjących się chałup regularnie dochodziły odgłosy awantur.

– Tak kończą ci, którzy walczą u boku *señora* Marína – mówił ojciec. – I to w najlepszym wypadku, gdy ich głowy nie zostaną zatknięte na pale.

– Ale dlaczego, *padre* ¹⁵? – dopytywał się Jorge.

– Jesteś jeszcze za młody, *mi hijo* ¹⁶, aby to zrozumieć. W każdym razie gdy człowiek naogląda się tych wszystkich okropieństw, to potem Pan Bóg odbiera chęć do życia, a czasem nawet i rozum. To kara za łamanie piątego przykazania. Jakie jest piąte przykazanie?

Jorge odpowiadał, a żeby się pochwalić, recytował cały Dekalog, który znał na pamięć, tak jak różne pacierze, bo wiara w Boga była co najmniej równie ważna jak praca w polu, nawet jeśli ojciec czuł się *gaitanistą*, czyli w zasadzie socjalistą, więc prawie komunistą. José Antonio senior był z tego syna dumny, choć rzadko to okazywał, niepokoiły go natomiast zapędy pierworodnego, też José Antonio, który już od jakiegoś czasu przebąkiwał, że chętnie przyłączyłby się do pana Marína. Twierdził, że może zarobić tam kilka, a nawet kilkanaście razy więcej niż przy zbiorach kawy czy bananów, i tu rzeczywiście się nie mylił. Tylko co później – gdy już przestanie być potrzebny albo co gorsza zostanie ranny, a przez to okaże się bezużyteczny dla sprawy? Ostatnim, czego pragnął ojciec, był widok złamanego psychicznie syna, który koszmary związane z wojennymi wspomnieniami topi w butelce taniej brandy albo własnoręcznie zrobionym bimbrze i jeszcze do tego chodzi na kurwy – potem to nie wiadomo, czy dziecko jego, gdy taka kurwa urodzi i narobi wstydu

jak stąd do Bogoty. To zresztą i tak w najlepszym przypadku, bo zawsze mogło być gorzej, tego ojciec nigdy na głos nie mówił, ale Jorge domyślał się, że taki José Antonio czy ktoś inny, nie mając szczęścia, równie dobrze mógłby skończyć pod palmą z kolumbijskiem krawatem albo pod murem jako ludzki wazon.

Jorge skończył jeść i podszedł do okna. Przeżuwając ostatni kęs arepy, uchylił moskitierę chroniącą dom przed inwazją robactwa i przez dłuższą chwilę przyglądał się braciom, którzy na podwórzu wzajemnie oblewali się wodą z drewnianego wiadra. Najpierw Paco lał ją na José Antonio, a później ten mu się odwdzieczył i tak na przemian, tylko o nim nie pamiętali, tacy to z nich byli bracia. Śmiali się, przemywając pachy, przekomarzali i wykonywali ruchy niewątpliwie nawiązujące do spółkowania z dziewczynami, co do końca zepsuło i tak kiepski humor Jorge, który jeszcze mocniej poczuł się odsunięty na boczny tor. Przez chwilę z zazdrością przyglądał się ich dyndającym penisom, nad którymi widać było gęsty zarost łonowy. On wciąż nie mógł doszukać się na podbrzuszu choćby jednego włoska, co strasznie go irytowało.

– Zasłoń okno! Ale już! Ile razy mam ci powtarzać, że wieczorami wlatuje najwięcej insektów! – upomniała go matka, ale Jorge nie zareagował, był już myślami na imprezie. Śpiewał i tańczył z Rositą, dziewczyną piękną niczym zachód słońca, o włosach jasnych jak słonecznik w rozkwicie, podobno po ojcu z dalekich krajów Północy, gdzie zamiast deszczu pada śnieg i żyją wielkie włochate stwory o szczękach i pazurach tak potężnych, że nawet jaguar, król dżungli, nie dałby im rady. Była od niego starsza o rok, ale chodzili do tej samej klasy, zanim na wniosek ojca Jorge musiał opuścić szkołę po ukończeniu czwartego zaledwie roku edukacji, choć w tym czasie nie nauczył się nawet dobrze czytać i pisać. José Antonio senior uważał, że wykształcenie nie jest konieczne, a wręcz może wpłynąć

niekorzystnie na myśli synów – a nuż zamarzą im się rzeczy nieosiągalne czy nawet zapragną opuścić wioskę i szukać szczęścia z dala od rodziny. W jego ocenie czasy były trudne, a podróże niebezpieczne, dlatego należało trzymać się razem i robić swoje. A że z dziada pradziada Díazowie byli *campesinos*, nie miało sensu łudzić się, że dzięki kilku klasom więcej uda się to zmienić. Zawód i rozgoryczenie w oczach synów próbujących bezskutecznie polepszyć swój los to było ostatnie, czego ojciec chciał, wyjąwszy moment, gdyby przyszło mu stanąć nad ich grobami, czego zresztą nigdy nie wyartykułował, ale o czym Jorge doskonale wiedział.

Gdy matka dostrzegła, że syn ją ignoruje, drugi raz nie powtórzyła nakazu, tylko chwyciła moskitierę i zaciągnęła ją, przy okazji chlastając syna po głowie szmatą, którą chwilę wcześniej unurzała w wiadrze z wodą, cuchnącą już wyraźnie nie wiadomo czym.

– Auaaa! – krzyknął Jorge, intynktownie się odsuwając.

– Masz się słuchać matki! Zrozumiałeś? – Zaciśnęła palce na materiale, aż czarne krople spłynęły jej po dłoni, i ostrzegawczo wysunęła palec wskazujący.

– Tylko patrzyłem – bronił się chłopak.

Izabela raz jeszcze zamachnęła się szmatą, tym razem bez zamiaru jej wykorzystania, co Jorge wyczuł, gdy się do niego uśmiechnęła. Chciała zmierzwić mu włosy, ale odskoczył i wybiegł na podwórze, gdzie Paco właśnie kończył się wycierać, a José Antonio odstawiał wiadro.

– Poczekaj. Też chcę się wykąpać – rzucił w stronę najstarszego brata. Ten skrzywił się i przewrócił oczami.

– Nie idziesz z nami – ostrzegł, oddając mu naczynie.

– A kto powiedział, że chcę z wami iść?

Jorge oczywiście bardzo tego pragnął, ale postanowił, że nie będzie się prosił. Spodziewał się takiego rozwoju sytuacji, więc

w drodze do domu przygotował swój własny plan. Teraz rzucił José Antonio dumne spojrzenie i odebrał wiadro z rąk brata.

– Tylko nas nie śledź, bo jak cię zobaczę, to wleję ci w dupę przy wszystkich – zagroził raz jeszcze José Antonio i chwilę później obaj zniknęli w chałupie.

Kwadrans później Jorge patrzył z zazdrością przez uchylone drzwi, jak bracia oddalają się w kierunku Parque Simón Bolívar. W tej chwili ich nienawidził i miał ochotę zrobić im coś naprawdę złego. Wyobrażał sobie, że pojawia się na jednej z dyskotek i odbija dziewczynę, z którą tańczy José Antonio, a gdy ten zaskoczony próbuje mu ją odebrać, powala go jednym ciosem albo dwoma, najlepiej prawym i podbródkowym, aby wyszło efektownie i wszyscy to widzieli, potem unosząc wysoko brodę, wyciąga rękę do dziewczyny, ta zaś oczywiście mu nie odmawia. Czasem w tych fantasmagoriach pojawiał się też Paco, który ze strachu przed nim sika w spodnie i wszyscy się z niego śmieją albo podobnie jak najstarszy brat pada nieprzytomny po celnym sierpowym, bo na Paco taki jeden cios by raczej wystarczył. Gdy całkiem puszczał wodze fantazji, w wyobrażeniach pojawiał się koń, na którym kłusował ze swoją ukochaną, aby zatrzymać się przy wodopoju i w blasku księżyca w końcu zerwać zakazany owoc.

Pod nieobecność ojca mógł pozwolić sobie na więcej, więc niespecjalnie przejął się słowami matki, która zabroniła mu iść na fiestę, tym bardziej że pomiędzy północnymi szczytami niebo rozświećlały błyskawice i wyglądało na to, że burza dotrze do wioski. Pomyślał, że to na pewno go nie powstrzyma i w najgorszym wypadku matka zdzieli go szmatą raz lub dwa, ale raczej nie pasem, więc gra warta była świeczki. Musiał tylko odczekać, aż rodzicielka pójdzie spać, a że ta zwykle kładła się zaraz po kolacji, wystarczyło

wytrzymać pół godziny, może trochę więcej, by potem niepostrzeżenie wymknąć się z domu i cieszyć wolnością.

Jak postanowił, tak zrobił. Gdy usłyszał ciche pochrapywanie matki, na wszelki wypadek sprawdził jeszcze, czy aby na pewno zasnęła, a potem na palcach ruszył w kierunku drzwi. Gdy je uchylił i wyszedł na ulicę, przy domu sąsiada usłyszał jakiś głos. Mężczyzna był wyraźnie pijany, mimo to podśpiewywał pod nosem piosenkę, w której chłopak rozpoznał znajome nuty, gdyż słyszał ją wielokrotnie. Była to pieśń na cześć Jorge Eliécera Gaitána – hymn towarzyszący ludziom prowadzonym przez pana Marína, zawsze gdy opuszczali wieś bądź do niej wchodzili; często również śpiewali go aż do zdercia gardeł, gdy wspólnie pili na umór. Głos też poznał, więc wycofał się do domu. Nie chciał ryzykować wykrycia, wszak istniała groźba, że rankiem sąsiad wygada się matce, choćby przypadkiem, nie mając złych intencji, a wtedy Jorge nie wywinąłby się od kary – zwłaszcza jeśli wróciłby ojciec, bez wątpienia w ruch poszedłby pas.

W pewnym momencie mężczyzna potknął się i upadł na twarz. Zaklął szpetnie i przez kilkadziesiąt sekund próbował się pozbierać, ale musiał być bardzo pijany, bo już wcześniej ledwo trzymał się na nogach. Jorge obserwował tę scenę coraz bardziej zniecierpliwiony, tym bardziej że sąsiad zaczął się dziwnie zachowywać: na kolanach, z twarzą przy ziemi węszył jak pies, klnąc okropnie. W końcu podniósł się, machnął ręką i doczłapał do drzwi swojej chaty, rąbnął w nie kilkakrotnie, a gdy się otwarły, wpadł do środka i z głuchym łoskotem wyrznął o podłogę.

Jorge zerknął na niebo. Zaczęło siąpić, ale nie zanosilo się na to, żeby miało lunąć jak z cebra, choć błyskawice wciąż rozświetlały niebo na północy, nic zatem nie wskazywało, że burza może zepsuć jego niecny plan. Wychynął na ganek i rozejrzał się po ulicy. W okolicy nie było żywego ducha, tylko z odległego o jakieś dwieście

metrów Parque Simón Bolívar niosły się kuszące dźwięki zabawy, dlatego nie zastanawiając się ani chwili dłużej, chłopak wyszedł na zewnątrz i skierował się w tamtą stronę.

Gdy przechodził obok chaty sąsiada, coś go tknęło. Przypomniawsobie jego dziwaczne zachowanie i pomyślał, że wyglądało to tak, jakby facet czegoś szukał, przypominał przecież węszącego psa, więc nie było innej opcji, na pewno coś zgubił. Jorge omiótł spojrzeniem grząskie podłoże i od razu zauważył czapkę z daszkiem. W świetle błyskawic rozpoznał wzór moro. Żołnierska, pomyślał i mocniej zabiło mu serce – potem założył ją sobie na głowę i udając, że trzyma w rękach karabin, przez chwilę celebrował ten moment, strzelając do wyimaginowanego wroga. W końcu przestał, a kiedy miał już odłożyć znalezisko na ganek sąsiada, w błotnistej brei dostrzegł coś jeszcze. Znow przykucnął i podniósł rzecz przypominającą idiański naszyjnik. Uniósł ją na wysokość oczu. Wtedy pajęczyna błyskawic znow rozświetliła niebo, a mały Jorge zrozumiał, że wiele się nie pomylił.

W rękach trzymał naszyjnik z ludzkich uszu.

Gdy przerażony i zapłakany pędził do domu, za jego plecami niosły się w powietrzu dźwięki dzikiej fiesty i karczemnej awantury w domu sąsiada.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Kolumbijczycy rzeczywiście mają gorącą krew. Najlepiej wytłumaczył mi to Roberto, nasz kierowca i zarazem ochroniarz, który był klasycznym przykładem dorosłego obywatela tego kraju. Trójka dzieci z trzema różnymi kobietami, oczywiście singiel, kilka kochanek rozsianych w różnych miastach regionu Eje Cafetero oraz w Bogocie. Pamiętam, że gdy wieczorową porą dotarliśmy do Parque Simón Bolívar w centrum Génovy, miejsce to

zrobiło na mnie ogromne wrażenie. To była niedziela, więc teoretycznie następnego dnia trzeba było iść do pracy, a tymczasem wszyscy mieszkańcy pili, bawili się, tańczyli, jakby jutro miał się skończyć świat. Gdy zapytałem, czy tu jest tak zawsze, Roberto powiedział:

– Kolumbijczyk nigdy nie wie, czy jutro ktoś nie wsadzi mu noża pod żebro. Dlatego każdy dzień chcemy przeżywać tak, jakby miał być ostatnim w życiu.

To wszystko spuścizna krwawej przeszłości, czego zresztą dowodem jest aktualnie tak wysoka przestępczość. Dlatego Kolumbijczycy nigdy nie kalkulują i gdy się bawią, to do upadłego. Noc, którą spędziliśmy w lokalnej dyskoteczce, zapamiętam do końca życia. Ile natańczyłem się z lokalnymi dziewczynami, to moje (a że kiedyś w Hiszpanii koleżanki nauczyły mnie tańczyć salsę, bachatę czy merengę, miałem okazję, by sobie te tańce odświeżyć). Nie mogłem uwierzyć, że wiele z nich już o piątej rano musiało wstać do pracy, mimo to o drugiej czy trzeciej jeszcze hulały na parkiecie. Przy okazji kilkakrotnie miałem oferowane wszystkie możliwe rozrywki, począwszy od marihuany czy haszyszu, uprawianych tam na wpół legalnie, przez kokainę, którą za grosze można kupić na każdym rogu, po erotyczne oferty od mieszkanek Gény – w przeciwieństwie do kobiet wychowanych w kręgu kultury europejskiej nie mają one bowiem najmniejszych zahamowań, aby proponować mężczyźnie wspólne spędzenie nocy, czasem już po wypiciu pierwszego drinka.

I tu mamy kolejny aspekt, który tak mocno różni tę kulturę od naszej. Latynosi generalnie są wielkimi hipokrytami, bo choć zwykle bardzo obnoszą się ze swoją wiarą (prawie każdy nosi jakiś krzyżyk albo inne dewocjonalia), to Dekalog traktują wybiórczo. W Kolumbii przyjmuje to chyba najbardziej ekstremalną formę, zwłaszcza że ze wszystkich państw Ameryki Łacińskiej najsilniejszy jest tu kult macho. I tak oszustwo czy złodziejstwo są tam w zasadzie czymś powszechnym i niespecjalnie piętnowanym, przemoc stanowi dowód odwagi i siły, a pojęcie gwałtu właściwie nie istnieje. W końcu seks traktuje się jako swoisty rodzaj zabawy, coś, co pozwala poprawić humor albo przeżyć przygodę,

w związku z czym nie ma tak silnych jak gdzie indziej więzi między partnerami i rzadko można spotkać parę, a nawet małżeństwo, które od początku do końca pozostaje sobie wierne, a spłodzone przez nie potomstwo nie ma przyrodnych sióstr czy braci. To zaś jest pochodną tego, że w Kolumbii inicjacja seksualna młodych ludzi następuje bardzo wcześnie. Warto też zauważyć, że proporcje wieś–miasto są odwrotne niż w Polsce i to właśnie w mniejszych miejscowościach owa inicjacja dokonuje się szybciej. Liczby nie kłamią i tak w Kolumbii już dziesięć procent chłopców rozpoczyna współżycie w wieku dwunastu lat, a kolejne dwadzieścia procent rok później. W przypadku dziewcząt grubo ponad połowa populacji ma za sobą pierwszy raz przed ukończeniem szesnastego roku życia, co dziesiąta zaś zaczyna życie seksualne w wieku lat trzynastu...

Niech za przykład ekstremalnego połączenia tych wszystkich uwag posłuży wam sytuacja, która dość mocno mną wstrząsnęła.

Po kolacji, którą zjedliśmy po opuszczeniu muzeum, w drodze do Parque Simón Bolívar lekko już podchmieleni spacerowaliśmy wąskimi uliczkami Génovy. Humory dopisywały, chcieliśmy się zrelaksować. Muzyka dochodząca z każdej niemal chatupy potęgowała poczucie odprężenia po dobrze wykonanej pracy. W pewnym momencie Roberto zatrzymał się obok kilku młodych kobiet podpierających murek jakiejś przydrożnej potupajki. Bez względu na różne męskie gusta należy zaznaczyć, że były bardzo atrakcyjne, zapewne nie przekraczały przy tym dwudziestego roku życia. Podeszedł do nich i bez skrupowania zmierzył je wzrokiem od stóp do głów, czym one niespecjalnie się przejęły. Potem zwrócił się do mnie:

– Każda z nich może być twoja. Którą chciałbyś wziąć na noc?

Zrobiło mi się głupio i poczułem się skrupowany, bo te młode kobiety stały może metr od nas i słyszały każde słowo. O dziwo, nie zaoponowały, tylko zaczęły się uśmiechać i coś tam szeptać między sobą. Wziąłem Roberto na bok i powiedziałem mu, że nie korzystam z usług prostytutek, na co on odrzekł, że to nie prostytutki, tylko normalne dziewczyny, które chciałyby przeżyć

przygodę z gringo¹⁷. Nie jestem osobą, która kapituluje w podobnych sytuacjach, ale uczciwie przyznam, że ta mnie przerosła. Ponieważ zaś wciąż czułem na sobie coraz bardziej piekący wzrok tak Roberto, jak i pięknych génovianek, żeby chwilowo uniknąć odpowiedzi, odchyliłem kotarę i zajrzałem do wnętrza lokalu. W środku trwała już impreza, ludzie pili przy barze i tańczyli na niewielkim parkiecie. Połowa z nich od razu wbiła we mnie ciekawskie spojrzenia, przez co znów poczułem się nieswojo. Wtedy Roberto też wsadził głowę do środka. Omiótł towarzystwo wzrokiem, z uznaniem pokiwał głową, po czym wydał usta i – tym razem trochę dyskretniej – zwrócił się do mnie:

– Jeśli tamte ci się nie podobają, to możemy tu później przyjść. Ale tylko ze mną. W żadnym wypadku nie wążaj się tu sam – ostrzegł.

– A dlaczego? – zapytałem.

– Te na zewnątrz raczej były wolne, więc nie widzę zagrożenia, ale w środku jest wiele zajętych i jeśli przypadkiem wdasz się w dyskusję z tą, z którą nie powinienes, to ten wieczór może skończyć się źle.

– To znaczy?

– Na przykład utną ci jaja...

Roberto powiedział to z taką naturalnością, że aż mnie zmroziło. Ze zrozumiałych względów postanowiłem nie podejmować ryzyka i grzecznie podziękowałem za podobne atrakcje, po czym ruszyliśmy w pogoń za resztą ekipy, która już była daleko z przodu.

Dlaczego o tym piszę? Ano dlatego, że to ważne, aby zrozumieć mentalność Kolumbijczyków, żyjących – dosłownie i w przenośni – z dnia na dzień i starających się czerpać z życia pełnymi garściami. Nie ukrywam, że to było ciekawe doświadczenie – otworzyło mi oczy na wiele kwestii dotyczących obyczajowości tego narodu i tła tej całej ponurej historii, którą chcę tu opowiedzieć. Generalnie po raz pierwszy tak zdecydowanie zderzyłem się wtedy z kolumbijską kulturą, bo choć wcześniej poznałem wielu Latynosów (choćby gdy przez kilka lat

mieszkalem w Hiszpanii czy USA), to jeszcze nigdy nie spotkalem sie z tego typu skrajnymi postawami. Przemoc i seks, seks i przemoc. Obie te rzeczy sa postrzegane przez Kolumbijczykow w zupełnie inny sposob niz gdzie indziej na swiecie i trzeba o tym pamietac. Jesli tego nie zaakceptujemy, trudno bedzie zrozumiec motywacje i decyzje tych ludzi, w tym glownego bohatera tej opowieści...

Tej nocy nie myslalem jednak ani o Luisie Garavito, ani o czymkolwiek, co mogloby mnie wprowadzic w ponury nastrój. Zamiast tego dalismy sie porwac pulsowi goracej krwi mieszkancow Génovy i bawilismy sie tak jak oni. Jakby jutro mial sie skonczyc swiat...

Rozdział 3

Génova, Kolumbia, styczeń 1957 roku

Tej nocy Jorge nie mógł zasnąć.

Zwykle miał problemy ze snem podczas pełni księżyca, czego nie rozumiał, bo pozostali członkowie rodziny zawsze spali jak zabici. Dziś jednak księżyc przypominał banana, i to raczej takiego marnego, nadgniłego. Mimo to chłopak przewracał się z boku na bok, nie mogąc znaleźć sobie miejsca i coraz bardziej wkurzając śpiącego obok Paco.

– Śpij już, smarku, bo mnie zaraz szlag trafi! – warknął starszy brat i szturchnął łokciem Jorge, gdy ten znów zaczął się drapać.

– Nie jestem już smarkiem. Sam jesteś...

– Zamknij się!

Jorge zacisnął zęby z nerwów. Miał ochotę przyłożyć bratu w kręgosłup, z łokcia albo kolanka, a najlepiej zepchnąć go z łóżka, ale wiedział, że nie skończyłoby się to dla niego dobrze. Ojciec znów by się na niego wkurzył i zapewne uwierzył w słowa Paco. W jego oczach znów wyszedłby na darmozjadą, który nie zarabia na rodzinę.

Przez chwilę leżał spokojnie, próbując powstrzymać chęć podrapania się po pośladkach. Długo nie wytrzymał, a chwilę później zeskrobywał już strupy nie tylko z tyłka, ale także z ud, brzucha i dolnej części pleców. Ból, który przy tym odczuwał, był

niczym w porównaniu z tym, który przeżył pięć dni temu, gdy wybrał się z siostrą do lasu po chrust. W pewnym momencie chciał odsapnąć i przysiadł pod drzewem. Nie zwrócił uwagi na wąską szczelinę przy samym pniu. Oparł się i sięgnął po menażkę z wodą, upił, a gdy zorientował się, że coś weszło mu pod szorty, gwałtownie zerwał się na równe nogi. I wtedy poczuł, jakby w jego ciało w jednej chwili wbiło się kilkanaście ostrzy.

– Aaaa! – wrzasnął.

– Co się stało? – zapytała siostra, w jednej chwili doskakując do brata z przerażeniem w oczach.

– Aaaa! Ratuj! Błagam! Auaaaaa!

Jorge darł się, jakby go ktoś obdzierał żywcem ze skóry. Siostra upuściła zebrany chrust i gdy zrozumiała, co się stało, czym prędzej pobiegła do wioski po pomoc. Krótko później Jorge stracił przytomność. Obudził się w łóżku, nad którym pochylali się matka i lekarz z sąsiedniej wioski, a właściwie bardziej szaman, którego z Amazonii przywiodły do Quindío nieznane koleje losu. Smarował jego obolałe ciało gorącą miksturą z leśnych ziół, a Jorge leżał w malignie, szepcząc, jęcząc, bredząc niezrozumiale.

– To *yanabe. Hormiga conga* ¹⁸. Miałeś dużo szczęścia, chłopcze – powiedział łamanym hiszpańskim, po czym powrócił do smarowania, dmuchając na rany dymem z podłużnej, kolorowej fajki.

W sumie Jorge doznał jedenastu ukąszeń i rzeczywiście miał sporo szczęścia, bo po takiej ich liczbie nie wszyscy wychodzili z tego żywi, no może mężczyźni tak, bo jednak byli mężczyznami, a nie dziećmi. Jad owych gigantycznych mrówek nie tylko powodował ogromny ból, ale w wielu przypadkach po prostu zabijał. Dwa dni później ojciec – najwyraźniej chcąc podnieść syna na duchu – opowiedział mu, że w niektórych plemionach zamieszkujących

lasy Amazonii praktykuje się pewien tajemniczy rytuał. Jorge wciąż leżał w gorączce, a siostry biegały do pobliskiej rzeki po zimną wodę, mimo to słowa ojca wzbudziły w nim ogromną ciekawość.

– Co to za tajemniczy rytuał? – dopytywał półgłosem.

– W Amazonii jest znany od wieków i bez wątpienia jest starszy od pierwszych Hiszpanów, którzy postawili nogę na tej ziemi – odparł z pełną powagą ojciec.

– Na czym on polega?

– To inicjacja. Niezwykle ważna dla każdego młodego członka plemienia, który chce się stać mężczyzną. Polega na tym, że starszyzna idzie w głąb *la selva*¹⁹, aby odszukać *hormiga conga*... –

José Antonio umoczył materiał w misce z zimną wodą i przyłożył synowi do czoła. Kontynuował: – Następnie wojownicy wyłapują mrówki do specjalnie wydrążonych pni, które potem zatykają. Po powrocie do wsi otumaniają je dymem, a *conga* pogrążają się w letargu. W międzyczasie kobiety szyją specjalne rękawice, do których wkładana jest kora pokryta mrówkami. Aspirujący do stania się mężczyzną wsuwają do nich dłonie. Każdy młodzieniec chcący przejść inicjację musi wytrzymać dziesięć minut, w czasie których mrówki zaczynają kąsać, a ból staje się...

– Wiem, *padre*.

– No tak... – José Antonio uśmiechnął się, prychnął, bo przecież stanowcza reakcja syna była zrozumiała. – Zatem wiesz jedną rzecz więcej ode mnie – dodał i ściągnął materiał z klatki piersiowej Jorge.

– Ciebie nigdy nie ukąsiła *hormiga conga*?

– Nigdy.

– I co dalej z tym rytuałem?

– Jak zapewne się domyślasz, jeśli kandydat nie umrze i przetrzyma test, starszyzna plemienia uznaje go za pełnoprawnego mężczyznę. Chłopak przeobraża się w wojownika.

– Czyli ja też jestem już mężczyzną i wojownikiem?

– Díazowie nie praktykują tego rytuału. – Ojciec zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie wspomniał o wojownikach. Czasem lepiej nic nie mówić niż powiedzieć o jedno słowo za dużo. Zmoczył materiał w zimnej wodzie, wykręcił i z powrotem położył na klatce piersiowej syna. Dostrzegł w jego oczach rozczarowanie. – Ale dla mnie, Jorge, owszem. Dla mnie już jesteś mężczyzną – dodał, próbując wybrnąć z sytuacji.

– A wojownikiem? – naciskał Jorge.

– Wojowanie zostawmy innym. Prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak znosi ból albo czy umie zabijać, ale po tym, jak dba o swoją rodzinę.

To nie przekonało Jorge. Ojciec miał wrażenie, że syn zbyt wiele czasu spędza z ludźmi, z którymi przestawać nie powinien. Do szkoły, do której chodził trzy razy w tygodniu, uczęszczało przynajmniej kilku chłopców, których ojcowie brali czynny udział w walkach i nic nie dało się z tym zrobić. José Antonio Díaz starał się nie angażować w politykę, więc publicznie nie krytykował ich działań, choć prywatnie miał na ten temat swoje zdanie; wiedział, że przemoc rodzi przemoc, i spodziewał się, że *los pájaros* – nawet jeśli do tej pory omijali Génovę – w wyniku aktywnej działalności związanej przez Pedro Marína grupy odwetowej prędzej czy później zjawia się i tutaj. Co gorsza, wielu z nich po powrocie z takiej krwawej wyprawy, aby zapomnieć o rzeziach, jakich się dopuścili, piło na umór całymi dniami, a nawet tygodniami, dając przez to fatalny przykład nie tylko swoim synom, ale także synom sąsiadów; mało tego, ci najbardziej krewcy chełpili się tym, że swoich wrogów patroszyli czy obdzierali ze skóry, a potem ich dzieci z dumą opowiadały te historie na przerwach w szkole czy na boisku, zatruwając umysły takim chłopakom jak Jorge.

Do najgorszych degeneratów należał sąsiad z naprzeciwka. Nosił imiona Manuel Antonio i Díaz szczerze go nie znosił, bo nie dość, że facet był pijakiem, to jeszcze regularnie wyżywał się na ciężarnej żonie, drobnej, zahukanej, z oczami, w których krył się wieczny smutek. Trzy miesiące temu prawie się pobili. Poszło o naszyjnik z ludzkich uszu, który Manuel Antonio urżnięty w trupa zgubił, a który na ulicy przed domem sąsiada znalazł najmłodszy syn Díaza. Później przez wiele nocy nawiedzały chłopaka koszmary: wydawało mu się, że te uszy go ścigają.

– Spróbuj podskoczyć, to potnę cię tak jak tamtych – zagroził Manuel, wymachując maczetą, gdy José Antonio poszedł do niego z pretensjami. Ostatecznie Díaz odpuścił, bo choć szanse, aby ten zapijaczony zwyrodnialec wprowadził słowa w czyn – głównie przez wzgląd na hołdującego lokalnemu patriotyzmowi i zarazem głównodowodzącego partyzantką Pedro Marína – były raczej mizerne, to nie dało się tego absolutnie wykluczyć, zwłaszcza że w okolicy mieszkało dwóch równie zdemoralizowanych braci Manuela, którzy stali za nim murem, a to była siła, której nie należało lekceważyć – nawet jeśli życie u boku tego człowieka było udręką. Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że właśnie z powodu pijaństwa pan Marín odstawił go na boczny tor i zaprzestał powoływać na kolejne zbrodnicze wypadki. Sąsiad stał się przez to jeszcze bardziej nieznośny, pił dzień w dzień, od rana do wieczora, a nocami katował żonę, której krzyki często niosły się po wsi niczym zawodzenie ofiary dręczonej przez najgorsze piekielne istoty.

Dziś Jorge znów usłyszał jakieś krzyki.

Pomyślał, że tylko tego mu brakowało – przekonany, że teraz już na pewno nie zaśnie, podniósł się z łóżka i wyszedł na podwórze. Noc była ciemna, a z pobliskiego lasu dobiegały zwyczajne dla niej odgłosy: pohukiwanie sowy, skrzek papugi, szelest skrzydeł

nietoperzy. W gąszczu trwała odwieczna nieustanna walka o przetrwanie. Jorge wzdrygnął się nieznacznie, gdy gdzieś w oddali zawył wyjec, prawdopodobnie spłoszony przez jakiegoś drapieżnika. Chłopak od razu pomyślał o jaguarze i dotknął palcami zawieszonego na szyi pazura, który sprezentował mu ojciec na dziesiąte urodziny. Od tamtej chwili nie ściągnął go, wyjąwszy moment, gdy amulet zerwał mu starszy kolega z klasy, ale to była zniewaga nie tylko dla Jorge, lecz dla całej rodziny Díazów, więc do akcji wkroczył najstarszy brat i rozwiązał problem po swojemu.

Jorge poczuł parcie na pęcherz, więc przy akompaniamencie skrzeków i pohukiwań dzikich zwierząt oraz wrzasków sąsiadki skorzystał ze stojącego na zewnątrz wychodka. Gdy wyszedł, zauważył za płotem dwie pospiesznie kroczące kobiety i trochę się zdziwił, bo o tej porze, gdy Génova spała, był to widok raczej rzadki. Jego ciekawość wzmogła się, gdy dostrzegł, że niosą coś w dłoniach, jedna na pewno wiadro z wodą, druga jakieś tkaniny albo koce. Nie był tego pewny, bo księżyc znajdujący się bliżej nowiu niż pełni dawał mało światła, mimo to chłopak przystanął i odprowadził je wzrokiem. Z jeszcze większym zaskoczeniem przyjął fakt, że drzwi domu nielubianego sąsiada otwarły się na oścież i kobiety wślizgnęły się do środka. W jego ocenie wszystko wyglądało bardzo tajemniczo, podszedł więc bliżej płotu w nadziei, że zdoła rozwikłać niecodzienną zagwozdkę. Przyzwyczajony do regularnych awantur, nie skojarzył jednak oczywistych faktów. Co innego jego rodzice, których przeraźliwe wrzaski sąsiadki również w końcu wyrwały ze snu, wtedy w izbie rozbłysło światło, a Jorge na palcach wszedł do środka.

Po chwili w drzwiach stanęła jego matka ze świecą w dłoni, za nią zatrzymał się ojciec – oboje w lnianych pidżamach, ona

w sandałach, on boso, wciąż jakby zaspani, ale jednak już przytomni.

– Pójdę do nich. Tak trzeba – oznajmiła półszeptem Izabela, a w jej głosie wybrzmiewała rzadko słyszalna determinacja.

– Trzeba jutro pójść do pracy. Zresztą już mają wsparcie – szepnął poirytowany jej tonem mąż.

– Przestań – syknęła mu w odpowiedzi. – Wiesz, że trzeba pomóc, gdy na świat idzie nowe życie. To łaska od samego Pana i...

– Ech...

Díaz machnął ręką i odwrócił się na pięcie. W niemrawym świetle płomienia świecy ujrzał sylwetkę syna, na którego twarzy malował się niepokój.

– Idź spać, *mi hijo* – rozkazał.

– Ale co się dzieje?

– Nic takiego. Rosa rodzi. A teraz idź spać. Ale już!

Jorge nie drażył tematu. Posłusznie położył się obok Paco i zamknął powieki. Długo nie mógł zasnąć, bo wrzaski cierpiącej sąsiadki skutecznie mu to uniemożliwiały, a gdy w końcu zza wschodnich szczytów wychynęło słońce i dolina skąpała się w jego ciepłych promieniach, po długich godzinach udręki Rosa Delia Cubillos powiła w końcu pierwszego syna. Pierworodny otrzymał imię Luis Alfredo – i miał o nim usłyszeć cały świat.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

O okresie przed narodzinami Luisa Garavito tak naprawdę nie wiadomo nic. Nie ma na ten temat żadnych wzmianek, a tym bardziej dokumentów, zdjęć – po prostu biała plama. Jego rodzice Manuel Antonio i Rosa Delia zmarli, zanim ich syn zyskał złą sławę i zainteresowały się nim media, a bracia i siostry zupełnie

się od niego odcięli i nigdy nie udzielali się publicznie, stąd trzeba mieć na uwadze, że to, co do tej pory napisałem, jest czystą fikcją literacką. Ale...

Jak już wcześniej wspominałem, w Génovie udało mi się nawiązać kontakt z miejscowym historykiem i człowiekiem urodzonym w latach trzydziestych ubiegłego wieku – Don Fernando. Ten żwawy osiemdziesięciokilkulatek stał się w książce pierwowzorem Jorge Díaza, który jest postacią absolutnie fikcyjną, stworzoną przeze mnie na potrzeby opowieści, głównie po to, aby postarać się zarysować tło w postaci Kolumbii lat pięćdziesiątych. Don Fernando opowiedział mi trochę o czasach, w których przyszło mu żyć. Nie był zbyt wylewny, a na każde pytanie o ponurą historię La Violencii odpowiadał krótko, wymijająco i często dwuznacznie. Pamiętam, że chwilami potrafił się zawiesić, jakby wracał do tamtych mrocznych dni; wtedy jego oczy stawały się bardziej mętne, choć równocześnie pojawiał się w nich specyficzny błysk, jak u człowieka, który wraca do przeszłości z pewną tęsknotą, ale i lękiem. Miałem też wrażenie, że się czegoś wstydzi – czego jednak, nie wiem. Mogę tylko domniemywać...

Pewne jest jedno – Don Fernando dorastał na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, czyli w najkrwawszym okresie La Violencii, ta zaś tak naprawdę uderzyła w Génovę z opóźnieniem, głównie z powodu „Tirofijo”, który właśnie tu zaczął wojować z bandyckimi grupami wspierającymi konserwatystów, a po utworzeniu w 1966 roku Rewolucyjnych Kolumbijskich Sił Zbrojnych (FARC) wdał się w wieloletnią wojnę z rządem. Do tego jednak wrócimy później...

Nie ma żadnych dowodów na to, że ojciec Luisa Garavito był członkiem partyzantki Pedro Marína. Skromne informacje dotyczące jego życia przed narodzinami pierworodnego świadczą o tym, że zajmował się rolnictwem – czytaj: zarabiał przy zbiorach kawy, trzciny cukrowej czy bananów. W tamtych czasach chłopci na prowincji nie mieli prawa do ziemi, więc niemal co do jednego harowali u bogatych obszarników za grosze, często dorabiając na sprzedaży resztek, które zostawały im z przydziału. Wiadomo natomiast – i to jest już potwierdzone w wielu źródłach – że

Manuel Antonio był człowiekiem niezwykle surowym i bezwzględny, brutalnym przemocowcem, który nadużywał alkoholu i narkotyków. Czy jego charakter miał coś wspólnego z działalnością partyzancką? Tak jak wspomniałem – dowodów na to nie ma, ale w tamtych czasach wielu campesinos brało udział w walkach, często nie dlatego, że chcieli, ale dlatego, że nie mieli innego wyjścia. A że ojciec Luisa Garavito był wtedy w podobnym wieku co Pedro Marín, można założyć, że zamieszkując tak niewielką miejscowość, musieli się znać, stąd zaś już niedaleko do hipotezy, iż Manuel Antonio Garavito mógł brać udział w walkach i rzeziach. To natomiast – choć powtarzam, że to tylko hipoteza – mogło skutkować skrzywieniem jego psychiki, wzmóc agresję wobec żony i dzieci, wpędzić go w alkoholizm, generalnie zaś rozbudzić demony, nad którymi po zaprzestaniu walki nie był w stanie zapanować.

Tymczasem akcja z mrówkami ma mocną podbudowę, choć zrodziła się w mojej głowie, gdy przypomniałem sobie historię sprzed prawie dwudziestu lat. Opowiedziała mi ją moja partnerka z lat studenckich, z których sporą część spędziłem w hiszpańskiej Murcji. Birginia Medina pochodziła z małej wioski w głębi boliwijskiej dżungli i gdy miała kilkanaście lat, matka wysłała ją ze starszą siostrą do oddalonego o dzień drogi miasteczka po leki dla babci. Droga wiała się po górskich zboczach porośniętych tropikalnym lasem deszczowym, więc dziewczyny co jakiś czas były zmuszone odpocząć. Podczas jednej z takich przerw Vicky (tak brzmiała skrócona wersja jej imienia) przysiadła pod drzewem. Szczerze mówiąc, już nie pamiętam, czy pokąsały ją akurat hormigas balas, ale do dziś nie zapomnę, jak opowiadała mi o potwornym bólu i wysokiej gorączce, które wywołał mrówczy jad. Starsza siostra podobno niosła ją dobrych kilka godzin, zanim dotarły na miejsce i zanim zaopiekował się nią lekarz. Na szczęście skończyło się na strachu. No i bólu, którego – jak twierdziła – nie zapomni do końca życia.

Luis Alfredo Garavito Cubillos przyszedł na świat 25 stycznia 1957 roku i był pierwszym z siedmiorga dzieci Rosy Delii Cubillos

i Manuela Antonio Garavito. W G novie sp dzi  pierwszych siedem lat  ycia, z kt rych ka dy rok by  dla niego walk  o przetrwanie...

CZEŚĆ DRUGA

**HORROR DZIECIŃSTWA
I MŁODOŚCI**

Rozdział 1

Génova, Kolumbia, czerwiec 1963 roku

Noc była jasna. Okrągła tarcza księżyca górowała nad szczytami okalającymi skrytą w dolinie Génovę, rzucając srebrzystą poświatę na cztery nagie ciała. Górskie zbocza muskał wiatr z północy, a w koronach drzew popiskiwały małpy.

Jorge zapiał trzy ocalale guziki połatanego munduru i poprawił kołnierz, bo zaczął doskwierać mu chłód. Spojrzał na kompanów z drużyny. Wiedział, co się zaraz wydarzy. Od spotkania z panem Marínem, obecnie bardziej znanym jako Manuel Marulanda, minęło już siedem lat, a słowa dowódcy okazały się prorocze. Dziś Jorge był żołnierzem i choć niespecjalnie wierzył w jakąkolwiek zmianę, zwłaszcza zaś w komunistyczną ideologię, słuchał jego rozkazów, bo chciał się zemścić – zemsta była jedynym celem, jedynym powodem, który sprawiał, że oddycha. Często wracał myślami do tamtej ponurej nocy, tak strasznej, że lepiej byłoby o niej nie pamiętać, wtedy może żyłby inaczej, podjąłby pracę, poszukał kobiety, założył rodzinę, wychował dzieci. Niestety, takich rzeczy nie dało się zapomnieć, to było niemożliwe, tak jak niemożliwe jest przeniesienie się w czasie albo złapanie kolibra w locie. Przyszli do ich domu, zaskoczyli ich w środku nocy. Zanim ojciec i starsi bracia zdążyli pojąć, co się dzieje, drzwi chałupy z trzaskiem wypadły z lichych zawiasów i w izbie stanęli umundurowani żołnierze.

– Wszyscy na dwór! Natychmiast! – krzyczeli, gdy on z bólem brzucha siedział w wychodku za domem. Zamarł, był przerażony. Od jakiegoś czasu krążyły plotki, że działalność pana Marína została dostrzeżona w stolicy, co bardzo nie spodobało się decydentom. Uznali, że stanowi dla nich zagrożenie, wszelkim zagrożeniom zaś z założenia należało zapobiegać w zarodku, najlepiej bezwzględnie je eliminować.

Słyszał krzyki sióstr, lament matki, błagania ojca. Przez szpary i otwory pomiędzy deskami widział płonące chałupy sąsiadów. Chciał dołączyć do rodziny, ale nagle zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie się poruszyć. Miał dopiero czternaście lat, wciąż był dzieckiem, bał się. Po tym, co słyszał od ludzi we wsi, wyobrażenia podsuwała mu absolutnie przerażające scenariusze. Zastygł, ciało odmówiło posłuszeństwa. Patrzył i słuchał, jak żołnierze sieją terror, w brutalny sposób przesłuchują sąsiadów, ojca i braci. I choć żaden z nich nie miał nic wspólnego z panem Marínem, a tego ostatniego od miesięcy nie widziano w Génovie, takie tłumaczenia nie trafiały na podatny grunt. Żołnierze kolumbijskiej armii dostali zadanie wyśledzenia wroga i nie mieli zamiaru wracać z jego rodzinnej wsi bez konkretów, konkrety zaś, wiadomo, znaczyły informacje albo śmierć.

Najpierw braci dotkliwie pobili, potem wykluli im oczy, obcięli nosy, ręce i nogi, tak żeby widzieli to ojciec i matka; ojca potem wypatroszyli jak kapibarę, a matkę i siostry zgwałcili, po wszystkim zaś poderżnęli im gardła i zostawili je w świetle płomieni, dogorywające, aby się wykrwawiły. Díazowie nie byli jedynymi ofiarami, bo trupy sąsiadów długo jeszcze gniły w izbach, na gankach, pod płotami, na ulicach i w krzakach. Psy, sępy i wszelkiej maści robactwo miały ucztę przez wiele dni.

Spojrzał na czterech złapanych wieczorem kolaborantów. Udawali zbieraczy kawy, ale jeden z dzieciaków podsłuchiwał ich potajemną rozmowę i wszystko przekazał ojcu, następnie informacja dotarła do kryjących się w dżungli partyzantów. Dopadli ich dwa dni później. Przytaszczyli na zbocze, gdzie znajdowała się jedna z ich licznych kryjówek.

Jorge splunął i zaczął ostrzyć nóż. Nie zwracał uwagi na wlewających w siebie litry bimbru kompanów. Nie chciał brać w tym udziału, bo choć zdążył już poderżnąć parę gardeł, nie sprawiało mu przyjemności katowanie ludzi, no chyba że rozpoznałby tych, którzy trzy lata wcześniej przyszli do jego domu – wtedy miałby z tego uciechę i choć w części zaspokoiłby pragnienie zemsty.

Gdy zgłodniawszy, wyciągnął z plecaka arepę, w pobliskich chaszczach coś zaszeleściło. Upuścił ją i sięgnął po leżący przy nodze karabin, ale szybko poluzował uścisk.

– Zbliża się *señor* Marulanda – rzucił niewysoki i szczupły partyzant imieniem Alberto, po czym pobiegł poinformować o tym resztę biesiadujących mężczyzn.

Jorge wstał, podobnie jak kompani, którzy usłyszawszy, kto nadchodzi, gwałtownie poderwali się na nogi. Poprawili mundury, wyprostowali się. Gdy sylwetka idącego w eskorcie sześciu ludzi dowódcy wyłoniła się z gąszczu, wszyscy stali już na baczność. Najstarszy stopniem James Sepulveda zasalutował i w kilku słowach przedstawił sytuację.

– Dobra robota – odparł Marulanda. – Czy już ich przesłuchiwaliscie?

– Według rozkazów: nie. Czekaliśmy na pana, szefie.

– Dobrze. Spocznij. Najpierw zjemy.

Marulanda przeniósł wzrok na wbity nad paleniskiem rożen, na którym piekło się kilka przytarganych ze wsi kurczaków, i chyba

zrobił to z pełną premedytacją, bo to też była dla kolaborantów tortura, wachać te pieczone kurczaki, gdy nie jedli od dwóch dni.

Kiedy już wszyscy nasycili żołądki, zabrali się do oprawiania więźniów. Najpierw ich trochę poprzypalali pochodniami, ale nie zrobiło to na nich większego wrażenia. Jorge przyglądał się temu ponuremu obrazkowi spod na wpół przymkniętych powiek, siedząc wsparty o konar palmy – widział takie sceny już nie raz, a to i tak był dopiero początek. Musiał uczciwie przyznać, że pochwyteni mężczyźni byli twardzi, ale gdy zaczęto im zdzierać skórę z pleców i klatki piersiowej całymi płatami, wyśpiewali wszystko, co wiedzieli. Nie było tego wiele, tymczasem pan Marulanda należał do ludzi małej wiary, stąd aby pozbyć się resztek zastrzeżeń co do prawdopodobności pochwyconych kolaborantów, nakazał ich po kolei wykastrować w nadziei, że każdy następny, widząc cierpienia kolegi, powie coś, co rozwieje wątpliwości dowódcy. Niestety, żaden z nich nie miał daru przekonywania, więc wszyscy co do jednego przyrodzenia potracili, a pan Marulanda musiał zadowolić się dość powszechnie znanymi dowództwu planami rozmieszczenia żołnierzy armii. Wpadł przez to w kiepski humor, trochę pomarudził, potem rozkazał usunięcie ciał i zarządził odpoczynek. Na szczęście Jorge ominęła wątpliwa przyjemność usuwania zwłok, wobec czego od razu położył się spać. O świcie dostał kopniaka od trzymającego wartę Jorge Durána.

– Szef nakazał zorganizować brakujące leki. Wybrał ciebie. Tu masz listę – powiedział i wręczył mu kawałek zapisanego papieru.

Génova leżała niecałą godzinę drogi od ich kryjówki, więc nawet ucieszył się, że będzie mógł pobyć sam ze sobą. Nie musiał się specjalnie kryć, bo najbliższe oddziały żołnierzy stacjonowały co najmniej piętnaście kilometrów na północny zachód od wsi, a teren znał jak własną kieszeń. Planowo miał wrócić do południa, więc nie

trzeba było się spieszyć, dlatego wybrał najprostszą trasę wykorzystywaną przez handlarzy do transportu zbiorów kawy czy bananów.

Poranek był rześki, ale temperatura rosła z każdym przebytym metrem i obniżającym się terenem. Na niebie znów krążyło więcej sępów, a wkoło roztaczał się zapach dzikich kwiatów. Aby dostać się do wsi, musiał minąć kilka stojących na zboczu opuszczonych i rozpadających się chałup. Po rzezi sprzed dwóch lat wiele rodzin, których nie dosięgła kula albo maczeta, wyprowadziło się z Génovy w obawie, że podobne napaści mogą się powtarzać. Na szczęście żołnierze nie wrócili, zostali wyparci przez bojowników pana Marulandy, który dodatkowo nękał przez kolejne miesiące pomniejsze patrole, wycinając je w pień. Te sukcesy sprawiły, że partyzantka pojawiła się w innych częściach kraju, głównie na południowym wschodzie sąsiadującego z Quindío departamentu Tolima, gdzie pan Marulanda do spółki z Jacobo Priásem Álapec stworzyli niezależną Republikę Marquetalii²⁰ – do tej pory był to największy sukces partyzantów, automatycznie przekierowujący uwagę armii w te rejony. Teraz to tam trwały najkrwawsze walki.

Jorge zatrzymał się i zapalił papierosa. Zaciągnął się i przez chwilę patrzył w niebo, zastanawiając się, co by powiedział jego ojciec, gdyby wiedział, co robi teraz jego syn. Czy byłby z niego dumny? Czy cieszyłby się, wiedząc, że walczy? Że się mści? Jeszcze dwa, trzy lata temu nie miał najmniejszych wątpliwości, że tak. Dziś, gdy młodzieńczy żar powoli się wypalał i ustępował miejsca chłodnej analizie, nie był już tego taki pewien, choć czasem sam siebie próbował przekonywać, że jest inaczej.

Tylko czy należało przeciwstawiać się przeznaczeniu? Co innego mógłby robić? Do końca życia łązić po górskich zboczach i skubać te cholerne ziarenka kawy? Szlag go trafiał na myśl, jak skończył jego

ojciec, człowiek bez wątpienia uczciwy i szlachetny, który pomimo swojej łagodnej natury musiał patrzeć, jak gwałcą jego kobiety i szlachtują jego synów. Przecież chciał tylko uczciwie przejść przez życie, wychować potomków na dobrych ludzi, umrzeć w ich obecności i oddać ciało ziemi, która go zrodziła, nic więcej.

A tacy jak ten pierdolony Garavito żyli sobie dalej tylko dlatego, że akurat mieli szczęście i zdołali się ukryć albo wyjechać ze wsi...

Splunął na myśl o tym przekłętym sąsiedzie. Dlaczego Bóg był takim niesprawiedliwym skurwysynem?

Poprawił przewieszony przez ramię karabin i przyspieszył kroku. Mijał kolejne opuszczone rudery, a poniżej majaczyły już wieże kościoła – wtedy usłyszał dziecięcy szloch. Zatrzymał się i nastawił uszu. Wzdrygnął się, gdy znów usłyszał płacz, a potem cichy pisk. Jak wielu bojowników nie należał do ludzi, którym krajało się serce na dźwięk kwilenia dziecka, ale tym razem poczuł wzbierający gniew, bo znał ten piskliwy głosik bardzo dobrze.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, ruszył w kierunku, z którego dobiegały dźwięki. Gdy dotarł do gęstych krzaków, znów musiał na chwilę przystanąć i w tym momencie dobiegł go ten paskudny, przepity, charkliwy głos mężczyzny, którego tak nienawidził. Odruchowo ściągnął z ramienia kałasznikowa i wszedł w gęszcz. Odgarniał liście, a jego serce biło coraz szybciej, w końcu jego oczom ukazał się niewysoki i wychudzony facet w poszarpanych spodniach. Stał wygięty w łuk, pociągając z butelki. Chwilę później lekko się zatoczył, ale utrzymał równowagę. Wyglądał na wyczerpanego. Ciężko dyszał.

– Darmozjad pierdolony. Imbecyl. Przygłup. Że też spłodziłem takie ścierwo – mruczał, łażąc pokracznie i pociągając z gwinta.

Wzrok Jorge powędrował na skryty za konarem pień palmy. Zastygł w miejscu, gdy dostrzegł przywiązanego do drzewa

chłopaka. Znał go doskonale. Najstarszy syn Manuela Antonio Garavito był najbardziej zahukany dzieciakiem we wsi. Wiecznie brudny, zasmarkany i posiniaczony wałęsał się czasem z kurami po swoim malutkim podwórku z tyłu chałupy, co rusz pociągając nosem i grzebiąc patykami w ziemi. Nigdy się nie śmiał i prawie w ogóle się nie odzywał, za to często nocami krzyczał wniebogłosy. Teraz wyglądał, jakby znów dostał od ojca srogie lanie, trząsł się z zimna i zgrzytał zębami. Na wklęsłej i poznaczonej siniakami klatce piersiowej można było policzyć wszystkie żebra, upačkana twarz była poprzecinana jasnymi smugami wydrażonymi przez spływające po policzkach łzy, a szare, dziurawe majtki ledwo trzymały się na wychudzonych kolcach biodrowych.

– Czego tu? – warknął nagle mężczyzna w poszarpanych spodniach, wbił w Jorge harde, pełne pogardy spojrzenie.

Díaz cofnął się o krok. To był odruch bezwarunkowy. Jakkolwiek nienawidził tego faceta, najzwyczajniej w świecie się go bał, bo od czasu, gdy znalazł naszyjnik z ludzkich uszu, sąsiad jawił mu się jako bestia z najgorszych koszmarów.

– Słyszałem... – zaczął, ale chwilę później jego głos stwardniał. To on miał broń i nie był już małym chłopcem. – Słyszałem płacz dziecka. Co pan tu robi, *señor* Garavito? I dlaczego przywiązał pan syna do drzewa?

– A chuj cię to obchodzi, smarku. Spieprzaj stąd.

Młody partyzant nerwowo przełknął ślinę. Najchętniej wpakowałby w tego sadystę cały magazynek, stary Garavito był jednak weteranem i należał mu się szacunek. Tak przynajmniej twierdził pan Marulanda, który co prawda wyrzucił go ze swoich szeregów za pijaństwo i niesubordynację wiele lat temu, ale nigdy nie kontestował jego zasług. Manuel Garavito był nietykalny.

– Proszę mnie tak nie nazywać! – odburknął, próbując ratować nadszarpnięty honor.

– Będę cię nazywał tak, jak będę chciał. A teraz wypierdalaj!

To było bolesne, ale Jorge musiał pogodzić się z porażką. Co prawda miał już osiemnaście lat, był od Garavito potężniejszy, silniejszy i pewnie nie potrzebowałby nawet broni, aby powalić go na ziemię, ale najzwyczajniej w świecie nie mógł tego zrobić. Pan Marulanda wypowiedział się w tej kwestii jasno. Swoich nie można było ruszać pod żadnym pozorem, tym bardziej zasłużonych na wojnie weteranów.

Pomyślał, że przynajmniej da mu do zrozumienia, co o nim myśli. Odcharknął i splunął w kierunku mężczyzny i gdy już miał obrócić się na pięcie, w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Dlaczego pan przywiązał syna do drzewa? Czym sobie na to zasłużył? On ma dopiero sześć lat! – zaczął.

– Pojebało cię, Díaz? Mówiłem, że to nie twoja sprawa! Wypierdalaj!

Garavito był bardzo pewny siebie. Nie patyczkował się i aby wzmocnić przekaz, podniósł z ziemi bambusowy kij. Nie ruszył jednak w stronę Jorge, tylko się odwrócił i znów zaczął okładać syna. Raz, drugi, trzeci. Chłopak darł się wniebogłosy, jakby go ktoś obdzierał ze skóry.

– Gówniarz! Imbecyl! Darmozjad pierdolony! – krzyczał ojciec, pastwiąc się nad ofiarą. – Zachciało ci się bronić matki? Podnosić rękę na ojca? Bękart jebany! Już ja ci pokażę, co to dyscyplina!

Ojciec lał małego niemiłosiernie. Pod kijem skóra pękła w kilku miejscach, połała się krew. Jorge patrzył na tę scenę, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Miał wrażenie, jakby stał po pas w bagnie, niezdolny do najmniejszego ruchu. Nie miał pojęcia, jak długo to trwało, w końcu Garavito najwyraźniej opadł z sił, bo wyrzucił kij

i oparł dłonie na kolanach, a z jego ust chlusnęła fontanna wymiocin.

– Zaraz... tobie mogę s-s-spuścić takie samo lanie – wydukał i znów zwymiotował. – To sprawa r-r-rodzinna. Wyp-p-pieprzaj stąd, Díaz. Ale już!

Jorge przełknął ślinę i zrobił krok w tył. Żał mu było chłopaka, ale Garavito miał rację, to nie była jego sprawa. Zanim okręcił się na pięcie, zdążył jeszcze dostrzec, że na szarych majtkach chłopaka przebija czerwona plama, a po udach spływał cienka strużka krwi, wtedy pomyślał, że kiedyś zabije tego zwyrodnialca i uczyni to z uśmiechem na ustach.

Chwilę później wyszedł z gęstwiny i ruszył wąską ścieżką w dół zbocza, bo nic innego nie mógł zrobić, taki ten świat był skurwiały i niesprawiedliwy.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Po nocy spędzonej w towarzystwie żywiołowo bawiących się mieszkańców Génovy ruszyliśmy na obchód po wsi. Głowy trochę nas bolały, ale nie mogliśmy odmówić, wszak byliśmy gośćmi, do tego dość egzotycznymi, i génovianie chcieli pokazać się z jak najlepszej strony. Objuczeni plecakami z wodą, powędrowaliśmy więc na okoliczne wzgórza, często krętymi, stromymi ścieżkami. To właśnie przy jednej z nich natknęliśmy się na niezamieszkane rudery, które według lokalnych mieszkańców służyły ojcu Luisa Garavito jako miejsce, gdzie zaciągał syna, aby go... dyscyplinować. Nie ma pewności, czy go gwałcił, bo sam Garavito nigdy tego nie potwierdził. Wnioski psychiatrów, którzy badali go już po aresztowaniu, były wszakże jednoznaczne – ojciec robił to regularnie, ale tak silna trauma doprowadziła do wyparcia. Nie ma natomiast wątpliwości, że Manuel często zabierał syna na skraj wsi, aby nie katować go na oczach sąsiadów. W aktach

z prokuratorskich przesłuchań możemy wyczytać, jak Garavito wspominał ojca:

– Od kiedy pamiętam, ojciec nie spał z moją matką, on spał ze mną, kapał mnie. Mam mgliste wspomnienie, liczyłem sobie wtedy może trzy lata, to było w nocy, on jakby mnie pieścił, dotykał moich części intymnych. Później było tylko gorzej. Nigdy nie kochałem tego człowieka, widziałem w nim kata.

Jedną z sytuacji opisywanych szczegółowo przez samego Garavito była ta, gdy miał sześć, siedem lat. To wtedy podobno po raz pierwszy otwarcie postawił się ojcu, próbując bronić przed jego gniewem ciężarną matkę. Manuel Antonio Garavito w ramach kary zabrał syna do lasu, gdzie przywiązał go do drzewa, a następnie dotkliwie pobił kijem. Don Fernando nie chciał o tym rozmawiać, ale jeden ze świadków tych wydarzeń, wiekowy inwalida na wózku, wskazał nam domostwa, w których najprawdopodobniej dochodziło do aktów bicia i molestowania. Sam w tamtym okresie miał kilkanaście lat i mieszkał w pobliżu. Choć przyznał, że nigdy nie widział, co działo się w ruderach, to słyszał tego odgłosy i pamiętał strach, jaki go oblatywał, gdy przypadkiem znalazł się w pobliżu. To niedaleko tych rozpadających się chałup, na jednym ze zboczy, Luis Garavito już jako dorosły mężczyzna popełnił trzy z wielu swoich potwornych zbrodni.

Rozdział 2

Génova, Kolumbia, maj 1964 roku

Lało jak z cebra. Jorge siedział pod ręcznie wysuwającym, przegniłym i dziurawym daszkiem lokalu należącego niegdyś do Don Pabla Uribe, starego i kulawego właściciela speluny przy samym Parque Simón Bolívar. Dziś tę zatęchłą budę prowadził jego dwudziestotrzyletni syn Daniel Uribe, bo dwa lata wcześniej podczas najazdu żołnierzy armii na Génovę ojcu odcięli kulawą nogę, a potem – ręce i głowę.

W lokalu było bardzo tłoczno, panował nieprawdopodobny gwar. Przemoczeni, cuchnący po ciężkim dniu pracy mężczyźni dyskutowali o polityce, kobietach i piłce nożnej. Przybył dosłownie o kilka minut za późno. Większość z nich zdążyła już wrócić z porośniętych krzewami kawy górskich zboczy, więc musiał zadowolić się miejscem w samym rogu, tuż pod najbardziej przeciekającym fragmentem dachu. Obserwował lokalnych *campesinos* z mieszaniną zazdrości i pogardy. Nie miał ochoty z nimi rozmawiać, bo po tym, co widział podczas ostatniej bitwy o Marquetalię, nie miał ochoty nawet oddychać. Siły pod dowództwem Manuela Marulandy doznały sromotnej klęski, a żołnierze armii wyrznęli niedobitków w pień, on zaś jako jeden z nielicznych miał szczęście i zdołał uciec z pola walki, choć

ucieczka to chyba złe słowo, bo żołnierze otrzymali wyraźny rozkaz odwrotu. Nie doznał też większego uszczerbku na zdrowiu, nie licząc rany postrzałowej lewego ramienia i paru zadrapań, które trzeba było trochę poszyć. W sumie nic wielkiego, bo dwie kule na szczęście przeszły na wylot, ale i tak chwilowo stał się bezużyteczny, w związku z czym pan Marulanda, w ramach nagrody za zasługi, dał mu tydzień wolnego, aby doszedł do siebie. Myśl o towarzyszach broni, których żołnierze armii dla przykładu przywiązali do skał i zostawili sępom na pożarcie, kompletnie tłumiała w nim chęć rozmowy z kimkolwiek.

Jorge opróżnił kufel z piwem i gestem ręki poprosił o następny. Zapalił i rozejrzał się po zatłoczonym tarasie. Wszędzie unosił się zapach tytoniu z papierosów, fajek i cygar, brzęczały szklanki z piwem, brandy i rumem. Czuł się słabo, drzewa i mury okolicznych budynków zdawały się drżeć, jakby zrobiono je z galarety, wszystko było jakieś takie rozmazane, ponure, podłe. Na ulicy trzy kundły walczyły o rzuconą przez jednego z klientów kość, kłapały zębami, warczały, jeden, jakiś głupi chyba, ganiał swój ogon, przy sąsiednim barze jakiś facet dał drugiemu w ryj i tamten padł w kałużę i już się nie podniósł. Jorge patrzył na to wszystko spod półprzymkniętych powiek, a gdy po pewnym czasie podparł ciężką głowę dłońmi, bo zachciało mu się wymiotować, usłyszał za plecami znajomy głos.

– Przysięgam, że zapłacę. Ale teraz nie mam. Wiesz, że ich potrzebuję – odezwał się stary Garavito, pieprzony dewiant, sadysta pierdolony, co to własne dzieci katuje. Jorge nawet nie zorientował się, kiedy sąsiad usiadł przy stoliku obok, bo gdyby wiedział, to pewnie by zaprotestował. A może siedział tam od początku, zastanowił się, ale odrzucił tę myśl, bo to świadczyłoby o jego formie jeszcze gorzej.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – mruknął jego towarzysz, upiwszy łyk piwa i wytarłszy dłonią słusznych rozmiarów wąsa. – Czasy są ciężkie, a ty i tak zalegasz mi kupę kasy. Nie da rady, *amigo*.

Ten głos Jorge też znał – należał do Gustavo Lópeza Otero, lokalnego aptekarza, u którego można było kupić wszystko, od szamańskich ziół pozyskiwanych od plemion amazońskich, przez kokainę, po trudno dostępne leki zatwierdzone przez kolumbijskie ministerstwo zdrowia. Czasem sam u niego bywał, ostatnio po tabletki przeciwbólowe, gdy hurtowo zaopatrywał w leki i szczepionki towarzyszy broni. Mógł o nim powiedzieć tylko tyle, że był chciwy i nie patrzyło mu z oczu dobrze. Dziś w zasadzie ten człowiek był mu obojętny, ale Jorge pamiętał czasy, jak nie znośił chodzić do apteki, gdy przed laty matka niekiedy wysyłała go po zioła albo inne medykamenty. Otero co prawda wydawał się miły, a nawet częstował go cukierkami, lecz w jego szklistym spojrzeniu kryło się coś, co przyprawiało małego o gęsią skórę.

– Mam silne bóle. Bebechy wywracają mi się na drugą stronę. Nie mogę spać i mam jakieś zwidy – naciskał aptekarza Garavito. – Ostatni raz daj mi na krechę. Przysięgam na Boga i Świętą Panienkę, że oddam, co do peso.

– Przykro mi, ale ci nie wierzę. Najpierw załatw kasę. Nie pomogę ci.

– Ile się znamy, Gustavo?

– To nie ma znaczenia.

– Dwadzieścia? Trzydzieści lat? Pomóż staremu przyjacielowi. Kto cię bronił w szkole, gdy wyzywali cię od grubych świń?

– Coś ci się chyba pomieszało. Nigdy mnie przed nikim nie broniłeś. – Aptekarz rubasznie się roześmiał, znów upił łyk piwa, wytarł wierzchem dłoni mięsiste usta i podwinął wąsa. – Sam

musiałem sobie radzić. Pamiętam to dobrze, więc mi tu nie wciskaj kitu. Palcem, kurwa, nie kiwnąłeś.

– Raz ci pomogłem...

– No tak, przepraszam. – Otero przypalił cygaro, przez chwilę pykał, aby czubek solidnie się rozżarzył, beknął i nachylił się nad blatem stolika. – Zza szkoły, gdzie dostałem wpierdol, zabrałeś mój worek z arepami. Oddałeś pusty. No naprawdę, Manuel. W chuj mi pomogłeś...

Garavito nie chciał odpuścić, ale aptekarz również. Podnosili głos, gestykulowali, napięcie rosło z każdym kolejnym wypowiedzianym słowem i w pewnym momencie Jorge pomyślał, że zaraz dojdzie do rękoczynów, ale wtedy to napięcie nagle opadło i zamilkli. Kątem oka zerkał na znienawidzonego sąsiada, który nerwowo drapał się po policzku i przygryzał dolną wargę. Widać było, że bije się z myślami, w końcu nachylił się nad stołem w kierunku Otero.

– Możemy to załatwić inaczej... – rzucił, zniżając ton i niepewnie zerkając na boki.

– Słucham. – Aptekarz uniósł brwi i wychylił kufel do dna.

– Wiem, że lubisz młodych chłopców. I nie...

– Co, kurwa? – zagrmiał Otero, ale w kakofonii przekrzykujących się gości nikt nie zwrócił na niego uwagi. Jego podgardle zadrgało, jak u starego knura.

– Nie zaprzeczaj. Wszyscy wiedzą. Zapłaci mój dzieciak. Oddam ci go na noc. Pasuje?

Garavito mówił, jakby strzelał z karabinu, i to dobrej konstrukcji, radzieckiego. O dziwo, Otero drugi raz nie ryknął, tylko wbił swoje świńskie oczka w rozmówcę, świdrując go wzrokiem. Po dłuższej chwili namysłu odchylił się w krześle, skrzywił się i podrapał po brodzie, ani na moment nie spuszczać wzroku z mężczyzny, następnie zamówił trzy piwa i do momentu przyjścia korpulentnej

kelnerki, w milczeniu pykał cygaro. Po kilkadziesiąt sekundach na stole wylądowały trzy pełne kufle, wtedy chwycił swój i wypił do dna, znów wytarł usta, podwinął wąsa i nachylił się w stronę rozmówcy.

- I nie będziesz się wpierdalał?
- Będzie twój.
- Za to, co mi wisisz, wezmę go na trzy noce. Potem zobaczymy.
- I dorzucisz to, czego potrzebuję teraz.

Oczy Otero zaślnęły złowrogim blaskiem. Chwycił kolejny kufel i wskazał na trzeci. Unieśli, szkło zabrzęczało, wypili.

– Umowa stoi, *amigo* – powiedział aptekarz, szczerząc krzywe zęby.

- To idziemy do sklepu?
- Dostaniesz, czego chcesz, gdy przyprowadzisz mi chłopaka.
- W takim razie za pół godziny w sklepie?
- Za pół godziny w sklepie.

Gdy podnieśli się z krzeseł i wyszli na ulicę, Jorge zwymiotował. Najgorsze, że nic nie mógł z tym zrobić, więc podniósł rękę i zamówił podwójną porcję rumu.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Luis Garavito rzeczywiście został wielokrotnie zgwałcony przez lokalnego aptekarza. To fakt. Dla zachowania pewnej ciągłości fabuły zmieniłem jednak miejsce, w którym do tego doszło, jako że po raz pierwszy stało się to w nieodległym Ceilán, do którego jego rodzina wyjechała, gdy Luis skończył siedem albo osiem lat, głównie ze strachu przed powtarzającymi się atakami na Génovę. Z racji tego, że Manuel Antonio Garavito przez prawie całe swoje życie klepał biedę w szponach nałogu alkoholowego i przy skłonności do innych używek, śledczy założyli, że to właśnie

problemy egzystencjalne i psychiczne mogły przyczynić się do podjęcia przezeń tak fatalnej w skutkach decyzji, by potraktować swego syna jak walutę. Podobno obaj mężczyźni – Manuel Antonio i aptekarz – znali się dobrze, a nawet przyjaźnili, na pewno zaś pozostawali w zażyłych stosunkach.

Gustavo López Otero istniał naprawdę, choć jego imię i nazwisko zostały na potrzeby książki zmienione, gdyż nikt nigdy nie udowodnił aptekarzowi gwałtów na młodym Luisie Garavito. W samym Ceilán nie mieliśmy takiego wsparcia jak w Génovie, więc spędziliśmy tam tylko kilka godzin. Próbowaliśmy namierzyć budynek, w którym przed laty mieściła się apteka, ale lokalni mieszkańcy potraktowali nas niezbyt przyjaźnie – w pewnym momencie poczuliśmy się nawet zagrożeni, dlatego dość szybko opuściliśmy miasteczko. Według naszych przewodników mogło chodzić o to, że w tym budynku było dziś jakieś mieszkanie albo lokal usługowy, a przypuszczenia, jakoby dochodziło tu do przerażających gwałtów na najstraszniejszym seryjnym mordercy świata, wzbudziłyby we wsi niepożądane emocje i niechciane konsekwencje, zwłaszcza jeśli obecny właściciel czy wynajmujący je lokator niekoniecznie zdawał sobie sprawę z ponurej historii tego miejsca.

Gwałty rzeczywiście były wyjątkowo okrutne. W protokołach z przesłuchań Garavito opowiadał o nich ze szczegółami:

– Za sprawą ojca gwałcił mnie regularnie, wcześniej przywiązując drutem do nogi łóżka. Często gryzł mojego penisa i w zasadzie całe ciało. Bił mnie, przypalał świeczką, ciął skórę żyletką. Często powtarzało się to noc w noc. Ojciec oddawał mnie w jego ręce, zabierając od młodszego brata Rafaela, z którym spałem. Czasem gwałcił mnie u siebie w domu, ale najczęściej w ciemnych miejscach i ruderach na skraju wsi.

Przypominam, że to działo się już w Ceilán, wsi mieszczącej się w sąsiadującym z Quindío departamencie Valle del Cauca. To tam Luis Garavito dorastał, będąc regularnie bitym i wykorzystywanym seksualnie. Pozwólcie, że teraz przeskoczymy kilka lat do przodu...

Rozdział 3

Ceilán, Kolumbia, kwiecień 1967 roku

A tmosfera w dusznej sali była nerwowa. Osiemnastu uczniów czekało w napięciu na wyniki sprawdzianu z matematyki, a siedzący w pierwszej ławce Luis odchodził od zmysłów. Wiedział, że poszło mu źle. Wszystkie te cyferki, kąty, jakieś dziwaczne obliczenia zdawały się nie do pojęcia. Bóg mu świadkiem, że próbował matematykę zrozumieć, ale choć po lekcjach spędzał godziny nad podręcznikiem, z trudem był w stanie przyswoić sobie tekst, bo słabo czytał. Owszem, potrafił składać literki, a następnie słowa, ale nie umiał zrozumieć treści, nie chwycił tego tak jak koledzy i koleżanki, którzy dodatkowo z niego szydzili.

– Ty, okularnik, co się tak gapisz? – zaczepiał go raz po raz znienawidzony Juan Montejo. Chłopak był o rok starszy i zdecydowanie najsilniejszy w klasie, co często wykorzystywał, znęcając się nad słabszymi, głównie nad Luisem, choć nie tylko. –

Przyznaj się, że byłeś miękkim chujem robiony. No co? Gadaj, pizdusiu.

Luis zwykle tłumił emocje, zamykał się w sobie, udawał, że to nie do niego kierowane są obelgi i kalumnie. Taką obrał metodę i ona pozwalała mu jakoś przetrwać, choć w samotności często płakał i wyobrażał sobie różne niestworzone rzeczy. Wiedział, rzecz jasna,

że to tylko czcze życzenia, bo nie ma z Juanem szans, zwłaszcza że zdecydowana większość kolegów w klasie trzymała stronę wroga. Oni wszyscy znali się od najmłodszych lat, Ceilán stanowiło ich dom od urodzenia. On był tu nowy, nie miał kolegów, koleżanek tym bardziej, bo ojciec nie tolerował obcych, ale w sumie jak miał tolerować obcych, skoro nie tolerował nawet swoich, najbliższych, żony i dzieci, które lał regularnie za byle co, często za nic. I tak wyglądało to jego życie, wiecznie na aucie, w samotności i pogardzie, bo przecież w każdej klasie musiał znaleźć się ten, nad którym można się było poznęcać – zawsze padło na niego. Na palcach jednej ręki dało się policzyć dni, gdy wracał do domu bez kolejnego siniaka czy zadrapania. Często musiał też starszym oddawać śniadanie, przez co chodził głodny. Nauczyciele nie zwracali na to uwagi, a czasem sami się do tego wszystkiego dokładali.

– Aleś ty tępy, Garavito. Głupi jak but z lewej nogi. Imbecyl! – mówili zgodnie, a Luis jeszcze bardziej zamykał się w swoim małym, tragicznym świecie.

Po szkole wracał do domu, gdzie czekał na niego pijany ojciec, wtedy zwykle poprawiał szkolne razy pasem, wyzywając chłopaka od najgorszych. Nie było ważne, czy Luis przyniósł złe oceny, czy coś zbroił, czy zachował się nie tak, jak spodziewał się ojciec. Manuel lał go dla zasady, tak mocno, że czasem na plecach i pośladkach pękała skóra. Matka nauczona doświadczeniem nie próbowała stawać w obronie syna, to było bezcelowe, a w ostatnich latach sama zaczęła pić, może dlatego, aby topić smutki.

– Niech Bóg ześle mi śmierć – zwykła jęczeć Rosa Delia, gdy po raz kolejny została skatowana albo musiała patrzeć, jak mąż wyżywa się na dzieciach. Od czasu ciąży z Ricardo była kulawa. Luis pamiętał ten wieczór doskonale. Ojciec przyszedł do domu w fatalnym nastroju, oczywiście w sztok pijany. Nie powiedział, o co chodzi, po

prostu rzucił się na matkę, powalił ją na podłogę, zaczął kopać, a potem skakał po niej jak po ubitej ziemi. W końcu coś chrupnęło, trzasnęło, matka zawyła z bólu. Pęknięta miednica, złamana piszczel, przetrącone kolano. W szpitalu doktor założył gips, ale kość musiała zrosnąć się krzywo i teraz pokracznie kuśtykała. Cud, że nie poroniła i zdołała urodzić Ricardo.

– Liczyłam na więcej – mruknęła María Gonzalez, wiekowa nauczycielka o rysach tak kanciastych, jakby ktoś wyciął jej twarz z kartonu. Nosila ogromne okulary i przypominała Luisowi wiedźmę. – Tylko dwie osoby zasłużyły na wysoką notę. Teresa, Ramona. Brawo – powiedziała, wręczając dziewczynkom sprawdziany.

Chwilę później przeszła się po klasie, rozdając swoim podopiecznym pokreślone na czerwono kartki. Luis czekał w napięciu na swoją kolej, ale nauczycielka za każdym razem go omijała. W końcu w jej dłoni pozostała ostatnia kartka, dopiero wówczas stanęła na wprost ławki, w której ze spuszczoną głową siedział Luis. Złęczniony chłopak nie miał odwagi podnieść wzroku, wtedy poczuł pod brodą zimny, drewniany wskaźnik.

– Spójrz na mnie, chłopcze – rozkazała pani Gonzalez, wbijając w niego swoje surowe, sępie spojrzenie.

Luis poczuł silniejsze parcie na pęcherz. W przerwie nie zdołał skorzystać z toalety, bo czekał do ostatniej chwili, aż wyjdą z niej inni chłopcy. Nie chciał, aby znów wsadzili mu głowę do muszli, która prawie zawsze była brudna i śmierdząca; miał nadzieję, że opuszczą ustęp jeszcze przed dzwonkiem na kolejną lekcję, a on wtedy szybko się załatwi. Niestety, wyszli dopiero w momencie, gdy zobaczyli kroczącą z dziennikiem nauczycielkę od matematyki. Luis miał wybór: albo zaryzykować i spróbować wstrzymać potrzebę

oddania moczu, albo skorzystać z toalety i spóźnić się na lekcję. Wybrał to pierwsze.

– Do której klasy chodzisz? – zapytała tonem, który wydał się Luisowi oskarżycielski. Wsunęła wskaźnik głębiej pod jego brodę, a następnie naparła nim w górę, zmuszając ucznia, aby poniósł wzrok.

– Do... do... – Luis poczuł, że do oczu napływają mu łzy. – To znaczy ja...

– No wyduś to z siebie. Chyba tyle potrafisz...

Za plecami rozległ się szyderczy chichot kolegów i koleżanek, ktoś powiedział „niedorozwój”, padły też słowa „debil”, „przygłup” i „tuman”. Pani Gonzalez uciszyła chojraków z tylnych ławek, ale to zdeprymowało Luisa jeszcze bardziej. Zorientował się, że nie ma co do tego pewności, tylko jak to możliwe, że nie wie, do której chodzi klasy? Do trzeciej, tak, do trzeciej, na sto procent, a jeśli nie? Obleciał go paniczny strach, poczuł, że nie jest w stanie wymówić choćby słowa, jakby w gardle stanęła mu wielka ość.

– Ja... do... ja... – jąkał się, nie mogąc zebrać myśli. Miał wrażenie, że tonie, grzęźnie w odmętach absurdu. Przecież na pewno chodzi do trzeciej klasy!

– Czy ty ze mnie drwisz, chłopcze? – Ton pani Gonzalez stał się jeszcze bardziej szorstki i teraz zdawał się trzeć jego spłoszone policzki niczym papier ścierny. – Chyba potrafisz się wysłowić, czyż nie? Rozumiem, że nie umiesz czytać i pisać, ale, do jasnej cholery, chyba masz język w gębie...

– Ja... do trzeciej... klasy chodzę – wyrzucił z siebie mały Luis, czerwieniąc się jeszcze bardziej, bo zabrzmiało to idiotycznie, tak jakby jednak wciąż się wahał.

– No brawo! Brawa dla naszego Luisa Alfredo! – Tym razem w tonie nauczycielki czuć było drwinę. – Luis Alfredo przyznał, że

chodzi do trzeciej klasy! W końcu to z siebie wydusił! A teraz wstań i wystaw dłonie! – syknęła.

Luis z wolna podniósł się z krzesła i wystawił drżące dłonie w stronę nauczycielki. Ta zamachnęła się wskaźnikiem, który chwilę później runął w dół. W sali dało się słyszeć świst, następnie głucho plaśnięcie i stłumiony jęk chłopaka.

– Jeszcze raz! – syknęła, gdy Luis odruchowo cofnął dłonie. Uderzyła go jeszcze dwukrotnie i na skórze natychmiast pojawiły się czerwone pręgi. Chwilę później rzuciła niemal całkiem czerwoną od skreśleń kartkę na ławkę. – Nie wiem, co ty robisz w trzeciej klasie, jeśli nie potrafisz liczyć w zakresie dziesięciu. Masz zanieść ten sprawdzian do domu i pokazać go ojcu. Przekażesz mu też, że chcę z nim porozmawiać osobiście. Zrozumiałeś?

Dłonie piekły go, jakby ktoś przypalał je żywym ogniem. Luis przytaknął, bo co innego mógł zrobić. I oto po raz kolejny wyszedł na kretyna.

– Zrozumiałeś? – ryknęła nauczycielka.

– Tak – wyjąkał chłopak.

– Siadaj.

Po lekcji Luis wybiegł ze szkoły w nadziei, że nikt nie dojrzy plamy na jego spodniach. Koledzy oczywiście ją zobaczyli i ich drwiny długo dźwięczały mu w uszach. Chciał ich wszystkich pobić do krwi, najlepiej zabić, zniszczyć, patrzeć, jak szlochają albo uciekają, pokonani i upodleni. Nic z tego nie miało szans się wydarzyć. Mógł tylko skryć się za krzakami na skraju wsi i popłakać, zaciskając bolące dłonie. Wtedy przychodziły mu do głowy naprawdę mroczne myśli. Wyobrażał sobie, jak jednym ciosem powala panią Gonzalez, zrywa z niej ubranie, a potem zatapia nóż w jej brzuchu, jak rozpruwa ją od krocza po szyję, patrząc w jej oczy, sycąc się jej przerażeniem. Niemal czuł ciepło buchającej krwi,

zalewającej jego dłonie i przedramiona, plamiącej mu twarz. Napawał się tymi wyobrażeniami, zapominając zupełnie, że w domu czeka na niego ojciec. Wtedy poczuł coś, czego się nie spodziewał. Wzwód pojawił się nagle, niespodziewanie. Rozejrzał się, czy ktoś nie idzie. Był sam.

Zaskoczony reakcją własnego organizmu, podniósł się i wyszedł z zarośli. Poczuł narastający wstyd, który bardzo szybko ustąpił poczuciu strachu i wyobcowania. Co powinien zrobić, jak się zachować? Wiedział przecież, co znaczy ten wzwód, bo odczuł to na własnej skórze, wciąż jednak nie wszystko do końca rozumiał – wszak skojarzenie było bolesne, odstręczające, ale jednocześnie, właśnie teraz, dziwnie przyjemne. Jedną ręką zakrył krocze, a drugą odgarnął liście. W pobliżu nie było nikogo. Jeszcze przez chwilę czuł błogie łaskotanie w podbrzuszu, a gdy minęło, podniósł się, wziął worek z zeszytami i wyczołgał się na ulicę. Niezdarnie zasłaniał dłonią plamę na wewnętrznej stronie nogawki. Nie wiedział, co robić, więc poszedł przed siebie. Nogi same go niosły. Skierował się na ubitą drogę pełną przechodniów. Mijał ich pospiesznym krokiem, ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w wyschniętą na wiór ziemię. Miał wrażenie, że wszyscy wiedzą, co mu się przydarzyło, o czym myślał, co sobie wyobrażał, jakby miał to wypisane na czole. Bał się, że za chwilę ktoś chwyci go za ramię i zapyta, dlaczego chce zabić panią Gonzalez. Ale przecież on nie chciał jej zabić, lecz tylko to sobie wyobraził. A może jednak chciał? Chyba tak. Znowu poczuł wzbierający wstyd. Spojrzenia przechodniów paliły go żywym ogniem, tak jak nadal dłonie i powoli pukająca do jego umysłu świadomość konsekwencji, które czekają go w domu. Wtedy uzmysłowił sobie ponurą prawdę. Ojciec będzie miał pretekst. Nie to, żeby specjalnie go potrzebował, ale na pewno wykorzysta okazję, aby złoć mu skórę. A może mu nie powie? Ale przecież to nic nie da.

Pani Gonzalez nie odpuści. Nie zapomni. Co będzie, jeśli pofatyguje się do jego domu osobiście? Przecież wtedy ojciec go zabije!

Pomyślał o nożu, który nosił w plecaku. Znalazł go kiedyś na ulicy. Składany scyzoryk leżał pomiędzy starymi gazetami, wokół wały się pióra, a ziemia była splamiona krwią. Nie wiedział, do kogo należał, lecz skoro został porzucony, to go sobie wziął, bo druga taka szansa mogła się nie powtórzyć, a scyzoryk był ładny, ostrze miało trochę zaśniedziałe, ale ostre jak żyłotka, co zresztą sprawdził, lekko skrwawiając sobie przy tym palec. Długo się nie zastanawiał, po prostu schował znalezisko do kieszeni i uciekł, a teraz nosił je w plecaku albo w kieszeni i traktował jak najcenniejszy skarb. Rzadko go używał, ale czasem zdarzało się, że zakłuł nim żuka albo innego robala. Robił to głównie w ukryciu i z nudów, choć nie bez przyjemności. Ojcu nigdy się do niczego nie przyznał...

– Hej, mały! – Luisa wyrwał z zamyślenia męski głos. Dochodził z góry. Chłopak, lekko złękniiony, uniósł głowę i na wozie, który właśnie mijał, dostrzegł jakąś postać. Pochyliła się, zasłaniając słońce. – Mały, jest sprawa. Chcesz zarobić?

Oferta zaskoczyła chłopaka. Zawsze marzył, aby mieć swoje pieniądze, bo choć często jeździł z ojcem na uprawy kawy, Manuel zawsze przejmował całą zapłatę; czasem jak miał dobry humor, to kupił mu cukierka, a że miał go rzadko, to Luis po raz ostatni czuł w ustach słodycz kilka miesięcy temu. Wahał się tylko chwilę, przytaknął.

– W takim razie wskakuj na wóz. Popilnujesz towaru, dopóki nie wrócę.

– A kiedy pan wróci, *señor*? – zapytał Luis.

– Muszę tylko zrobić drobne zakupy. – Mężczyzna wskazał rozpadającą się budę po drugiej stronie ulicy. – Trzy, może pięć minut. Poczekasz, aż wrócę, i dostaniesz kasę. Umówieni?

Nieznajomy wystawił rękę i pomógł Luisowi wejść na wóz. Chwilę później sam z niego zeskoczył, podciągnął portki i pouczywszy chłopaka, by niczego nie dotykał, ruszył w kierunku sklepu. Luis przysiadł na jednym z worków i odprowadził mężczyznę wzrokiem. Pomyślał, że ma niezły fart i może ten dzień nie będzie taki zły. Owszem, w skórę dostanie i przed tym ucieczki nie było, ale przynajmniej jutro coś sobie kupi.

Rozejrzał się po wozie, na którym znajdowało się kilkanaście skrzyń z żywym inwentarzem, do tego worki, zapewne z kukurydzą i kawą, może też z tytoniem. Nieznajomy był albo nowym dostawcą, albo obwoźnym sprzedawcą, choć w sumie to nie miało znaczenia – najważniejsze było, że zapłaci. Uwagę Luisa zwróciła mała klatka z dwoma kolorowymi papugami. Czasem widywał podobne, gdy jeszcze mieszkał w Génovie. Zwykle siadały na płocie albo na gałęziach pobliskich drzew i skrzeczały tak głośno, że ojcu puszczały nerwy, a że nie miał jak dorwać uciążliwych ptaszysk, najczęściej kończyło się na tym, że wyżywał się na tych, których dorwać mógł bez problemu, na matce i na nim.

Luis przesunął się w stronę klatki i wsunął palec pomiędzy plecione kratki.

– *Hola, chicas* ²¹ – mruknął, zginając palec wskazujący. – Ale jesteście ładne. Jak macie na imię?

Nie oczekiwał odpowiedzi, choć nie było dla niego tajemnicą, że niektórzy właściciele ar potrafili je udomowić, a nawet nauczyć mówić. Luis mógł sobie wyobrazić, że dla zamożnych mieszkańców stolicy czy innych dużych miast wydawały się ładnym dodatkiem do wystroju ich luksusowych rezydencji, wszak ptaki prezentowały się naprawdę imponująco, a nasycenie barw ich upierzenia aż kłuło w oczy. Badawczo zapuścił żurawia, chcąc sprawdzić, czy właściciel wozu wciąż jest poza zasięgiem wzroku, po czym otworzył drzwiczki

i włożył dłoń do klatki. Wyciągnął jednego z ptaków. Papuga lekko się nastroszyła. Z bliska wydawała się jeszcze piękniejsza, jej pióra z wierzchu miały intensywny błękitny kolor, który niesamowicie kontrastował z jaskrawożółtym od spodu, czoło było zielone, policzki białe, poprzecinane czarnymi prążkami. Pogłaskał ją, ale ona w ogóle nie zareagowała na pieszczotę. Obie papugi wydawały się ospałe i nie przypominały tych upierdliwych ptaszysk, które znał z rodzinnej wsi.

– Mówiłem, żebyś niczego nie dotykał!

Luis aż podskoczył. Wcisnął papugę z powrotem do klatki. Ptaszysko mizernie zaskrzeczało.

– Ja tylko...

– Dlaczego dzieciaki zawsze muszą być takie ciekawskie? Ech... –

Mężczyzna wdrapał się na pakę, wyciągnął monetę i wręczył ją chłopakowi. – Tu masz połowę. A jak chcesz, to możesz sobie zabrać te papugi. Są chore. I tak nie dowiozę ich do klienta, a nie chcę, żeby zaraziły resztę.

– Wolę pieniądze.

– Trzeba było trzymać ręce przy sobie. A teraz bierz te ptaszyska i wypad z wozu.

Luis w mig zrozumiał, że nie ma co wojować. Facet i tak był dla niego miły, ojciec prał mu tyłek za mniejsze przewinienia. Schował monetę do kieszeni i wyciągnął z klatki obie papugi, po czym zeskoczył z wozu. Na pożegnanie pomachał swojemu dobrodziejowi i pomyślał, że chciałby mieć takiego tatę.

Gdy konie stuknęły kopytami, a wóz ruszył, wzbudzając tumany kurzu, Luis spojrzał na zdobyczne ptaki. Podobały mu się, ale rzeczywiście były jakieś niemrawe. Ich żółte ślepie spoglądały na niego jakby zza mgły, choć ten, którego na początku wyciągnął z klatki pod nieobecność właściciela, starał się jeszcze stroszyć pióra

i poruszać skrzydłami. Przez głowę przemknęła chłopakowi nieoczywista myśl. Uderzyła go znienacka, ale niemal natychmiast przysłoniła wszystkie inne, była bardzo kusząca. Rozejrzał się wokół, po czym kierowany nagłą potrzebą powrotu do tego, co przeżył kilkanaście minut wcześniej, wcisnął papugi do plecaka i ruszył wzdłuż ściany lasu. Skręcił w pierwszą ścieżkę, która prowadziła w zielony gąszcz. Szybko ocenił, że była rzadko uczęszczana, więc gdy upewnił się, że jest sam, wyciągnął z torby kolorowe ptaszyska i ułożył je przy pniu grubej palmy. Jedna prawie się nie ruszała, druga niemrawo stroszyła piórka i wydawała z siebie cherlawy skrzek. Przez krótką chwilę przyglądał im się, czując narastające podniecenie, po czym instynktownie sięgnął do plecaka.

Jego źrenice rozszerzyły się, gdy w dłoni błysnęło ostrze. Znowu pojawiło się przyjemne łaskotanie w podbrzuszu, a kiedy przytknął czubek noża do oka pierwszej ary, poczuł się silny jak nigdy wcześniej – teraz to on był panem życia i śmierci i mógł to życie odebrać, a śmierć sprowadzić. Chwilę później delikatnie naparł. Papuga wydała z siebie paskudny skrzek.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Do niewielkiego Ceilán dotarliśmy późnym popołudniem. Górską miejscina składała się z kilku prostopadłych ulic i była bardzo zaniedbana. Większość parterowych chatup wyglądała, jakby zaraz miała runąć pod własnym ciężarem, po ulicach kręciły się kury, koty i bezpańskie psy, a całość zdominowała blacha falista. Szkołę, do której uczęszczał przyszedł morderca, zastąpiono nowym budynkiem. Po namowach przewodników postanowiliśmy jeszcze tego samego dnia przenieść się na noc do najbliższego i przynajmniej teoretycznie bezpieczniejszego dużego miasta Tulud.

Luis Garavito ukończył w Ceilán pięć klas szkoły podstawowej. Faktycznie był gnębiony tak przez rówieśników, jak i przez nauczycieli, co często podkreślał podczas przesłuchań i wywiadów. Dzieci wyśmiewały się z niego z powodu jego krótkowzroczności, mikrej postury i specyficznej, bardzo introwertycznej natury. Ponieważ słabo pisał, chłopcy przekręcali jego nazwisko na „Garabato”, czyli w wolnym tłumaczeniu „Bazgroł”, które to przezwisko przykleiło się do niego do końca szkoły. Pomimo licznych problemów domowych podobno starał się podczas lekcji, był stosunkowo sumiennym uczniem, ale z wielkim trudem przyswajał materiał. Zdarzało mu się wybuchać i bić słabszych. W szkole nie nawiązał żadnej bliższej znajomości.

Lista kar, jakie stosowali wobec niego nauczyciele, była długa. Do tych najczęstszych, które Garavito wymienił, należały: bicie linijką lub wskaźnikiem po plecach i dłoniach, często do krwi, klęczenie na przerwach, noszenie cegieł nad głową, zmuszanie do zostawiania po lekcjach i pisanie godzinami wyznaczonych słów czy zwrotów na tablicy. Jego przewinienia były też regularnie raportowane jego ojcu, który nie miał dla syna litości. W tym okresie matka już w ogóle przestała go bronić. Garavito opisywał ją jako kobietę o „miękkim sercu, sentymentalną, ale totalnie uległą wobec męża”, co z czasem doprowadziło do tego, że stała się „chorowita, apatyczna, niezgrabna, bardzo chuda, o bladości budzącej litość i głębokie współczucie”. W późniejszym okresie wpadła w głęboką depresję, wobec czego młody Luis nie miał żadnego wsparcia i coraz bardziej zamykał się w swoim mrocznym, pełnym cierpienia świecie.

W jednym z protokołów z przesłuchań można wyczytać, że Garavito przyznał się do znęcania się nad zwierzętami, głównie ptakami. Zabił przynajmniej dwa, patrosząc je, co dawało mu poczucie siły, władzy i sprawiło mu przyjemność. Po wszystkim miał jednak uporczywe wyrzuty sumienia, z którymi nie był w stanie sobie poradzić. Często się wtedy modlił.

Rozdział 4

Ceilán, Kolumbia, październik 1967 roku

Luis próbował zatamować krwotok. Odchylił głowę, ścisnął nos kciukiem i palcem wskazującym, ale tylko się zadławił. Odkasznął i zgiął się wpół, poluzował palce i pozwolił krwi płynąć. Kapłała nieprzerwanie, mieszając się z deszczówką i barwiąc potok sunącej w wydrążonej szczelinie wody.

– *Hijo de puta!* ²² – syknął przez zęby.

Przyklęknął. Jego podrapane kolana ugrzęzły w błocie. Uniósł głowę ku niebu. Ciemne chmury wisiały nisko, wylewając na Ceilán nieprzebrane ilości wody. Przez chwilę trwał tak w milczeniu, pozwalając, aby krople wściekle siekły go po twarzy. Jego gniew narastał, w końcu Luis eksplodował, wyrzucając z siebie wiązaną wyjątkowo szkaradnych przekleństw.

– Pierdolony Montejo! Zabiję go! Zabiję ich wszystkich! – ryczał jak zwierzę, choć doskonale wiedział, że nie ma na to najmniejszych szans, bo spełnienie owych obietnic jest niemożliwe.

Chłopaki ze szkoły spuścili mu dziś straszne lanie. To stało się krótko po opuszczeniu budynku szkoły. Niczym sobie na to nie zasłużył. Montejo specjalnie szturchnął go barkiem, a potem jeszcze przypuścił słowny atak. Nazwał go żałosnym bękartem, brudnym padalcem i ciotą. Ostatnia obelga sprawiła, że coś w nim pękło i rzucił się na napastnika z pięściami, co nie było mądre, bo Montejo

był przecież większy i silniejszy, a do tego stało za nim murem pięciu kompanów. Pobili go i skopali, a na końcu opluli i zagrozili, że jeśli poskarży się nauczycielom albo rodzicom, to następnym razem skończy z połamanymi nogami. Potem odeszli, rechocząc – skurwysyny.

Luis podniósł się z kolan. Postanowił nie walczyć z krwotokiem z nosa. Nie pierwszy i nie ostatni, pomyślał. Gorzej, że zniszczyli mu okulary, bo ojciec od początku był im przeciwny, uważając, że to niepotrzebny wydatek. Matka jednak nalegała, twierdząc, że to z powodu niedowidzenia Luis nie radzi sobie w szkole, i w sumie miała rację, bo choć mrużył oczy, często nie potrafił przeczytać tego, co nauczyciele pisali na tablicy, a od momentu, gdy zaczął nosić szkła, wyraźnie poprawiły się jego oceny. Co z tego, gdy rówieśnicy zaczęli mu dokuczać jeszcze bardziej i do długiej listy obelg dołączyły: okularnik, ślepek czy zezol. Myśl, że będzie musiał pokrętnie się tłumaczyć, przyprawiała go o mdłości, zresztą cokolwiek by powiedział, ojciec i tak się wścieknie, a wtedy złoí mu pasem skórę okrutnie. Przy nadziei trzymała Luisa świadomość, że Manuel przedwczoraj wyjechał z wujkiem do Armenii, gdzie wybierał się od czasu do czasu na jakieś fuchy, choć rzadko przywoził do domu pieniądze. Matka o to nie dopytywała, chyba nawet jej to nie obchodziło, a ojciec zwykle wracał po kilku dniach, choć trudno było przewidzieć, kiedy dokładnie, i Luis miał nadzieję, że jeszcze nie dzisiaj. Może wcześniej uda się ubłagać matkę, aby kupiła mu nowe okulary, a wtedy jakoś się wszystko ułoży – liczył, że uda się to ukryć, bo z pewnością ojciec nie przejdzie obok takiej straty obojętnie.

Wciąż lało jak z cebra. Luis był przemoczony do suchej nitki, ubłocony, zaplamiony krwią, która wciąż sączyła się z nosa. W środku kipiał złością. Gniew to przygasał, to znów narastał,

a wtedy chłopak zaciskał pięści, wyobrażając sobie, jak rozpruwa brzuchy każdemu z kolegów po kolei, jak z ich korpusów wypływają poskręcane jelita, jak płaczą i błagają, aby przestał, a on z pogardą patrzy na nich z góry, spluwa i triumfalnie odchodzi w chwale.

Usiadł pod dachem przystanku autobusowego i zamknąwszy powieki, zatracił się w tych wizjach. Sprawiały mu one wielką przyjemność, ale też rozniewały i pielęgnowały wściekłość, którą w sobie nosił. Rozmyślając przy wtórze ciężkich kropel stukających o blachę falistą, nie usłyszał kroków chłopca, który dyskretnie do niego dołączył.

– Co ci się stało?

Luis gwałtownie otworzył oczy. Obok stał malec. Miał może sześć, siedem lat, dłuższe, posklejane w strąki włosy i charakterystyczną kilkucentymetrową ciemną narośl na policzku. Kojarzył go, bo mieszkał niedaleko i też nie miał w domu lekko, ich ojcowie mogliby podać sobie rękę.

– Gównu cię to obchodzi, smarku! – odwarknął, próbując wyrzucić z siebie całą złość, która go trawiła.

Gdy dzieciak lękliwie odskoczył i strwożony przylgnał do betonowego słupa, Luis zdał sobie sprawę, że dokładnie tak patrzyły na niego tamte papugi, w ich oczach też tlił się strach.

– No co? – syknął, zeskakując z ławeczki. – Coś ci się nie podoba, smarku? Co się tak gapisz?

Nagle poczuł niewiarygodny przypływ siły. I gniewu. Popchnął chłopaka, a ten upadł i zarył głową w błotnistą breję, szeroko otworzył oczy i usta i ta breja się do nich wlała. Może dlatego nie próbował walczyć, tylko się popłakał, uległ mu, poddał się jego władzy. Bo teraz to Luis miał władzę, tak, teraz to on decydował. W końcu!

Kopnął go w brzuch, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Jęki i płacz ofiary sprawiły, że coś w jego wnętrzu zapłonęło. Efekt był piorunujący – doznanie niemal ekstatyczne. Luis obrzucał malca wyzwiskami i ponawiał ciosy, w końcu usiadł na jego klatce piersiowej i jeszcze kilka razy uderzył go pięścią w twarz. Z nosa chłopaka chlusnęła krew, górna warga pękła i rozeszła się prawie na centymetr, dopiero wtedy Luis przestał go bić. Kątem oka dostrzegł na ulicy jakiś ruch. Ktoś szedł w ich kierunku.

– Jeśli naskarżysz, to cię zabiję! – syknął chłopakowi do ucha i poderwał się na równe nogi, potem biegł ile sił, by w końcu zniknąć za rogiem.

Pięć minut później był już w domu. Dyszał ciężko, bo prawie całą drogę pędził na złamanie karku, a gdy stanął przed matką, ta tylko z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Wytrzymaj się i ogarnij rodzeństwo. Obiad zaraz będzie na stole – oznajmiła tonem tak obojętnym, jakby zwracała się nie do pobitego syna, a do żebraka, który zjawił się po prośbie o kawałek arepy.

Luis ściągnął mokre ciuchy i założył drugi komplet. Jego bracia i siostry leżeli w barłogu. Śmierdziało kałem, więc od razu wziął malutką Rosalię na ganek, a potem przy akompaniamencie jej krzyków przemył wodą z wiadra upačkane pośladki i plecy, nieco dłużej, niż wymagała tego potrzeba, zatrzymując się w okolicach krocza. Jakoś tak było, że lubił to robić i nie musiał się do tego zmuszać, nawet jeśli innym wydawało się to obrzydliwe. Zawsze chętnie pomagał matce i nawet trochę żałował, że Rafael już dawno wyrósł z pieluch.

Gdy ogarnął Rosalię, matka kończyła nakładać obiad na stół. *Sancocho* ²³, nie licząc kilku mikrych kawałków drobiu, była jak zwykle prawie pozbawiona mięsa, ale nigdy nie narzekał, bo już się

do tego przyzwyczał. Zjadł ze smakiem, a potem pomógł matce pozbierać naczynia.

- Umyję, ty odpocznij – zaproponował.
- Jak chcesz – odparła, skrzyła papierosa i poszła do rodzeństwa.
- Zgubiłem okulary – powiedział, gdy skończył. Matka popatrzyła na niego obojętnym wzrokiem.
- Ojciec się wkurzy – rzekła, próbując docisnąć Rosalię do nabrzmiałej od mleka piersi.
- No właśnie dlatego... – Wtulił się w matkę, ale nie zareagowała.
- Czy mogłabyś kupić mi nowe?
- Wiesz, że nie mam pieniędzy. Ojciec się wkurzy – powtórzyła.
- Zarobię na plantacji i oddam. Proszę, mam. Proszę. Wiesz, że...
- Dobrze, zobaczę. Może pożyczę. Nie wiem...

Humor Luisowi nieco się poprawił. Matka nie powiedziała „nie” i był prawie pewien, że ją przekabaci, więc wyszedł na ganek i resztę popołudnia spędził, wpatrując się w strugi siekącego deszczu oraz rozmyślając nad swoim parszywym życiem. Wrócił do środka, dopiero gdy zapadł zmrok. Matka już spała, choć raczej udawała, że śpi, bo Rosalia darła się tak, że obudziłaby trupa. Położył się obok niej, przytulił ją, podał wcześniej upuszczone z piersi mleko, wtedy uspokoiła się, w końcu zasnęła.

On nie mógł. Wciąż myślał o kolegach i tym, jak go potraktowali. Obawiał się też, że chłopaczkę, którego pobił, wygada się swemu ojcu, który pod względem metod wychowawczych niespecjalnie ustępował Manuelowi. Tego ostatniego też się bał, bo ojciec mógł przecież wrócić w każdej chwili. Wszystkie te lęki sprawiały, że napięcie w nim narastało, miał wrażenie, że kumuluje się gdzieś w żołądku, tak na samym dole, to stamtąd rozchodziło się po całym ciele ciepło, a gdy przypadkowo otarł się o leżącego obok Rafaela, napięcie skokowo przybrało na sile, znów poczuł wzwód, wtedy

wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zerknął przez ramię na leżącą na swoim łóżku matkę. Była odwrócona w stronę ściany. Otarł się o brata raz jeszcze i niemal odebrało mu dech. Położył dłoń na jego ciepłym udzie, a chwilę później delikatnie szarpnął za spodenki, wtedy Rafael gwałtownie się przebudził.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Nie jest ci za gorąco?

– Nie.

– A mi tak.

– To idź spać na zewnątrz.

– Chcę spać z wami. Tylko wolę na golasa. Tak jest zdrowiej.

– Śpij, jak sobie chcesz.

– Tak mówiła pani w szkole. W nitkach mogą być różne robaki.

Tak mówiła. Mówię ci. To nie żarty.

– Robaki?

– Pchły, wszy, czasem nawet jadowite żuki albo małe pająki.

– Naprawdę? – Mały Rafa, który przebudził się na dobre, patrzył na starszego brata z mieszaniną zaskoczenia i trwogi.

– No, naprawdę. Ja wolę nie ryzykować. Tobie też radzę.

– Okej.

Mały Rafa ściągnął spodenki i odrzucił je na podłogę, chwilę później przysunął się do zimnej ściany. Gdy starszy brat położył mu dłoń na biodrze i trochę się do niego przybliżył, nawet się ucieszył, bo poczuł się bezpieczniej, zamknął powieki i zasnął. Dziwny miał sen, bo śniły mu się ciepłe dłonie.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

W okresie dojrzewania Luis Garavito zaczął odczuwać coraz większe wątpliwości, gdy idzie o swoją seksualność. Gwałty, jakich

dopuszczali się na nim aptekarze w Ceilán i później w Trujillo (a najprawdopodobniej także ojciec), problemy z dostosowaniem się w szkole, przemoc ze strony Manuela i odrzucenie przez apatyczną i pogrążoną w depresji matkę bez wątpienia tylko problem pogłębiały. Nie mógł sobie z tym poradzić, w związku z czym swoją frustrację wyładowywał na młodszym chłopcu, synu jednego z sąsiadów, nad którym przez jakiś czas regularnie się znęcał. Wtedy też po raz pierwszy odkrył, że poczucie totalnej władzy nad drugim człowiekiem sprawia mu dużą przyjemność.

Ponieważ jego rodzina była bardzo uboga, wszyscy gnieździli się w jednym, obskurnym pokoju – on oraz rodzeństwo: Rafael, Ricardo, Gustavo, Rosalia, Esther i Lucia oraz oczywiście rodzice Manuel Antonio i Rosa Delia. Garavito wykorzystał ten fakt i krótko po zabiciu ptaków zaczął domagać się od młodszego rodzeństwa, aby spało z nim nago. Tamte wydarzenia wspominał tak:

– Moi bracia i siostry byli młodszy i zawsze mi ulegali. Gdy pewnej nocy wszyscy położyliśmy się spać, poczułem trudne do opanowania napięcie i zaproponowałem, aby się rozebrali. Wtedy zacząłem ich pieścić. Nic poważnego się nie wydarzyło. Nawet nie jestem pewny, czy moje rodzeństwo to później pamiętało. Ukrywałem to też przed rodzicami. Czasem zdarzało się, że rozbierałem braci w nocy bez ich wiedzy, gdy spali. Wtedy ich pieściłem i całowałem.

W tym okresie Garavito wciąż był dzieckiem i trudno było mieć do niego pretensje za nie do końca uświadomione zachowania. Poważne problemy z seksualnością zaczęły się pojawiać, gdy osiągnął wiek młodzieńczy. Przenieśmy się zatem kolejnych kilka lat do przodu.

Rozdział 5

Trujillo, Kolumbia, kwiecień 1973 roku

Luis położył na ziemi do połowy wypełniony kosz z czerwonymi ziarnami kawy. Wytarł pot z czoła i przysiadł pod drzewem. Sięgnął do plecaka. W środku znajdowała się menażka z wodą, gotowana kukurydza i dwie arepy. Obok powoli rozkładali się inni *campesinos*, w większości starsi od niego mężczyźni o twarzach niezgrabnych, bryłowatych, ogorzałych od wiatru i słońca. Nie było w nich grama ogłady, ich ruchy wydawały się siermiężne, język surowy, nieokrzesany, a artykułowane myśli do bólu prymitywne. Luis zastanawiał się, ilu z nich umie czytać i pisać, ale w tym miejscu w sumie nie miało to żadnego znaczenia, wystarczyło, aby tymi koślawymi paluchami zbierali ziarenka kawy i wsadzali je do koszy, nic więcej.

On potrafił pisać. Pięć lat nauki w Ceilán nie poszło na marne. Po przeprowadzce do Trujillo znów jednak znalazł się w obcym środowisku, w dodatku ojciec wygonił go do pracy. Codziennie musiał harować od świtu do zmroku za grosze i całość zarobionych pieniędzy oddawać Manuelowi, który raz w tygodniu wydawał mu marną ich część na drobne wydatki.

– Mieszkasz pod moim dachem, więc musisz się dokładać. Nie będę tu tolerował darmozjadów – powtarzał, gdy Luis próbował

ugrać coś więcej, i to był jedyny tekst, bo potem do gry wchodziły pas albo pięść.

Strasznie to Luisa drażniło, bo hipokryzja ojca nie znała granic, wszak sam większość czasu spędzał na wylegiwaniu się na ganku, paleniu tytoniu i piciu taniej brandy, a gdy ilość alkoholu osiągała we krwi odpowiedni poziom, zwykle szukał powodu do awantury; wtedy najczęściej jego wzrok spoczywał na żonie, a potem to już wiadomo – pas albo pięść.

Luis miał już szesnaście lat, ale nie potrafił postawić się ojcu. Po tym, co Manuel zgotował mu jeszcze w Génovie, nie był w stanie znaleźć w sobie dość odwagi. Tamto lanie pozostawiło w nim niezacieralny ślad, a fakt, że krótko później w ramach kary za najmniejsze przewinienia ojciec zaczął oddawać go temu zwyrodniałemu aptekarzowi, tylko to pogłębił, wypalając w umyśle dziecka bliznę podobną do tych, jakimi hodowcy bydła przy użyciu rozgrzanego żelaza znaczą swój inwentarz. W myślach często kastrował ojca, podrzynał mu gardło albo wbijał nóż w serce, ale gdy tylko znajdował się w zasięgu jego ręki, zupełnie tracił rezon. Manuel był niczym potwór, monstrum z najgorszych koszmarów, niewyciężony gigant, od którego humoru i kaprysu zależało życie Luisa, jego młodszego rodzeństwa i przede wszystkim matki, której, wydawało się, nienawidził najbardziej na świecie, choć przy niej trwał, tak jak przy dzieciach – właściwie nie wiadomo dlaczego. To bezsensowne trwanie sprawiło, że dziś Rosa Delia wyglądała jak wrak człowieka. Spuchnięta, posiniaczona, kulawa, przypominała bardziej wymizerowanego bepańskiego psa niż kobietę, i to nie tylko z zewnątrz, bo ostatnio organizm matki zaczął się buntować i próżno było szukać w jej piersiach mleka dla maleńkiej Esthery. Mała przez to cierpiała, bo była wiecznie głodna, a jej donośny płacz

denerwował ojca, który zwał winę na matkę, a to oznaczało wiadomo co, kolejne lanie – i koło się zamykało.

Obserwował posilających się towarzyszy w milczeniu. Żuł arepę, od czasu do czasu popijając ją wodą z menażki. Miał ochotę na piwo, najlepiej zimne, choć tu z lodówkami było raczej kruch i mógł sobie o tym tylko pomarzyć. Od kilku lat dość regularnie spożywał alkohol, coraz częściej się upijał. Najpierw sporadycznie podbierał go ze stołów albo spijał resztki po ojcu, z czasem zaczął kupować sobie sam. Smakował mu, a co najważniejsze, odrywał od ponurej rzeczywistości i myśli o śmierci.

Z zamyślenia wyrwały go gwizdy *campesinos*. Obejrzał się i z zaskoczeniem stwierdził, że przysiadła się do niego dziewczyna, a w zasadzie piękna, młoda kobieta. Miała może dwadzieścia kilka lat, jasną karnację i długie czarne włosy, spięte w kitkę czy kok albo coś pomiędzy nimi, Luis nie potrafił tego jednoznacznie nazwać. Ubrana w pracownicze szmaty, wcale nie wyglądała zbyt seksownie, raczej jak przystojniejszy chłopiec, choć i tak większość mężczyzn się na nią gapiła, jakby chcieli ją od razu zbałamucić. Położyła swój kosz z ziarnami i też sięgnęła do torby z prowiantem, wtedy uniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały, co sprawiło, że Luis bardzo się speszył.

– Długo tu pracujesz, młody? – zapytała, pociągnawszy łyk z menażki, tak trochę jak facet, bez kobiecej maniery. – Nazywam się Luz Mary. Jestem tu nowa.

– Ja... – Garavito poczuł, jak pąsowieją mu policzki. – Ja... długo dość. No... od dwóch lat, znaczy się. Może więcej. A pani?

– No przecież mówiłam – prychnęła, choć bez złych zamiarów. – Dziś mój pierwszy dzień. Dorabiam sobie. I nie mów mi „pani”. Wołają na mnie Luz Mary.

– Aha. Okej. Ja jestem Luis Alfredo.

Na tyle go było stać, aby się przedstawić, potem jakby mu mowę odebrało. Siedzieli, pili, żuli, ona dwa razy na niego zerknęła, ale przedłużająca się chwila ciszy stała się niezręczna. Luis miał wrażenie, że wszyscy *campesinos* wpatrują się teraz w niego, jakby na coś czekali, a on nie wiedział na co i zawstydził się jeszcze bardziej.

– Coś mało mówny jesteś.

Kobiety to nie zniechęciło, chyba miała więcej odwagi, więc mówiła dalej:

– Przysiadłam się, bo wyglądasz na sympatycznego gościa. Pomyślałam, że pośród tych zręczliwych tetryków podrywaczy twoje towarzystwo umili mi przerwę w pracy. Ale jak ci się narzucam, to luz. Mogę sobie...

– Nie. Nie odchodź. – Garavito wszedł jej w słowo i dało się w tym wyczuć coś jakby panikę, za co szybko skarcił się w myślach. –

Nazywam się Luis Alfredo – dodał, chcąc jak najszybciej zmazać to kiepskie wrażenie.

– Wiem, przed chwilą się przedstawiłeś – prychnęła Luz Mary i puściła do niego oko. – Fajne imiona. Co dobrego masz do jedzenia? Ja mam czekoladę. Mogę się z tobą podzielić.

Dostrzegła jego zażenowanie, więc nie dając rozmówcy czasu na odpowiedź, wyciągnęła z torby napoczętą tabliczkę czarnej czekolady, odwinęła paperek i wysunęła ją w kierunku Luisa. Młodzieniec zaskoczony zaistniałą sytuacją i ujmującą osobowością nowo poznanej koleżanki przez chwilę nie wiedział, co powinien zrobić, więc nie reagował.

– No dawaj, częstuj się – zachęciła, potrząsając dłonią, dopiero wtedy Garavito ułamał mały kawałek z całkiem pokaźnej tabliczki. –

Jest naprawdę dobra. Moja ciotka pracuje w fabryce czekolady. Przynajmniej słodkości w domu nigdy nie brakuje.

– Ale super. Pewnie nieźle zarabia ta twoja ciotka...

– No właśnie nie tak dobrze. Ja też cienko przędę. Tak w ogóle to jestem nauczycielką, a pewnie wiesz, jak płacą w tym zawodzie, zwłaszcza na początku. Dlatego postanowiłam trochę dorobić przy zbiorach kawy.

Luis poczuł, że jego umęczone serce zabiło mocniej. Ta młoda kobieta zrobiła na nim ogromne wrażenie, wręcz piorunujące, bo nie dość, że była nieprawdopodobnie sympatyczna, miła i sama do niego zagadała, to jeszcze miała solidne wykształcenie. Do tego te jej oczy. Duże, zielone niczym dżungla o poranku. Ugryzł kawałek czekolady i pomyślał, że jej usta też muszą mieć cudownie słodki smak.

– I jak ci się tu podoba? – zapytał, natychmiast karcąc się w duchu za tak głupie pytanie.

– Nie jest tak źle – odparła. – To nie pierwszy raz, gdy pracuję przy zbiorach. Gorzej, bo mało czasu spędzam z synkiem. Jest malutki, ale wiesz, jak jest. Życie...

– Yhy.

Jej słowa sprawiły, że przed oczami stanął mu ojciec kat i matka męczennica. Każdemu z nich zależało tylko na samym sobie, bo nawet matka, choć rzadko podnosiła na syna rękę, była wobec niego niemal zupełnie obojętna. Miał wrażenie, że z każdym rokiem gaśnie coraz szybciej, staje się coraz bardziej apatyczna, wręcz otepiała. Ostatnio nawet nie drgnęła, gdy ojciec znów lał go pasem, po prostu patrzyła przez okno i paliła papierosa.

– Mieszkasz w Trujillo? – zagadnęła Luz Mary, sugerując, aby Garavito sięgnął po jeszcze jeden kawałek czekolady.

– Od dwóch lat.

– Ja przyjechałam do matki. Zostanę do niedzieli wieczór...

Luis nie był pewny, czy aby na pewno dobrze odczytał intencje kobiety – nie miał doświadczenia we flirtowaniu z dziewczynami,

tym bardziej z kobietami, nigdy dotąd też nie posmakował kobiecego ciała. Kiedyś, jeden jedyny raz, przyprowadził do domu koleżankę z klasy. Miał wtedy dwanaście lat i obsesyjnie szukał kogoś, z kim mógłby miło spędzić wolny czas. Na jego liche zapędy pozytywnie zareagowała Melissa Carabali, w której od dłuższego czasu się podkochiwał. Może nie należała do najpiękniejszych, bo wołała z chłopakami kopać piłkę i skakać po drzewach, ale miała w sobie to coś, co sprawiało, że trudno mu było oderwać od niej wzrok. Do tej pory nie wiedział, czy się nad nim zlitowała, czy rzeczywiście go polubiła, w każdym razie obiecała pomóc mu w jednym z matematycznych zagadnień, których nie był w stanie zrozumieć. Poszli do niego, usiedli na ganku i zaczęli się uczyć, wtedy do domu wpadł ojciec, jak zwykle w sztok pijany, a co za tym idzie nieobliczalny. Nie dość, że na ich oczach pobił matkę, to gdy zobaczył ich razem, zwyzywał małą Melissę od kurew i zagroził, że jeśli jeszcze raz zobaczy ją w swoim domu, to zrobi jej to, na co „takie kurwy jak ona zasługują”. Dziewczynka uciekła przerażona, Luis razem z nią – niestety, nie chciała mieć z nim już nic wspólnego. Młody Garavito przepłakał kilka nocy pod gołym niebem, a gdy w końcu wrócił do domu, ojciec złożył mu skórę skórzanym pasem tak mocno, że ta popękała i do dziś miał na plecach ślady blizn po uderzeniach.

Wtedy po raz pierwszy naprawdę i całkiem szczerze pomyślał o tym, że kiedyś go zabije.

Jak powinien się teraz zachować? Nie miał zielonego pojęcia. Nowo poznana Luz Mary nie dość, że była kobietą w pełnym znaczeniu tego słowa, to bez wątpienia miała duże doświadczenie w seksie. Czyżby chciała mu coś zasugerować? I dlaczego wybrała akurat jego, młodego, brzydkiego chuderlaka w okularach, skoro

pewnie zdecydowana większość obecnych tu *campesinos* dałaby się pociąć w talarki, aby pójść z nią na randkę?

– Dziś w Sancho Cafe jest fiesta. Pewnie znajdę tam z koleżankami. Jak chcesz, to możesz wpaść. – Wyszła z propozycją tak nagle, że Luis aż się wzdrygnął.

– Fiesta? – powtórzył, bo doprawdy nie wierzył.

– No fiesta, fiesta. – Kobieta uniosła przedramiona i poruszyła biodrami. – Nie lubisz tańczyć czy co?

– Nie umiem...

Luisa zaskoczyła jego własna szczerość i poczuł, jak na twarzy wykwitają mu czerwone plamy. Ta kobieta była wobec niego tak miła, tak otwarta i autentyczna, że nawet nie zdając sobie z tego sprawy, otworzył się przed nią już po kilku minutach rozmowy. Do tej pory nikt nie nauczył go tańczyć, no bo jak i gdzie, gdy ojciec tyran, a to przecież dla Kolumbijczyka wielki wstyd nie umieć tańczyć salsy, merengi czy bachaty.

– Skromny chłopak jesteś. Na pewno potrafisz tupnąć nogą. A jakby co, to weźmiemy cię w obroty. To co? Przyjdiesz? – zagadnęła Luz Mary, odsłaniając rząd równych białych zębów.

Luis poczuł, że jego oczy wilgotnieją.

– Jasne. Przyjdę – odparł i odwrócił wzrok, aby nie dostrzegła napływających łez, tak bardzo się tym wzruszył.

Chwilę później wybrzmiały ostre dźwięki gwizdków oznaczające, że czas przerwy dobiegł końca. Wszyscy *campesinos* jak jeden mąż podnieśli się i z wolna, poganiani przez dwóch nadgorliwych kierowników, ruszyli do swoich stref pracy.

Do zachodu pozostało jeszcze sześć godzin żmudnej pracy, ale Luis wcale o tym nie myślał, był już myślami zupełnie gdzieś indziej.

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Luis Garavito poznał Luz Mary Ocampo Orozco podczas zbiorów kawy (wedle drugiej wersji w kościele) na wzgórzach okalających Trujillo w 1973 roku, krótko po przeprowadzce z Ceilán. To była jedna z dwóch kobiet, w których – jak twierdził – naprawdę się zakochał. Potem wielokrotnie ich drogi się przecinały. Luz Mary pomagała mu, wspierała w trudnych momentach, często u niej pomieszkiwał, także w latach dziewięćdziesiątych, gdy seryjnie mordował młodych chłopców. W czasie śledztwa oraz w późniejszych wywiadach utrzymywała, że nie miała pojęcia o zbrodniczej działalności partnera.

Garavito wielokrotnie przyznawał się też do tego, że ojciec zabraniał mu przyprowadzać do domu kolegów i koleżanki, generalnie zaś robił wszystko, aby odciąć syna od kontaktów z rówieśnikami. Trudno ocenić, co dokładnie nim kierowało, w każdym razie młody chłopak z trudem to akceptował, w związku z czym już za młodu kilkakrotnie uciekał z domu.

Do samego Trujillo nie udało nam się dotrzeć, głównie przez wzgląd na bezpieczeństwo. Nasi przewodnicy bardzo jasno wyrazili swoje zdanie w tym względzie.

– Jeśli tam pojedziemy, mogą nas wszystkich zabić – powtarzali w kółko, gdy od czasu do czasu naciskałem, aby jednak zahaczyć o miasteczko oddalone od Tului zaledwie o niecałą godzinę jazdy samochodem.

Skąd tak silne obawy? Tu warto się na chwilę zatrzymać, bo nie ukrywam, że Trujillo nie było jedynym zaplanowanym przystankiem, do którego nie dotarliśmy, mimo że bardzo mi na nim zależało. O jakie lokalizacje chodzi i dlaczego nie udało się ich spenetrować?

Po pierwsze, cierpliwość naszych przewodników wystawiliśmy na próbę już w slumsach pod Bogotą (o tym później), co – jak mi się zdaje – też trochę wpłynęło na podejmowane przez nich decyzje dotyczące naszego bezpieczeństwa. Po drugie, tak jak wspomniałem wcześniej, Kolumbia to kraj przesiąknięty przemocą, ale ta przemoc nie rozkłada się tak samo we wszystkich

regionach. Jeśli spojrzycie na mapę, zapewne dostrzeżecie, że kraj ten, geograficznie położony mniej więcej na wysokości równika, niemal w całości jest pokryty albo dziką dżunglą, albo niedostępnymi, gęsto zalesionymi górami. Gdy przyjrzyście się bliżej, dostrzeżecie, że niemal cała cywilizacja została tu wciśnięta w wąski pas nizin pomiędzy Kordyliera Wschodnią a Kordyliera Zachodnią przecinającymi Kolumbię z południa na północ Andów. I to właśnie tam ulokowane są miasta, począwszy od znajdującego się na południu Cali, poprzez stolicę Bogotę (bardziej na wschodzie) i leżące mniej więcej w środku Medellín, aż po znajdującą się na wybrzeżu Morza Karaibskiego Barranquillę czy Cartagena. Aby połączyć te główne centra cywilizacji, wybudowano szlaki handlowe, przy których powstały mniejsze miasta, miasteczka i wsie. Teren ten zajmuje mniej więcej jedną czwartą obszaru Kolumbii.

Pytanie o pozostałe siedemdziesiąt pięć procent powierzchni kraju nasuwa się samo. I tu po trzecie – te tereny są praktycznie poza kontrolą rządu. Na wschód od Bogoty znajduje się wciąż niemal zupełnie dzika dżungla amazońska, linia brzegowa nad Pacyfikiem to niedostępne góry, a słabo zaludnione południe to niebezpieczny obszar przygraniczny. Na tych właśnie terenach uprawiana jest koka (ale także marihuana czy haszysz) na – i to żadna przesada – przemysłową skalę. Szacuje się, że w niedostępnych lasach deszczowych i na andyjskich zboczach, na obszarze nawet do trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych, produkuje się do trzech tysięcy ton czystej kokainy rocznie, której czarnorynkowa wartość wynosi prawie bilion złotych!!! Te liczby są niewyobrażalne, co gorsza, wciąż rosną, gdyż po podpisaniu w 2016 roku przez rząd porozumienia z lewicową partyzantką FARC tysiące od lat żyjących na tych terenach bezwzględnych, brutalnych i zaprawionych w boju bojowników dogadało się z baronami karteli narkotykowych i przekształciło w armię ochraniającą kokainowy biznes, a do ich głównych zadań należy zapewnienie bezpieczeństwa plantacjom koki, nadzór nad nowoczesnymi laboratoriami i zabezpieczenie transportu na terenie kraju. Jak się zapewne domyślacie, są to obszary, na

których szerzy się totalne bezprawie, a władzę sprawują tam lokalni kacykowie namaszczeni przez kokainowych baronów. Z racji tego, że są to tereny pozbawione szlaków komunikacyjnych i w praktyce po prostu niedostępne, nie zapuszcza się tam ani policja, ani nawet wojsko, a rząd ogranicza się w walce z tym biznesem do oprysków plantacji z powietrza.

Przechodząc do sedna sprawy, na terenach granicznych, które umownie możemy nazwać łącznikami pomiędzy Kolumbią dziką i cywilizowaną, znajdują się miasteczka i wsie, przez które przechodzi wyprodukowany towar. Trujillo, jako ostatnia miejscowość na granicy stosunkowo bezpiecznego kawowego rejonu Eje Cafetero oraz dzikiej i mało zaludnionej, za to bogatej w plantacje koki zachodniej części kraju Pacífico, jest właśnie jednym z tych wrażliwych punktów na mapie.

– W takich wioskach każdy obcy, zwłaszcza gringo, od razu wzbudza podejrzliwość lokalnych mieszkańców, a wiadomość o waszej obecności w mig trafiłaby do ludzi, którzy mogliby przyjąć ją negatywnie. Oni szybko stają się wtedy elektryczni, a gdyby usłyszeli, że wypytujecie o coś ludzi albo, co gorsza, zobaczyliby aparaty lub kamery, ich decyzja mogłaby być dla was tragiczna. Gdyby ktoś uznał, że powinniście zniknąć, zapewne przepadlibyście jak kamień w wodę, a my razem z wami. I możecie być pewni, że nikt nawet nie kiwnąłby palcem, aby was odnaleźć – ostrzegał Roberto, który w naszej ekipie pełnił również funkcję ochroniarza.

Mając na uwadze te argumenty, uznaliśmy, że nie będziemy więcej cisnąć naszych przewodników w tej kwestii. Rozsądek ostatecznie przeważył nad potrzebą i chęcią zajrzenia do Trujillo, w związku z czym przenocowaliśmy w Tului. W tym mieście Garavito zamordował przynajmniej kilkunastu młodych chłopców i to tu popełnił pierwszy poważny błąd, który nakierował policję na jego trop. Ale chwilowo wróćmy jeszcze do czasów młodszych „Bestii”.

Rozdział 6

Trujillo, Kolumbia, kwiecień 1973 roku

To była jego czwarta ucieczka z domu.

Luis Garavito jechał zatłoczonym autobusem, zastanawiając się, dokąd go los zaprowadzi. Miał już wszystkiego serdecznie dość, bo nic mu się w życiu nie układało. Na imprezie z Luz Mary najadł się tylko wstydu. Okazało się, że przecenił swoje możliwości, a starsza koleżanka nie była zainteresowana jego umizgami. Gdy po kilku wypitych piwach w końcu zaryzykował i na parkiecie pocałował ją w usta, cofnęła się zaskoczona, a po chwili wybuchła śmiechem.

– Luis, no co ty! – rzuciła, nie przestając kręcić biodrami.

– Ale myślałem... myślałem, że... – Poczerwieniał, najpierw ze wstydu, a potem ze złości.

– To chyba źle zrozumiałeś. Wybacz, ale masz dopiero szesnaście lat. Lubię cię, jesteś miłym chłopcem, ale jednak tylko... chłopcem.

– Nie jestem dzieckiem! – syknął, przyciskając ją do siebie, a ona mu na to pozwoliła.

– Owszem, nie jesteś. Ale nie jesteś też mężczyzną – odparła, ale szybko się zmięgowała. – Chodź. Coś ci powiem...

Muzyka wciąż grała, a młode pary wirowały w takt żywiołowej salsy, w powietrzu unosił się zapach dymu, potu i seksu. Luz Mary pociągnęła Luisa za rękę. Po chwili znaleźli się na zewnątrz.

– Posłuchaj... – zaczęła.

– Nie! – warknął, ale się nie ruszył.

– Luis, naprawdę przepraszam. Nie denerwuj się i daj mi coś powiedzieć. – Luz Mary zapaliła papierosa. – Jestem od ciebie sporo starsza. Mam dziecko. Nie chciałam, żebyś mnie źle zrozumiał. Miałam nadzieję, że uda ci się nawiązać znajomość z moją młodszą siostrą. Nie zauważyłeś, jak na ciebie patrzy?

Luis czuł się upokorzony i sponiewierany. Nie chciał jakiegś młodszej siostry, od początku przecież skupiał uwagę tylko na Luz Mary, wpatrywał się w nią jak w obrazek. Była jego ideałem: miła, sympatyczna, mądra i atrakcyjna – dla niej był gotów rzucić wszystko i wyjechać na koniec świata. Tylko co z tego... Po co wysyłała mu różne znaki?

Nagle wszystko straciło sens, a ona stała się taką samą suką jak inne. Szmata!

Krew zagotowała się w jego żyłach. Poczuł, że zaraz eksploduje niczym wściekły wulkan.

– Pieprz się! – warknął i pobiegł w noc.

Tułał się przez godzinę, próbując zrozumieć, co właściwie zaszło. W środku aż kipiał od emocji, głównie złych. Cały ten syf wylał się na niego niczym wiadro pomyj. Czuł się zbrukany prawie równie mocno jak po nocy z aptekarzem. Ten drugi, którego ojciec poznał w Trujillo, był jeszcze gorszy od Otero. Pastwił się nad nim regularnie od dwóch lat, zwykle kilka razy w miesiącu, gdy Manuelowi zaczynało brakować środków, którymi się odurzał. Bił go, kasał, drapał, następnie brutalnie gwałcił. Zdarzało się, że po wszystkim oddawał na niego mocz, a potem kazał się umyć, wręczał strzykawki, tabletki i wyganiał z chałupy.

A teraz jeszcze Luz Mary...

Pomyślał, że tej nocy musi to zrobić. Nawet nie dla siebie, tylko na złość tej zakłamaney dziwce. Wyciągnął z kieszeni resztki pieniędzy, przeliczył monety, w końcu uznał, że wystarczy, i udał się do drugiego lokalu na końcu wsi. Miał fatalną reputację, ale przynajmniej było pewne, że obecne tam kobiety nie odmawiają. Nawet nie wchodził do środka, szybko wybrał sobie jedną z podpierających murek kandydatek, wręczył jej pieniądze i zaciągnął w pobliskie krzaki. Zajęła się nim bez gadania. Gdy uklękła i zsunęła mu spodnie, a on złapał ją za włosy, wtedy poczuł gwałtowne podniecenie. Wzięła jego członek do ust, zaczęła go lizać, pieścić, ssać, aż Luis jęknął z rozkoszy. Delektował się tą chwilą, po czym przycisnął jej głowę do podbrzusza, ale ona go odepchnęła. Spojrzała z wyrzutem, złością i to go zirytowało, zdenerwował się...

– Co jest? Pedał jesteś czy co?

– Zamknij się!

Popchnął ją na ziemię, panicznie próbując przywrócić stan podniecenia. Podwinął jej sukienkę i włożył palce do środka. Nie pomogło. Spróbował w nią wejść, ale był miękki, bezużyteczny. Histerycznie zaczął masować się ręką, lecz jej spojrzenie, w którym litość mieszała się z pogardą, zupełnie go rozstroiło. Milczenie dziewczyny było rechem, śmiała się z niego w duchu, widział to w jej błyszczących źrenicach.

Kiedy potem biegł w mrok, wycierając łzy, marzył, aby umrzeć...

Dlaczego zawiódł? Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Gdy nad ranem wrócił do domu, ojciec najpierw powalił go prawym sierpowym, a potem wysłał „po leki”. Posłusznie wykonał polecenie. Był zdruzgotany. Załamał się, a po wyjściu z domu aptekarza połknął wszystkie tabletki, które miał oddać ojcu. Manuel się wściekł. Połała się krew. Matka zachowała trzeźwy umysł i kazała Luisowi pić, aż zwymiotował wszystko, co połknął, ale przez kolejne dni

gorączkował, miał silną biegunkę i potwornie bolał go brzuch. Ojciec chwilowo odpuścił, ale nie zapomniał, a gdy Luis wydobrzył, musiał wrócić po kolejną porcję leków. I zapłacić za podwójną dawkę...

Garavito zacisnął zęby, czując, jak ponownie zalewa go fala wstydu, bezsilności i niemocy. Ta wyprawa miała być ostatnią deską ratunku. Nie mając żadnej alternatywy, dwa tygodnie po tamtych wydarzeniach kupił bilet do Bugi, gdzie w słynnej z objawień i cudów Basílica Menor del Señor de los Milagros chciał zapytać o nią samego Pana.

Gdy wysiadł z autobusu i zobaczył sakralny budynek z czerwonej cegły, w jego serce wstąpiła nadzieja, wszedł więc do środka i przez blisko cztery godziny żarliwie się modlił. Sam nie wiedział, czy może liczyć na pomoc Boga, bo do tej pory Pan nigdy nie odpowiedział na jego wołania. Może w ogóle nie istniał? A może poddawał go próbie? Niewykluczone, ale czy miłosierny Bóg mógłby być aż tak okrutny? Czasem Luis myślał o Szatanie, ostatnio coraz częściej, no bo jeśli istniał Bóg, to musiał też istnieć Szatan, taka była logika, tak przecież mówiło Pismo Święte. Raz, jeden jedyny raz, Luis nawet się do niego zwrócił. Przed snem poprosił go, aby Szatan zabił ojca, i ku jego zdumieniu dwa dni później Manuel potknął się na ganku i wyrznął głową w kant stołu. Padł na ziemię, jak trafiony piorunem, z rany na skroni sączyła się krew, a Luis patrzył z mieszaniną ekscytacji i przerażenia, jak ojciec bezgłośnie porusza ustami, niczym wyrzucona na brzeg rzeki ryba, jego prawa noga telepała się, a potem przestał się ruszać. Bóg go jednak ocalił. Nie wiadomo dlaczego i po co, może dlatego, że każdej niedzieli Manuel ubierał się w koszulę i szedł do kościoła, gdzie żarliwie się modlił, a następnie kajał, bijąc się w pierś i powtarzając „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina...”.

Pomogli mu sąsiedzi, choć zaniemógł na trzy kolejne dni. Skarżył się na silny ból głowy, wymiotował, a głupia matka robiła mu zimne okłady. Gdy wydobrzeał, przy pierwszej okazji skopał ją do nieprzytomności.

Z kościoła Luis wyszedł rozczarowany. Nie uzyskał odpowiedzi, Bóg nie wysłał najmniejszego sygnału, tak jakby szczerza modlitwa chłopaka w ogóle go nie obeszła. Spacerując bez celu po ulicach Bugi, bił się z myślami, bo wspomnienie o wypadku ojca nie dawało mu spokoju. Może gdyby żarliwiej poprosił o pomoc Szatana, to ten by go jednak wysłuchał? A może Bóg wymaga czegoś więcej niż tylko modlitwy? Przecież w Biblii jest wyraźnie napisane, że starożytni często poświęcali Bogu ofiary. Czasem ze zwierząt, a czasem z... ludzi.

Czyż sam Abraham na rozkaz Boga nie planował poświęcić na ołtarzu swego syna Izaaka?

„Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażę” ²⁴.

Luis doskonale pamiętał te słowa. Owszem, Bóg, dostrzegłszy strach i głęboką wiarę Abrahama, ostatecznie zwolnił go od złożenia tej okrutnej ofiary, ale zamiast syna na ołtarzu wylądował baranek. Bóg, jak to Bóg, jednak oczekiwał krwi. I ostatecznie ją dostał.

Pomyślał, że to krwawy Bóg. Okrutny i bezlitosny. Przecież sam skazał własnego syna Jezusa Chrystusa na męczeńską śmierć na krzyżu.

Przysiadłszy na ławce z puszką piwa w dłoni, Luis roztrząsał wszystkie te trudne do pojęcia kwestie i dylematy, nie potrafił jednak znaleźć odpowiedzi. Z każdym kolejnym piwem myśli kotłowały mu się coraz bardziej. Bóg, Szatan, ojciec, ofiara, grzech, pokuta, cierpienie... Wciąż nic z tego nie rozumiał, w końcu wstał i lekko się zataczając, ruszył przed siebie. Słońce powoli zaczęło znikać za

dachami budynków, upał zelżał, rozszczękały się bezpańskie psy. Zanim się obejrzał, wszedł pomiędzy drzewa ciemnego i ponurego o tej porze Parque Simón Bolívar. Zmęczony i głodny, znalazł pustą ławkę i położył się, a gdy wypił ostatnią kroplę piwa i puszka z metalicznym brzękiem spadła na chodnik, Pan dał mu znak.

Zerwał się do pozycji siedzącej, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Przed nim stał wymizierowany chłopczyk z czarną skołtunioną czupryną, miał nie więcej niż dziesięć lat, bose stopy, brudne, podarte łaachmany, w jego oczach krył się smutek, ale także coś, czego Luis nie potrafił jednoznacznie nazwać, może owo powszechne tu pogodzenie się z własnym losem, które pozwalało mu żyć. Wyciągał rękę w nadziei, że dostanie coś do jedzenia.

Luis wygrzebał z kieszeni ostatniego cukierka i delikatnie położył go na dłoni dziecka, musnął palcami skórę przedramienia i nagle zdał sobie sprawę, że znów czuje przyjemne łaskotanie w podbrzuszu.

– Chodź ze mną – powiedział. – Tam, nad rzeką, mam ich więcej.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Luis Garavito rzeczywiście odwiedził bazylikę w Budze. To niewielkie miasto leżące na drodze z Tului do Palmiry – miejscowości niezwykle ważnej w kontekście przełomu w prowadzonym przez policję śledztwie przeciwko Garavito.

W Budze spędziliśmy około dwóch godzin, w czasie których odwiedziliśmy Bazylikę Pana Cudów²⁵, dość okazałą świątynię z jasnoczerwonej cegły, w środku bogato zdobioną, znaną z wielu cudów, które się tam kiedyś wydarzyły. Podobnych pod względem konstrukcyjnym kościołów z charakterystycznymi dwiema wieżami, w których mieszczą się dzwony, jest w całej Kolumbii mnóstwo i niespecjalnie różnią się od siebie, zwykle tylko

wielkością i drobnymi architektonicznymi szczegółami, ewentualnie historią.

Luis Garavito przyznał, że przyjechał do Bugi złożyć obietnicę i poszukać odpowiedzi na dręczące go pytania. Nie wyjaśnił, co dokładnie miał na myśli, ale był to już czas, gdy za wszelką cenę próbował szukać partnerki. Niestety, zaburzona seksualność powodowała, że od najmłodszych lat w czasie zbliżeń z kobietami nie był w stanie utrzymać wzdrodu, a tym bardziej ejakulować. Po pierwszym odrzuceniu ze strony przyszłej kochanki Luz Mary i kilku nieudanych próbach z prostytutkami Garavito popadł w głęboką depresję, tym bardziej że jego ojciec Manuel także w Trujillo regularnie wysyłał go po zakupy do miejscowego aptekarza, który podobnie jak jego poprzednik w Ceilán brutalnie go gwałcił.

I to właśnie w Budze, krótko po opuszczeniu kościoła, Garavito po raz pierwszy molestował młodego chłopaka. Przyznał się do tego, gdy już siedział w więzieniu. Opisał to tymi słowami:

– Pojechałem do Bugi złożyć obietnicę. I wtedy po raz pierwszy poczułem wyraźny pociąg do chłopca. Dzieciak miał nie więcej niż dziesięć lat. Zabrałem go w pobliże torowiska biegnącego wzdłuż rzeki Guadalajara. Nie planowałem go zgwałcić, chciałem go tylko popieścić. Wtedy on zaczął krzyczeć, co zwróciło uwagę policji. Zostałem zatrzymany i po raz pierwszy trafiłem do aresztu. Naprawdę nic mu nie zrobiłem, jedynie go dotykałem.

Ostatecznie skończyło się na delikatnym molestowaniu, więc wobec braku poważniejszych zarzutów młody Garavito szybko został zwolniony i krótko później wrócił do domu. Podobno ojciec wkurzył się na niego nie dlatego, że syn popełnił przestępstwo, ale dlatego, że molestował chłopca, a nie dziewczynę, dodając, że jeśli następnym razem będzie chciał coś takiego zrobić, to tylko z kobietą, bo „one są do tego stworzone”.

W tym okresie u nastoletniego Garavito pojawiła się też pierwsza fascynacja satanizmem, który następnie ewoluował w jego umyśle przed długie lata, aby w końcu przyjąć skrajną formę wiary w opętanie przez demony, a nawet samego Szatana,

i stać się jednym z elementów, które pchały Garavito do najokrutniejszych i najbardziej sadystycznych czynów.

CZEŚĆ TRZECIA

DEPRESJA I POCZĄTKI PRZESTĘPCZEJ PODRÓŻY

Rozdział 1

Armenia, Kolumbia, luty 1977 roku

Luis nie lubił poniedziałków. Rzecz jasna, nie był w tym losamotniony, ale w jego przypadku poniedziałki naprawdę potrafiły dać w kość, bo nie dość, że musiał przychodzić do pracy dwie godziny wcześniej niż reszta pracowników, to jeszcze czekała go naprawdę ciężka harówka. Zwykł budzić się o trzeciej rano. Bez wątpienia niejeden obywatel Kolumbii z jego wykształceniem (a raczej jego brakiem) dzielił z nim ten niefortunny los, ale Luis nigdy w ten sposób o tym nie myślał, bo generalnie rzadko myślał o innych, skupiając się na sobie. Dla niego wstawanie o tej godzinie nie licowało z tym, co wyniósł z domu, bo ojciec podnosił się z łóżka wtedy, kiedy mu się chciało, i jakoś z tym żył, nigdy nie brakowało mu na alkohol, a więcej od życia nie wymagał. Luis nie do końca wiedział, czego on sam od życia wymaga. Opuszczenie gniazda było tyleż traumatyczne, co przezeń oczekiwane, więc gdy matka wystawiła mu walizkę za drzwi, nie tracił czasu na rzewne pożegnania i po prostu wyszedł, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Stało się to, co stać się musiało, bo Bóg mu świadkiem, gdyby matka go nie wyrzuciła, pewnej nocy chwyciłby za nóż albo maczetę i poderżnął ojcu gardło, najlepiej zaś rozpruł brzuch i po kolei wyciągnął na wierzch wszystkie bebechy, tak żeby stary zwyrodnialec mógł przed śmiercią obejrzeć sobie przegniłą od

alkoholu wątrobę albo jakikolwiek inny organ, może nawet Luis zdążyłby wykroić mu serce.

Jeszcze tego samego dnia wysiadł na dworcu autobusowym w Armenii, mieście, które jawiło mu się jako ziemia obiecana. Życie dość brutalnie zweryfikowało jego plany. Okazało się, że nie polega ono na leżeniu, piciu i pierdzeniu w sfatygowaną kanapę – trzeba zakasać rękawy i wziąć się do pracy, bo pieniądze znikają szybciej niż wietrzeje otwarte piwo. Wobec tego Luis postanowił zmierzyć się z wyzwaniem. Najpierw podjął pracę w jednym z marketów, ale już po paru miesiącach wdał się w konflikt z kierownikiem, czego skutek można było przewidzieć. Zatrudnił się w kolejnym sklepie, a potem w następnym, ale braki w kontaktach interpersonalnych, jakie zafundował mu ojciec w czasach dzieciństwa i młodości, boleśnie odbijały się na jego możliwościach komunikacji, przez co prędzej czy później sytuacja się powtarzała i Luis znów lądował na bruku. Frustrację wynikającą z braku sukcesów zawodowych próbował ratować wcześniej tłumionym, teraz zaś potężnie rozbudzonym popędem seksualnym, który jednak nie mógł znaleźć ujścia w kontaktach z kobietami, nawet jeśli były one wybitnie doświadczone w miłości, gdyż zdecydowana większość z nich za te krótkie chwile czułości oczekiwała wynagrodzenia w ciężko zarabianych przez niego pesos. Luis nie poddawał się jednak i dzielnie walczył o realizację swoich marzeń. Analizując dotychczasowe, nie do końca udane próby odnalezienia się na rynku pracy, uznał, że warto poprawić swoje CV, i zapisał się na zajęcia z zakresu marketingu, a Bóg – najwyraźniej doceniając wysiłki swojej zagubionej owieczki – postanowił mu w tym pomóc i dwudziestolatek znalazł pracę jako asystent w funduszu odszkodowawczym. Początki były obiecujące, a młody Luis nie dość, że po raz pierwszy w życiu mógł poszczycić się pracą inną niż

skubanie ziarenek kawy czy rżnięcie maczetą trzciny cukrowej, znalazł partnerkę, do tego starszą, całkiem atrakcyjną, o imieniu Eva, która dodatkowo potrafiła o niego zadbać, a czasem nawet postawić go na baczność. Co prawda nie było to regułą, bo zdarzały się mniejsze bądź większe wpadki, zwłaszcza gdy pił, ale dla Luisa ta odmiana i tak dawała nadzieję na odcięcie się grubą kreską od ponurej przeszłości.

Niestety, lekka euforia, w którą wpadł, nie trwała długo, bo Eva zaczęła dostrzegać, że jego popęd intensyfikuje się głównie wtedy, gdy jej czteroletni syn znajduje się w pobliżu ojczyma, a utwierdziła się w tym przekonaniu, gdy nakryła Luisa masturbującego się nad małym Gabrielem, gdy kąpał go w brodziku. Reakcja matki była błyskawiczna i partner, który wprowadził się do jej mieszkania kilka tygodni wcześniej, przy wydatnej pomocy jej dwóch roślących kuzynów został wyeksmitowany jeszcze tego samego wieczoru.

Przez dwa kolejne dni Luis leczył rany, głównie tanią brandy, pograżając się w otchłani wyrzutów sumienia, że w tak koncertowy sposób spieprzył szansę na normalne życie. Cóż z tego, gdy popęd, który odczuwał, wydawał się niepohamowany i już dwa dni później, kompletnie pijany, zgwałcił w jednej z ruder bezimiennego sześciolatka. Doznanie było tak potężne, że po wszystkim zupełnie go sparaliżowało i zamroczony alkoholem zasnął tam, gdzie się położył, a gdy po kilku godzinach się obudził, chłopaka już nie było. W pełni świadom, że popełnił przestępstwo, szybko ulotnił się z miejsca zdarzenia. Udał się do kościoła, gdzie przez wiele godzin żarliwie się modlił, prosząc Boga o przebaczenie i kolejną szansę. Bóg, jak to Bóg, miał wobec swej zagubionej owieczki własne plany i najwyraźniej zapragnął ją ukarać, a przynajmniej poddać próbie, być może pokutnej, więc kiedy Luis na potężnym kacu poszedł do pracy, natknął się na wyjątkowo zeźlonego klienta. Biała koszula

i krawat nie miały mocy sprawczych, aby zneutralizować odór wydychanej brandy, nawet jeśli była spożyta kilka godzin wcześniej, podobnież grzebień i tanie perfumy nie były w stanie zakamuflować wszystkich symptomów dnia wczorajszego. Mężczyzna w garniturze w modne prążki i skórzanym *carriel* ²⁶ przewieszonym przez ramię oczywiście wyczuł od niego silną woń sfermentowanej brandy i nie miał zamiaru przejść obojętnie wobec tak ordynarnego braku szacunku, poprosił więc o interwencję samego szefa, który nie tylko zwolnił Luisa bez wypłacenia mu ostatnich poborów, ale na oczach klienta zlał go pasem po plecach i nakazał wynosić się gdzie pieprz rośnie.

Sytuacja ta wstrząsnęła Luisem mocno, nawet bardzo mocno, a że nigdy wcześniej nie spadł z tak wysokiego konia, zupełnie się w tym wszystkim pogubił. Zaczął pić jeszcze więcej, w zasadzie nieustannie, i przez bite trzy miesiące jego jedyne zajęcie stanowiło szlajanie się po uliczkach i parkach tudzież żebranie o kilka pesos, głównie pod kościołami, gdzie czasem też nocował i w rzadkich chwilach trzeźwości umysłu żarliwie modlił się o kolejną szansę. Nie przeszkadzało mu to krótko później wychodzić na łowy. Ofiarą molestowania z jego strony padło jeszcze czterech chłopców w wieku od siódmego do dziesiątego roku życia – bezdomne sieroty, których los był przeciętnemu mieszkańcowi Armenii równie obojętny jak problemy osobiste wschodzących gwiazd Hollywood albo rozgrywki polityczne w Ugandzie. Być może Luis zatraciłby się w takim stylu życia, gdyby nie to, że pewnej nocy umizgi mężczyzny do jednego z chłopców zostały dostrzeżone przez jego starszego kolegę, który zaniepokojony, że jego przyjaciel z ulicy nie wraca, poinformował o wszystkim przechodzący patrol policji. Funkcjonariusze albo rzeczywiście potraktowali zgłoszenie poważnie, albo je zignorowali, lecz los i tak skierował ich w stronę

ponurej rudery na skraju zachodniej części miasta, w pewnym momencie usłyszeli pełne bóleści krzyki dziecka i podjęli interwencję. Luis jednak jeszcze nie zdążył się upić i usłyszał, że się do niego zbliżają, więc w ostatniej chwili wyslizgnął im się z rąk i uniknął aresztowania. To dało mu do myślenia i ponownie udał się do kościoła, gdzie po długiej i niezwykle płomiennej modlitwie przysiągł Bogu, że od tego dnia zrobi wszystko, aby zmienić swoje życie, nie będzie więcej krzywdzić dzieci, zajmie się za to uczciwą pracą, a może nawet ograniczy zagłądanie do butelki, choć tego przysiąc ostatecznie nie potrafił. Bóg, jak to Bóg, w swojej najwyższej mądrości i bezbrzeżnym miłosierdziu postanowił dać mu kolejną szansę i wysłał go do Circasii...

– *Hola*, Luis Alfredo! Nie do wiary, jaki ten świat mały. Co tu robisz?

Garavito podniósł wzrok i wytrzeszczył oczy. Poczuł, jakby wewnątrz jego klatki piersiowej do biegu zerwało się stado dzikich koni.

– *Hola*, Luz Mary! – odparł, niemal upuszczając trzymaną w dłoni butelkę brandy La Corte. – Ja... naprawdę nie do wiary. Pra-pra-c-c-cujesz tu? – zapytał, jękając się.

– Jak widać. – Rozłożyła ręce, szczerząc zęby w ujmującym uśmiechu.

– Już nie w szkole?

– W szkole też, ale wiesz... – Ścisnęła usta w linię i uniosła brwi. – Tutaj dorabiam w weekendy. Muszę, żeby związać koniec z końcem.

Ostatnie słowa wypowiedziała półgłosem, dyskretnie zerkając na kolejkę do kasy. Za Garavito stały już trzy osoby, wśród nich kobieta z wózkiem, jej mina mówiła więcej niż tysiąc słów.

– Za dwie godziny kończę, więc możemy gdzieś wyskoczyć – dodała, kasując brandy, którą trzymał w dłoni. – Tylko do tej pory

nie opróżnij całej butelki, okej? – dodała, puszczając doń oko.

Garavito wyszedł ze sklepu podekscytowany, nie mógł uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Korciło go, żeby wrócić i jeszcze trochę pogadać, ale przez szybę dostrzegł, że do Luz Mary podszedł jakiś mężczyzna w białej koszuli, groźnie marszcząc brwi. Luis wywnioskował, że facet jest kierownikiem, bo po krótkiej wymianie zdań pogroził jej palcem, a ona wyraźnie spłoszona spuściła głowę i skupiła się na pracy. Pomyślał, że z przyjemnością uciałby mu ten palec, a najchętniej całą rękę, ale stłumił w sobie negatywne uczucia i choć planował otworzyć brandy zaraz po wyjściu ze sklepu, postanowił wrócić do mieszkania i przygotować się na randkę, bo to miała być randka, tak to odebrał i mocno w to uwierzył. Zresztą nawet jeśli było inaczej, nie mógł zaprzepaścić takiej szansy. To był znak od Boga i nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, przyspieszył więc kroku, obiecując sobie, że następnego dnia uda się do kościoła i podziękuje Panu za łaskę, która na niego spłynęła.

Już po godzinie sterczał pod sklepem, co chwilę zerkając to na Luz Mary, to na zegarek. Gdy w końcu wstała i – najpierw pomachawszy mu – udała się do strefy socjalnej, zdał sobie sprawę, że strasznie nawalił, bo jakże mógł zapomnieć o prezencie, wstyd straszny. Panicznie zaczął rozglądać się za kwiaciarnią i ku swej wielkiej radości dostrzegł, że przy drodze kręci się jakaś kobieta z kilkoma bukietami kolorowych róż, popędził więc do niej i nawet nie negocjując ceny, kupił czerwone. Wrócił akurat w momencie, gdy Luz Mary wychodziła ze sklepu.

– Och, Luis... – Kobieta otworzyła szeroko oczy, a chwilę później nieśmiało się uśmiechnęła. – Zaskoczyłeś mnie. Dziękuję.

– Podobają ci się?

– Są piękne. I jak cudnie pachną. – Luz Mary przytknęła kwiaty do twarzy i wciągnęła nosem wonne powietrze. – Naprawdę nie wiem,

co powiedzieć.

Garavito poczuł, że się rumieni. Nie miał pomysłu, jak dalej ciągnąć tę rozmowę. Przed spotkaniem powtarzał to sobie kilka razy, ale akcja z różami zupełnie wybiła go z rytmu, przełknął więc tylko ślinę, rumieniąc się jeszcze bardziej.

– Uch... – jęknęła Luz Mary, przejęta niespodziewanym gestem starego kolegi co najmniej równie mocno jak sam Garavito. – No dobrze. To co teraz? Chyba wypadałoby wypić razem jakąś kawę...

– Byłoby mi bardzo miło.

– Jakiś ty szarmancki się zrobił. I jak zmężniałeś. Czy to ten sam Luis Alfredo Garavito Cubillos, którego poznałam w Trujillo?

– Eee tam. Ty nic się nie zmieniłaś. To znaczy... – Garavito zmitygował się – jesteś piękna. Jeszcze piękniejsza niż wtedy.

– I jeszcze te komplementy. – Luz Mary chwyciła przyjaciela pod rękę. – Chodźmy. Znam w okolicy kilka przytulnych kafejek. Jedna jest naprawdę blisko.

Kiedy szli w stronę zachodzącego słońca, Luis Garavito czuł, że to spotkanie może zmienić wszystko. Bardzo mocno w to wierzył i następnego dnia modlił się w kościele żarliwie, jak nigdy wcześniej, a gdy po dwóch tygodniach Luz Mary zaproponowała mu wspólne mieszkanie, postanowił ograniczyć picie i zawalczyć o szczęście. Tym większe było jego rozczarowanie, gdy okazało się, że nie miał w sobie tej siły, a uzależnienie od alkoholu i depreczące mu po piętach demony tylko czyhają, aby jego marzenia obrócić w proch. Gdy partnerka wystawiła mu walizkę za drzwi, zrozumiał, że natury nie da się oszukać. Luis Garavito był drapieżcą. Zaakceptował to. I wyruszył na łowy.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Do Armenii przybyliśmy piątego albo szóstego dnia od wyjazdu z Bogoty. To spore, bo liczące około trzystu tysięcy mieszkańców miasto – stolica departamentu Quindío. Dziś znane jest przede wszystkim z produkcji i obróbki kawy (według Kolumbijczyków najlepszej na świecie i niespecjalnie mam zamiar z tym stwierdzeniem polemizować, bo rzeczywiście kawę robią wyborną). Należy do najnowocześniejszych miast Kolumbii – paradoksalnie za sprawą silnego trzęsienia ziemi, do którego doszło 25 stycznia 1999 roku (ciekawostką jest to, że w urodziny Luisa Garavito). Miało ono magnitudę 6,2 stopnia w skali Richtera, doprowadziło do niemal kompletnej dewastacji infrastruktury i zebrało żniwo w postaci blisko dwóch tysięcy ofiar. Do tej pory jest uznawane za jedno z najbardziej niszczycielskich w historii kraju, ale to właśnie dzięki niemu władze postanowiły miasto odbudować, stawiając przy tym na nowoczesność.

Skutki tej naturalnej katastrofy trochę utrudniły nam życie, bo pomimo dzielnej postawy Przemka Żmudy, który dokumentował niemal każdy nasz krok, trudno było wyobrazić sobie, jak miasto wyglądało w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Inna sprawa, że tereny poza centrum, charakteryzujące się niską zabudową, nie zostały dotknięte niszczycielskim żywiołem w takim samym stopniu jak ono, ale spora część obecnej infrastruktury nie ma wiele wspólnego z tym, co było wcześniej. Tak czy siak, ta kwestia nie dawała mi spokoju, wobec czego zaczęliśmy szukać miejsca, gdzie można by znaleźć trochę zdjęć czy filmów z tamtego okresu. Udało się połowicznie – trafiliśmy do niewielkiej kafejki El Pescador, dosłownie upstrzonej zdjęciami z tamtego okresu, gdzie z wielką przyjemnością napiliśmy się wybornej kawy, wystuchując opowieści właściciela tegoż lokalu, a następnie kilku klientów (to była typowa knajpka dla swoich, gdzie przesiadywali głównie mężczyźni, racząc się kawą i dyskutując o polityce czy piłce nożnej), później zaś ruszyliśmy w kilka kluczowych zakątków miasta. Ale o tym później...

Warto tu zaznaczyć, że Armenia jest niezwykle istotną, w zasadzie kluczową lokalizacją z perspektywy naszej ponurej

historii, gdyż to właśnie miasto, pospół z Pereira, stało się drugim domem, a raczej rodzajem bazy wypadowej dla Garavito.

– W samej Armenii Luis Garavito zamordował przynajmniej czternastu chłopców, choć trudno oszacować ostateczną liczbę ofiar, gdyż w tym okresie w mieście wałęsały się nawet nie setki, a tysiące bezdomnych dzieci – tłumaczył Jesus Sepulveda, jeden z naszych przewodników. – To był czas wzmożonej działalności guerillas, które jak już doskonale wiesz, były ekstremalnie brutalne, w związku z czym na wsiach dochodziło do wielu aktów przemocy. Osierocone dzieci często przyjeżdżały do takich miast jak Armenia, gdzie próbowały przetrwać, żebrząc na ulicach albo podejmując się każdej możliwej formy zarobkowania. Garavito często wykorzystywał ich trudną sytuację, oferując drobne pieniądze albo po prostu jedzenie czy słodycze. I to właśnie one najczęściej stawały się jego ofiarami.

O ile w przybliżeniu można ocenić liczbę zamordowanych chłopców, o tyle nie da się ustalić, ilu z nich było „tylko” molestowanych. Szacuje się, że zanim Garavito rozpoczął swoją morderczą serię, w ciągu kilkunastu lat zgwałcił bądź doprowadził do różnych innych czynności seksualnych nawet pół tysiąca młodych chłopców.

Tak jak wspominałem, Armenia stała się dlań drugim domem. To ona była jego pierwszym wyborem po opuszczeniu domu rodzinnego, to tu samodzielnie podjął pierwszą pracę (nie licząc tej na uprawach kawy) i to tu podejmował pierwsze próby ułożenia sobie życia. Niestety, od samego początku szło mu jak po grudzie, począwszy od problemów zawodowych, a kończąc na tych dotyczących sfery prywatnej. Zaczynał – o czym wspomnieliśmy w opowieści – jako sprzedawca w sklepach oraz asystent w funduszu odszkodowawczym, przez jakiś czas uczęszczał też na szkolenia z zakresu marketingu. To głównie tam poznał kilka kobiet, z którymi próbował nawiązać relację. Żaden związek nie przetrwał jednak próby czasu i zwykle kończył się już po paru tygodniach. Bez wątpienia to, że nie mógł uzyskać satysfakcji seksualnej w kontaktach z dorosłymi kobietami, miało

wpływ na całe jego dalsze życie. Sam Garavito mówił w wywiadach, że w młodości próbował znaleźć sobie dziewczynę, ale z powodu jego orientacji okazało się to nie do przeskokowania. Każde kolejne przykre doświadczenie związane z odtrąceniem, często też wysmianiem, a w skrajnych przypadkach bezlitosnym wyszydzeniem jego męskości, prowadziło do postępującej izolacji i coraz większej niechęci do ludzi, w końcu zaś do nienawiści do całego świata. To w połączeniu ze słabą od początku zdolnością komunikacji i socjalizacji powodowało problemy w pracy oraz trudności w relacjach z kolegami i koleżankami prowadzące do nieporozumień często kończących się napadami gniewu i kłótniami, przez co Garavito rzadko potrafił zagrzać miejsce w jednej firmie dłużej niż kilka miesięcy. Kolejne porażki sprawiły, że popadł w depresję i zaczął nagminnie korzystać z usług prostytutek, a gdy nawet one nie były w stanie sprawić, by osiągnął satysfakcję, postanowił zrobić to, od czego tak zaciekle się odżegnywał. Zaczął regularnie gwałcić młodych chłopców.

Podobno po pierwszym takim ataku bardzo mocno to przeżył i od razu poszedł do kościoła się pomodlić. O tym okresie mówił tak:

– Nie chciałem krzywdzić tych dzieci. Chciałem je tylko pieścić. Po wszystkim miałem ogromne wyrzuty sumienia i często się modliłem. Prosiłem Boga o przebaczenie, ale gdy znów piłem, nie mogłem się powstrzymać i to robiłem.

Podczas molestowania jednego z chłopców o mało nie wpadł w ręce patrolu policji. To sprawiło, że postanowił spróbować raz jeszcze wyjść na prostą i wyjechał do nieodległej Circasii. To niewielka miejscowość przy drodze numer 29 łączącej Armenię z Pereirą, gdzie tylko dla zasady zatrzymaliśmy się na posilek. To tam, podobno zupełnie przypadkowo, natknął się w sklepie na niespełnioną miłość z lat młodości – Luz Mary Ocampo Orozco. Uznał, że to interwencja samego Boga, a ponieważ kobieta była bardzo religijna, zaczął regularnie uczęszczać z nią do kościoła, a nawet starał się odstawić alkohol i zapisał się na spotkania Anonimowych Alkoholików. Relacja z Luz Mary – z racji jego ograniczeń w sferze seksualności raczej platoniczna –

okazała się dość burzliwa. Garavito nie był w stanie przestać pić, a tym bardziej ujarzmić swojej drapieżnej natury, co powodowało częste nieporozumienia i kłótnie między partnerami, ostatecznie zaś doprowadziło do rozstania. To potężnie nim wstrząsnęło i Garavito przez jakiś czas szlajał się po wsiach i miasteczkach, łapiąc się dorywczych prac na uprawach kawy czy trzciny cukrowej, ewentualnie sprzedając tanie dewocjonała czy arepy, czasem zaś po prostu żebrał. Prowadząc taki tryb życia, w 1979 roku trafił do niewielkiej miejsciny o nazwie Caicedonia.

Rozdział 2

Caicedonia, Kolumbia, marzec 1979 roku

Twój jest do dupy. W ogóle nie chce latać – skonstatował Alejandro, gdy podniósł koślawo złożony kawałek papieru. Powinien był przypominać samolot, ale William miał dopiero dziewięć lat i nie potrafił robić takich myśliwców jak on. Rzucił go w kierunku młodszego kolegi, ale lichy zmontowana konstrukcja od razu zapikowała w dół, lądując pod jego brudnymi stopami.

– Twój też jest do dupy – odgryzł się chłopak, podnosząc swój samolot. – Poza tym nawet nie namalowałeś na skrzydłach flagi. A ja mam flagę. I to amerykańską.

– Boś zdrajca! Nie wiesz, że Amerykanie to cholerni imperialiści?

– Kto? Imper... co?

– No tak. Młody to głupi. Ojciec mówi, że...

Alejandro zaczął powtarzać słowa ojca o złych Amerykanach, przykuwając uwagę reszty chłopców. Lubili go słuchać. Miał trzynaście lat i był nieformalnym szefem bandy, a że ojciec bankier i matka nauczycielka dbali o jego wykształcenie, bezsprzecznie przerastał poziomem wiedzy młodszych kolegów, których rodzice utrzymywali się z pracy na plantacjach kawy albo po prostu mniej eksponowanych posadach w miasteczku.

O tej porze roku Caicedonia tonęła w słońcu. Położona na pograniczu nizin departamentu Valle del Cauca i górzystych terenów

Quindío miała umiarkowany klimat z temperaturą w granicach od dwudziestu sześciu do trzydziestu stopni Celsjusza. Wokół królowały uprawy kawy albo gęste lasy upstrzone gajami pełnymi palm i eukaliptusów. Z lotu ptaka jak okiem sięgnąć pagórkowatą powierzchnię pokrywał ocean zieleni przecięty jedyną asfaltową drogą, łączącą bogatą Armenię na północy z leżącą na południowym zachodzie Tuluą. Zagubiona w tym szmaragdowym morzu Caicedonia wydawała się nic nieznaczącą wysepką, zaledwie namiastką cywilizacji, i przypominała bardziej mrowisko w środku dżungli niż coś, co można by określić mianem ludzkiej siedziby. W tym mrowisku niemal cała społeczność podporządkowana była jednemu – ciężkiej, mozolnej pracy na okalających miejscinę wzgórzach porośniętych krzewami kawy.

Rodzice Williama Trujillo Mory również pracowali przy zbiorach, zwykle od wschodu do zachodu słońca, wobec czego mały William, tak jak jego koledzy i koleżanki, większość czasu spędzał, wałęsając się po zapuszczonych uliczkach Caicedonii i łobuzując z paczką dzieciaków, gdzie tylko popadnie. Tego dnia w ich ręce dostały się kartony ze starymi gazetami, a jeden z członków bandy wpadł na pomysł, aby porobić z nich samoloty i zorganizować zawody. William, choć starał się maksymalnie przyłożyć do budowy swoich konstrukcji, miał niewielkie szanse w rywalizacji ze starszymi kolegami, którzy szybko zabezpieczyli sobie najlepsze materiały i niekoniecznie chcieli się nimi podzielić. Nie poddał się jednak i żeby wyrównać szanse, pobiegł do domu, poprosił babcię o kredki, a następnie na skrzydłach swojego myśliwca narysował amerykańską flagę.

Alejandro wciąż perorował na temat złych Amerykanów, coraz bardziej się zacierzewiając. William niewiele z tego rozumiał, a w zasadzie nic, zwłaszcza że Amerykę lubił, podobnie jak

amerykańskie filmy z Hollywood. W jego wyobrażeniach był to wielki, wspaniały kraj pełen bogactwa, neonów i szybkich samochodów, takie trochę El Dorado, w równym stopniu rozpalające zmysły, co nieosiągalne. W pewnym momencie Alejandro – wyraźnie nakręcony opluwaniem Ameryki – znów skupił uwagę na Williamie.

- Dawaj ten samolot – warknął, wyciągając umorusaną dłoń.
- Nie! – zaprotestował dziewięciolatek, sprawnie unikając szponiastych palców starszego kolegi.
- Nie wnerwiaj mnie i dawaj tego śmiecia – powtórzył.
- Odczep się! Sam jesteś śmieć!
- Dawaj, bo... – Alejandro siłą odebrał Williamowi jego własność.
- Tak się powinno postępować ze zdraźdieckimi i imperialistycznymi *gringos*! – dodał, drąc na jego oczach samolot na małe kawałeczki.

Oczy dziewięciolatka się zaszklily, ale chłopak zacisnął zęby. Chwilę później lider bandy rzucił papierki w górę, a te natychmiast porwał wiatr.

William zaczął zbierać nieliczne kawałki, które opadły z powrotem na ziemię, jakby w nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone i samolot uda się posklejać. Było to absurdalne marzenie, mimo to przy akompaniamencie rechotu Alejandra i reszty bandy podnosił jeden fragment po drugim, nie zważając na miotane w jego stronę epitety, które do reszty miały go zgnoić. Gdy w jego dłoni znalazł się fragment skrzydła z namalowaną amerykańską flagą, lider grupy wyrwał mu go i rozdarł na jeszcze mniejsze kawałeczki.

- Śmierć amerykańskim imperialistom! – krzyknął, unosząc zaciśnięte pięści. Powtórzył kilka razy, a koledzy mu zawtórowali.
- To jak, Willy? Dalej będziesz robił amerykańskie samoloty? – zapytał, szczerząc krzywe zęby, ale dziewięciolatek nie

odpowiedział.

William z trudem powstrzymywał łzy, ale w końcu dwie urwały mu się z kącików oczu i wyłobily jasne ślady na umorusanych policzkach, wtedy Alejandro wysunął palec wskazujący i wbił go w wątłą pierś młodszego kolegi.

– Jak chcesz dalej należeć do grupy, to masz powiedzieć, że Ameryka to gówno. Największe i najbardziej cuchnące gówno świata. Rozumiesz?

William wcale tak nie uważał, a do tego był uparty i wściekły. Nie mógł jednak postawić się starszemu i silniejszemu koledze, zwłaszcza że stało za nim kilku innych, w każdej chwili gotowych na jedno skinienie szefa dać mu łupnia. Wygiął usta w podkówkę, próbując przybrać groźny wyraz twarzy, ale kompani wybuchli śmiechem, a raczej paskudnym rechotem, obrzydliwym i poniżającym.

– Nie chcesz to nie, ale od dziś już nie należysz do *Los Tiburones* ²⁷.
Fuck you!

Wszyscy chłopcy wystawili w jego kierunku środkowe palce, Alejandro splunął mu pod nogi i zawińawszy się na pięcie, pociągnął za sobą resztę ekipy. William został sam. Przysiadł na krawężniku i dopiero gdy *Los Tiburones* zniknęli za rogiem jednej z chałup niechlujnie skleconych z dziurawych pustaków i blachy falistej, rozplakał się na dobre. Mógł sobie na to pozwolić, bo o tej porze dnia na skraju wsi było pusto i cicho. Gdy trochę ochłonął, postanowił się przejść. Kopiąc kamyki, rozmyślał o tym, co powinien teraz zrobić, ale nie miał pomysłu, bo nie zamierzał wyrzekać się swoich przekonań, ale nie chciał też znaleźć się na aucie – w takiej miejscinie jak Caicedonia równałoby się to całkowitemu wykluczeniu. Z kim by się wtedy bawił? No wiadomo – z nikim, chyba że z podobnym odludkiem, jak choćby ten niepełnosprawny

Rodri, co ciągle zginał głowę i jakoś mu nią tak telepało, a do tego patrzył tak dziwnie i jeszcze gadał bez sensu. Musiał coś wykombinować, ale wyobraźnia sugerowała mu jedynie niemożliwe do zrealizowania scenariusze, gdyż pokonanie Alejandra w bezpośrednim pojedynku na pięści skazane było z góry na porażkę. William, młodszy i zdecydowanie słabszy, nie miałby najmniejszych szans. Jak zatem udowodnić, że nie jest słabeuszem i potrafi bronić swoich racji? – tego wymyślić nie mógł za żadne skarby.

Chłopak dotarł do miejsca, gdzie kończyły się ostatnie zabudowania, i przysiadł w cieniu drzew. Choć rozmyślał o zaistniałej sytuacji od kilkunastu minut, żaden sensowny pomysł na wyjście z niej z twarzą nie przychodził mu do głowy. Może gdyby zdobył pieniądze, to zapłaciłby jakiemuś starszemu chłopakowi z innej wioski, żeby rozprawił się z Alejandro? Chciałby ujrzeć go upokorzonego, oj tak, i to nawet bardzo, tylko skąd niby miałby wziąć na to kasę?

Z rozmyślań wyrwał go dziwny szelest. Dochodził zza pleców. William obrócił się, ale w gęstych krzakach nie dostrzegł niczego niepokojącego. Z jednej strony w tego typu miejscach wciąż coś szeleściło, skrzeczało albo pohukiwało, z drugiej strony raczej nie w środku dnia, zwykle wieczorem albo w nocy, bo to wtedy drapieżcy wypełzają na żer. Pomyślał, że to pewnie ptaki, ewentualnie jaszczurka albo wąż, który dopadł ofiarę, dlatego tylko zerknął na trawę w swoim najbliższym otoczeniu. Przekonany, że nic mu nie grozi, położył się na ziemi i wsunął ręce za kark, znów zatapiając się w myślach. Przebijające się przez korony drzew promienie słońca delikatnie muskały jego twarz, a on snuł wizje zemsty, zatracając się w swoich imaginacjach. Bujna wyobraźnia prowadziła go po przeróżnych zakamarkach Caicedonii, a w każdym

z nich lider nieformalnej paczki spod znaku Rekinów albo tarzał się z bólu na ziemi, albo uciekał w popłochu, William zaś patrzył na niego z góry, z pogardą, i tylko czekał, aż każdy z dawnych przydupasów Alejandra złoży teraz hołd właśnie jemu, najlepiej całując pierścionek na jego palcu, jak to kiedyś widział w jakimś gangsterskim filmie.

Wtedy stało się coś, co z jego wyobrażeniami nie miało nic wspólnego, ale sprawiło, że jego serce zabiło jeszcze mocniej. Nagle spłynął na niego cień, który zupełnie zasłonił promienie słoneczne, William wzdrygnął się i przysiadł, robiąc z dłoni daszek, wtedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, a tuż obok jego twarzy błysnęło ostrze maczety.

– Nie krzycz – syknął nieznajomy, zaciskając palce na wątłym ramieniu Williama. – Wstawaj i nie rób zamieszania, bo cię zabiję.

William posłusznie podniósł się z ziemi. Jego oddech przyspieszył, a całe ciało przeszył lodowaty dreszcz. Spojrzał ukradkiem na mężczyznę. Był średniego wzrostu, miał podłużną, porośniętą niechlujną brodą, twarz i rozbiegane, pełne wściekłości oczy, które za dużymi okularami zdawały się większe niż w rzeczywistości. Wydatne żyły na przedramionach świadczyły, że w tych ostatnich kryje się niemała krzepa i jakakolwiek próba sprzeciwu może skończyć się fatalnie. Nogi i ręce Williama zaczęły mimowolnie drżeć, mimo to poddał się woli mężczyzny, a ten objął go niczym syna i pospiesznym krokiem ruszyli w kierunku gęstych zarośli.

Minęli je i przeszli jeszcze kilkaset metrów przez porośnięte niewysokimi krzewami nieużytek, ale choć nieznajomy bez ustanku rozglądał się za jakąś odludną kryjówką, w zasięgu wzroku wciąż pojawiały się pojedyncze domostwa. W końcu zatrzymali się

w osłoniętym, niewidocznym dla postronnych miejscu, wtedy mężczyzna z maczetą puścił chłopca i wycelował w niego ostrze.

– Rób, co każę, to nic ci się nie stanie – powiedział ostro.

Chłopiec, zdjęty panicznym strachem, przytaknął spolegliwie, wtedy nieznajomy odłożył maczetę i oblesnie oblizał wargi, po czym złapał go za kołnierz koszuli.

William Trujillo Mora zrozumiał, że zaraz stanie się coś bardzo, bardzo złego, i gdy poczuł smród wydobywający się z ust mężczyzny, zacisnął zęby i odwrócił głowę. W oddali pomiędzy gałęziami majaczyły zabudowania Caicedonii – tam też spoczął jego wzrok, a dokładnie na dwóch wieżach kościoła; chłopak poprosił Boga o siłę.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

William Trujillo Mora należy do czterech chłopców, którzy przeżyli spotkanie z Luisem Garavito, a następnie jako jeden z dwóch złożył zeznania. To pierwsza w pełni udokumentowana relacja spotkania z mordercą.

Do Caicedonii dotarliśmy krótko po opuszczeniu Génovy, w drodze do Ceilán i Tului. Jest oddalona o niecałe trzydzieści kilometrów od wsi, w której urodził się Garavito, i leży przy jednej z nielicznych dróg łączących północ z południem kraju. Zatrzymaliśmy się tam w miejscu, gdzie doszło do gwałtu na dziewięcioletnim Williamie. Niestety, nie było szans porozmawiać z mężczyzną osobiście, bo po pierwsze, od ponad dwudziestu lat mieszka z rodziną w Cali, a po drugie, pomimo usilnych prób naszych przewodników, którzy jeszcze przed naszym przyjazdem starali się nakłonić go do spotkania, odmówił, tłumacząc, że nie chce wracać do tego koszmaru. Nie mieliśmy więc stuprocentowej pewności, czy aby na pewno dotarliśmy tam, gdzie doszło do gwałtu, ale po przeczytaniu akt sprawy i protokołu

z przesłuchania Williama Mory, na podstawie opisu punktów orientacyjnych mogliśmy przynajmniej w przybliżeniu określić położenie tego miejsca. Po kilku godzinach spędzonych na wzgórzach Caicedonii udaliśmy się do Ceilàn.

Luis Garavito zaczął sporadycznie molestować młodych chłopców, jeszcze gdy był nastolatkiem, ale dopiero po osiągnięciu pełnoletniości i pierwszych załamaniach nerwowych związanych z odkrywaniem swojej tożsamości płciowej oraz niepoohamowaną potrzebą bezwzględnej kontroli nad drugim człowiekiem ataki wyraźnie się nasiliły. Miał ku temu coraz lepsze możliwości, bo po stracie stałego źródła dochodu i rozstaniu z Claudią zaczął sporo podróżować, łapiąc się dorywczych prac przy zbiorach kawy czy trzciny cukrowej. Trudno określić, ilu chłopców Garavito zgwałcił przed spotkaniem z Williamem Morą, w każdym razie wielokrotnie uchodziło mu to płazem, gdyż swoje ofiary wybierał głównie spośród bezdomnych sierot, którymi nikt się nie interesował. Williama zaatakował w 1979 roku, jako dwudziestodwulatek. W tym przypadku sprawa miała się trochę inaczej, bo chłopiec miał oboje rodziców i nie wywodził się z patologicznej rodziny. Dziewięcioletni wówczas chłopak został zaczepiony przez Garavito w momencie, gdy samotnie przesiadywał na skraju wsi, bawiąc się papierami i kartonami. William Trujillo opisał to spotkanie tymi słowami:

– Zaskoczył mnie. Pojawił się nie wiadomo skąd, po czym przytknął mi maczetę do twarzy i zagroził, że jeśli zacznę krzyczeć, to mnie zabije. Przestraszyłem się i nie krzyczałem, tylko poszedłem z nim w ustronne miejsce kilkaset metrów za wioskę. Gdy już dotarliśmy do celu, kazał mi ściągnąć koszulę i od razu zaczął mnie okropnie całować po całym ciele. Potem zdjął mi spodnie i wściekle ssał mojego penisa, bardzo, bardzo mocno, jakby chciał mi go wyrwać. Po jakimś czasie powiedział mi, że mam mu zrobić to samo. Byłem tak przerażony, że spełniłem wszystkie jego polecenia, po czym on mnie spenetrował.

Gehenna małego Williama trwała ponad dwanaście godzin. Ofiara przyszłego mordercy opisała wielokrotne gwałty bardzo szczegółowo, ale są to rzeczy tak drastyczne, że zrezygnuję

z cytowania całości. Chłopak twierdzi, że w pewnym momencie zapytał oprawcę, kiedy ten go wypuści. Garavito miał odpowiedzieć, że robi to, gdy zabiją kościelne dzwony.

– Uczepiłem się tej nadziei i wypełniałem wszystkie jego polecenia – zeznawał William. – Każda minuta zdawała się ciągnąć jak godzina, a każda godzina ciągnęła się jak cała wieczność. W pewnym momencie, gdy był już wyczerpany i chciał zasnąć, wziął moje stópki i włożył je między swoje nogi, a potem mocno przytulił, aby mieć pewność, że nie ucieknę. Zapamiętałem, że miał takie plastikowe, chłopskie buty. W końcu wybrzmiały dzwony, te błogosławione dzwony. On się wtedy obudził i kazał mi wyjść na drogę. Potem zapytał mnie, czy nikt nie idzie, a gdy powiedziałem, że nikogo nie widzę, podniósł rękę i pomachał mi na pożegnanie. Wtedy pobiegłem przed siebie jak szalony i pędziłem tak do momentu, gdy nie dotarłem do domu.

Kiedy William w końcu przekroczył próg, jego matka Luzmila Mora prawie zemdlła. Syn miał tak spuchnięte oczy, że prawie nic nie widział, a jego ciało było pogryzione, głównie uszy, nos oraz okolice sutków i krocza. Niemal od razu pobiegła zgłosić sprawę na policję, a następnie do prokuratury. Po złożeniu skargi rodzice Williama wspólnie z innymi mieszkańcami wsi ruszyli na poszukiwanie gwałtciciela, ten jednak zdołał się już ulotnić. Policja niespecjalnie przyłożyła się do śledztwa, ale za to sprawa została nagłośniona w lokalnej prasie. Garavito przyznał, że się przestraszył, i szybko wyjechał z powrotem do Armenii.

– Przeżyłem, bo nie płakałem. Zagryzałem zęby i wypełniałem wszystkie jego polecenia, ale nigdy nie płakałem ani go nie błagałem. Myślę, że dlatego pozwoił mi odejść – mówiła po latach ofiara gwałtu Garavito.

William Trujillo Mora w połowie lat osiemdziesiątych przeniósł się do Cali, gdzie podjął pracę jako kierowca autobusu. Tam poznał przyszłą żonę, z którą dziś ma dwójkę dorosłych już dzieci. Podobno zawsze był dobrym ojcem i nigdy nie zaniedbał swoich pociech choćby w minimalnym stopniu. Tylko raz zdecydował się wrócić do tematu – krótko po tym, gdy okazało się, że jego oprawca ma szansę na wyjście z więzienia. W styczniu 2020 roku

napisał do Krajowego Instytutu Więziennictwa list z prośbą o spotkanie z Garavito w cztery oczy. Na łamach mediów wyznał:

– Chcę się z nim spotkać, żeby pokazać mu, że byłem mądrzejszy od niego, że jestem wspaniałym człowiekiem, że to, o czym wszyscy mówią, iż musiało się stać, nie stało się, a gwałt nie sprawił, że sam stałem się gwałtcielem.

William Trujillo Mora nie otrzymał pozwolenia na widzenie. Od ponad dwóch lat nie wypowiada się na temat swoich przeżyć publicznie.

Rozdział 3

Armenia, Kolumbia, kwiecień 1979 roku

Luis wpatrywał się w wycięty z gazety artykuł. Papier był trochę poplamiony, bo podczas operowania nożyczkami mężczyzna przewrócił puszkę z piwem i część napoju wylała się na gazetę. To, co najważniejsze, pozostało jednak nienaruszone, więc po raz enty przyjrzał się rysunkowi napastnika. Musiał przyznać, że był nawet trochę do niego podobny, choć nos i wsparte na nim okulary wydawały się zdecydowanie większe niż w rzeczywistości; nie przypominał sobie również, aby kiedykolwiek miał tak długą i krzaczastą brodę, mimo wszystko jednak na wszelki wypadek postanowił się ogolić i dziś zupełnie nie przypominał postaci z obrazka. To go lekko podbudowało. Chwycił puszkę z piwem i wypił do dna, potem zgniótł ją, a po chwili sięgnął po następną. Do dziesiątej opróżnił jeszcze cztery i położył się spać. Obudził się po drugiej w nocy, a w zasadzie zerwał się z łóżka jak rażony prądem, czym prędzej założył na siebie spodnie oraz koszulę i nawet nie myjąc zębów, wybiegł z mieszkania.

To był jego czwarty dzień pracy i już drugi raz przyszedł do piekarni spóźniony. Kierownik, krępy półkrwi Indianin, półkrwi Murzyn, którego matka była kurwą z rubieży amazońskiej części kolumbijskiej dżungli, a ojciec bezimiennym przesiedleńcem z północy, zrugął go straszliwie i zagroził, że trzeci taki numer będzie

równoznaczny ze zwolnieniem. Nie mogąc pojąć, jakim cudem taki parch dorobił się stanowiska kierowniczego, w myślach napluł mu w twarz, po czym niechętnie założył fartuch i rękawice, a następnie dołączył do reszty uwijających się jak w ukropie pracowników. Piekarnia funkcjonowała już na pełnych obrotach. Kobiety w skupieniu wałkowały ciasto, a potem formowały z niego chleby, bułki i arepy. Część z produktów leżała już na dużych poczerniałych blaszanych tacach, które czekały, aż ktoś włoży je do pieca. Jesus, wysoki i szczupły piekarz o lisim spojrzeniu i ramionach poznaczonych bliznami od oparzeń, harował co prawda jak wół, ale sam nie był w stanie ogarnąć wszystkiego, gdy zatem dostrzegł Garavito, rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie i skinął głową, wskazując, że ma się zająć piętrzącymi się blachami z ciastem.

Luis westchnął z niesmakiem. Nie znosił tej roboty, głównie dlatego, że musiał pracować w nocy, co prawie uniemożliwiało mu wieczorne eskapady. Na łowy zwykle wybierał się krótko po zachodzie słońca, a teraz był z tym problem, bo po pierwsze, nie mógł za dużo pić, a po drugie, przed pracą musiał się przynajmniej kilka godzin zdrzemnąć, co nijak nie korelowało z jego zainteresowaniami. Mógłby jeszcze dodać, że łatwo było się poparzyć, to zaś boli jak cholera, a jego współpracownicy okazali się dupkami. Musiał jednak przyznać, że szef płacił naprawdę nieźle, co w jakiś sposób rekompensowało całą resztę, dlatego – choć niechętnie – zakasał rękawy i wziął się do pracy.

Pierwsza blacha wylądowała w piecu, chwilę później druga, a następnie trzecia, przy czwartej poparzył się na wysokości przedramienia, zaklął pod nosem i posłał zaczerwienioną skórę. Kątem oka dostrzegł, że Jesus z niesmakiem pokręcił głową. Pomyślał, że chętnie wrzuciłby tego gnojka do środka, aby się trochę okopcił. Znał smród spalonego ciała i choć był odstręczający, to

widok opiekanej mordy Jesusa z pewnością wynagrodziłby ewentualne niedogodności związane z nieprzyjemnym zapachem, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Na razie musiał się zadowolić wyobrażeniami. Przy wyciąganiu pieczywa zaparowały mu okulary i znów się oparzył, tym razem w wewnętrzną część przedramienia. Miał wyraźne problemy z koordynacją i zaczynała boleć go głowa. Musiał schłodzić skórę zimną wodą, ale i tak już po kilkunastu minutach wyrósł mu bąbel, w którym zaczęła zbierać się surowica. Jesus co rusz posyłał mu pełne irytacji spojrzenia, potem zaczął coś mrużyć pod nosem. Kobiety lepiące ciasto głównie milczały, z wyjątkiem dwóch, których imion nie znał, a które w rogu pomieszczenia dyskutowały o dzieciach. Garavito pocił się obficie i wciąż musiał przecierać parujące pod wpływem ciepła okulary, przez co tracił cenne sekundy, a to skutkowało tym, że w jego sektorze zaczęły się piętrzyć wypełnione blachy. Gdy w pewnym momencie stracił rachubę czasu i pomylił piece, dostrzegł, że w jednym z nich niemal cała partia pieczywa jest czarna, czyli do wyrzucenia, a to już wróżyło poważne kłopoty. Zły na siebie i na cały świat, szarpnął za rozgrzany uchwyt drzwiczek, a że chwilę wcześniej ściągnął jedną z rękawic, by wytrzeć szkła, znów boleśnie się oparzył. Posłał w otoczenie wiązaną przekleństw i zaczął wymachiwać ręką.

– Co ty odpierdalasz, Garavito? – warknął Jesus, w którego sektorze panował niemal idealny porządek.

– Spierdalaj! – wycedził przez zęby Luis, próbując opanować pieczenie.

– Coś ty powiedział?

Jesus odłożył z brzękiem trzymaną w dłoniach blachę, ściągnął rękawice i wytarł spocone dłonie w fartuch. Cztery z ośmiu kobiet wałkujących ciasto niepewnie podniosły wzrok, najstarsza

zmarszczyła brwi, a jej korpulentna koleżanka przerzuciła sobie trzymaną w dłoni szmatę przez ramię i skrzyżowała ramiona pod ogromnymi piersiami, które lekko się uniosły. Garavito poczuł na sobie ich spojrzenia, co jeszcze bardziej go poirytowało.

– Gównu. Zajmij się swoją robotą – syknął, chuchając w oparzoną dłoń.

Przecisnął się między stołami, aby znów schłodzić zaczerwienioną skórę pod znajdującym się na przeciwległej ścianie kranem, ale Jesus szarpnął go za fartuch.

– Puszczaj! – warknął Garavito i wyrwał się z uścisku piekarza.

– Nie myśl, że tego nie zgłoszę panu Rodriguezowi – krzyknął Jesus, celując weń palcem wskazującym.

Garavito nie odpowiedział. Jego gniew został chwilowo stłumiony przez ból. Włożył dłoń pod strumień wody, co natychmiast przyniosło mu ulgę, choć wciąż czuł na sobie wzrok kobiet, z których kilka wymownie kręciło głowami, inne coś tam burczały pod nosem i nie były to słowa mające na celu obronę jego postawy, raczej odwrotnie, nic miłego na ich językach nie było. Odwrócił się przez ramię w momencie, gdy Jesus z powrotem zakładał rękawice. Piekarz co rusz rzucał mu pogardliwe spojrzenia, więc odpowiedział tym samym, wyobrażając sobie jego przyklejoną do rozgrzanej szyby twarz, topiącą się skórę na dłoniach, błagalne wrzaski, aby otworzył przydymione drzwiczki, ale nie, on tego nie robił, tylko patrzył, jak ta murzyńsko-indiańska morda czernieje jeszcze bardziej, spływa, odkleja się od kości, a potem zostaje już tylko okopcona czaszka. Tak, oj tak, pomyślał, ten gnojek musiałby świetnie wyglądać po drugiej stronie szybki. Uśmiechnął się szyderczo. Ta wizja sprawiła mu radość, którą chwilę później stłumiła świadomość, że musi w tym piekle spędzić jeszcze blisko osiem godzin, niestety, bez widoku topiącej się i czerniejącej gęby Jesusa za szybą. Wrócił na

miejsce pracy i wyjął z pieców dwie kolejne blachy ze spalonym pieczywem nienadającym się już do niczego, dobrym co najwyżej dla psów, choć i one mogłyby kręcić nosami. Czuł na sobie pogardliwe spojrzenia współpracowników, ale starał się trzymać emocje na wodzy. Łatwe to nie było. Wyrzucił spalone wypieki do stojącego w rogu plastikowego zielonego kosza i po kolei zaczął wkładać do pieców kolejne blachy. Przez godzinę jakoś panował nad sytuacją, choć strasznie wnerwiał go widok schludnej sekcji Jesusa. U niego był okropny bałagan, na blatach z blachami walały się fragmenty ciasta i kawałki popalonego pieczywa tudzież brudne szmaty, nawet jego fartuch wyglądał, jakby chwilę wcześniej Luis czyścił komin. Wszyscy pracowali w ciszy. Atmosfera była tak gęsta, że można było ją kroić nożem. Miał nieodparte wrażenie, że wszyscy go nienawidzą i przy pierwszej okazji na pewno obrobą mu tyłek, zresztą Jesus nawet tego nie ukrywał i teraz posyłał mu tylko szydercze uśmieszki, jakby specjalnie chciał go sprowokować.

Po trzech ślimaczących się godzinach przy piecu Luis czuł się, jakby odbębnił dwie zmiany w hucie stali. Był mokry jak szczur, bolała go głowa, niemal bezustannie chciało mu się pić, przez co coraz częściej chleptał wodę z kranu, bo w pośpiechu zapomniał wziąć własną do pracy. Gdy zgłodniał, postanowił zjeść jedną z wypieczonych arep, ale tylko boleśnie oparzył się w język. Jego irytacja rosła z każdą upływającą minutą, a te ciągnęły się okropnie, tylko rozbudzając tłumiony gniew. Gdy podczas wyciągania kolejnej partii pieczywa źle chwycił blachę i ta wymknęła mu się z dłoni, a cała jej zawartość wylądowała na betonie, cienka czerwona linia pękła i na ziemi z metalicznym brzękiem wylądowała także pusta już blacha.

– Oszalałeś, Garavito? – wrzasnął gniewnie Jesus, marszcząc brwi i poruszając chrapami jak jakiś dziki zwierz. – Nie nadajesz się do tej

roboty, to wypieprzaj. Co ty, kurwa, sobie wyobrażasz?

– Pierdol się!

– Tego już za wiele.

– No leć, leć do kierownika. – Garavito puściły nerwy, białka zaszyły szkarłatem. – Leć nakapować, konfidencie pierdolony!

– Jak mnie nazwałeś, szmaciarzu? – Na ogorzałej twarzy Jesusa wystąpiły niebieskie żyły.

– Tak, jak słyszałeś. Konfident jesteś. Szpicel. Zwykły kapuś. No już, leć do kierownika. Może jak klęknieś do pały, to da ci podwyżkę.

– Ty skurwysynu!

Jesus nawet nie zdjął rękawic. Zrobił dwa kroki w kierunku Garavito, ale ten podniósł leżącą na podłodze blachę i wycelował jej ostre brzegi w kierunku przeciwnika. Przez moment tak się szachowali, w końcu Jesus natarł na Luisa, chwycił blachę, próbował mu ją wyrwać i zneutralizować zagrożenie, wtedy Luis dźgnął nią piekarza w ramię, ten odskoczył, w jego oczach gniew przeobraził się w furję. Kobiety przerwały lepienie ciasta, krzyczały i nawoływały, próbując zażegnać spór, było jednak za późno, Jesus w końcu wyrwał blachę z rąk Garavito i odrzucił ją na bok. Był wyższy i silniejszy, więc Luis cofnął się kilka metrów, więcej nie mógł, bo zatrzymała go ściana. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby się bronić, bo przeciwnik wyglądał na naprawdę rozjuszonego, złapał leżący na blacie wałek do ciasta i siarczyście się nim zamachnął, celując w głowę. Jesus sparował uderzenie, chwycił rywala za przedramię i trząsł nim wściekle, jakby chciał je wyłamać ze stawu. Po chwili chaotycznej szamotaniny w końcu mu wałek wyrwał, na podłogę spadły też okulary i jakieś inne rzeczy z blatów, chyba metalowe, na co wskazywał charakterystyczny brzęk. Garavito wrzasnął jak zwierzę. Część pracowników wybiegła na zewnątrz,

machając rękami i krzycząc wniebogłosy, wtedy oni znów chwycili się za bary. Chwilę później do pomieszczenia wparował kierownik, który otworzył szeroko oczy, widząc, że dwóch jego piekarzy tarza się po podłodze.

– Pojebało was?! – ryknął i wkroczył pomiędzy walczących.

Był niski, ale krępy, jak większość jego pobratymców, w których żyłach płynęła krew rdzennych mieszkańców kraju, a jego szerokie barki mogły budzić szacunek nie tylko w piekarni, ale i na ulicy. Szybko odciągnął znajdującego się na górze Jesusa, który jeszcze przez chwilę rwał się do bitki, w końcu jednak odpuścił i spokorniał.

– Obaj wylatujecie! – wrzasnął szef, gdy niebezpieczeństwo dalszej konfrontacji zostało zażegnane. – I zapłacicie za zniszczenia!

– To Garavito zaczął! – bronił się Jesus, rzucając na współpracownika nienawistne spojrzenia. – To debil. Pierwszy mnie zaatakował!

– A kto pierwszy ruszył w moim kierunku, co? – odparował Garavito, szukając na podłodze okularów; z nosa leciała mu krew.

– Ty sukinsynu pierd...

– Dość!

Mężczyźni jeszcze przez chwilę obrzucali się inwektywami, ale kierownik nie zamierzał pozwolić, aby znów doszło do eskalacji. Miał graby jak te pieczone bochny chleba, więc Jesus i Luis uznali, że lepiej nie czynić sobie zeń kolejnego wroga. Szef polecił opuścić pomieszczenie piekarzowi, a następnie nakazał Luisowi, by ściągnął fartuch. Ten w złości zerwał go z siebie, zmiał w dłoniach i rzucił na podłogę, nieświadomie przekraczając czerwoną linię. Kierownik nie wytrzymał i chwycił Luisa za kark, a że uścisk miał stalowy, to Garavito usłyszał, że zachrząściły mu kręgi szyjne. Zanim się obejrzał, leżał już na betonie przy tylnym wyjściu ponizony i zbrukany.

– A teraz spierdalaj i więcej się tu nie pokazuj! Jeszcze raz cię tu zobaczę, to zajebię jak psa.

Kierownik splunął na leżącego Garavito, potem kopnął go w brzuch i wrócił do piekarni, trzaskając drzwiami z taką siłą, że Luisowi zadzwoniło w uszach. Zwymiotował, paćkając sobie koszulę i spodnie. Bolało go wszystko, ale najbardziej urażona duma. Znów został upokorzony. Najpierw przez jakiegoś zasranego piekarza, a potem przez tego podłego półkrwi Indiańca, który wykopał go z pracy jak psa. Jeszcze przez chwilę leżał, próbując złapać oddech, w końcu dźwignął się na nogi i lekko chwiejnym krokiem ruszył ciasnym zaułkiem w kierunku głównej ulicy. Człapał powoli, zastanawiając się, co powinien zrobić. Potrzebował się napić, choćby po to, aby uśmierzyć ból. Co z tego, gdy okazało się, że gdzieś zgubił klucze do mieszkania. Czy wypadły mu w kuchni, czy już na zewnątrz – nie wiedział, nie miał też przy sobie pieniędzy. Gdy sobie to uświadomił, wtedy, jakoś tak nagle i niespodziewanie, runął na niego ogrom tego całego syfu, w którym tkwił od urodzenia. Ojciec pijak, sadysta, zwyrodnialec, otepiała matka, aptekarz pedofil, wredni koledzy ze szkoły i gardzące nim partnerki, w końcu on, alkoholik wałęsający się po ulicach i molestujący w obskurnych ruderach bezimienne sieroty... Wszystko to zalało go niczym szlam w miejskiej kanalizacji, wżarło się w skórę jak kwas, boleśnie uświadamiając mu, że jego życie to jedno wielkie szambo. A kto chciałby taplać się w szambie przez kolejnych kilkadziesiąt lat? No przecież nikt, to było oczywiste i owa myśl była niczym objawienie, może nawet dotyk samego Boga. Znak? Tak, to był znak od Pana, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, więc długo się nie wahał, ściągnął pasek i owinał go wokół szyi, następnie zacisnął pętlę, tak mocno jak mógł, i założył na wystający z przydrożnego płotu pręt. Spojrzał w niebo. Pomyślał, że świat stanie się lepszy, gdy

on z niego odejdzie, potem to już wszystko jedno, bo i tak go nie będzie, na tym padole nie ma miejsca dla niego, pedofila i alkoholika, któremu kutas nie staje, podłego psa, czasem żebraka, zwykłego, obrzydliwego śmiecia. Chwilę później powoli osunął się na ziemię, wtedy pętla zacisnęła się na szyi jeszcze mocniej. W końcu stracił przytomność. Zgasł.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Po ataku na Williama Trujillo Morę Luis Garavito wystraszył się konsekwencji popełnionego czynu. Co prawda nie wpadł w panikę, bo policja niespecjalnie przyłożyła się do śledztwa, ale rodzice ofiary postarali się, aby informacja o grasującym w okolicy gwałtocielu dotarła do mediów. W prasie pojawiło się na ten temat kilka artykułów, w tym portret pamięciowy sprawcy. Garavito przeraził się jednak na tyle, że podjął decyzję, aby na jakiś czas zaszyc się w dużym mieście, dlatego postanowił wrócić do liczącej podówczas nieco ponad dwieście tysięcy mieszkańców stolicy departamentu Quindío.

Miasto znał dobrze i czuł się w nim bezpiecznie. Miał do tego pełne prawo, bo do tego momentu bezkarnie uszło mu w Armenii od kilkunastu do kilkudziesięciu gwałtów na małych chłopcach i dziewczynkach (dopiero z czasem jego preferencje wyraźnie ukierunkowały się w stronę pederastii). Lęk jednak zdecydował, że postanowił uciszyć swoje zwyrodniałe żądze. Co prawda nie do końca, bo wciąż pił i zdążył zgwałcić jeszcze kilku chłopców, ale w końcu zatrudnił się w piekarni i znów zaczął uczęszczać na spotkania Anonimowych Alkoholików.

– Przestraszyłem się. Przez jakiś czas jeszcze piłem, bo nosiłem w sobie wszystko, co spotkało mnie w dzieciństwie. Wróciłem do Armenii i dorabiałem tu i ówdzie, czasem żebrałem. Potem poszedłem do pracy do tego państwa Cristóbala i Orfilii Chica. Mieli piekarnię. Wynająłem mały pokój. Zacząłem chodzić na

spotkania Anonimowych Alkoholików i zaangażowałem się. Spotkałem tam miłych i dobrych ludzi. Chcieli mi pomóc, ale było mi trudno. Nie radziłem sobie. Będąc w strasznej depresji, używałem kropli Sinogán, bo nie mogłem spać. Żeby zasnąć, piłem alkohol albo brałem antydepresanty o nazwach Meleril lub Visigán. Gdy straciłem kolejną pracę, przez jakiś czas mieszkalem u wujka Hermanda, ale wciąż piłem, przez co pokłóciłem się z jego żoną Aurorą. Źle ją potraktowałem, więc mnie stamtąd wyrzucili – mówił podczas przesłuchania.

Krótko później w trakcie kolejnego depresyjnego epizodu po raz drugi porwał się na własne życie. Na nieszczęście dla wielu przyszłych ofiar próba samobójcza nie przyniosła oczekiwanego efektu i Luis Alfredo Garavito Cubillos w wieku dwudziestu dwóch lat sam zgłosił się do psychiatry. Podczas przesłuchania tak opisywał ówczesne okoliczności:

– Straciłem pracę. Zbuntowałem się i odszedłem. Próbowałem się zabić, ale mi się nie udało. Ale że od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku płaciłem składki na ubezpieczenie społeczne, postanowiłem pójść do psychiatry, ponieważ czułem się bardzo źle pod względem emocjonalnym i psychicznym. Powiedziałem mu, że moje życie jest bezwartościowe i chcę popełnić samobójstwo. Wtedy dostałem skierowanie do szpitala San Juan de Dios w Manizales.

Rozdział 4

Manizales, Kolumbia, marzec 1980 roku

Porannek był słoneczny i rześki. Luis Garavito siedział po turecku i żuł żdźbło trawy. Przed nim rozpościerała się panorama tysięcy przyklejonych do wzgórza chałup, głównie z czerwonej cegły i pustaków, w większości pokrytych blachą falistą. Slumsy Manizales miały w sobie pewien urok, bo choć komuś, kto nigdy nie mieszkał w takim miejscu, mogły z oddali przypominać najwyżej hałdę śmieci, to właśnie tam toczyło się prawdziwe życie, to tam biło serce Kolumbii. Gdy zmrużył oczy, był w stanie dostrzec przechadzające się pomiędzy domostwami postaci, maleńkie i żywotne jak mrówki. Po zmroku zapalano świece i ogniska, z oddali niosły się skoczne rytmy salsy, bachaty lub merengi, wtedy migoczące wzgórza zaczynało pulsować niczym jakiś gargantuiczny organizm z magicznej krainy światel i cieni.

Ciągnęło go do tego życia. Tutaj się dusił. Szpital psychiatryczny San Juan de Dios w Manizales był jednym z najlepszych w kraju, ale choćby pościel powleczone jedwabiem, a na obiad podawano wołowinę z najszlachetniejszych krów pasionych na południu Eje Cafetero, na dłuższą metę nie byłby w stanie wytrzymać w zamknięciu. Odizolowany od świata czuł się jak mysz w laboratorium. Dbali o niego, karmili go, a nawet traktowali jak kogoś, kim nie był albo komu zwyrodniały ojciec odebrał szansę na

normalne życie, na postrzeganie siebie jako istoty ludzkiej, człowieka w pełnym znaczeniu tego słowa. Zawsze widział w sobie tylko plugawą bestię, nieczystą, splamioną po wsze czasy, zepsutą jak stara zabawka na śmietniku. Lokował siebie gdzieś pomiędzy beznogim i zawszonym kundlem a zapijaczonym żebrakiem trawionym przez rozległą gangrenę, bo takich widział na własne oczy, gdy przesiadywali na ławkach niczym zombie, a ich nogi i pachwiny jadły czerwie. Zastanawiał się wówczas, dlaczego tak kurczowo trzymają się tego podłego życia, które przecież nic im nie dało, co najwyżej upokorzenie, ból i cierpienie; a nawet jeśli kiedyś coś dało, to już dawno wszystko odebrało, co było chyba jeszcze gorsze, bo gdyby wcześniej nic nie dostali, to byłoby im łatwiej znieść, że teraz nic nie mają. Ci paskudni żebracy wciąż jednak żyli i człapali po ulicach, czochrali się, rozsypując po chodnikach tłuste białe robaki, cuchnęli i odbierali tlen innym ludziom tylko po to, aby czasem coś zjeść, wypić, potem wydalić, w końcu umrzeć albo zostać zabitym przez jakiegoś wyrostka, który chciał sobie urozmaicić nudne życie albo pragnął poczuć smak krwi, bo snuł wizje dołączenia do lokalnego gangu bądź kartelu pokroju tych z Medellín czy Cali. Nigdy nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, podobnie jak na to, co on robi na tym skurwiałym świecie i dlaczego Stwórca obdarzył go tym popędem, którego nie mógł pohamować, a za który tak się nienawidził, bo przecież nie chciał krzywdzić tych dzieci, Bóg mu świadkiem, że nie chciał. W takich momentach jego myśli zwracały się ku Szatanowi, upadłemu aniołowi, który sprzeciwił się Bogu i stworzył własne królestwo w podziemiach, a czasem wychodził na powierzchnię i perfidnie kusił takich jak on. Czy to była jego sprawka? Czy to Szatan umościł się w jego sercu? Gdy na widok młodego chłopca czuł łaskotanie w podbrzuszu, wiedział już, że nie spocznie, póki nie zaspokoi żądz, w innym

przypadku łaskotanie przerodzi się w drapanie, coraz to bardziej żarłoczne, jakby gdzieś głęboko w jego wnętrzu zagnieździła się poczwara nie z tego świata, która przy próbach załagodzenia tej niepohamowanej chuci, karząc go, rozdarłaby tkanki i wyrwała się z brzucha swego nosiciela, pozostawiając go samemu sobie, umierającego, zdanego na łaskę i niełaskę innych żarłocznych istot, o nich zaś nawet nie chciał myśleć, bo się ich bał, wystarczy, że tak często pojawiały mu się we śnie.

Wszystko to sprawiało, że choć przyznawał się do głębokiej depresji, poczucia bezwartościowości czy myśli samobójczych, i tak regularnie oszukiwał lekarzy. Wiedział, że gdyby tylko napomknął o swojej osobliwej naturze, o prześladowających go snach, niewolących go fascynacjach, ktoś kiedyś mógłby podjąć decyzję, która mogłaby drastycznie zmienić jego życie. Nawet nie chciał myśleć, jak zareagowałaby gnieźdząca się w jego wnętrzu istota, która niekarmiona w ostatnim czasie widokiem młodych chłopięcych ciał bez wątpienia czuła coraz większy głód, a może nawet gniew – tak czy siak, prędzej czy później jej apetyt musiał zostać zaspokojony. Podczas terapii starał się więc zachowywać naturalnie, skrzętnie wykonywał zalecenia lekarzy, brał wszystkie przepisane leki, a nawet podejmował się drobnych prac, najczęściej w przyszpitalnym ogrodzie. Pielenie i przycinanie kwiatów na swój sposób go uspokajało, a istotę, która w nim mieszkała – usypiało, dlatego pracował chętnie, nie próżnował, a nawet czerpał z tego satysfakcję. Najbardziej obawiał się rozmów z psychiatrami, którzy w jego ocenie byli ludźmi światłymi, na pewno zaś dużo mądrzejszymi od niego, potrafiącymi wyłuskać okruszki jego natury podczas niby-pospolitych i bezpretensjonalnych dyskusji, aby później siadać przy biurku i analizować każdy ruch, gest czy słowo, a w końcu wyciągać wnioski i próbować przewidzieć, czy ich pacjent

na pewno nie będzie próbował odebrać sobie życia albo – co gorsza – chodzić po obskurnych uliczkach biednych dzielnic i szukać małych chłopców, by następnie brutalnie ich bałamucić. Miał wrażenie, że podczas takich rozmów istota w nim się rozbudzała, wtedy jej apetyt rósł, a w jego głowie pojawiały się obrazy, których nie chciał widzieć – te z przeszłości i te z przyszłości, sam nie wiedział, które były gorsze. Pewnego razu o mało nie przejęła nad nim kontroli, a on się nie wygadał. Jeszcze zanim zjawił się w gabinecie doktora Gustavo Montoi, czuł wyraźną nerwowość. Lekarz był mikrej postury mężczyzną po czterdziestce, z wyraźnie zarysowanymi zakolami i okularami w rogowych oprawkach, za którymi kryły się oczy ciemne niczym dwa węgielki. Wystające kości policzkowe i wąskie usta zdradzały wrodzoną powściągliwość, a może nawet surowość, choć mężczyzna wydawał się przyjaźnie nastawiony, co nieco burzyło, a na pewno w jakiś sposób skrzywiało jego wizerunek, który Luis stworzył w swojej głowie. Z początku zajmowali się jego sferą emocjonalną i sytuacją psychofizyczną, ale w pewnym momencie rozmowa zeszła na temat dzieci, co zawsze budziło w nim z trudem ukrywany dyskomfort. Wtedy węgielki błysnęły za szklami jak dwa czarne diamenty, kanciaste rysy twarzy lekarza stwardniały i pacjent był prawie pewny, że doktor go przejrzał na wylot, odkrył każdy popełniony grzech, jakby miał je wszystkie wypisane na czole. Mało tego, siedząca do tego momentu spokojnie istota zaczęła drapać jego podbrzusze – wyglądało na to, że sam dźwięk słowa *niño*²⁸ rozbudzał w niej żądzę niemal niemożliwą do poskromienia. Luis nie mógł jednak unikać odpowiedzi, jeśli nie chciał wzbudzać podejrzeń, w pewnym momencie trochę się jednak zagalopował.

– Chciałby mieć pan dzieci? – zagadnął go doktor, ot tak, bez zbędnego przygotowania pacjenta na tego typu pytanie.

– Tak, bardzo. Dobrze się czuję w ich towarzystwie – odparł Luis i od razu tego pożałował, bo zabrzmiało dwuznacznie, przynajmniej z jego perspektywy, która była wyraźnie skrzywiona, tak że coś, co innym mogło wydawać się naturalne, w jego odczuciu brzmiało, jakby właśnie przyznał się do winy.

– Może pan rozwinąć tę myśl?

– To znaczy... – Poczuł, że panikuje, tym bardziej że doktor bacznie przyglądał się jego reakcjom, także dłoniom i stopom, głównie zaś czołu, oczom i ustom. – Czuję się dobrze... no... rozumie pan, doktorze. Lubię je... to znaczy...

– Czy to pytanie sprawia, że czuje się pan atakowany?

– Nie. Nie. Absolutnie.

– Hmm...

Gdyby Luis był lepiej wykształcony albo interesowałby się nauką o zachowaniach behawioralnych, zapewne wiedziałby, że potrójne zaprzeczenie każdemu doktorowi zwykle dawało do myślenia, bo w języku psychiatrów „nie, nie, nie” znaczyło mniej więcej to samo co „tak”.

– Odnoszę inne wrażenie... – skonstatował lekarz, nieco skracając dystans.

– Ja... po prostu bardzo chciałbym mieć dzieci. To znaczy r-r-rodzinę. Chciałbym kiedyś z-z-założyć rodzinę.

– Rodzinę...

– Tak, rodzinę.

– Hmm...

Doktor Montoya był dobrym psychiatrą o przenikliwym umyśle, ale często pracował o wiele za długo, co skutkowało przepracowaniem i chronicznym zmęczeniem, a do tego miał problemy rodzinne. Gdy zatem spojrział na wyniki dotychczasowych badań, postanowił dać pacjentowi szansę, wszak takich jak *señor*

Garavito miał na pęczki. Postawił więc diagnozę, podpisał papiery i udał się na zasłużony odpoczynek. W papierach pozostała depresja, a dokładnie depresja reaktywna, depresję zaś można było leczyć także poza murami szpitala, jeśli pacjent nie wykazywał wyraźnych oznak, że znów targnie się na swoje życie.

Luis uśmiechnął się na tę myśl i dalej żuł źdźbło trawy, mrużył oczy i wpatrywał się w gęstą pajęczynę uliczek slumsów Manizales. Już za godzinę miał przyjść do pracy doktor, którego imienia nawet nie pamiętał, ale to właśnie na jego biurku od wczorajszego wieczora leżał długo wyczekiwany wypis.

Luis Alfredo Garavito Cubillos już wiedział, gdzie spędzi wieczór. Wiedział też, że na pewno nie spędzi go w samotności.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Do szpitala psychiatrycznego San Juan de Dios w Manizales przybyliśmy jeszcze przed południem, po około trzygodzinnej podróży z Armenii. Rzeczywiście temperatura była dużo przyjemniejsza i oscylowała wokół dwudziestu kilku stopni Celsjusza, głównie za sprawą wysokości, gdyż stolica departamentu Caldas leży na kilku wzgórzach pnących się na co najmniej dwa tysiące dwieście metrów nad poziomem morza. Samo miasto jest zdecydowanie najbardziej – jak by to nie zabrzmiało – cywilizowane (pomijając Bogotę, o której jeszcze napiszę). Zamieszkuje je nieco ponad czterysta tysięcy ludzi, a znane jest z najlepszych w Kolumbii uniwersytetów i – jak to w Eje Cafetero – produkcji, a raczej obróbki kawy.

Szpital mógł robić wrażenie. Sama bryła oczywiście różniła się od tej sprzed przeszło czterdziestu lat, bo obiekt został odremontowany, a ponadto dobudowano kilka skrzydeł, co nie zmienia faktu, że nawet w latach osiemdziesiątych San Juan de Dios był jednym z najlepszych i najnowocześniejszych tego typu

obiektów w Kolumbii. Teren jest ogrodzony wysokim płotem i dla osób postronnych zamknięty, ale dzięki uprzejmości szefa strażników (niestety, nie zapisałem imienia) mogliśmy wejść do środka, pod warunkiem że nie będziemy nagrywać ani robić zdjęć. I tu biję się w pierś – nie dotrzymaliśmy umowy i mieszczącą się w dłoni kamerką GoPro 10, którą Przemek Żmuda przymocował do paska spodni i nakrył koszulką, udało nam się zrobić kilka ujęć, oczywiście głównie na własny użytek. Pamiętam, jak przysiedliśmy na zielonej trawie jednego z bardzo charakterystycznych miejsc, z którego rozpościerała się panorama na Manizales. Widok był obłędny. U podnóża najwyższego wzgórza znajdowały się najbiedniejsze dzielnice, które z każdym kolejnym metrem przechodziły w bardziej zamożne, aby na samym szczycie zwieńczonym monumentalną katedrą La Catedral Basílica Metropolitana Nuestra Señora del Rosario de Manizales (Bazylika Katedralna Matki Bożej Różańcowej w Manizales) przeobrazić się w nowoczesne i kolorowe miasto, którego nie powstydzilyby się turystyczne metropolie południa Europy. Podobno Luis Garavito bardzo lubił przesiadywać w owym miejscu i podziwiać ten widok. Co działało się wtedy w jego głowie? O czym myślał? Tego pewnie nie dowiemy się nigdy, ale podczas jednego z przesłuchań wyraźnie powiedział, że już pierwszego dnia po opuszczeniu szpitala ruszył na łowy i zgwałcił chłopca.

Diagnoza, jaką postawiono Garavito po pierwszej wizycie w szpitalu San Juan de Dios, była bez wątpienia niepełna, a dziś z pełnym przekonaniem można stwierdzić, że po prostu błędna. Podpisał ją doktor Gustavo Montoya, a brzmiała tak: Powód konsultacji: Lenistwo w pracy, nienawiść do innych, choroba nerwowa i chęć samobójstwa.

Badanie psychologiczne: Pacjent zgłasza się dobrowolnie, sam szuka pomocy medycznej. Dobrze przedstawił własne problemy. Zorganizowany. Sumienny. Orientuje się w czasie, przestrzeni i miejscu, w którym przebywa. Ma myśli samobójcze. Kalkuluje i rozumie w dobrym stopniu. Nastrój: zmartwiony i nieco przygnębiony, smutny z powodu swojego problemu.

Zalecenia: 1. hospitalizacja. 2. zabiegi EW. 3. triptanol. Wypis: marzec 1980 r. Podczas pobytu w klinice pacjent otrzymuje leczenie skojarzone z zastosowaniem EW w sześciu sesjach oraz wyłącznie doustne leki przeciwdepresyjne. Dzięki tego typu terapii uzyskano całkowite wyleczenie stanu psychicznego, który był przyczyną hospitalizacji, dlatego zezwolono mu na opuszczenie szpitala w ramach leczenia ambulatoryjnego z zastosowaniem triptanolu w dawce 75 mg dziennie, z obowiązkiem zgłaszania się na wizyty kontrolne u psychiatry w mieście Armenia. Niezdolność do pracy 25 dni.

Diagnoza: depresja reaktywna.

Trudno jednoznacznie ocenić, dlaczego doktor Montoya ograniczył się do tak skąpej diagnozy. Możemy tu tylko gdybać, w każdym razie wypuścił na wolność bestię, która już wkrótce miała doprowadzić setki matek i ojców do rozpacz. Co gorsza, powtórzył ten błąd kilkakrotnie...

Luis Garavito wyszedł ze szpitala i wrócił do Armenii. Tam, po przejściu kuracji, podjął kolejną próbę stworzenia normalnego związku z kobietą.

Rozdział 5

Manizales, Kolumbia, wrzesień – grudzień 1980 roku

Luis leniwie przekręcił głowę. Po porannym rozładunku w strugach deszczu był skonany i nie w smak mu były pogawędki.

– Jesteś tu nowy, prawda? Ja też pracuję dopiero od kilku dni. Nazywam się Claudia.

Kobieta wyciągnęła dłoń, aby się przywitać. Garavito odstawił puszkę fasoli na półkę, podniósł się i uścisnął rękę koleżanki z pracy.

– *Hola*. Ja jestem Luis Alfredo. *Mucho gusto* ²⁹.

– Ładne imiona. Mój kuzyn też ma na imię Luis, przyjaciel Alfredo. Obaj dobrze mi się kojarzą.

– Spoko.

– Idziesz na przerwę śniadaniową? W zasadzie to już czas.

– O...

Luis zerknął na zegarek. To była jedyna rzecz, której nigdy, nawet w najbardziej podłym położeniu się nie pozbył, przerwa była zaś tym, czego teraz potrzebował, choćby po to, aby na chwilę legnąć na stole i się przespać.

Uśmiechnął się sztucznie i ruszył w ślad za nowo poznaną koleżanką. Jego wzrok od razu przykuły jej nienaturalnie duże pośladki, które kołysały się w lewo i w prawo w rytm jej dość

figlarnie stawianych kroków. Przez myśl przemknął mu obraz dwóch kawałków lśniącego mięsa, ale otrząsnął się i instynktownie zerknął, czy w pobliżu nie czai się kierownik. Nie było go w zasięgu wzroku, po sklepie krążyło między półkami tylko kilka klientek i jakiś obdartus, łakomym wzrokiem pożerający regał, na którym wystawiono alkohole. Na zapleczu usiedli przy niewielkim stole nakrytym ceratą w liście palmowe.

– Kawy czy herbaty? – zapytała, gdy przeszukiwał plecak, w który wcisnął dwie suche arepy.

– Kawy – odparł i ponownie wyobraził sobie jej pośladki, znów przywołując skojarzenie z dwoma kawałami lśniącego mięsa. Przypalił papierosa.

Claudia była od niego starsza o dobrych kilka lat, ale chyba nie przekroczyła trzydziestki. Niska i raczej przy kości, mimo to poruszała się lekko i zgrabnie, jakby te kilka dodatkowych kilogramów nie miało na jej aktywność żadnego wpływu. Podobała mu się też jej jasna karnacja i piękny, szeroki uśmiech, mniej zaś ciemne oczy, w których kryła się jakaś trudna do zdefiniowania tajemnica, bo on tajemnic nie lubił.

– Jesteś z Armenii? – zapytała, gdy postawiła już na stole kubek z aromatyczną kawą Juan Valdez i również zapaliła.

– Z Génovy. To niewielka wioska w górach na południowy wschód od Armenii. A ty?

– Rodowita armenianka.

– Fajnie.

– Czy ja wiem?

– Co masz na myśli?

– No... – dmuchnęła w parującą powierzchnię i upiła łyk – życie w mieście wcale nie jest takie fajne, jak by się mogło wydawać. Przynajmniej dla ludzi takich jak ja. Wiesz, o co mi chodzi...

– Ja wolę miasto – rzucił Luis, nie odnosząc się do ostatnich słów kobiety.

– A ja wołałabym więcej spokoju. Ciszy. Lubię obcować z naturą. Tutaj tylko hałas i smród. No i przestępczość. Wciąż ktoś kogoś zabija, czasem za kilka pesos.

– Masz chyba małe pojęcie o tym, co dzieje się w górach...

– No tak, *guerillas*. Ale ostatnio już chyba nie są tak aktywni jak wcześniej.

– W sumie nie wiem. Dawno tam nie byłem. Będzie z piętnaście lat.

Do niewielkiego pomieszczenia weszło dwóch innych pracowników. Na jednego mówili Pacho, a na drugiego Flaco. Nie lubił ich, bo uważał, że patrzą na niego z góry, i miał przekonanie graniczące z pewnością, że ciągle potajemnie go obgadują, postanowił więc uciąć rozmowę, która niebezpiecznie zaczęła schodzić w obszary polityki. Sam niespecjalnie interesował się tym, co dzieje się na szczytach władzy, ale wołał dmuchać na zimne, bo w takim mieście jak Armenia bez wątplenia było tylu zwolenników liberałów, co konserwatystów. Nie chciał być jednoznacznie kojarzony z tymi pierwszymi, a każdy Kolumbijczyk doskonale wiedział, że lider lewicowych bojówek FARC, Manuel Marulanda, urodził się w Génovie. Pomyślał, że niepotrzebnie zdradził koleżance miejsce swojego pochodzenia, to nie było zbyt rozsądne.

Skupił się na jedzeniu. Claudia najwyraźniej wyczuła jego obawy i również zamilkła. Uznał to za miły gest z jej strony i pomyślał, że musi być serdeczną i dobrą kobietą. Gdy czas przerwy minął, pożegnała go szczerym uśmiechem i to dało mu do myślenia – przez kolejne cztery godziny nie mógł skupić się na pracy. Mylił puszki fasoli z tymi z kukurydzą, banany z platanami i pasztety wieprzowe z wołowymi. Kierownik dwukrotnie zwrócił mu uwagę, ale zrobił to

bez złych zamiarów, a gdy nadeszła kolejna przerwa, Luisowi trzęsły się dłonie.

– Co robisz dziś wieczorem? – zapytał prosto z mostu, gdy poszli napić się herbaty.

– Chcesz się ze mną umówić?

– No...

– Nic nie robię.

– To może...

– Chętnie, ale najpierw muszę spytać mamy, czy zajmie się dziećmi. Jeśli znajdzie czas, to z przyjemnością dam się porwać.

– Masz dzieci?

– Synek ma na imię Jesus, a córka Angela. Może kiedyś je poznasz.

Luis Garavito uśmiechnął się, gdy poczuł znajome łaskotanie w podbrzuszu. Odprowadzając kobietę wzrokiem, już siebie nienawidził, bo wiedział, że jej szerokie biodra nie mają z tym łaskotaniem absolutnie nic wspólnego.

* * *

Tego ranka Luis nie był w humorze. Trzasnął drzwiami, nie bacząc na krzyki Claudii, bo myśl o poprzedniej nocy przyprawiała go o ból głowy. Kierownik Marín w końcu wszystko mu wygarnął i wyrzucił go z pracy, ot tak, jak wyrzuca się z domu psa, który obszczał buty, albo awanturującego się nieproszonego gościa. Luis z tego powodu znów się upił i ruszył na łowy. Zgwałcił ośmioletniego chłopca, którego imienia nawet nie zapamiętał. Gdy wrócił do domu, Claudii akurat musiało zebrać się na amory. Może przeczuwała, że coś jest nie tak, i chciała znaleźć pretekst, aby w końcu się go pozbyć, a może pragnęła wynagrodzić mu fakt, że kierownik go upokorzył, to go jednak nie obchodziło. Co z tego, gdy nie chciała odpuścić.

– Luis? Co z tobą? – pytała po maratonie lizania i ssania jego sflaczałego członka. Starła się, jak mogła, ale jego sprzęt zdawał się zupełnie bezużyteczny, tak jak tydzień wcześniej i miesiąc wcześniej.

– Rozumiem, że możesz czuć się przytłoczony przez to, co stało się w pracy, ale...

– O co ci znowu chodzi? – wycedził, poprawiając zaparowane okulary. Podparł się na łokciach, a na jego twarzy wykwitł gniewny grymas.

– No, że... no, że ci nie staje. Nie podobam ci się czy co? – Poluzowała palce na jego członku i wierzchem ręki ostentacyjnie wytarła usta, po czym podniosła się z kolan i sięgnęła po kubek z wodą.

– Mówiłem, że jestem zmęczony. I chyba za dużo wypilem – westchnął, próbując ukryć prawdziwy problem.

– Nie wiem, Luis. Naprawdę nie wiem. Słyszę coś takiego któryś raz z rzędu. Spotykamy się od blisko czterech miesięcy, ale... – Zatrzymała się i przygryzła dolną wargę. Nie chciała, aby jej słowa brzmiały zbyt dosadnie. – Staram się jak mogę, ale musisz mi pomóc. Przez ten czas uprawialiśmy seks może z pięć razy i ani razu nie skończyłeś. Teraz to już w ogóle...

– Zamknij się!

Garavito zerwał się z kanapy i skoczył ku partnerce, uniósł rękę, a ona instynktownie cofnęła się kilka kroków w kierunku kuchennej lady. Na jej twarzy odmalował się lęk, lecz daleko jej było do przerażenia, a gdy zaplotła palce na rękojeści noża, jej usta wygięły się w grymasie pogardy. Luis zacisnął zęby.

– Pierdol się! – warknął i wyszedł, wcześniej chwyciwszy w dłoń butelkę z niedopitą brandy.

Gdy się obudził, leżał na podłodze we własnych wymiocinach. Z pokoju obok dobiegał odgłos grającego telewizora. Podniósł się,

czując, jak ból niemal rozrywa mu czaszkę, a następnie wyśliznął się z sypialni, próbując nie zwracać na siebie uwagi. Claudia, choć nie spała, nawet na niego nie spojrzała, leżała w salonie na kanapie, a na szafce obok, w zasięgu jej ręki, widać było kuchenny nóż. Pomyślał, że naprawdę nabroił, ale z ulgą odnotował, że na koszu na ubrania znajduje się świeży komplet jego ciuchów, szybko więc umył się pod kranem i przebrał, a następnie w milczeniu podsmażył dwie arepy z jajkiem. Od czasu do czasu zerkał na partnerkę, ale Claudia wyglądała na wyjątkowo nieprzejednaną. W końcu nałożył śniadanie na talerze i postawił naczynia na ławie.

– Zjesz ze mną? – zapytał, ale partnerka uparcie milczała.

Zaczął posilać się sam. Zdawał sobie sprawę, że musi jakoś wybrnąć z tej sytuacji, tym bardziej że nie miał własnych pieniędzy, bo te skończyły mu się tydzień temu i od tej pory żył na koszt Claudii. Gdy zjadł, umył talerz i rzucił jej spolegliwe spojrzenie. Złapał na chwilę kontakt wzrokowy.

– Przepraszam – powiedział. – Wczoraj przesadziłem. Nie powinienem...

– To nie ma sensu – przerwała mu. Podniosła się i skrzyżowała ręce pod piersiami. – Myślę, że powinieneś się wyprowadzić – dodała oschle.

Garavito słyszał to nie pierwszy raz, ale zabolalo jakby mocniej. Gdzie miał się podziać, no gdzie, skoro był bez grosza i bez pracy, przecież znów znalazłby się na dnie.

– Naprawdę nie chciałem. Przygotowałem ci śniadanie. To w ramach przeprosin – kajał się.

– Arepa to twój sposób na udany związek? – Claudia rzuciła mu pytające spojrzenie, ale było w nim coś więcej, jakaś pogarda, a może i drwina. W Luisie wezbrał gniew, ale zdołał utrzymać emocje na wodzy i nie odpowiedział, ona zaś kontynuowała: – To za

mało, Luis. Pieprzona arepa nie zastąpi w związku faceta z krwi i kości. Widziałeś siebie w lustrze? Chłopie, zabrałeś się do robienia śniadania, a nie posprzątałeś rzygowin w sypialni!

Luis przełknął ślinę. Patrzył na Claudię z mieszaniną wstydu i wściekłości. Nie wiedział, co odpowiedzieć, nie miał na podorędziu żadnych przekonujących argumentów, a jedyny, jaki przychodził mu do głowy, blokowała świadomość, że w zasięgu ręki kobiety leży kuchenny nóż. Bez wątpienia przygotowała się do tej rozmowy.

Claudia westchnęła, jakby zrozumiała, że posunęła się za daleko. Odebrał to jako kolejny przejaw pogardy.

– Zrozum, Luis, że nic z tego nie będzie. Nie uda się nam. Nie ma na to szans.

– To co mam teraz zrobić?

– Jesteś dorosły. W mieście pracy nie brakuje. Radź sobie.

Spojrzenie Claudii stało się lodowate. W oczach innych kobiet w podobnych sytuacjach zwykle tlił się żar, niemal płonęły żywym ogniem, przemawiały przez nie gniew i pogarda. Tamte wrzeszczały na niego, wyzywały go od impotentów i pedałów, a jedna nawet wypomniała mu w nerwach, że bardziej kręca go wałęsające się po parku dzieci niż dorosłe kobiety, i w duchu nie mógł nie przyznać jej racji, co nie znaczyło, że przychodziło mu to z łatwością. Nienawidził siebie za to, a co gorsza, z każdym kolejnym łóżkowym niepowodzeniem jego frustracja rosła odwrotnie proporcjonalnie do pociągu do kobiet, dlatego pił więcej i więcej, coraz bardziej pograżając się w depresji. I choć Claudia była w tej kwestii najbardziej wyrozumiała, nawet ona w końcu się poddała.

Poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Odwrócił się, oparł dłonie o stół i zamknął powieki. Jej milczenie stało się torturą. Miał wrażenie, że specjalnie się nad nim pastwi, szydzi z niego, kpi. Wtedy przemknął mu przez głowę obraz, który sprawił, że poczuł

nagły przypływ podniecenia. Jej twarz wykrzywiona w grymasie bólu, rozplątany brzuch, śliskie i ciepłe jelita przelewające się przez jego palce. Błyszczały tak kusząco, a on miał w szafce żyletki i mógłby to zrobić, tu i teraz. Gdy w jego głowie rozległy się paniczne wrzaski wybebeszanej kobiety, usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi wejściowych, a do pokoju z impetem wdarły się jasne, niemal oślepiające promienie styczniowego słońca.

– Walizkę masz spakowaną. A skoro już zjadłeś, to wyjdź, proszę. Wyjdź i nie wracaj.

Te słowa były niczym sztylety. Jakby słyszał matkę. „Wyjdź i nie wracaj”, powiedziała, gdy w końcu pękł i w przypływie pijackiej szczerości przyznał się, że nie jest taki jak inni, że czuje pociąg do chłopców. Ojciec wściekł się jeszcze bardziej, ale nie miał już nad nim takiej władzy jak kiedyś. Stary, zniszczony przez alkohol i narkotyki, nie był w stanie podnieść ręki na dorosłego syna bez obaw, że nie ujdzie mu to na sucho. Luis nie miał jednak innego wyboru i odszedł, zresztą specjalnie z tego powodu nie rozpaczał, bo zdążył znienawidzić tak ojca, jak i matkę, która od lat na to wszystko dawała przyzwolenie, pogrążona w głębokiej depresji, zdeptana, gnijąca za życia. To było bolesne, ale gdy tylko opuścił dom rodzinny, poczuł zastrzyk adrenaliny, jeden z tych, które ludzie czują, gdy otwierają się przed nimi nowe możliwości, i bez oglądania się za siebie wsiadł do autobusu do Armenii.

Dziś te słowa brzmiały inaczej, boleśniej, poruszyły wszystkie najczulsze struny. Poprzednie partnerki przynajmniej dały mu okazję do riposty, z czego nigdy nie omieszkiał skorzystać, i gdy się rozstawali, latały talerze i biły pioruny. Claudia zachowała się jak matka. Spakowała go, gdy spał, poprosiła, aby wyszedł – tak po prostu.

Luis spojrzał na swoją czarną skórzaną walizkę. Wcześniej jej nie zauważył albo po prostu nie chciał zauważyć. Raczej mało okazała, trochę już sfatygowana, stała pod ścianą, tuż przy drzwiach, czekała, by złapał ją za uchwyt i opuścił mieszkanie. Wizje lśniących wnętrzności między jego palcami wyparowały, ustępując napływającemu poczuciu odtrącenia i beznadziei. Poczuł, że zaraz pęknie i zacznie beczeć jak dziecko – nie mógł dać Claudii tej satysfakcji. Nie był w stanie wydusić z siebie słowa, choćby małej obelgi, która trafiłaby kobietę prosto w serce. W końcu, gdy łzy coraz obficiej zaczęły zbierać się w kącikach oczu, rzucił się w kierunku drzwi, porwał walizkę i bez słowa wyszedł z domu, trzaskając drzwiami – na tyle go było stać.

Większość dnia spędził, wałęsając się po obskurnych uliczkach i parkach. Za wygrzebane z kieszeni kilka pesos kupił alkohol i pod wieczór, totalnie zamroczony, przysnął na jednej z ławek. Śniły mu się rogate stwory, góry czaszek i morze wnętrzności. Taplał się w nich jak w lawinie błotnej, osaczały go, zniewalały, plątały i owijały się wokół jego ciała, barwiąc skórę na czerwono, tak że on też błyszczał jak one, mienił się tysiącem odcieni szkarłatu, lśnił niczym demon zemsty. Zewsząd wybrzmiewały pojękiwania, tak ludzkie, jak i nieludzkie – nie miał wątpliwości, że wyrażają ogrom cierpienia; inne przypominały wielorybi śpiew sączący się do uszu niczym obietnica spotkania z czymś równie potężnym jak te właśnie bestie, największe istoty zamieszkujące ziemię. Gdy próbował ustalić, skąd dochodzą, natychmiast otaczały go dziwne, bezkształtne cienie, rozmywające się w purpurowym mroku. Nie był pewny, czego chcą, miał jednak wrażenie, że w jakiś perwersyjny sposób się z nim drocą, drażnią, judzą go. Cała ta sceneria wydawała się z piekła rodem, ale o dziwo, nie czuł się zagrożony, raczej otoczony opieką, a może nawet na swój sposób hołubiony

niczym długo oczekiwany gość, który przyleciał z odległego zakątka świata, tak dalekiego, że przypominał już nie człowieka, a legendę, czy może nawet istotę boską, której należy oddać zasłużony hołd.

Ze snu, bo trudno było go nazwać koszmarem, wyrwał go huk wystrzałów, chwilę później ciszę rozdarły krzyki i brzęk tłuczonego szkła. Otworzył oczy, próbując zrzucić z siebie krwawą senną pajęczynę, wtedy spomiędzy drzew wyłoniło się kilka postaci. Mężczyźni przemknęli obok, a Luis przycisnął swoją walizkę do piersi w nadziei, że nie zostanie dostrzeżony. Odetchnął, gdy znów został sam, ale szybko pojął, że nie może pozostać w tym miejscu dłużej. Nietrudno było się domyślić, że w pobliżu doszło do jakiegoś napadu i być może na miejscu zaraz zjawi się policja. Kiedy, poprawiwszy okulary, podniósł się z ławki, poczuł w kroczu nieprzyjemny chłód, a gdy włożył dłoń w majtki, zdał sobie sprawę, że podczas drzemki ejakulował.

Pomyślał, że musi znaleźć bezpieczne schronienie, i pośpiesznie oddalił się w stronę centrum miasta.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Nie jest jasne, w jakich dokładnie okolicznościach Luis Garavito poznał Claudię, stało się to jednak w czasie, gdy pracował w Supermercados Centrales, czyli sieci placówek przypominających nasze rodzime dyskonty. Kobieta była kosmetyczką i czasem dorabiała, pracując w sklepach. Ten czas wspominał tak:

– Tam właśnie poznałem Claudię. Zamieszkaliśmy razem. Miała czternastoletniego syna o imieniu Jesus i śliczną małą córeczkę, która wyglądała jak gringo. Myślę, że bardzo mnie kochała, chyba nazywaliśmy ją „Tatu”. W każdym razie odżyłem. Znów zacząłem uczęszczać na sesje Anonimowych Alkoholików.

Chodziłem na basen, na spacer, czułem się z Claudią bardzo dobrze. Była zatrudniona w salonie piękności, kiedy ja pracowałem w supermarketach. Unikałem z nią stosunków seksualnych, ale zależało mi na tym, aby ludzie mnie z nią widzieli, żeby wyglądało, iż tworzymy w miarę normalną rodzinę. Pamiętam, że musiałem wydawać na nią dużo pieniędzy.

Okres uspokojenia trwał krótko, bo Garavito z trudem był w stanie zapanować nad swoimi potrzebami. W domu nie mógł ich zaspokoić, ale nauczony doświadczeniem, robił wszystko, aby nie dać po sobie poznać, że ma problem. Podobno nigdy nie molestował syna Claudii. Swoje żądze realizował głównie w czasie przerw w pracy.

– Pracowałem w Supermercados Centrales od poniedziałku do niedzieli, a przerwę miałem tylko w czwartki, pół dnia, i w niedziele, też pół dnia. Poza tym dwie godziny na lunch. Wtedy czasem zaczynało dziać się ze mną coś dziwnego. Przejmowała mnie ta straszna siła, ta istota, trudno to opisać, która jakby załęgła się we mnie, popychała mnie do działania. Około października lub listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku uderzył mnie impuls. Do supermarketu często przychodzili nieletni, wtedy odczuwałem to okropne pragnienie, coś, co zawsze nazywałem siłą lub impulsem, aby być z tym dzieckiem, pieścić je, zgwałcić. W porze obiadu korzystałem z dwóch godzin i jechałem do sąsiedniego miasta Quimbaya. Miałem tam dostęp do nieletnich w zasadzie o każdej porze dnia i nocy. Ja ich tylko pieściłem. Wiązałem, rozbierałem i gwałciłem.

Luis Garavito rozstał się z Claudią po około czterech miesiącach. Jak sam przyznał, z powodu niemożności zaspokojenia partnerki tak pod względem materialnym, jak i – chyba przede wszystkim – seksualnym. Przez cały ten czas uparcie starał się zachować pozory normalności, a jej dzieci podobno traktował z szacunkiem. Był w stanie częściowo pohamować swój popęd względem nieletnich, choć nie potrafił przestać, a przynajmniej ograniczyć zagładania do kieliszka.

Po tym, jak znów trafił na ulicę, popadł w głęboką depresję. Choroba objawiała się na wiele sposobów. Przez jakiś czas był

bezdolny i spał w opuszczonych ruderach czy pod gołym niebem, a gdy udało mu się zdobyć jakieś pieniądze, czasem wynajmował tanie pokoje. Kręciliśmy się po tych dzielnicach – według naszych przewodników niewiele zmieniły się przez minione czterdzieści lat. Wyglądały koszmarnie. Większość budynków – choć to dość śmiałe określenie tych konstrukcji – jest sklecona z blachy falistej, te lepsze z czerwonej cegły albo pustaków, często naprzemiennie, jakby materiał do budowy dobierano z tego, co akurat było dostępne pod ręką. Prawdziwe okna to rarytas, zwykle udające je otwory zastłaniane są szmatami, kanalizacji brak, więc momentami cuchnęło nie do wytrzymania. Zamieszkujący slumsy ludzie patrzyli na nas jak na intruzów, rzadko chcieli rozmawiać. I choć akurat w Armenii nie spotkaliśmy się z sytuacjami bezpośrednio zagrażającymi naszemu bezpieczeństwu (w dzielnicach tych krążyło sporo patroli policji), stres nas nie opuszczał.

W omawianym okresie Garavito zaczął też sporo podróżować, łapiąc się mało wymagających prac, głównie przy uprawach kawy lub trzciny cukrowej. Samotność sprawiła, że nie musiał dłużej kryć się ze swoimi potrzebami. Nieuregulowany tryb życia sprzyjał też coraz silniejszemu uzależnieniu od alkoholu. To wszystko skutkowało tym, że zupełnie puściły mu hamulce i atakował przy każdej nadarzającej się okazji, czasem nawet kilka razy w tygodniu. Dręczyło go to, nie mógł się z tym pogodzić, ale nie był też w stanie nad tym zapanować, dlatego aby choć trochę ulżyć własnemu sumieniu, chodził po wszystkim do kościoła, by się wyświadczyć przed Bogiem i prosić go o wybaczenie. Zaczęły go też prześladować koszmary. Czasem, gdy dotyczyły one gwałtów, których sam był ofiarą w dzieciństwie, budził się zlanym potem; inne nawiązywały do perwersyjnej fascynacji krwią i ciałem. Coraz silniej odczuwał potrzebę dominacji nad swoimi ofiarami.

– Na przełomie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego i osiemdziesiątego pierwszego roku pojechałem do Seville. Zabrałem ze sobą małego chłopca i nagle przestałem odczuwać przyjemność z samych pieszczot i gwałcenia. Dlatego kupiłem

żyłki, świece i zapalniczki. Od tego momentu regularnie wykorzystywałem je podczas gwałtów. Wtedy czułem, że się odprężam, że jest mi dobrze. Gryzłem im sutki i dłonie, nacinałem skórę na ciele, a boki pośladków przypalałem.

To był czas, gdy Luis Garavito zrozumiał, iż prawdziwą przyjemność daje mu nie tylko seks z nieletnimi, ale doprowadzanie ich do totalnej uległości. Odkrył, że im więcej bólu zadaje swoim ofiarom, tym intensywniejsze stają się jego orgazmy. To sprawiło, że jego potrzeby zaczęły gwałtownie skrecać w stronę coraz to bardziej brutalnych i wymyślnych tortur.

Garavito zaczął przeżywać coraz głębszy kryzys. Próbował znaleźć wytłumaczenie dla swoich czynów w Biblii – wtedy też stał się bardzo religijny. Szukał odkupienia, przebaczenia, a nawet kary za swoje grzechy. We wczesnych godzinach rannych budził się zdezorientowany i na wspomnienie każdego gwałtu płakał jak dziecko, ale potem śmiał się sarkastycznie, przypominając sobie radość i orgazmy, jakie przeżywał po każdym gwałcie. Jak twierdził, na szafce nocnej zawsze miał Biblię, gdzie rozpaczliwie szukał psalmów, które przyniosłyby spokój jego duszy i uwolniły od wyrzutów sumienia. Liczył, że dzięki rozmowie z Bogiem otrzyma obietnicę odpuszczenia grzechów. Każdy cytat, który uznał za stosowny, zapisywał w małym niebieskim zeszycie i modlił się na głos, chodząc nago po pokoju. W tym zeszycie z czasem zaczął też zapisywać imiona i nazwiska swoich kolejnych ofiar.

– Zacząłem wtedy zażywać masę mocnych leków psychotropowych, ponieważ znów popadłem w głęboką depresję i kilkakrotnie chciałem popełnić samobójstwo – tłumaczył podczas przesłuchań. – Pewnego dnia spotkałem się z bratem franciszkaninem, bo chciałem założyć grupę modlitewną. Spotykaliśmy się z Luy Chadidem de Rojasem w Pasażu Lopeza, którego właścicielem był Bruno Lopez, a także z ojcem Gilem, który już nie żyje, i z ojcem Rafaelem Blanco. Pewnego dnia pękłem. Powiedziałem, że jestem przygnębiony, że chcę popełnić samobójstwo, aby przestać ranić ludzi. Wyznałem wszystko! Udzielili mi rozgrzeszenia, uklęknałem i obiecałem Bogu, że jeśli

mi pomoże i uwolni mnie od tych żądz, to się zmienię. Przestałem się nawet masturbować. Po tym wyznaniu przez jakiś czas czułem się dobrze. W tym okresie pokochałem życie, uwierzyłem w tak wiele rzeczy i nagle, na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, znów pojawił się ten impuls, który zawsze wbijał mi się w głowę. Musiałem to zrobić. To była potworna siła, nad którą nie byłem w stanie zapanować. W czwartek lub w niedzielę po południu, dokładnie nie pamiętam, w każdym razie podczas przerwy w pracy, znów zacząłem krążyć po ulicach Armenii, rozpaczliwie szukając kolejnych chłopców. Często jeździłem też do nieodległego Calarcá, a jeśli mi się nie udało, wracałem do miejsca pracy lub do domu zupełnie rozbity. Byłem rozkojarzony, miałem bardzo bladą twarz, pocilem się, a moje oczy były wybałuszane. Wielokrotnie rozbijałem lustro, bo wyglądałem okropnie, miałem wrażenie, że moja twarz jest zdeformowana, brzydka. Bliscy mi ludzie pytali mnie: „Alfredo, czy coś jest nie tak, czy masz jakiś problem, czym się martwisz?”. Wiele razy złościłem się na nich, ponieważ nie mieli pojęcia, z jakim potworem w sobie walczę, z tą drapieżną istotą, która żyła we mnie, która zmuszała mnie do popełniania tych wszystkich okrucieństw. Z powodu mojej agresji w stosunku do kolegów z pracy miałem trudności w firmie. Co jakiś czas mnie zawieszano i mówiono, że zachowuję się bardzo dziwnie. Że zawsze działałem im na nerwy, ale także jestem niemiły w stosunku do klientów. Potrafiłem być wobec nich chamski, zwłaszcza wobec tych, których nie lubiłem, ale klientami, którzy dobrze się ze mną dogadywali, zajmowałem się odpowiednio. Kierownika supermarketu, w którym wtedy pracowałem, Antonio Iriarte Marína, nienawidziłem najbardziej. Był bigotem, skąpcem, wiecznie miał do mnie pretensje, patrzył na mnie z góry, bo nie miałem dyplomu. Chciałem się zabić, próbowałem się zabić, podcinając sobie żyły, szukałem bójek, żeby ktoś mnie zabił. Chciałem zniknąć.

W latach 1980–1985 Garavito jeszcze kilkakrotnie wracał na konsultacje do szpitala San Juan de Dios. W tym czasie w zamian za pomoc w opłacaniu rachunków i artykułów pierwszej potrzeby,

głównie jedzenia, pomieszkiwał u Gracieli Zabalety, kolejnej samotnej matki. Ten związek wydawał się najtrwalszy, gdyż oboje zgodzili się, że nie będą uprawiać seksu i tego się trzymali. Garavito zaś swoje potrzeby zaspokajał, gwałcąc chłopców, o czym jego partnerka – jak twierdziła już po schwytaniu Luisa pod koniec lat dziewięćdziesiątych – nie miała pojęcia. Po przeczytaniu Mein Kampf przyszły morderca zafascynował się również nazizmem i samym Adolfem Hitlerem, którego podczas przestępstw nazywał swoim idolem. Nie krył się z tym i regularnie wśród swoich znajomych dawał wyraz uwielbieniu dla przywódcy Trzeciej Rzeszy, a także pochwalał jego politykę, w tym rozwiązanie kwestii żydowskiej i sam pomysł budowy obozów koncentracyjnych. Pogłębiła się jego fascynacja ezoteryką i satanizmem, choć wciąż kompulsywnie czytał Biblię. W końcu znów trafił do szpitala San Juan de Dios, gdzie w zamknięciu spędził równo trzydzieści trzy dni. Po tym czasie doktor Montoya sporządził ocenę pacjenta. Jego diagnoza brzmiała następująco: „Pacjent przytomny, zorientowany, dobrze się prezentujący, czysty, dobrze nawiązuje kontakt z prowadzącym wywiad, bardzo pewny siebie, myśli logicznie. Z utrwalonymi i przewartościowanymi wyobrażeniami na temat religii i swojej choroby. Odpowiednia postawa motoryczna, spójny język, ambiwalentny afekt, odpowiednia perspektywa. Diagnoza: depresja neurotyczna”.

Z tą diagnozą Garavito wyszedł ze szpitala, do którego po dwóch tygodniach miał się stawić na kontrolę. Przez ten czas brutalnie zgwałcił ośmiu chłopców...

Rozdział 6

Manizales, Kolumbia, luty 1984 roku

Luis spojrział w niebo. O tej porze roku zawsze było ono błękitne, a dni zrobiły się ciepłe i słoneczne, choć w wysoko położonym Manizales czasem, zwłaszcza o poranku, pomiędzy szczytami hulał rześki wiatr. Nabrał powietrza w płuca i wcisnął kartkę z wypisem do tylnej kieszeni dżinsów, po czym żwawym krokiem poszedł na przystanek autobusowy.

Nie chciał wracać do źle kojarzącej mu się Armenii, postanowił więc obrać kurs na Pereira, największe miasto i zarazem stolicę departamentu Risaralda. Droga mijiała spokojnie, w autobusie było sporo wolnych miejsc, nikt się do niego nie dosiadł. Pojazd poruszał się powoli, wlokąc się ciasnymi serpentynami w dół zboczy, na których leżało Manizales, jakby z pełną premedytacją chciał nie rozbudzać bestii gnieźdzącej się w ciele jednego z zaledwie czterech pasażerów. Luis też czuł się lepiej. Doktor na odchodne dał mu po dwa opakowania silnych środków antydepresyjnych oraz wypisał recepty na cztery kolejne. To będzie dobry dzień, pomyślał Garavito w błogości po zażyciu leków, które połknął jeszcze w gabinecie doktora Montoi. Oparł głowę o szybę i zamknął oczy.

Obudził go zgrzyt otwieranych drzwi. Rozsunął powieki i niechętnie spojrział na panoramę za oknem. Szybko się zorientował, że są dopiero w Chinchinie, trzydziestotysięcznym

miasteczku mniej więcej w połowie drogi z Manizales do Pereiry. Przetarł oczy i wyciągnął ze schowka zakupione wcześniej piwo, aby nieco złagodzić suchość w gardle. Otworzył puszkę i już miał pociągnąć łyk, gdy na środku autobusu dostrzegł schludnie ubranego młodzieńca. Chłopak rozglądał się niepewnie. Liczył nie więcej niż dwanaście lat i miał na sobie jasnoniebieski T-shirt bez nadruku i ciemniejsze prążkowane spodenki do kolan, nosił kolorowy plecak z wizerunkiem Johna Rambo. Białe czyste adidasy na jego nogach aż lśniły nowością. Tym jednak, co najbardziej rozbudziło wyobraźnię Luisa, była jego jasna cera i niebieskie, ufne oczy. Wyglądał na trochę speszonego, może nawet zagubionego, ale w końcu zajął wolne miejsce trzy rzędy przed Garavito, wyciągnął z plecaka książkę i zatopił się w lekturze.

Suchość w gardle ustąpiła i Luis przełknął nadmiar śliny, następnie popił piwem, czując, że w jego podbrzuszu dzieje się coś, co tak dobrze znał. Tacy zawsze najbardziej mu się podobali, choć gdyby miał określić to bardziej dosadnie, powiedziałby, że działali na niego jak płachta na byka. Jasna cera, niebieskie oczy, tacy subtelni i gładcy, pośród bezdomnych sierot zamieszkujących podłe miejskie slumsy zwykle bywali rzadko spotykanym rarytasem. Przez kolejną godzinę nie mógł oderwać od niego wzroku, a na pierwszym przystanku w Pereirze podniósł się z siedzenia i razem z nim ruszył do wyjścia. Przez kilkanaście sekund stali tuż obok, a ich ciała delikatnie się ocierały – gdy autobus w końcu trochę nazbyt gwałtownie przyhamował, Garavito udał, że niechcący wpada na chłopaka, i przygwoździł go do pustego siedzenia.

– Przepraszam – powiedział łagodnym głosem.

– Nic się nie stało – odparł chłopak, krzywiąc się z niesmakiem, a gdy zdołał się wyswobodzić, przetarł miejsca, które w jego mniemaniu mogły mieć kontakt z nieznanym.

Luis poczuł mieszaną złość i potężnego pożądania, które chwilę później, gdy drzwi się otworzyły, a chłopak pomachał do elegancko ubranej kobiety w czarnych szpilkach i ciemnych okularach, przykrył ogromny zawód. Z trudem opanował wzbierającą złość i zawrócił na swoje miejsce, klnąc pod nosem jak szewc, zły strasznie, że tak dał się podprowadzić, omamić. Zacisnął kolana i spał mięśnie brzucha, jakby chciał powstrzymać próbującą się wyrwać bestię, ona jednak nie dawała za wygraną – drapała, niemal czuł jej ostre pazury. Gdy autobus ruszył w dalszą drogę, już wiedział, że nad nią nie zapanuje, bo obudziła się na dobre. I była bardzo, bardzo głodna.

Wysiadł dopiero w Tribunas, biednej wsi na obrzeżach Pereiry. Takich miejscowości było w Kolumbii bez liku. Zwykle żyli w nich najubożsi mieszkańcy kraju, którzy pracowali w miastach, ale zarabiali tak mało, że nie mieli pieniędzy na utrzymanie się w centrum, albo wegetowali dzięki temu, co udało im się zdobyć lub ukraść. Lubił takie miejsca, czuł się w nich jak ryba w wodzie, nie musiał udawać kogoś, kim nie był. Kontrolnie rozejrzał się po najbliższej okolicy i nerwowo oblizał wargi. Większość skleconych z byle czego budynków nie nadawała się nawet dla zwierząt, mimo to jakimś cudem nigdy się nie zawałyły, jakby chciały rzucić wyzwanie odwiecznym prawom natury. Wałęsające się psy albo nie miały nogi, albo oka, kury bez ładu i składu chłapały po ulicach, a przy głównej drodze, gdzie stało kilka kramów z owocami i knajpa dla podróżnych, kotłowały się tabuny bezdomnych żebraków przypominających kościotrupy powleczone pomarszczoną od słońca skórą koloru nasion kakaowca. Na ich markotnych twarzach zawsze malował się ten sam grymas – mieszanina apatii, zubożenia i totalnej beznadziei. Przypominali mu otępiałe zombie, które ożywały w momentach, gdy w zasięgu ich wzroku pojawiał się ktoś

obcy. Wtedy budzili się z letargu i wodzeni brzękiem monet lub zapachem pieczonego mięsa wyciągali rachityczne ręce i otwierali usta niczym małe sępiątka w gnieździe w nadziei, że podróżny rzuci im jakiś ochłap z resztek po posiłku. Gardził nimi. Byli gorsi od zwierząt, nie nadawali się do niczego. Gdy na nich patrzył, miał ochotę wszystkich ich utylizować. Problem stanowiło to, że rozmnażali się na potęgę, a ich dzieci – zaniedbane, brudne i bardziej nachalne niż dziwki pod przydrożną potupajką – tylko tę patologię pogłębiały.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła piętnasta. Skierował się w stronę parterowego budynku ze skośnym dachem pokrytym pokruszonymi dachówkami. Oplatał go niewysoki, obdrapany mur. Podeszedł do uchylonej bramy i zajrzał do środka. Nad drzwiami wejściowymi wisiał słusznych rozmiarów krzyż, a na placu bawiło się kilkunastu wyrostków. Nie miał wątpliwości, że trafił na jeden z wielu rozsianych po kraju sierocińców prowadzonych przez siostry zakonne, wręcz idealny punkt, aby skusić potencjalną ofiarę. Wielu chłopców skarżyło mu się na warunki panujące w tego typu przybytkach. Dzieci były chowane w surowych warunkach, często stosowano wobec nich przemoc. Te starsze zwykle uciekały jeszcze przed ukończeniem dziesiątego roku życia, lądowały na ulicy, gdzie zaczynały kraść albo sprzedawać swoje ciała. Młodsze rzadko miały wybór i próbowały jakoś przetrwać.

Przez ponad godzinę kręcił się wokół placówki, wyczekując okazji. Ta w końcu nadeszła, gdy dwóch chłopców w wieku około dziewięciu, może dziesięciu lat wymknęło się z placówki, przeskakując przez murek na tyłach budynku. Nie mieli na stopach obuwia. Wyższy i przeraźliwie chudy nosił sprany, zielonkawy T-shirt i podarte spodenki, jego ręce i nogi przypominały uschnięte gałęzie, drugi miał na sobie tylko nieco za duże dżinsowe spodenki

z obstrzępionymi nogawkami i co chwilę je podciągał. Śmiali się, truchtając w jego kierunku, wydawali się szczęśliwi. Luis pomyślał, że trafił idealnie.

– *Hola, chicos* – przywitał się, po czym postawił na ziemi skórzaną walizkę i teatralnie otarł pot z czoła. – Nie chcielibyście zarobić? Tam przy plantacji kawy prowadzę kilka cieląt i potrzebuję zapakować je na wóz. – Wskazał dłonią nieodległy pofałdowany teren za paroma rozpadającymi się chałupami.

– A ile pan zapłaci, *señor*? – zapytał chudzielec, spluwając po męsku na ubity piach.

– Pięćset na głowę. – Garavito wyjął z kieszeni kilka banknotów, wtedy ciemne źrenice obu chłopców natychmiast rozbliły się pożądaniami.

– Co trzeba zrobić? – dopytał drugi z nich.

– Chodźcie, to wam pokażę...

Dziesięć minut później przedzierali się już pomiędzy krzewami dojrzewającej kawy. Luis wytłumaczył im, że cielęta znajdują się po drugiej stronie wzgórza, więc nie zadawali pytań, śmiali się i przekomarzali, a on z każdym krokiem czuł coraz większe pożądanie, miał wrażenie, że zaraz wybuchnie.

– Daleko jeszcze? – zapytał ten w za dużych spodenkach.

– Już blisko – odparł Luis.

Chwilę później eksplodował.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

W samym Tribunas nie zatrzymaliśmy się nawet na chwilę, bo nasi przewodnicy dość kategorycznie nam tego zabronili.

– Uwierz, że to nie jest najlepsze miejsce na obiad... – rzucił Roberto i przemknął przez miścinę, nie dając nam większych

szans, aby przyjrzeć się bliżej okolicy.

Okazało się, że Tribunias to obecnie już prawie dzielnica Pereiry, skrajnie biedna, co dało się zauważyć nawet przez szybę samochodu. Wystarczy wspomnieć, iż nie dostrzegłem tam ani jednej chałupy wyglądającej na taką, która zaraz nie miałyby się zawalić pod własnym ciężarem. Piszę o tym, bo zanim przejdziemy do dalszych uwag o samym Garavito, chciałbym wam pokazać, że tego typu miejscowości są rozsiane po całej Kolumbii i to właśnie w nich mieszka ponad połowa społeczności, dla której każdy kolejny dzień to walka o przetrwanie. Niech za przykład posłuży nasza wizyta w przydrożnej knajpie w podobnej poddzielnicy na północ od Pereiry.

Zatrzymaliśmy się w owej knajpie, wracając z Manizales do Pereiry. Zrobiliśmy to nauczani doświadczeniem potwornych korków w centrum stolicy departamentu Risaralda, a że byliśmy już bardzo głodni, woleliśmy posilić się przed wjazdem do miasta. Gdy zaparkowaliśmy, do samochodu od razu podeszło kilku nastoletnich chłopców w nadziei, że uda im się wyżebrać trochę pieniędzy. Jednemu z nich, na oko bardziej rozbudowanym niż pozostali, Roberto wręczył kilkaset pesos w zamian za popilnowanie samochodu. O tym jeszcze nie wspominałem, ale podobne postępowanie w Kolumbii – zwłaszcza gdy pasażerami są gringos, czyli w tym wypadku my – to coś absolutnie naturalnego. W takich wioskach czy dzielnicach bieda jest tak dotkliwa, że sposobność splądrowania auta wydaje się na tyle atrakcyjna, iż nie odstrasza od niej ewentualna kara, stąd konieczna ostrożność. Z początku nie do końca dawałem temu wiarę i myślałem, że nasi przewodnicy trochę wyolbrzymiają problem, ale godzinę później moje wątpliwości się rozwiały...

W knajpie zamówiliśmy obiad. Ja wybrałem danie o nazwie bandeja paisa ³⁰, reszta ekipy to, na co miała ochotę. Nie pamiętam dokładnie, co jadł Przemek Żmuda (on też nie), ale bez wątpienia był to największy kawał mięcha, jaki widziałem w życiu. Uwierzcie, że porcje były potężne, gdyż Kolumbijczycy jedzą zwykle dwa razy w ciągu dnia: sycące śniadanie i treściwą

wysokokaloryczną obiadokolację. W każdym razie sporo nam na talerzu zostało. I wtedy po raz kolejny zderzyłem się z tą prawdziwą Kolumbią.

Jeszcze w czasie posiłku dostrzegłem, że przy wejściu do knajpy (siedzieliśmy przy dużym drewnianym stole pod strzechą) kręci się kilku wynędzniałych mężczyzn. Wyglądali koszmarnie. Mieli strzaskane słońcem twarze i torsy, podarte spodnie, a na stopach próżno było szukać jakiegokolwiek obuwia. Jeden z nich nie miał nosa, w miejscu którego zionęły dwie czarne dziury. Wszyscy musieli przymierać głodem, bo byli skrajnie wychudzeni – do tego stopnia, że można było policzyć wszystkie żebra. Choć podczas podróży zdążyłem już poznać kolumbijskie realia, to jednak wciąż czułem się głupio, obżerając się na oczach tych ludzi tłustym mięsem, frytkami, kielbasami, fasolą, jajkami i tymi wszystkimi dodatkami, które składały się na bandeja paisa. Juan, Jesus i Roberto ignorowali ich. Do czasu...

Jakież było moje zdziwienie, gdy już po posiłku wszyscy czający się przed wejściem mężczyźni na znak Roberto zaczęli podchodzić gęsiego i w niemym geście otwierać usta. Od razu skojarzyli mi się z młodymi ptakami w gnieździe, które wystawiają dzioby w stronę nadlatującej z posiłkiem matki. Nasi przewodnicy bez najmniejszego zażenowania wkładali im do ust obgryzione kości, kawałki niedojedzonego żylastego mięsa czy wieprzowej skóry (dla niektórych tutaj to naprawdę przysmak), a żebracy grzecznie odchodzili i przeżuwali na zewnątrz, aby po chwili wrócić i poprosić o jeszcze. W końcu, najwyraźniej dostrzegłszy moje i Żmudy zmieszanie, Roberto zawinął wszystkie resztki w kilka gazet (nie mógł dać im talerzy, bo właściciel na to nie pozwalał) i oddał w ręce tych biednych ludzi. Z przykrością obserwowałem, jak wyrwali sobie kolejne kęsy zaledwie kilka metrów od wejścia do knajpy. Gdy dostrzegłem, że na murku pod jakimiś krzakami zbierają się prawie nagie, kilkuletnie dzieci i łakomym wzrokiem przypatrują się rywalizującym o jedzenie mężczyznom (ojcom, wujkom, opiekunom – trudno powiedzieć), zrozumiałem, że ci ludzie naprawdę każdego dnia walczą o przetrwanie.

To było moje kolejne zderzenie z kolumbijską kulturą, jakkolwiek słowo „kultura” niekoniecznie przystaje do tego, czego wraz ze Żmudą byliśmy świadkami. To przykre doświadczenie pozwoliło mi jednak zrozumieć, dlaczego przez ponad trzydzieści lat Luis Garavito mógł praktycznie bezkarnie gwałcić i torturować setki dzieci, przez ostatnie dziesięć zaś w okrutny sposób mordować, a organów ścigania przez większość tego czasu tak naprawdę nic to nie obchodziło.

Wracając do samego Garavito – gdyby policja bardziej przejmowała się jego zbrodniami, mogła go schwycić dużo wcześniej, bo zdarzało mu się popełniać błędy. Jednym z nich był atak na dwóch chłopców po ostatniej dłuższej wizycie w szpitalu psychiatrycznym 28 lutego 1984 roku. Do brutalnej napaści doszło w miejscowości Tribunas koło Pereiry zaledwie kilka godzin po opuszczeniu placówki. Garavito zaczął się na swoje ofiary w okolicach prowadzonej przez siostry zakonne szkoły dla dzieci. Tak podczas przesłuchania opisał to, co się wówczas wydarzyło:

– Kiedy dostałem pozwolenie na opuszczenie San Juan de Dios, od razu przyjechałem do Pereiry. Ta siła, która mnie opętała, wzięła górę i wybrałem się w rejon Tribunas. To było jakoś po południu, dzieci wychodziły ze szkoły. Natknąłem się na dwóch nieletnich, którzy mieszkali w ośrodku duchowym. Przy drodze tylko nieco oddalonej od seminarium zagadnąłem ich. Powiedziałem im, że potrzebuję pomocy przy cielętach, oferując po pięćset pesos. Uwierzyli mi, a ja zaprowadziłem ich na plantację kawy, gdzie ich związałem, rozebrałem z ubrań i zgwałciłem. Pamiętam to wydarzenie bardzo dobrze, ponieważ zrobiłem im wtedy zdjęcia, a potem zostawiłem je w domu siostry. Kilka godzin później wyszedłem na drogę, która łączy Pereirę z Armenią. Piłem dużo alkoholu i nie przypominam sobie, ile czasu minęło, w każdym razie w pewnym momencie dostrzegłem samochód, a w nim jakieś postaci, które wskazywały na mnie palcami. To byli ci chłopcy z jakimiś dorosłymi. Rozpoznali mnie, więc rzuciłem się do ucieczki. Próbowali mnie ścigać, ale wbiegłem na plantację kawy, a potem na jakieś pola. Pamiętam, że do mnie strzelali, słyszałem szczekanie psów, ale nie udało im się mnie

złapać. Przez jakiś czas błąkałem się po plantacjach kawy, po czym wsiadłem w autobus i pojechałem do miejscowości Cerritos. Tam spędziłem noc, a następnie udałem się do Armenii.

To była pierwsza sytuacja, gdy Garavito omal nie został pochwyceny. Od tamtej pory zaczął bardziej się pilnować, stosując najróżniejsze sztuczki, głównie zaś zmieniając swój wygląd jak kameleon. Przez kolejne lata przebierał się za księdza, mnicha, farmera, sprzedawcę ulicznego, wróżbitę, nauczyciela, pracownika organizacji charytatywnych albo po prostu starszego człowieka, próbując tym samym zwodzić zarówno potencjalne ofiary, jak i organy ścigania. Jak sam przyznał podczas jednego z przesłuchań, opanował tę sztukę do perfekcji...

Rozdział 7

Armenia, Kolumbia, grudzień 1986 roku

We wnętrzu knajpy panował zaduch, a powietrze było tak nasycone dymem, że gdy stało się przy barze, z trudem rozpoznawało się twarze gości przekraczających próg lokalu. Luis siedział nad szklanką piwa i w milczeniu pochłaniał kolejne strony książki w ciemnobrązowej obwolucie.

– Niewielu klientów przychodzi tu czytać... – mruknął w jego kierunku chudy barman z nosem tak krzywym, jakby ktoś przestawił mu go w imadle. Miał na sobie koszulę w kratę z podwiniętymi rękawami i znoszone džinsy; z papierosem w ustach wycierał szmatką kufle. Zmierzył wzrokiem zatopionego w lekturze gościa, który nie zareagował na zaczepkę, malująca się na twarzy klienta ekscytacja nie dawała mu jednak spokoju. Odstawił wycierany kufel na blat i zrobił dwa kroki w stronę Garavito. – Co tam czytasz, *amigo*? Musi być interesujące, bo...

– Bo większość to ignoranci – odburknął Garavito, podnosząc wzrok znad książki. – Słyszałem, o co pan pytał, ale szkoda mi słów, by gadać o tych baranach.

Garavito poprawił okulary i omiótł wyniosłym spojrzeniem siedzących przy stolikach mężczyzn, z których większość stanowili rolnicy albo pracownicy harujący za najniższe wynagrodzenie w fabrykach produkujących kawę na eksport. Ich twarze nie

zdradzały wysokich pokładów inteligencji, a przepite głosy potwierdzały, że za kołnierz nie wylewają. Luis gardził nimi, zresztą tak jak wszystkimi, których spotkał na swojej drodze, splunął więc z pogardą na drewnianą podłogę i wychylił kufel do dna. Wytarł wierzchem dłoni spękane usta.

– Ta książka to arcydzieło – powiedział, z powrotem kierując swoją uwagę na barmana. – Wiesz pan, kim był Adolf Hitler? – zapytał, zamykając książkę.

– Chyba nie ma na świecie człowieka, który nie wie... – odparł mężczyzna, oparłszy się obiema dłońmi o ladę.

– No to powiedz mi, dlaczego wszyscy nim gardzą?

Barman uniósł brwi i nabrał powietrza w płuca. Wypuścił je dopiero po krótkiej chwili zastanowienia.

– Bo wywołał wojnę? Bo puścił z dymem miliony Żydów? Kurwa, przyjacielu. Facet był potworem w ludzkiej skórze.

– I tu się pan mylisz. – Garavito skinął, a barman nalał mu kolejne piwo. – Hitler był największym politykiem swoich czasów i gdyby nie te imperialistyczne amerykańskie szumowiny, to dziś świat wyglądałby zupełnie inaczej.

– Niby jak?

– Tak, jak powinien wyglądać.

– Czyli jak?

– Poczytaj pan sobie, to może się pan doedukujesz.

Drzwi lokalu znów zaskrzypiały i do środka weszli dwaj młodzi mężczyźni. W oparach papierosowego dymu trudno było rozpoznać ich twarze, ale gdy Luis lekko zmrużył oczy, rozpoznał w nich dwóch przyjaciół, na których czekał już od blisko godziny. Pierwszy nazywał się Jairo Toro i był niewysokim kasjerem o skołtunionych, czarnych jak skrzydło kruka włosach, a drugi, Ancízar Valencia, ogolony na łyso chojrak udający gangstera, pracował w magazynie sieci

sklepów, w której we trójkę byli zatrudnieni. Obaj mężczyźni przez chwilę próbowali przebić się spojrzeniami przez zawiesistą mgłę, w końcu dojrzelili kompana i dziarskim krokiem ruszyli w jego stronę.

Luis ściągnął z lady książkę i już chciał wyjść im naprzeciw, gdy barman zapytał o tytuł.

– *Mein Kampf* – rzucił z dumą. – Przeczytaj pan, to zrozumiesz, że świat nie kończy się na tej obskurnej mordowni – dodał na odchodne i rubaszenie przywitał się z dwójką przyjaciół.

Po złożeniu zamówienia wszyscy udali się w kierunku stolika w najciemniejszym rogu lokalu. Przez najbliższą godzinę dyskutowali o polityce i piłce nożnej, następnie płynnie przeszli do ostatnio zasłyszanych newsów z Medellín, gdzie kokainowy baron Pablo Escobar prowadził swoją przestępczą działalność. Reporterka najpierw służbowym tonem podała ilość ofiar otwartej wojny pomiędzy kartelem a policją, potem zaś w nieco humorystyczny sposób poinformowała, że w mieście pojawiły się plotki o przewożonych na teren jego hacjendy hipopotamach. W końcu zeszli na bardziej przyziemne tematy dotyczące pracy w markecie, a to zawsze kończyło się tak samo i po piątym piwie przestali narzekać, a zaczęli bluzgać. Na celowniku znalazł się zwłaszcza kierownik, który w ocenie całej trójki był najgorszym sukinsynem, jakiego widział świat. Gdy mieli zamówić szóste piwo, w lokalu nastąpiło dziwne poruszenie, kilku ludzi zerwało się z krzeseł i przystanęło przy barze, wbijając ciekawskie spojrzenia w niewielki ekran ustawionego na półce telewizora. Luis, Jairo i Ancízar również podeszli do baru, a ich wzrok powędrował na śnieżący ekran. Przekaz nie pozostawiał złudzeń, że wydarzyło się coś strasznego, a w Kolumbii zbitka tych dwóch słów oznaczała jedno – to musiała być istna rzeź.

Przez dłuższą chwilę wszyscy zebrani w lokalu na głębokim wdechu wsłuchiwali się w głos elegancko ubranej reporterki o śniadej cerze, za jej plecami kotłował się tłum uzbrojonych po zęby policjantów.

„Znajdujemy się przed restauracją Pozetto w sercu Bogoty. Widzą państwo kotłujące się tłumy. To właśnie tu, za moimi plecami, krótko po godzinie dziewiątej wieczorem niezidentyfikowany napastnik otworzył ogień do klientów lokalu. Z niepotwierdzonych informacji wiemy, że jest mnóstwo ofiar. Nie kilka czy kilkanaście, a raczej kilkadziesiąt. Policja nie pozwala nam wejść do środka, ale nawet stąd widać czerwone rozbryzgi na szybach. Z wnętrza wciąż niosą się jęki rannych i choć służby uwijają się jak w ukropie, to całość przypomina krwawą jatkę. Jedyną dobrą wiadomością jest fakt, że szaleniec został zlikwidowany, choć nieoficjalnie krąży informacja o samobójstwie. Nie są też znane jego motyw...”

Luis chłonał obrazki z Bogoty z szeroko otwartymi oczami. Z czasem milczenie ustąpiło coraz bardziej ożywionym rozmowom na temat tego, co wydarzyło się w stolicy. On jednak tylko patrzył w ekran i słuchał, a wzdrygnął się dopiero w momencie, gdy Jairo szarpnął go za rękaw koszuli.

– Oddieprz się! – warknął nerwowo.

Kasjer posłał mu pełne wyrzutu spojrzenie, ale drugi z kompanów tylko machnął ręką, jakby reakcja Garavito wcale go nie zdziwiła. Jairo i Ancízar z pełnymi kuflami wrócili do swojego stolika i zapalili po papierosie, ten drugi upił łyk i nachylił się, nieco skracając dystans.

– Nie sądzisz, że z Alfredem jest coś nie tak? – zapytał, zerkając kompanowi przez ramię.

– Jakbyś się jeszcze do niego nie przyzwyczaił. – Jairo rozłożył ręce. – Jest dziwny i czasem trudno go zrozumieć, ale co ja mam ci

powiedzieć...

– Nie o to mi chodzi...

– A o co?

Ancízar przetarł dłonią spocone czoło i cmoknął. Znów zerknął na siedzącego przy barze Garavito, który wyglądał na całkowicie pochłoniętego oglądaniem wiadomości z Bogoty. Z tą swoją długą szyją, którą nieświadomie wyciągał w kierunku telewizora, jakby to miało sprawić, że dowie się więcej, wyglądał komicznie i skojarzył mu się z poszukującą pożywienia w koronach drzew żyrafą.

– Wczoraj, gdy późnym wieczorem wracałem od kuzynki, przypadkiem natknąłem się na niego pod drzewem...

– Gdzie?

– No pod *el saman* ³¹. W Parque Sucre ³².

– Rozmawialiście?

– No właśnie nie, bo gdy już miałem go zaczepić, zorientowałem się, że rozmawia z jakimś dzieciakiem. Nie wiem, ile mógł mieć lat. Może dziesięć, góra dwanaście. W każdym razie chwilę z nim rozmawiał, po czym wyciągnął z kieszeni kilka banknotów i razem poszli na północ miasta.

– Może to był jakiś jego siostrzeniec. Nie rozumiem...

Ancízar skrzywił się, jakby poczuł na języku miąższ zgniłego awokado.

– Nie sędzę, żeby to był jego siostrzeniec. – Odchrząknął i upił piwa. – Objął go tak... no wiesz... jak się obejmuje dziewczynę. A potem zaczął się dziwnie rozglądać, tak jakby się czegoś obawiał. Na przykład że może być śledzony albo... no nie wiem...

– Możesz mówić jaśniej?

– No przecież mówię, że nie wiem, ale to nie pierwszy raz. Pamiętasz, jak niedawno ci mówiłem, że jadąc motorem, widziałem

go w okolicy boiska szkolnego w towarzystwie tych dwóch obdartusów?

– No coś tam pamiętam. – Jairo strzepnął nadmiar tytoniu do kryształowej popielniczki. – Ale wciąż nie wiem, do czego dążysz...

Ancízar wypił duszkiem resztę piwa, wytarł usta i ściszył głos o kolejny ton. Raz jeszcze zerknął przez ramię kompana.

– Kilka dni temu koleżanka mojej ciotki powiedziała jej przy kawie, że jakoś tak mniej więcej w tym czasie jej siostra skarżyła się, że ktoś brutalnie pobił i zgwałcił jej syna i jego kolegę – zaczął półszepem. – Policja podobno przyjęła zgłoszenie, ale się tym specjalnie nie przejęła. Wiesz, jak jest w tej dzielnicy. Tam połowa dzieciaków się prostytuuje. Synek tej siostry koleżanki mojej ciotki nie miał jednak w domu tak źle. Może nie opływali w luksusy, ale mieli co jeść, dzieciaki chodziły do szkoły, no generalnie jakoś sobie radzili. Nikt w rodzinie nie uwierzył, że mógł próbować zarobić w ten sposób. Zwłaszcza że teraz ten chłopak jest podobno zniszczony psychicznie. Moczy się w nocy, nie chce wychodzić do ludzi, drze się jak opętany. Jego matka ma z nim trzy światy.

– Nie on jedyny został zgwałcony...

– Tylko że napastnik nie tylko go zgwałcił, ale pociął mu żyłkami całe plecy i twarz, a do tego przypalał go świeczką. – Ancízar podrapał się za uchem. Zaciągnął się po raz ostatni i zgasił peta w popielniczce. – Sam nie wiem, co o tym myśleć, bo...

– Poczekaj... – Jairo wszedł mu w słowo. Nerwowo obejrzał się przez ramię. Garavito wciąż siedział, jakby ktoś przyspawał go do hokera, więc z powrotem skupił uwagę na przyjacielu. – Ty sugerujesz, że Alfredo może mieć z tym coś wspólnego? – zapytał z wyraźnym niedowierzaniem.

– Niczego nie sugeruję, ale wiesz... Najpierw te chłopaczki, potem ten pod drzewem. A w ogóle widziałeś, żeby on bujał się z jakimiś

babkami?

– Jakiś czas temu spotykał się z Gracielą.

– Ale oni się nie bzykali. Wiem to od mojej kuzynki, która chodzi do Zabalety robić sobie tapetę.

– Jak to? Naprawdę się nie ruchali?

– Podobno nigdy. Ani razu. Czujesz to?

– Hmm...

Mężczyźni zamilkli. Wpatrywali się w siebie, jakby próbowali wyczytać ze swoich twarzy, czy mogą posunąć się dalej, ale w głowach obu rysował się podobny wizerunek kolegi. Chudy, wycofany, zahukany, miewał problemy w kontaktach z kolegami z pracy i czasem zachowywał się irracjonalnie, przez co trudno było wyczuć, co mu w duszy gra. Fakt, że regularnie chodził na spotkania Anonimowych Alkoholików i miał za sobą pobyty w szpitalu psychiatrycznym, nie przemawiał na jego korzyść, z drugiej strony potrafił być sympatyczny, a jego partnerka Graciela Zabaleta, którą zdążyli już poznać, nigdy im się nie skarżyła, że jest wobec niej agresywny, choć czasem narzekała, że przesadza z alkoholem. Generalnie wydawał się jednak niegroźnym dziwakiem i to by było na tyle, choć w sumie nie do końca, bo zgodnie musieli jednak przyznać, że gdy oni podczas wieczornych imprez dwoili się i troili, aby poderwać jakąś dziewczynę, Luis wolał upijać się w samotności. Kobiety go nie interesowały.

– Może przesadzasz z tymi dzieciakami – skonstatował w końcu Jairo. – Garavito może być pedałem, owszem, ale...

Mężczyzna nie dokończył, gdy drzwi knajpy otwarły się z hukiem i do środka weszła krępa półkrwi Indianka z barkami tak szerokimi, jakby przez pół życia nosiła pod pachami bele drewna. W ślad za nią próg przekroczyło dwóch mundurowych.

– To on! – Wskazała palcem na Garavito, który wciąż gapił się w ekran telewizora jak zahipnotyzowany.

– María? – rzucił zupełnie zaskoczony Jairo.

Chwilę później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Policjanci podeszli do Garavito i nakazali mu się wylegitymować, a potem opróżnić kieszenie. Próbował dyskutować, ale byli nieugięci, w końcu jeden z nich stracił cierpliwość i pociągnął go w kierunku wyjścia, a gdy zatrzymany niespodziewanie stawiał opór, funkcjonariusz bez dodatkowego ostrzeżenia powalił go na ziemię i wykręciwszy ręce, ciasno skuł kajdankami. Po kilkunastu sekundach, które wykorzystał na spenetrowanie jego kieszeni, z jednej z nich wyciągnął złoty łańcuszek z Matką Boską, a następnie przekazał go towarzyszącej im kobiecie, ta tylko skinęła i jasne było, że ten wieczór skończy się dla Luisa Garavito fatalnie.

Jairo Toro i Ancízar Valencia postanowili nie mieszać się w sprawę, która wydawała się z góry przegrana. Uznali, zresztą prawidłowo, że z kolumbijską policją lepiej nie zadzierać, zwłaszcza gdy było się kumplem dziwaka o skłonnościach pedofilskich, który dodatkowo okradł koleżankę z pracy.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

To, co tu opisałem, nie wydarzyło się jednego wieczoru, ale faktem jest, że Garavito ukradł koleżance z pracy biżuterię, ta go zadenuncjowała policji i wówczas seryjny gwałcieł trafił do więzienia na prawie pół roku. Paradoksem jest, że odbywał karę nie z powodu zgwałcenia i torturowania dziesiątek, a może nawet setek dzieci, a jedynie za lepkie ręce.

W okresie pięciu lat od ostatniej wizyty w szpitalu psychiatrycznym San Juan de Dios Garavito chwytął się dorywczych prac i sporo podróżował, nie oddalając się jednak

zbytnio od Armenii i Pereiry. Tam najczęściej zagadywał dzieci przy głównych placach, gdzie kręciło się najwięcej bezdomnych i skrajnie biednych sierot łatwych do zmanipulowania bądź skuszenia drobnymi sumami pieniędzy czy choćby cukierkami. W tamtych czasach wiele z nich, nawet dziesięciolatki, prostytuowało się na potęgę, na co policja przymykała oko, gdyż po pierwsze, zaczęła mieć kolejny poważny problem w postaci rosnących w siłę karteli kokainowych pokroju tych z Medellín czy Cali (Pablo Escobar w pewnym momencie wypowiedział rządowi otwartą wojnę), a po drugie, elity nie dbały o zapewnienie opieki najbiedniejszym, w tym wegetującym na ulicach sierotom. Według naszych przewodników jednym z ulubionych miejsc polowań Garavito był w Armenii właśnie Parque Sucre, gdzie w cieniu gigantycznego drzewa deszczowego kręciło się mnóstwo prostytuujących się dzieci. Zamieszkaliśmy w hotelu z widokiem na ten imponujący okaz i codziennie rano piliśmy w jego cieniu kawę, a ja zastanawiałem się, ileż to drzewo mogłoby mi zdradzić, gdyby tylko mogło mówić...

Prawdą jest też, że Garavito w jednym z marketów poznał dwóch kolegów: Jairo Toro i Ancízarę Valencię, którzy stali się jego najbliższymi przyjaciółmi. Długo udawało mu się ukrywać przed nimi swoje skłonności pedofilskie, ale z czasem zaczęli podejrzewać, że jest homoseksualistą, a co gorsza, prowadzi się z małoletnimi chłopcami. Nigdy nie zgłosili tego na policję, a przyznali to głośno dopiero po jego schwytaniu.

– Gdy wypił, lubił sprowadzać sobie młodych chłopców – powiedział na jednym z przesłuchań Valencia. – Widziałem go w ich obecności kilka razy, choć wiem, że starał się to przede mną ukryć i nigdy oficjalnie się do tego nie przyznał.

Z Gracielą Zabaletą rzeczywiście nigdy nie uprawiał seksu, gdyż zależało mu głównie na tym, aby mieć schronienie i dobrą przykrywkę. W protokołach można wyczytać, że kobieta przyjęła go pod swój dach, bo opłacał jej rachunki i zapewniał wyżywienie. Podobno był dla niej stosunkowo dobry i nigdy nie skrzywdził jej syna Rodolfo. Sam Garavito przyznał, że Graciela Zabaleta była drugą kobietą po Luz Mary, którą szczerze kochał.

Kompulsywne czytanie *Mein Kampf* Adolfa Hitlera, którą to książkę nosił wciąż ze sobą i ostentacyjnie czytał w miejscach publicznych, fascynacja ezoteryką i satanizmem, które na swój pokretny sposób łączył z chorobliwą religijnością i żarliwą modlitwą – wszystko to sprawiło, że depresja powoli zaczęła przeobrażać się w paranoję. Pomimo szprycowania się silnymi środkami psychotropowymi nie był w stanie zapanować nad emocjami. Jego zaburzony popęd z każdym dniem stawał się silniejszy, popychając go do coraz częstszych i coraz brutalniejszych napaści na nieletnich.

– Wtedy już regularnie używałem sznurów, żyletek, zapalniczek i świeczek – wyliczał podczas jednego z przesłuchań. –

Zacząłem też nosić skalpel, którym ciąłem im ciało z łatwością. Szukałem ustronnych miejsc, trudno dostępnych i zalesionych, a także krzaków bądź opuszczonych ruder. Poza miastem przyprowadzałem dzieci na plantacje kawy albo trzciny cukrowej, gdzie trawa była wysoka i gęsta, a ja nie musiałem się martwić, że ktoś nas dostrzeże.

Czwartego grudnia 1986 roku stało się coś, co być może sprawiło, że w głowie Garavito zaczęły pojawiać się fantazje o morderstwie. Tego wieczoru pił w knajpie ze znajomymi, gdy w telewizji gruchnęła wiadomość, że niejaki Campos Elías Delgado Morales, były amerykański żołnierz kolumbijskiego pochodzenia i samozwańczy weteran wojenny z Wietnamu (służył w armii w latach 1975–1978, co wykluczało jego obecność w Wietnamie), we włoskiej restauracji Pozetto w Bogocie dokonał masakry, zabijając dwadzieścia dziewięć osób i dodatkowo ciężko raniąc dwanaście. Po przyjeździe policji został zastrzelony, choć wśród Kolumbijczyków krążyło przekonanie, że popełnił samobójstwo. Nie ustalono motywu, którym się kierował, sprawa zaś odbiła się szerokim echem nie tylko w Kolumbii, ale na całym świecie. To sprawiło, że Garavito zapragnął stać się równie sławny jak Campos Elías. Przyszły seryjny morderca wcale tego nie ukrywał, mówiąc:

– Bardzo mnie jego historia zainteresowała. Był psychopatą, szaleńcem. Uwielbiałem tę akcję w Pozetto, bo przykuła uwagę mediów z całego świata. Od zawsze chciałem być kimś ważnym, kimś, z kim inni się liczą. Pragnąłem, żeby mnie oglądano w telewizji, żeby pisano o mnie w prasie, żeby wszyscy o mnie mówili. Chciałem być sławny jak Campos Elías. I marzyłem, aby umrzeć tak jak on.

Od tego momentu Campos Elías stał się jego obsesją. Garavito przez dłuższy czas próbował zdobyć karabin maszynowy, aby dokonać podobnej masakry. Chciał też zabić swojego ojca, którego nienawidził najbardziej na świecie. Niemożność, a może po prostu brak odwagi sprawiły, że nigdy nie podjął próby masowego mordu, ale jego myśli coraz częściej zaczęły zbaczać w kierunku morderstwa jako takiego. Regularnie fantazjował o zabijaniu innych ludzi, a gwałty i tortury, jakich dopuszczał się na nieletnich chłopcach, zaczęły przyjmować ekstremalną formę. Od 1988 roku zaczął też skrupulatnie notować nazwiska kolejnych ofiar, zapisując wszystko w swoim niebieskim zeszycie. Wciąż jednak nie przekraczał tej cienkiej granicy, za którą nie było już odwrotu. Do czasu, gdy na jego drodze stanął szesnastoletni Brand Ferney Bernal Álvarez...

Rozdział 8

Calarcá, Kolumbia, styczeń 1990 roku

Ostatni pijani kibice rozchodzili się już do domów. Wieczór był pogodny, a w powietrzu unosił się zapach krwi. Brand Ferney oparł miotłę o murek i przysiadł, aby w spokoju zapalić papierosa. Sprzątanie klatek i areny po niezwykle popularnych w mieście walkach kogutów może nie było jego ulubionym zajęciem, ale nigdy nie narzekał. Miał pracę, a wuj Jair Bernal, właściciel obiektu, płacił mu całkiem przyzwoicie i poza zaspokojeniem podstawowych potrzeb chłopakowi starczało na drobne przyjemności. Wielu rówieśników miało gorzej, bo musieli się prostytuować albo żebrać. Szczęśliwcy znajdowali pracę na plantacjach kawy albo trzciny cukrowej, a ci mający krewnych w nieodległej Armenii wyjeżdżali i już do Calarki ³³ nie wracali. Gdy czasem miewał gorsze dni, myślał o swoich koleżankach czy kolegach, z których część, i to całkiem sporo, wieczorami była zmuszona wdzięczyć się do podpitych i rozemocjonowanych fanów walk kogutów, aby potem oddawać swoje młode ciała za garść pesos.

Skubiąc pęk różg z zakrwawionych piór, zerkał z żalem na Jocelyn, o rok młodszą koleżankę o skórze gładkiej i ciemnej jak drzewo hebanowe, włosach miękkich jak jedwab i oczach tak dużych jak jeziora skryte w dzikiej i niedostępnej Amazonii. Skąpo ubrana, zaczepiała kolejnych mężczyzn pod pobliskim sklepem, licząc, że

któryś z tych zapijaczonych obdartusów, cuchnących gorzej niż szczyny kocura, skusi się na jej wdzięki. Ten obrazek zawsze wprawiał go w przygnębienie, bo znał ją lepiej niż ktokolwiek inny; kiedyś, gdy była jeszcze niewinną i delikatną dziewczyną, łączyła ich bliska więź i to on przed dwoma laty zerwał ten drogocenny kwiat, samemu przeżywając swój pierwszy raz. Wtedy byli naiwni, ale przynajmniej szczęśliwi, to jednak dawne czasy i dziś opowieść o nich brzmi jak nieprawda. Brand Ferney tylko splunął, bo nie miało sensu do tego wracać, gdy zaś w końcu jeden z mężczyzn wygrzebał z kieszeni kilka banknotów, a następnie położył swoje brudne łapska na jej pośladkach, chłopak w końcu odwrócił wzrok. Pocieszył się tym, że nie zostało mu wiele pracy. Zdążył już pozamiatać arenę z piór i śmieci, musiał jeszcze tylko zmyć z podłoża krew i flaki. Westchnął i poszukał wzrokiem końcówki gumowego węża.

– Widziałeś gdzieś klucze do klatek? – zapytał go ojciec, który znienacka wyrósł obok jak spod ziemi. Opiekował się kurnikami, klatkami, doglądał całego inwentarza. – Za cholere nie mogę ich namierzyć, a te koguty są jak diabły. Niby to głupie, ale gdy tylko wyszedłem z kurnika, to od razu powyłaziły i zrobiły sobie dogrywkę. Jeden mnie, cholera jasna, podrapał.

– Pokaż. – Brand Ferney rzucił okiem na żylaste przedramię ojca. Kilkanaście wypukłych rys, z których ciekła krew, nie wyglądało przyjemnie, ale ojciec zdawał się nie zwracać na rany większej uwagi. – Weź to sobie przemyj, bo jeszcze zakażenia dostaniesz.

– Ty już się tak nie wymądrzaj. Znajdź lepiej te klucze.

– A skąd ja mam wiedzieć, gdzie one mogą być.

– Nie mam pewności, ale przez przypadek mógł je zabrać twój wuj. Weź no, skocz do niego, bo jak nie zamkniemy tych klatek, to do rana wszystkie ptaszyska się tu wyrzną w pień, a wtedy...

- ...wujek nas zabije – dokończył za ojca Brand Ferney.
- Otóż to. Leć, ino w podskokach.

Ojciec zajął się myciem areny, a chłopak potruczał w stronę parku, gdzie znajdowała się knajpa, w której wuj zwykle pił z kolegami po zakończeniu widowiska. Droga na miejsce zajęła mu niecały kwadrans. Wuj rzeczywiście tam był, siedział w rozchełstanej koszuli i kowbojskim kapeluszu pod parasolem z liści palmowych i w towarzystwie pięciu kompanów naprzemiennie raczył się rumem albo zaciągał cygarem.

- Ooo... Szybko się uwinąłeś, brachu – rzucił, dostrzegając bratanka. Wypił kolejkę i rubasznie się roześmiał, słysząc rzucony w eter żart kolegi, po czym z powrotem skupił uwagę na młodym krewnym. – Chodź, usiądź z nami. Masz już tyle lat, że możesz napić się z wujem kielicha – dodał, przy okazji głośno bekając.

- Jeszcze nie skończyłem, wuju – odparł spokojnie chłopak. – Ma wuj może klucze do klatek, bo ojciec nie może znaleźć?

- Klucze? – Jair Bernal wydał policzki i niezgrabnie zaczął przeszukiwać kieszenie džinsów. – Mam, cholera jasna. Starość nie radość. Trzymaj. I jeszcze to, do podziału – dodał, odliczając osiem tysięcy pesos w pomiętych banknotach.

Mężczyzna przekazał bratankowi klucze i pieniądze, a ten pośpiesznie wcisnął je do kieszeni spodni, po czym oddalił się w głąb parku. O tej porze kręciło się tu sporo ludzi, głównie podpitych facetów, którzy chodzili od baru do baru w poszukiwaniu wrażeń, w tle grała muzyka, a na murkach i ławkach przesiadywały prostytutki, kusząc rozochoconych mężczyzn swoimi wdziękami. Gdy przeszedł na drugą stronę parku, gdzie te próbujące przyszczędzić na lokalu na szybko robiły dobrze klientom w zaroślach, niespecjalnie przejął się szelestem, który usłyszał w zielonej gęstwinie. Obejrzał się przez ramię z czystej ciekawości,

ale nie widząc nikogo, wybiegł na ulicę, a następnie skręcił w mniej uczęszczaną ścieżkę pomiędzy szpetnymi lokalami na godziny. Z pozbawionych okien ruder niosły się jęki i krzyki, czasem wulgarne odzywki, odgłosy uderzających o siebie ciał. Nie była to ciekawa okolica, na rogach interesy ubijali alfonsi i dilerzy narkotyków, często dochodziło tu do słownych utarczek albo rękoczynów, a gdy ktoś znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze, mógł stracić coś więcej niżli portfel czy buty.

Brand Ferney przemknął slumsami, nie oglądając się za siebie. Ale dopiero po wyjściu na główną ulicę poczuł się nieswojo. Ogarnął go jakiś trudny do zdefiniowania lęk. Nie strach, który puka do umysłu człowieka, gdy widzi grupę zakapiorów podążających w jego stronę albo słyszy huk wystrzałów przy wymianie ognia pomiędzy zwaśnionymi gangami. To wrażenie było bardziej subtelne, ale zarazem dwakroć silniejsze, sięgające głębi, rozbudzające niepokój, przed którym nie było jak się obronić.

Zrobiło się dziwnie cicho, ludzkie głosy umilkły, przemykające po ulicach postaci wyparowały. Teraz słyszał tylko grające cykady, własne kroki i brzęk kluczy oraz szelest banknotów w kieszeni spodni.

Poczuł, że serce przyspieszyło, a włoski na ramionach uniosły się. Rozejrzał się nerwowo, wtedy za drzewem dostrzegł patykowatego mężczyznę, a w zasadzie tylko zarys postaci. Postać ta trzymała w ręku butelkę, którą przyłożyła do ust, a potem skryła się w mroku.

Brand Ferney przyspieszył kroku. Spędził w Calarce szesnaście lat, a więc całość swojego życia, i znał tu prawie każdy kąt. Widział już ofiary porachunków karteli, porzucone ciała skatowanych kobiet, a kiedyś nawet natknął się na gnijącego w rowie trupa jakiegoś bezimiennego żebraka. Wszyscy go tu jednak znali, a on

przyswoił sobie zasady, dzięki którym potrafił unikać kłopotów. Przez chwilę pomyślał, że mężczyzna mógł widzieć, jak wuj przekazuje mu pieniądze, ale jakoś nie był co do tego przekonany, co gorsza, nie potrafił jednoznacznie określić, dlaczego czuje to, co czuje, w każdym razie tu nie chodziło o pieniądze. Miał wrażenie, że jest osaczony, jak ofiara na polowaniu, jak cel drapieżnika.

Patykowaty mężczyzna mignął mu jeszcze dwa razy. Szedł kilkadziesiąt metrów za jego plecami, ale poruszał się niezgrabnie, niespecjalnie próbując się ukrywać, co sprawiło, że chłopak trochę się uspokoił. Musiał być kolejnym napitym robotnikiem, którego tu wcześniej nie widział, ewentualnie żebrakiem, co to właśnie uciulał na flaszkę i aby nie musieć dzielić butelki ze współtowarzyszami niedoli, po prostu poszedł w spokojniejszą i mniej uczęszczaną część miasta. Chłopak nie mógł jednak pozbyć się złego przeczucia. Sam szedł szybko, a momentami podbiegał i logiczne wydawało się, że powinien zwiększać dzielący ich dystans, jednak gdy tylko oglądał się przez ramię, widział, że dystans wcale się nie kurczył. W pewnym momencie skrył się za ogrodzeniem i przez szparę w deskach dłuższą chwilę obserwował mężczyznę, ten zaś przystanął, rozejrzał się, a następnie wszedł pomiędzy jakieś rudery i zniknął mu z pola widzenia.

Brand Ferney odczekał jeszcze kilka minut, aby upewnić się, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, po czym potruczał główną ulicą do kurnika. Odetchnął z ulgą dopiero po dotarciu na miejsce. Zerknął jeszcze na ogrodzoną wysoką siatką arenę walki kogutów. Pod jego nieobecność ojciec zdążył doprowadzić ją do porządku, a zwinięty wąż leżał pod kurnikiem. Obszedł budynek, po drodze wyciągając klucze z kieszeni. Miał już rozeznanie i wiedział, które odpowiadają kolejnym zamkom, ale gdy wybrał właściwy, poczuł

nagły przyływ adrenaliny, bo przed nim wyrósł patykowaty cień mężczyzny.

– *Hola, amigo* – przywitał się mężczyzna, zasłaniając mu drzwi do kurnika. – Chodź, pomóż mi przenieść kilka rzeczy z mojego wozu. Dobrze ci zapłacę – dodał, lekko bełkocząc.

– Nie mogę – odparł zaskoczony chłopak, odruchowo szukając wzrokiem ojca. Pomyślał, że musi być we wnętrzu budynku. – Przepraszam, ale muszę jeszcze...

– Naprawdę zapłacę bardzo dobrze – naciskał nieznajomy.

– Muszę zapytać ojca. Powinien być w środku. Może się pan przesunąć?

Mężczyzna cofnął się o krok, robiąc chłopcu trochę miejsca. Młodzian szarpnął za klamkę, ale wtedy w blasku księżyca błysnęło szerokie ostrze ukrytego w gazecie noża do szlachtowania bydła, a on poczuł na odsłoniętej szyi zimną stal.

– A teraz ani słowa, mały sukinsynu – warknął mężczyzna, obejmując żyłastym przedramieniem korpus chłopaka. – Słuchaj poleceń. Jeśli choćby piśniesz, zabiję cię. Idziemy. Ruszaj!

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Calarcá jest średniej wielkości miastem otoczonym plantacjami kawy, leżącym zaledwie kilka kilometrów od Armenii. I dużo biedniejszym. Garavito to wykorzystywał, bo często przyjeżdżał tam tylko po to, aby krzywdzić dzieci.

Branda Ferneya zaatakował krótko przed tym, gdy zamordował swoją pierwszą ofiarę. Gdyby nie fakt, że chłopak miał szesnaście lat i zdołał wyrwać się ze szponów „Bestii”, być może to właśnie on zostałby numerem jeden na jej liście. W jednym z protokołów z przesłuchań chłopak zrelacjonował swoje spotkanie z Garavito. Jest to szczegółowy opis, więc ostrzegam, że drastyczny i bardziej

wrażliwi mogą mieć problem, aby przebrnąć przez ten fragment do końca. Nie ma tu jednak żadnej fikcji – to słowa Branda Ferneya, czyste starcie na śmierć i życie z największym potworem naszych czasów. Kto jest na to gotowy, niech czyta. Innym sugeruję, by pominęli ten rozdział.

Brand Ferney rzeczywiście zajmował się opieką nad kurnikami wuja i rzeczywiście musiał pobiec w okolice parku po klucze do klatek. Wracając, zauważył, że śledzi go nieznajomy mężczyzna, ale zdołał go zgubić. A przynajmniej tak mu się wydawało, bo Luis Garavito czekał na niego pod drzwiami do jednego z kurników. Tam przyłożył mu maczetę (choć Brand Ferney użył słów „nóż do bydła”) do gardła i powiedział:

– A teraz ani słowa, mały sukinsynu. Słuchaj poleceń. Jeśli choćby piśniesz, zabiję cię.

Teraz oddajmy głos niedoszej ofierze. Od tego momentu Brand Ferney opisał krok po kroku, jak wyglądało spotkanie z „Bestią”.

– Byłem przerażony, bo nigdy w życiu nie miałem noża przy szyi. Objął mnie i ruszyliśmy poboczem głównej ulicy. Z początku myślałem, że facet chce mnie okraść, bo w kieszeni miałem osiem tysięcy pesos, nie przypuszczałem jednak, że będzie chciał mnie zgwałcić i zabić. W pewnym momencie zobaczyłem zbliżający się pojazd, ale wtedy on znów mocno mnie objął i przycisnął ostrze noża do gardła. Zagroził, że jeśli coś zrobię, to mnie zabije. Po jakimś czasie dotarliśmy na skraj miasta, wtedy popchnął mnie w kierunku starej plantacji kawy. Przeszliśmy kilka płotów, które służyły za granice w tego typu gospodarstwach, i zeszliśmy stromą ścieżką w kierunku strumienia. Gdy tylko go minęliśmy i weszliśmy w gęste zarośla, uderzył mnie kilka razy w twarz. Upadłem na ziemię i wtedy on na mnie wskoczył. Wyciągnął sznur i nóż, po czym znów mnie uderzył. Gdy leżałem, próbując się pozbierać, ściągnął spodnie, wtedy zacząłem płakać i błagać, aby mnie nie krzywdził. Kazał mi milczeć, a ponieważ bardzo się bałem, to go postuchałem. Wyglądał naprawdę przerażająco. Miał zmarszczone brwi, wybałuszone oczy i szczerzył zęby jak dzikie zwierzę. Wtedy zapytał mnie o to, jak nazywają się moi rodzice. Nie wiem czemu, ale nie powiedziałem prawdy i podałem inne

nazwiska. Domyślił się, że kłamię, i wpadł w furję. Zaczął mnie bić bez opamiętania po całym ciele. Kopał mnie swoimi szpiczastymi butami, także w twarz. Mocno krwawiłem, czułem, że robi ze mnie miazgę. Płakałem, ale tylko w środku, bo on mi na to nie pozwalał. Prosiłem, żeby przestał. Błagałem, aby nie robił mi krzywdy, ale on kazał mi się zamknąć. W końcu poderwał mnie z ziemi i poszliśmy dalej, w górę stromego zbocza. Gdy dotarliśmy do najciemniejszego miejsca, znów powalił mnie na ziemię. Zaczął krzyczeć: „Jestem sadystą, jestem sadystą, jestem sadystą”. Patrzyłem w jego dzikie oczy i wpadłem w panikę. Wtedy znów zaczął mnie bić i kopać po całym ciele. Wiedziałem już, że mam złamany nos. Błagałem go, żeby mnie zostawił, ale on kazał mi milczeć, grożąc nożem. W pewnym momencie pochylił się nade mną i zdjął mi roboczy kombinezon, następnie związał ręce za plecami i rozdarł koszulę. Przez jakiś czas oglądał mnie, pożerał wzrokiem jak wygłodniałe zwierzę. Byłem skrajnie przerażony i nie miałem odwagi krzyczeć. Tylko na niego patrzyłem, bojąc się, że zaraz mnie dźgnie tym wielkim nożem. I on to zrobił. Wbił mi ostrze w stopę, a potem usiadł na moich łydkach i związał mi sznurem nogi. Gdy byłem już unieruchomiony, rozpiął, a następnie zsunął mi spodnie. Wciąż go błagałem, aby mnie nie krzywdził, ale on w kółko powtarzał, że mam być cicho, bo inaczej mnie zabije. W pewnym momencie zaczął muskać nożem moją klatkę piersiową, brzuch, nogi i okolice genitaliów. Rozciął majtki i wtedy się posikałem, a on z powrotem wskoczył na moją klatkę piersiową i zaczął mnie bić po twarzy. Nic wtedy nie mówił, tylko bił. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia. Gdy już byłem bardzo osłabiony, zaczął mnie całować po całym ciele, potem gryźć, bardzo boleśnie, aż do krwi. Do tej pory mam blizny. W pewnym momencie zacisnął zęby na moich ustach z taką siłą, że myślałem, że je odgryzie. Kąsał, jeździł językiem po moim ciele i sapał. W końcu zaczął ssać mojego penisa, a następnie znów gryźć. Zrobił to tak mocno, że do tej pory w tamtych okolicach mam ślady jego zębów. Krzyczałem i błagałem, aby przestał, ale to tylko bardziej go rozjuszało. Wtedy mnie bił i kopał, a potem znów lizał i gryzł. Nie zachowywał się jak człowiek, tylko jak dzika bestia.

Po upływie około pół godziny sam ściągnął spodnie, usiadł na mojej klatce piersiowej i mocno przyciskając moją głowę do swojego podbrzusza, zmusił mnie do seksu oralnego. Nie chciałem tego robić, więc zaczął się drzeć, że mam mu obciągnąć, inaczej odrąbie mi głowę. Potem próbowałem, ale już nie miałem sił, wtedy zszedł ze mnie i zaczął mnie gdzieś ciągnąć po ziemi. Pamiętam, że ta ziemia kleiła mi się do twarzy. Potem znów zaczął bić i kopać. Raz trafił w oko, które pękło i wypłynęło z oczodołu. Przycisnął moją twarz do ziemi, a ja zacząłem tracić przytomność i się modlić. „O mój błogosławiony Boże, niech już skończy, niech mnie zostawi”. Wtedy Garavito wpadł w szal, ponownie sięgnął po nóż i zaczął dźgać mnie w pośladki i uda. Do dziś mam tam wiele blizn. Gdy mnie tak kłuł, nie wiem, chyba instynkt podpowiedział mi, że jeśli się nie uwolnię, to umrę. Podjąłem próbę przegryzienia sznura na nadgarstkach, ale on to zauważył i krzyknął: „Próbujesz uciec, mały sukinsynu?!”. Wściekł się i znów zaczął mnie kopać tymi szpiczastymi butami. Pluł na mnie, a potem rozsmarowywał ślinę na zakrwawionych plecach i pośladkach. Chyba chciał mnie wtedy zgwałcić, ale coś poszło nie tak i podciągnął spodnie, a potem odszedł. Pamiętam, że stanął jakieś dziesięć metrów dalej, widziałem jego zarys na tle światła księżyca. W swojej naiwności zapytałem, czy mogę odejść, ale nie odpowiedział. Nie wiem, ile to trwało, bo chyba na jakiś czas straciłem przytomność. Następne, co pamiętam, to że mnie gdzieś ciągnął. Zmusił mnie, abym wstał, więc musiał mi rozciąć więzy na nogach. Szliśmy tak jakąś ścieżką, a w ciszy dalej próbowałem przegryźć krępujący moje nadgarstki sznur. Znów przystanęliśmy, a on zapalił skręta. Wykorzystałem tę chwilę, aby jeszcze bardziej postarać się pozbyć więzów. Wiedziałem, że jeśli mi się nie uda, to kolejnego ataku nie przeżyję. On stał odwrócony plecami i w milczeniu palił tego skręta. Usta miałem popękane, dławilem się krwią, ale gryzłem. W końcu sznur puścił i wykorzystałem okazję. Zorientował się za późno. Prawie mnie złapał, ale stoczyłem się ze zbocza i zatrzymałem na samym dnie wąwozu, w pobliżu gęstych zarośli. Wtedy nie czułem bólu. Wiedziałem, że muszę się ratować. Wstałem, aby poszukać ścieżki, a gdy ją

namierzyłem, zacząłem biec. W pewnym momencie usłyszałem jego głos. Obejrzałem się przez ramię i dostrzegłem, że mnie goni. W dłoni trzymał ten wielki nóż do bydła. Dzielilo nas nie więcej niż kilkanaście metrów. Wtedy wstąpiła we mnie jakaś nieludzka siła i zacząłem uciekać, jakby gonił mnie sam diabeł. Choć to przecież był diabeł. Nie oglądałem się za siebie, aż dotarłem do drogi, gdzie spotkałem jakiegoś mężczyznę. Powiedziałem do niego: „Proszę, niech pan mi pomoże, bo tamten facet chce mnie zabić”. Pokazałem palcem kierunek, wówczas mężczyzna zapytał: „Ale kto?”.

Schowałem się za nim. On spojrzał na ścieżkę, ale w gąszczu nie było już nikogo.

CZEŚĆ CZWARTA

EKSPLOZJA SZALEŃSTWA

Rozdział 1

Jamundí, Kolumbia, październik 1992 roku

Dzień pracy zbliżał się ku końcowi. Luis wbił ostrze maczety w ziemię i zebrał ostatnie łodygi trzciny cukrowej. Czuł się fatalnie, pocił się, a ból po uderzeniu w głowę niemal rozsadzał mu czaszkę, nie miał jednak wyjścia i musiał zarobić pieniądze, bo trzy dni temu stracił prawie wszystko, co posiadał, a na samą myśl o tym, co się wtedy wydarzyło, krew gotowała mu się w żyłach.

– Co tam robiłeś z tym dzieciakiem? – dopytywał krępy funkcjonariusz z podłużną blizną na policzku. – Ruchać chłopców ci się zachciało, zboczeńcu?

Dorwali go krótko przedtem. Akurat przebywał w Bolívar w departamencie Valle del Cauca, dokąd przyjechał po opuszczeniu domu Esthery, najmłodszej siostry, która wciąż mieszkała w odległym o czterdzieści kilometrów Trujillo. Spędził u niej kilka dni, pijąc i czytając swój najnowszy nabytek: *Czarną magię*. Książka zafascynowała go do tego stopnia, że nie mógł skupić się na niczym innym. Od kilku miesięcy poszukiwał klucza, który pozwoliłby mu rozwinąć skrzydła, czuł, że musi posunąć się dalej. Kompulsywnie szukał odpowiedzi w Biblii – niestety, w dziesiątkach psalmów nie odnalazł nic, co mogłoby usprawiedliwić jego czyny, zaczął więc odwiedzać czarowników, spędzał czas na seansach spirytystycznych, gdzie uczestniczył w praktykach z użyciem ouija, poszukiwał treści

satanistycznych. Największe rozczarowanie poczuł, gdy poznał dwóch kubańskich *santeros* ³⁴, starych, pokracznie poruszających się mistrzów czarnej magii, którzy w odpowiedzi na jasno postawione pytanie uświadomili go, że składanie ofiar z dzieci jest w ich religii absolutnie zakazane i ostro potępiane. Na szczęście już trzy dni później na jednym z zapomnianych bazarów natknął się na *Czarną magię* i to było to, przepadł.

Tam znalazł odpowiedzi, których szukał. I zawarł pakt z diabłem. Podczas alkoholowo-narkotycznego transu bestia nawet do niego przemówiła i nakazała złożyć ofiarę z dziecka, w zamian obiecując nieśmiertelność i wieczną chwałę.

Luis spędził u Esthery prawie tydzień, zatopiony w lekturze. Chłonał książkę całymi dniami, uczył się fragmentów na pamięć, w końcu uznał, że najwyższy czas przejść do działania. Nie mógł się opanować i wybrał Ciudad Bolívar, które znajdowało się zaledwie godzinę drogi od Trujillo. To tam Garavito zasadził się na dwunastoletniego chłopaka. Miał jasną skórę i niebieskie oczy. Właśnie takiego potrzebował. Tak mu powiedział diabeł: jasny młodzieniec o niebieskich oczach. Chłopak sprzedawał przechodniom słodycze i cygara, mały, chudy, wydawał się łatwym celem. Pod pozorem pomocy przy rozładunku wozu i zapłaty tysiąca pesos zwabił go na zalesiony skwer w okolicy hotelu Meliá. Miał jednak pecha, bo dzieciak był czupurny i zaczął krzyczeć, a w pobliżu kręcił się akurat patrol policji. Po krótkiej pogoni funkcjonariusze dopadli go, a następnie dotkliwie pobili. Jeden z nich wyjął nawet pistolet i w niego wycelował, ale ostatecznie tylko huknął go rękojęcią w skroń, co też miłe nie było, zwłaszcza że gdy leżał na ziemi, to go dodatkowo skopali, a potem zawieźli na posterunek, gdzie jeszcze poprawili. Zabrali mu ponad sto tysięcy

pesos i zegarek, następnie odliczyli drobne na bilet i puścili z zastrzeżeniem, że jeśli jeszcze raz go zobaczą w okolicy, to zabiją.

Nie było sensu ryzykować, więc Luis wszedł w autobus i pojechał do nieodległej Tului. Zdjęty obawami o swoje bezpieczeństwo, postanowił jednak oddalić się na jakiś czas od rodzinnych stron. Wybrał leżące na południu departamentu Jamundí, gdzie policja nie miała wiele do gadania, a w zasadzie nic, bo tu rządy sprawował kartel z Cali. Paradoksalnie poczuł się bezpieczniej i z biegu zatrudnił się na polu trzciny cukrowej. Dziś kończył się drugi dzień pracy.

Luis odebrał dniówkę od stojącego przy wyjściu nadzorcy i od razu poszedł na pobliski bazar. Musiał się napić, więc na pierwszym straganie zaopatrzył się w ulubioną brandy La Corte i przysiadł na pobliskim murku, zapalił papierosa i zaczął opróżniać butelkę. Nie myślał, po prostu pił, łapczywie, prosto z gwinta, bo chciał, aby dokuczliwy ból głowy w końcu ustąpił. Szybko wprowadził się w stan upojenia. Gdy słońce zniknęło za andyjskimi szczytami, a na niebie zawisła tarcza księżyca, jego oczom ukazał się wąły chłopczyk z pękiem różańców w dłoni. Wiszące krzyżyki rytmicznie stuknęły w takt jego kroków, a on od czasu do czasu zachwalał własnoręcznie robiony produkt. Przemknął obok niego, wtedy ich spojrzenia na dwa krótkie uderzenia serca się spotkały. Luis przyjrzał się chłopcu. Miał na sobie spraną niebieską koszulkę z nieczytelnym nadrukiem, jej rękawy były postrzępione, a na wysokości łopatk straszyla wielka dziura. Niemal natychmiast poczuł znajome mrowienie w podbrzuszu. Impuls był tak silny, że nawet nie próbował z nim walczyć. Odebrał to jako znak od samego diabła, z nim zaś nie było dyskusji, dlatego wstał z murku i lekko chwiejnym krokiem ruszył za chłopakiem, a gdy ten zatrzymał się przy jednym ze straganów i wdał się w rozmowę z niewiele starszą dziewczynką, on też

przystanął, zaczął się, udał, że ogląda obrazy z Matką Boską, jednocześnie nadstawiając uszu.

– Tak, na pewno przyjdę – powiedział chłopak do ciemnookiej nastolatki w zwiewnej sukience i włosach koloru węgla. Luis wychwycił, że nazywa się Doña Eugenia i chłopak chce ją zabrać na pokaz gry świateł, który tego wieczoru miał się odbyć w parku w centrum miasta. – Muszę tylko pozbyć się ostatniej partii towaru, a potem wrócić do domu, aby się przebrać. A ty? Jak długo jeszcze będziesz pracować?

Dziewczyna najwyraźniej nie była mu obojętna, bo w jego głosie czuć było nerwowość i skrępowanie.

– Dziś zamykamy wcześniej. Muszę jeszcze z babcią posprzątać stragan, więc na razie nigdzie się nie ruszam.

– Zaczekasz tu na mnie, gdyby zeszło mi dłużej? Wtedy poszlibyśmy razem.

– Jeśli nie spóźnisz się za bardzo, to zaczekam.

– Super. W takim razie lecę.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia!

Pożegnali się i chłopak ruszył żwawym krokiem w kierunku centrum bazaru. Garavito chwilę odczekał, po czym odłożył obrazek Matki Boskiej z Dzieciątkiem i ruszył jego śladami. Trzymał się kilkanaście metrów za plecami dziecka, nie mogąc oderwać wzroku od wyszarpanej w koszulce dziury, przez którą wystawała łopatka. Skóra była taka gładka, taka piękna, niemal czuł jej zapach, oczami wyobraźni widział, jak doskakuje do chłopaka i zachłannie przysysa się ustami do jego ciała, pieści je językiem, wgryza się w nie. Ledwo panował nad tym, aby nie wprowadzić myśli w czyn, wtedy uświadomił sobie, że nie jest odpowiednio przygotowany. Wpadł w panikę. Nerwowo zaczął rozglądać się za straganem, gdzie mógłby

kupić sznur, nóż i wazelinę, jednocześnie starał się nie spuszczać z chłopaka wzroku, co wcale nie było takie proste, bo ten krążył pomiędzy ludźmi i czasem znikał w tłumie, ale na szczęście Garavito wciąż słyszał jego śpiewny głos, jakże podniecający. Mały sprzedawca najwyraźniej chciał jak najszybciej upłynnić towar, a że zostało mu jeszcze kilka różańców, musiał się spieszyć, aby zdążyć na randkę.

Pięć minut później w torbie Luisa znajdował się już rzeźnicki nóż, dwa metry sznura i lubrykant. Wyskrobał z kieszeni ostatnie pieniądze, ale uznał, że powinny one wystarczyć, by kupić pozostałe trzy różańce, które młody sprzedawca wciąż dzierżył w dłoni, dlatego nie zastanawiając się ani chwili dłużej, zbliżył się do chłopaka. Uśmiechnął się tak szczerze, jak tylko potrafił.

– *Hola, amigo* – przywitał się. – Czy te różańce to ręczna robota?

– *Buenas, señor* – odparł chłopak. – *Si, señor*. Sam je strugam. Lepszych pan w mieście nie znajdzie. Proszę spojrzeć... – Jeden z nich położył na dłoni klienta. – Krzyżyki są zrobione z drewna, a...

– Wezmę wszystkie – wszedł mu w słowo Garavito. – Czy wtedy dostanę jakiś rabat?

Oczy chłopaka aż się zaświeciły.

– Pięć tysięcy pesos i są pana. Normalnie biorę dwa i pół za sztukę, więc kupując trzy, dostanie pan jeden gratis.

Garavito zaśmiał się pod wąsem. Nikt nie dałby więcej niż tysiąc za sztukę, ale tym razem warto było przeplacić, udał więc, że się zastanawia, mruknął coś pod nosem, próbując wzbudzić w chłopaku wątpliwości, a gdy ten już miał otworzyć usta, aby zaproponować nową cenę, Luis wyjął z dzinsów plik banknotów.

– Naprawdę są piękne. Małe arcydzieła. – Garavito na oczach chłopaka zaczął odliczać kwotę. Z pełną premedytacją robił to powoli, trochę niezgrabnie, tak aby papier kusząco szeleścił

w uszach rozemocjonowanego dziecka. – Dostaniesz sześć, jeśli jeszcze pomożesz mi zapakować kilka skrzyń na powóz – powiedział w końcu, serdecznie się uśmiechając. – Są ciężkie i sam mogę nie dać rady, bo mam problemy z kręgosłupem. Gdy się schylam, bardzo boli.

– Chętnie pomogę, *señor*. A gdzie pana wóz?

– Niedaleko. Koło torów na skraju miasta. – Garavito wskazał palcem na zachód, na odległe pola trzciny cukrowej. – I wolałbym załatwić to jak najszybciej, bo już prawie całkiem ciemno, a nie chciałbym, aby mój towar padł łupem złodziei.

– Tak się składa, że ja też się spieszę.

Garavito odliczył pięć tysięcy pesos i wcisnął je w dłoń chłopaka, w zamian otrzymując trzy ręcznie strugane różańce. Mniejszy plik banknotów schował z powrotem do kieszeni spodni, po czym gestem ręki zachęcił młodziana, aby ruszył jego śladami. Zanim opuścili bazar, kupił jeszcze jedną butelkę La Corte, ale nie otworzył jej w obawie, że może upić się za mocno. Miał przecież przed sobą całą noc.

Po drodze zdążył wzbudzić w ofierze zaufanie. Zanim dotarli, dowiedział się, że chłopak nazywa się Juan Carlos, ma trzynaście lat i mieszka z matką na obrzeżach miasta, a poza tym lubi grać w piłkę nożną, jest najlepszy na ulicy i w ogóle kiedyś zostanie gwiazdą światowego formatu. Przez cały ten czas buzia mu się prawie nie zamykała, co trochę Luisa irytowało, ale umiejętnie to wykorzystał, aby wyciągnąć na jego temat jak najwięcej, bo akurat sytuacja rodzinna go interesowała, to było ważniejsze niż jakaś tam piłka i jego durne marzenia. Dzieciak więc mówił, a lekko nie miał, jak większość jego rówieśników, zwłaszcza w takim mieście jak biedne i traumatyzowane wszechobecną przemocą Jamundí. Jego ojciec wyparował krótko po jego narodzinach. Juan twierdził, że miało to

jakiś związek z kartelem z Cali, ale jaki – tej odpowiedzi albo nie znał, albo uznał, że w tej kwestii lepiej trzymać język za zębami. Matka od lat nie pracowała, bo przewlekłe chorowała i miała problem z chodzeniem, a że na utrzymaniu była jeszcze dwójka przyrodniego rodzeństwa ze związków matki z innymi mężczyznami, sam musiał pracować, żeby jakoś wiązać koniec z końcem.

By dotrzeć na miejsce, musieli jeszcze przeciąć pastwisko, a następnie przekroczyć strumień lawirujący pomiędzy rozsianymi po horyzont polami trzciny cukrowej, spływający z majaczących na zachodzie andyjskich szczytów. Prąd był wartki, a woda orzeźwiająca i Juan Carlos wykorzystał moment, aby zaspokoić pragnienie. Nachylił się i złożył dłonie w koszycek, zaczął pić, cicho siorbiąc, wtedy koszulka na jego plecach napięła się, podobnie jak skóra na odkrytej łopacie. Garavito wbił swoje pożądlive spojrzenie w plecy chłopaka, czując, że powoli zaczyna tracić kontrolę. Impuls był niezwykle silny, niemal obezwładniający. Miał wrażenie, że gnieżdżąca się w jego podbrzuszu bestia nie tylko się rozbudziła, ale zaczęła tańczyć w środku swój diabelski taniec, drapiąc i szarpiąc jego tkanki swoimi pazurami, jakby chciała je rozerwać i wyrwać się na wolność. Zrozumiał, że nie zdoła jej dłużej utrzymać na uwięzi, wtedy chmura odsłoniła tarczę księżyca, którego blady blask rozsypał na srebrzystej powierzchni wody świecące iskry.

– Zabij, zabij, zabij!

Głos w głowie Luisa wybrzmiewał coraz głośniej, intensywniej. Poczuł, że z podniecenia drętwieją mu nogi, a prawa ręka sama wędruje do torby.

– Zabij, zabij, zabij. Zabij, a dam ci to, czego pragniesz...

Zanim się obejrzał, w dłoni trzymał już rzeźnicki nóż, przez którego ostrze przemykały refleksy lśniącego na niebie księżyca.

Z oddali niósł się odgłos nadjeżdżającego pociągu, wokół szumiały wysokie łądygi trzciny cukrowej.

Luis oblizał wargi i nie mogąc dłużej utrzymać bestii na uwięzi, pozwolił jej zerwać się z łańcucha.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Do Jamundí, niestety, nie dotarliśmy. Pomimo moich usilnych prób namówienia na to naszych przewodników, ci kategorycznie i jednomyślnie odmówili. Skąd ta stanowczość?

– Jamundí to jedno z najniebezpieczniejszych miast w Kolumbii – tłumaczył Roberto, nasz kierowca i ochroniarz. – To swoiste wrota do narkotykowego biznesu, których od lat niezmiennie i bardzo rygorystycznie pilnuje kartel z Cali. Przez Jamundí rokrocznie przechodzą setki ton kokainy, które następnie są redystrybuowane na kraj, kontynent, w końcu na cały świat. Tej produkowanej w rejonie Pacífico, tej z terenów przygranicznych z Ekwadorem i z potężnego obszaru południowo-wschodniej Kolumbii, niemal zupełnie dzikiej, w większości porośniętej niedostępnymi lasami deszczowymi. Co prawda, przynajmniej czysto teoretycznie, rząd ma w Jamundí jeszcze coś do powiedzenia, ale paradoksalnie sprawia to, że w mieście jest jeszcze bardziej niebezpiecznie niż w miejscach, do których policja się nie zapuszcza. Tu w zasadzie trwa niekończąca się wojna pomiędzy rywalizującymi ze sobą kartelami i guerillas a policją i wojskiem. Tygodniowo dochodzi średnio do kilku zabójstw, a mundur policjanta czy żołnierza w najmniejszym stopniu nie chroni przed kulami. Zdarzają się regularne bitwy, a na ulicach znajdowane są zdekapitowane, obdarte ze skóry lub po prostu rozczłonkowane ciała. To i tak tylko wierzchołek góry lodowej, bo statystyki pewnie są dużo wyższe, gdyż wielu ludzi po prostu ginie bez wieści. Dlatego uwierz mi, Pepe, że w ciągu godziny całe miasto huczałoby o dwóch gringos z aparatami i kamerami, którzy

dodatkowo kręcą się po slumsach i pytają o jakiegoś mordercę. Wątpię, aby ktoś wnikał w szczegóły i pytał, co tu tak naprawdę robicie. A nawet jeśli jakimś cudem ludzie kartelu by wam odpuścili, to na pewno zgarnęłaby nas policja. A oni są tu bardzo nerwowi i zapewne skończyłoby się na tym, że by nas wszystkich przetrzymali w areszcie, a potem, przy dobrych wiatrach, odwieźli na granicę miasta z zakazem powrotu i informacją do kolegów na północy, żeby mieli na nas oko. W skrócie: wyprawa do Jamundí to bardzo, bardzo zły pomysł.

Cóż, skłamałbym, gdybym napisał, że facet mnie nie przekonał. W życiu naczytałem się wystarczająco dużo książek i naoglądałem jeszcze więcej filmów i seriali o kolumbijskich kartelach, aby jednak nie kusić losu. Ostatecznie najbardziej na południe zapuściliśmy się do Palmiry, niewielkiego, acz niezwykle istotnego w całej tej historii miasta, leżącego kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od Cali. Do Palmiry jednak wrócimy później...

Jamundí odpuściliśmy, ale na szczęście sprawa zabójstwa pierwszej ofiary została dość dobrze udokumentowana. Chłopak rzeczywiście był ulicznym sprzedawcą, który w swoim asortymencie miał między innymi dewocjonalia. Wpadł Garavito w oko na bazarze. Przyszły morderca zaczął go śledzić, zaopatrując się po drodze w nóż rzeźnicki, dwa metry sznura i lubrykant. Prawdą jest też to, że chłopak umówił się z koleżanką Doñą Eugenią na pokaz gry świateł. Nigdy jednak na niego nie dotarł, bo dał się namówić Garavito na opuszczenie miasta pod pretekstem pomocy przy załadunku wozu. Tam, w pobliżu strumyka przecinającego pola trzciny cukrowej, „Bestia” zaatakowała.

– Gdy zobaczyłem na powierzchni wody odbicie księżyca, poczułem ten silny impuls, który obudził we mnie to coś, to zwierzę – tłumaczył podczas przesłuchania Garavito. – Nie mogłem nad tym zapanować. To coś mówiło: zabij, zabij, zabijanie da ci wszystko, o czym marzysz. Nie byłem w stanie się powstrzymać i wtedy zacząłem go dźgać i ciąć nożem. To była moja pierwsza ofiara.

Zwłoki Juana Carlosa odnaleziono kilka dni później. Obrażenia były potworne. Miał wiele ran kłutych na niemal całym ciele, wydłubany odbył i odcięte genitalia. Na zwłokach znaleziono ślady nasienia. Według patomorfologa wszystkie te tortury zostały zadane za życia ofiary, a śmierć nastąpiła dopiero wskutek poderżnięcia gardła. W pobliżu odnaleziono pustą butelkę po ulubionej brandy Garavito – La Corte.

Na przesłuchaniu morderca powiedział, że gdy obudził się rano i zobaczył, co zrobił ofierze, zaczął szlochać...

Rozdział 2

Pereira, Kolumbia, listopad 1992 roku

Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Przeto błagam Najświętszą Maryję, zawsze Dziewicę, wszystkich Aniołów i Świętych...

Luis klęczał przed własnoręcznie umocowanym na ścianie krzyżem i bił się w piersi tak straszliwie i przejmująco, że podstarzała i zrzędliva sąsiadka z klitki obok zaczęła walić w ścianę kijem od miotły, skrzecząc, aby w końcu zamilkł, bo pięknie jej głowa. Nie przejął się nią ani trochę, bo zawsze marudziła, a czasem nawet straszyla, że zgłosi wszystko właścicielowi budynku i wymusi jego eksmisję. Było to jednak tylko ciche gadanie, bo odkąd tu zamieszkał, nie wprowadzała swoich gróźb w czyn. Dlatego modlił się żarliwie dalej, prosząc Boga o wybaczenie, tłukł się z taką siłą, że górna część klatki piersiowej przybrała niemal bordowy kolor, stała się jednym wielkim bolesnym wylewem.

Znów zabił. Artykuł w gazecie o wszystkim mu przypomniiał. Bóg mu świadkiem, że tego nie chciał. Owszem, był podminowany, bo tego wieczoru został zmuszony do powrotu z pracy na piechotę. Pięć kilometrów, które dzieliło Nacaderos od magazynu w centrum miasta, zwykle pokonywał autobusem, ale tym razem coś musiało się stać, bo ten nie przyjechał. Zdarzało się to, jako że komunikacja miejska od lat szwankowała w prawie całym kraju. Mógł zamówić

taksówkę, ale wolał oszczędzać. Z kilku powodów. W ciągu miesiąca zabił już czterech chłopców: trzynastoletniego Juana Carlosa w Jamundí, o rok młodszego Jhona Alexandra Peñarandę i dwóch dziewięcio-, może dziesięcioletnich chłopaczków, których imion nie pamiętał, bo nawet o nie ich nie zapytał. Ci ostatni byli bezdomnymi sierotami – nauczyli się żyć na ulicy, żebrząc, jedząc resztki ze śmietników i włócząc się bez celu, gdy napełnili brzuchy na tyle, aby móc powłóczyć nogami. Nie mieli przy sobie legitymacji, więc nie miał jak zapisać ich w zeszycie i trochę tego żałował, bo od dłuższego czasu prowadził dziennik, który na bieżąco starał się uzupełniać. Bestia nie dała mu jednak wyboru i gdy ujrzał ich na dzikim wysypisku przy rzece, nawet nie pytając o imiona, po prostu zdzielił po głowie i zabrał w gęstwiny, a tam zrobił to, co musiał. Los, jaki im zgotował, nie był mu zupełnie obojętny i następnego dnia długo modlił się w katedrze przy Plaza de Bolívar, prosząc Boga o wybaczenie. Co z tego – gdy w drodze do domu wypijał kilka piw, a potem otwierał brandy, wtedy z szafki spoglądała na niego książka będąca teraz jego drugą Biblią, a może pierwszą, tego sam już nie wiedział, bo wszystko zależało od tego, który Garavito akurat przejmował nad nim kontrolę. Mroczna i niepokojąca obwoluta przedstawiała czerwonego diabła z widłami w szponiastej ręce, demon stał przy bezlistnym drzewie, na jego konarze siedziała sowa obserwująca czarownicę poskramiającą węża, a obok gotował się kociołek z ludzkimi czaszkami.

Po żarliwej modlitwie w intencji tych bezimiennych chłopców, których ciała ostatecznie rozczłonkował i wrzucił do rzeki, znów zaczął czytać, a w jego głowie pojawiły się głosy.

– Zabij, zabij, zabij – rezonowało mu w czaszce. – Tylko mordowanie daje to, czego tak bardzo pragniesz.

Nie wyszedł z domu tylko dlatego, że zbyt mocno się upił. Następnego dnia pojechał do pracy, a dzień później nawalił autobus. Miał zły dzień, bo wnerwił go najpierw kolega w magazynie, a potem kierownik, który nie uwierzył w jego wersję zdarzeń i ostro go zrugął.

– Jeszcze raz usłyszę, że podjadasz towar z magazynu, to wypierdolę cię z roboty na zbity pysk – zagroził i rzucił mu w twarz pustą paczkę po chipsach.

Oczywiście miał rację, bo Luis rano zaspał i skacowany nie miał czasu, aby zrobić sobie śniadanie, a tym bardziej przygotować i zapakować posiłek do pracy, w związku z czym przy pierwszej nadarzającej się okazji podkradł paczkę chipsów i kryjąc się pomiędzy paletami, pożarł całą zawartość. Alberto, młody pracownik magazynu, przyłapał go akurat w momencie, gdy próbował pozbyć się szeleszczącego dowodu zbrodni. Na twarzy chłopaka wykwitł szyderczy uśmieszek, a potem powiedział:

– Teraz masz przejebane, Garavito.

I poszedł wprost do kierownika. Ten pojawił się w magazynie, zanim Garavito zdążył wymyślić jakąkolwiek sensowną linię obrony, wciąż tylko nerwowo zaciskał pięść, w której trzymał opakowanie po chipsach, wtedy pan Asprilla wyrwał mu je z dłoni, po czym wyrzygał litanie obelg, zarzutów, niekoniecznie prawdziwych, w końcu grózb i rzucił mu tą pustą paczką w twarz, a następnie, odwróciwszy się na pięcie, dziarskim krokiem ruszył z powrotem do swojego biura.

Potem Luisa wkurwiało już wszystko, bo roboty nie brakowało, Alberto wciąż miał na niego oko, a do tego przez cały dzień chodził głodny, gdyż wychodząc z domu, nie tylko zapomniał zabrać jedzenia, ale i portfela. Co prawda, gdyby się uparł, mógł sobie kupić kilka arep, ale drobne w kieszeni wolał zachować na piwo, którego

dwie puszki zawsze wypijał zaraz po skończeniu pracy, zwykle jeszcze przed przyjazdem autobusu. Starczyło na półtorej, więc kupił jedną, a gdy okazało się, że będzie musiał zrobić sobie spacer, najpierw skopał przydrożny śmietnik, a potem za pieniądze przeznaczone na bilet dokupił jeszcze dwie i ruszył piechotą w kierunku Nacederos, gdzie mieszkał.

Po drodze nie mógł zebrać myśli, bo wciąż słyszał rezonujące echo słów bestii. Próbował je zagłuszyć, pijąc następne piwo, a potem kolejne, ale na czwarte zabrakło pieniędzy i nie miał jak się przed nią bronić. W plecaku tkwił zestaw: nóż, sznur i wazelina. Ostatnio zawsze je ze sobą nosił, bo tak kazała mu bestia, gdy zaś zobaczył samotnie kroczącego chuderlawego chłopca w za dużych klapkach, diabeł zagrzemiał tak głośno, że ciśnienie omal nie rozsadziło mu czaszki.

– Zabij! – ryknął, a w głowie Luisa rozpętała się burza z piorunami.

Te jego klapki. To na nie zwrócił uwagę. Wyglądały na całkiem nowe, takie trochę amerykańskie, ale były o kilka rozmiarów za duże, przez co chłopak poruszał się w nich bardzo niezgrabnie, prawie jak kaleka niezdolny do stawienia choćby najmniejszego oporu. Podwędził je pewnie ojcu lub starszemu bratu, a może po prostu ukradł – nie miało to żadnego znaczenia, bo w oczach bestii w jednej chwili stał się idealną potencjalną ofiarą.

Chłopaka nie trzeba było długo przekonywać. Uwierzył, że Luis da mu zarobić, wystarczyło tylko odbić od głównej ulicy i zejść ścieżką w dół wąwozu. Tam, na samym dole, leniwie płynęła rzeka Otún, otoczona gęsto zalesionym obszarem zalewowym. Chłopiec był naiwny, ale gdy pojawił się, co go czeka, zaczął strasznie krzyczeć. To Luisa tylko rozjuszyło, więc zabrał się do roboty, a rznął nożem dzieciaka tak namiętnie, że po wszystkim padł na ziemię, cały we

krwi, ledwo dysząc. Jeszcze nigdy tak brutalnie nie potraktował żadnej ofiary i nigdy nie doznał takiej rozkoszy. Wtedy jakoś nie miał wyrzutów sumienia, a teraz owszem, i to go strasznie irytowało.

– Zamknij się, stara kurwo! – ryknął i kilkakrotnie uderzył pięścią w ścianę, za którą tłukła się zrzędliva sąsiadka.

Ucichła, a Luis począłapał do mikroskopijnej kuchni, gdzie na resztkach z niewielkiej butli z gazem podgrzał wodę na kawę. Zalał wrzątkiem zmielone ziarna, zapalił papierosa i upił kilka łyków. Nie mógł skupić myśli. Przed oczami wciąż miał twarz tego chłopca, twarz z przyrodzeniem w ustach, które własnoręcznie chłopakowi odkroił i dalej robił swoje. Targały nim ambiwalentne uczucia, od nienawiści do samego siebie po skrajną rozkosz, jaką dawały mu wspomnienia wyjącego z bólu dzieciaka – wszak to chyba wtedy miał największy orgazm, dziś zaś największe wyrzuty sumienia.

Wypalił jeszcze dwa papierosy i dopił kawę, po czym udał się do toalety. Spojrzał w popękane lustro. Wyglądał karykaturalnie. Wysoki, chudy, jego wklęsła klatka piersiowa straszyla własnoręcznie nabitymi siniakami, a żebra wyglądały, jakby zaraz miały przebić skórę. Czarne rozczochrane włosy, kiepsko przystrzyżony wąs, gęste, niemal zrosnięte brwi, które kryły dwoje czarnych, lekko błyszczących w świetle tłęcej się na umywalce świecy źrenic. Wszystko to kuriozalnie brzydkie, wręcz groteskowe, zdeformowane przez pęknięcia na lustrze. Pomyślał, że gdyby dać mu widły, z trudem można by go odróżnić od diabła, który w nim siedział i który tak bezlitośnie popycha go do tych wszystkich czynów. A może wyjaśnienie było dużo prostsze? Może to on był diabłem? Demonem w ludzkiej skórze, spłodzonym przez potwora, który oddawał go innym diabłom, aby już od najmłodszych lat był gwałcony, aby ich nasienie zagnieździło się w nim na zawsze, aby nigdy nie mógł się wyprzeć swojego diabelskiego pochodzenia. Któż

mógłby temu zaprzeczyć? Przecież nie on i nie ci, którym zadawał tyle cierpień. Dla nich bez wątpienia był diabłem, bestią z najgorszych koszmarów, potworem, jakiego dotąd nie widział świat.

Poczuł delikatny ruch w podbrzuszu, jakby oślizgła istota w nim przesunęła się o kilka centymetrów, jakby ziewnęła, uśpiona, syta, trawiąc to, czym kilka dni temu została nakarmiona. Pomyślał o wężu. Tak, to mógł być wąż, ten sam, który w Biblii jest ucieleśnieniem diabła, ten, który w raju skusił Ewę, aby zerwała zakazany owoc. Jego też kusił. Nachalnie, natarczywie, nawet napastliwie. Jeśli Ewa zdołała ulec mu w raju, sięgając po głupie jabłko, to kimże jest on, aby móc odrzucić obietnicę tak potężnej rozkoszy?

Jest diabłem.

Zawarł z nim pakt. Śmierć za rozkosz. Taka była umowa.

Zamknął oczy, a gdy znów je otworzył i zobaczył stojącą naprzeciw kreaturę, huknął pięścią w lustro, rozbijając je do końca. Większe kawałki spadły na betonową podłogę, kilka mniejszych wbiło mu się w skórę na knykciach, krew zalała mu dłoń i przedramię. Nie czuł bólu. Sam go zadawał i wiedział, że takie obrażenia są niczym w porównaniu z tymi, jakie można zadać drugiemu człowiekowi, na przykład wyjąć oczy albo wykastrować, choć przecież można było jeszcze zerwać z głowy twarz, bo i to mu się też raz zdarzyło. Zapalił papierosa i najspokojniej w świecie zaczął wyciągać szklane okruchy z dłoni, a gdy skończył, przemył knykcie pod wodą, która kolorem przypominała tę z kałuż po przejściu błotnej lawiny, po czym zwinąwszy rękę w kawałek szmaty, poszedł do pokoju.

Otworzył La Corte i pociągnął z gwinta. Alkohol sprawił, że poczuł się rozluźniony, chwycił więc gazetę, rozsiadł się wygodnie na

kanapie i założywszy nogę na nogę, w tej pozycji zaczął czytać artykuł o własnej zbrodni.

Gdy skończył, uśmiechnął się pod nosem, a potem sięgnął po zardzewiałe nożyce...

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

W Pereirze spędziliśmy trzy dni. Już kilka razy nam się tu przewinęła, gdyż jest to miasto, które podobnie jak Armenia odgrywało niezwykle ważną rolę w ponurej historii życia Garavito. Liczy około czterystu tysięcy mieszkańców, więc to duży ośrodek, ale bardzo dotknięty biedą na obszarach podmiejskich. W centrum robi niesamowite wrażenie, wieczorami wrze w nim jak w ulu i wydaje się jednym z najbardziej kolorowych, imprezowych i przede wszystkim otwartych miejsc w Kolumbii. Na każdym kroku można tu spotkać homoseksualistów, którzy w najmniejszym stopniu nie kryją się ze swoją orientacją, często obściskując się czy całując na oczach innych. Jest to również mekka tych, którzy pragną poprawić swój wygląd, stąd częsty widok kobiet ze sztucznymi piersiami o rozmiarach D, E, F czy G, nietrudno też natknąć się na transseksualistów, którzy w pogoni za marzeniami o wąskiej talii zdecydowali się chirurgicznie wyciąć dolne żebra i dodatkowo do granic możliwości napompować silikonem pośladki. Mówiąc, że to częsty widok, mam na myśli to, że migają przed oczami praktycznie non stop, co w kulturze nacechowanej patriarchalnym kultem macho wcale nie jest takie oczywiste. Niestety, cały ten proseksualny manifest, jakim wydaje się szczycić Pereiera, ma też swoją mroczną stronę.

*– To zagłębienie prostytucji – tłumaczył podczas spaceru Roberto.
– To właśnie tu zjeżdżają się, a w zasadzie w zdecydowanej większości są zwożeni przez ludzi zajmujących się handlem żywym towarem, kobiety oraz mężczyźni chcący sprzedawać swoje ciała bądź do tego zmuszeni. Jeśli słyszałeś o jakichś kolumbijskich*

dziewczynach czy transseksualistach oferujących swoje usługi w Europie, to w ciemno można zakładać, że pierwszym ich przystankiem była właśnie Pereira. Różnica między równie bezpruderyjną Bogotą a Pereirą jest taka, że do Bogoty przylatują pracować ludzie z zagranicy, a z Pereiry za granicę pracować wylatują Kolumbijki i Kolumbijczycy.

Tu bogactwo miesza się ze skrajną biedą. Uderzające były widoki, na które natknęliśmy się w samym centrum miasta. Przy murach, zwłaszcza kościołów, z majestatyczną i według naszych przewodników największą na świecie katedrą z drewna Catedral de Nuestra Señora de la Pobreza na czele, koczowały dziesiątki żebraków, którzy momentami byli strasznie nachalni. W wąskich bocznych uliczkach i bramach kamienic ludzie szprycowali się narkotykami, nawet nie próbując ukryć strzykawek. Niektórzy wyglądali – nie przymierzając – jak chodzące zombie, a w ich zamglonych oczach nie dało się wyczytać czegokolwiek, może poza gniewem, który – takie miałem wrażenie – był wymierzony w nas, tak jakbyśmy to my ponosili winę za niedolę i nędzę, w jakiej przyszło im żyć. Nie było to miłe uczucie, zdecydowanie niekomfortowe, jakby permanentnie świdrowało nas kilkadziesiąt par oczu.

– Nigdy, nawet za dnia, nie noście portfeli na tyłku ani plecaków na plecach – ostrzegał Roberto. – Tu rzadko pojawiają się gringos i każdy jest traktowany jak potencjalne małe eldorado. Złodzieje są tak wyspecjalizowani, że nawet nie poczujecie, kiedy któryś przetnie materiał i opróżni kieszenie bądź wnętrze plecaka. I zapomnijcie też – gdyby zaczęły wam chodzić po głowie głupie pomysły – o jakimkolwiek wyjściu na imprezę. Wiem, że Pereira potrafi kusić, ale to nie jest dobry pomysł. Nawet nie musicie się porządnie napić, żeby do hotelu wrócić w skarpetkach. Jeśli w ogóle.

Ostatecznie zastosowaliśmy się do tych zaleceń, choć zagrożenie pojawiło się w zupełnie innym miejscu, podczas zbierania materiałów, właśnie w slumsach Nacaderos. Ale do tego wrócę później...

Wracając do samego Garavito, po pierwszym zamordowaniu swojej ofiary, Juana Carlosa, w Jamundí, po kilku dniach wrócił do rodzinnego Trujillo, gdzie spotkał się z siostrą Estherą. Wysiadłszy na przystanku w Tului, zamordował dwunastoletniego Jhona Alexandra Peñarandę, którego ponadto przed śmiercią zgwałcił i brutalnie torturował. Po krótkim pobycie u siostry wyjechał do Pereiry, gdzie znalazł pracę i kontynuował swój morderczy szlak. Zabił kilkoro dzieci, z których nie wszystkie udało się zidentyfikować, a jednym z nich był „chłopiec w klapkach”. Do brutalnego zabójstwa doszło w okolicy Nacederos, gdzie Garavito mieszkał i gdzie później odkryto masowy grób, o którym napiszę przy kolejnej okazji. Pięć dni później przypadkowy przechodzień odkrył ciało, a sprawa była szeroko komentowana w mediach. Na pierwszej stronie dziennika „La Tarde” pojawił się duży artykuł pod tytułem Indignación por hecho criminal (w wolnym tłumaczeniu Oburzające morderstwo), w którym dziennikarz uczestniczący w wydobywaniu zwłok bez owijania w bawełnę opisał ze szczegółami obrażenia zadane ofierze przez oprawcę, w tym fakt, że chłopiec został wykastrowany, a jego genitalia wepchnięto mu do ust.

Garavito z uwagą śledził kolejne doniesienia, ale przestraszył się, że ktoś może go rozpoznać, i starał się ograniczyć przebywanie poza domem. Podobno bardzo swoich czynów żałował i regularnie bił się w piersi, żarliwie się modląc. Chorobliwie też śledził wszystkie doniesienia medialne dotyczące sprawy i wycinał każdy kolejny artykuł na temat morderstwa „chłopca w klapkach”. Ten został pochowany kilkanaście dni później, z udziałem setek, a może nawet tysięcy wstrząśniętych mieszkańców Pereiry, którzy podczas ceremonii skandowali „Sprawiedliwość, sprawiedliwość, sprawiedliwość”. Komendant policji Libardo Díaz Ortiz znalazł się pod olbrzymią presją i już 4 grudnia powiedział na łamach „La Tarde”: „Najbardziej przerażająca i potworna zbrodnia, jaką kiedykolwiek zanotowano w Risaraldzie, nie mogła pozostać bezkarna. Mamy wszystkie dowody, aby zapewnić, że Víctor

Manuel Quintana, lat 38, pochodzący z Ibagué, jest tym, który zgwałcił i zabił dziecko”.

Presja na policję była tak duża, że funkcjonariusze zatrzymali pierwszego lepszego mężczyznę, który pasował do modus operandi sprawcy. „El Brujo” (w wolnym tłumaczeniu „Wiedźmin”) miał już na koncie wyroki za czyny pedofilskie, więc z marszu trafił za kratki, w czym niewątpliwie pomogła też rodzina ofiary, wskazując go jako potencjalnego mordercę, którego widzieli kręcącego się w pobliżu ich syna. Jeszcze tego samego dnia Quintana został zadźgany przez współwięźniów. Podobno na spacerunku pchnięto go nożem czternaście razy, a władze więzienia pozwoliły mu się wykrwawić, gdyż nikt z pracowników nie udzielił rannemu pomocy. Następnego dnia dziennik „La Tarde” wydrukował informację o śmierci „El Brujo”, co wywołało w mieście eksplozję radości. Wszystkie wycinki dotyczące tej sprawy znaleziono później w jednej ze słynnych czarnych walizek Garavito...

Rozdział 3

Bogota, Kolumbia, grudzień 1993 roku

Przez pierwsze trzy dni pobytu Garavito w Bogocie lało niemiłosiernie. Ulice dzielnicy San Cristóbal zamieniły się w rwące potoki, a w nieckach na skrzyżowaniach zbierała się woda tak wysoka, że czasem potrafiła przykryć dorosłego człowieka. Luis prawie nie wychodził z wynajętego mieszkania. Temperatura też nie zachęcała, bo wieczorami i w nocy spadała nawet w okolice dziesięciu stopni Celsjusza, a w ciągu dnia rzadko zbliżała się do dwudziestu. Słyszał, że w stolicy o tej porze bywa chłodno, ale trochę to bagatelizował, być może dlatego, że wciąż nie śmierdział groszem i żał mu było wydawać pieniądze na ciepłe ubrania, a może dlatego, że Pereirę opuścił nagle, nie chcąc ryzykować życia w mieście, w którym mieszkańcy oddolnie zorganizowali fiestę z okazji śmierci aresztowanego za jego czyny Quintany. To przeraziło go nie na żarty. Zdawał sobie sprawę, że pedofile, zwłaszcza mordercy dzieci, są w więzieniach traktowani gorzej niż zwierzęta, ale dopiero ta sytuacja uświadomiła mu, że najmniejszy błąd może kosztować go nie tylko wolność, ale i życie. Dlatego nie czekał. Odebrał wypłatę i kupił bilet na pierwszy autobus do Bogoty. To tu, w najpotężniejszej aglomeracji północnej części kontynentu, blisko dziesięciomilionowej Bogoty, mógł pozostać niezauważony i działać incognito. Bo to, że dalej będzie zabijać, nie ulegało najmniejszej

wątpliwości. Pogodził się z samym sobą. A raczej z bestią, która w nim mieszka. Dlatego zawarł z nią niepisany pakt. Pakt z diabłem. A ten był jasny jak inkaskie złoto – Luis miał diabłu regularnie składać ofiary, a diabeł w zamian ofiarować mu nieziemską rozkosz.

Bogota wbrew pozorom, to znaczy pomimo swojej gęstej zabudowy, wydawała się idealnym miejscem do prowadzenia tego niecnego procederu. Rośla się od tysięcy nieletnich. Nawet teraz, kiedy paląc papierosa, wyglądał przez okno, widział, jak w strugach deszczu biegały przemoczone do suchej nitki dzieciaki. Gdy przestawało lać i zza chmur nieśmiało wyłaniało się słońce, bogotańska młodzież zalewała ulice niczym szarańcza, obsiadając wszystkie dostępne murki, krawężniki czy parkowe ławki. Terenów zielonych też nie brakowało. San Cristóbal była jedną z trzech dużych podmiejskich dzielnic Bogoty, które wbijały się w zielone wzgórza na południu metropolii niczym trzy smocze pazury, przez co gęsto zabudowane osiedla rozdzielały kilometry zalesionych nieużytków, w których można było znaleźć niezliczoną liczbę kryjówek. W dzielnicach tych mieszkali ludzie z najniższych warstw społecznych, ciężko harujący w fabrykach i magazynach albo utrzymujący się z działalności przestępczej, głównie handlu narkotykami i żywym towarem, w większości biedni jak mysz kościelna, ale zarazem twardzi i zahartowani, stawiający czoła przeciwnościom losu bez patrzenia na innych, głównie mieszkańców dzielnic Santa Fe, Chapinero czy Usaquén, ubierających się w drogie garnitury, zjadających w wykańczanych hebanowym drewnem restauracjach homary tudzież steki z argentyńskiej wołowiny i palących drogie cygara w towarzystwie przyjaciół z zagranicy. Te dwa tak różne światy dzieliło zaledwie kilka przecznic, mimo to niepisana granica była wyraźna i rzadko który reprezentant jednej grupy z premedytacją zapuszczał się na

teren tej drugiej, no chyba że jakiś lekkomyślny turysta zapragnął poczuć przyływ adrenaliny, wtedy czasem w San Cristóbal pojawiała się kaukaska twarz. Wiadomość o takiej wizycie rozlewała się po dzielnicy lotem błyskawicy, następowało wyraźne poruszenie, zwłaszcza bezdomnych dzieci i żebraków, którzy niczym chmara wygłodzonych komarów przysysali się do niespodziewanego gościa, a ten – jeśli miał choć minimum rozsądku – rzucał im trochę drobnych i zawracał na północ, nie oglądając się za siebie.

Jedynym cieplejszym ubraniem, które Luis przywiózł w walizce, był sięgający kostek habit, który zakupił kilka dni po odkryciu przez policję ciała swojej ostatniej ofiary. Zrobił to pod wpływem impulsu, gdy przypadkiem znalazł się na trasie uciekającego przed bandą wyrostków mężczyzny w podobnym do siebie wieku. To było dwa dni po pogrzebie „chłopca w klapkach” i Garavito zamarł ze strachu, słysząc ich wrzaski.

„Łap skurwiela! To pedofil!”, krzyczeli, biegnąc na złamanie karku. Co gorsza, chwilę później jeden z przechodniów, prawdopodobnie ich bliższy lub dalszy znajomy, słysząc ich nawoływania, spuścił ze smyczy psa, wtedy duży, masywny dog argentyński rzucił się w pogoń za nieszczęśnikiem, jakby czekał na ten moment całe swoje życie. Dopadł go po kilku sekundach, zaledwie kilkadziesiąt metrów za plecami Luisa. Nie czekał na kolejne polecenia i zatopił kły w łydkach i udach ofiary. Facet w starciu z dogiem nie miał najmniejszych szans. Najgorsze jednak miało dopiero nadejść.

Garavito odetchnął dopiero, gdy zrozumiał, że to nie chodzi o niego. Podszedł bliżej. Z początku wydawało się, że incydent się nie zaogni. Krępy i wytatuowany właściciel psa odciągnął pupila od ранnego mężczyzny, ale w ciągu kilkunastu kolejnych sekund sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Pogoń za podejrzanym

o molestowanie jakiejś dziewczynki przykuła uwagę okolicznych mieszkańców i przypadkowych przechodniów, którzy zbiegli się na miejsce, wykrzykując przekleństwa i obelgi skierowane pod adresem wijącego się z bólu mężczyzny. Ostatnie dni najwyraźniej wyryły w ich umysłach ślad, którego nie dało się łatwo usunąć – w ich oczach widać było wściekłość, a gdy ktoś rzucił hasło „Wykastrować go!”, wtedy hamulce puściły.

Ricky, jak wołali na właściciela psa znajomi, wydał mu polecenie, a ten z powrotem rzucił się na mężczyznę. Wgryzł się w jego krocze i szarpał dopóty, dopóki nie wyżarł wszystkiego. Facet wił się na ziemi i wył z bólu, a tłum wiwatował, dodatkowo zagrzewając zwierzę do działania. Krew z tętnic udowych tryskała na pół metra, więc już po minucie tej jatki biały dog wyglądał, jakby wytaplał się w posoce.

Garavito przyglądał się temu widowisku z mieszaniną ekscytacji i przerażenia, w końcu strach przeważył i wycofał się z powrotem na drogę, a w końcu zniknął. Policyjne wozy usłyszał dopiero po kilkunastu minutach, ale nie wątpił, że do tego czasu facet był już trupem.

Habit kupił jeszcze tego samego wieczora, na bazarze w innej części miasta, jakby ten rzeczywiście miał go uchronić przed ewentualnym atakiem ze strony ojców, braci czy wujów ofiar, nigdy jednak nie wyszedł w nim na zewnątrz, bo przez kolejne dni nie opuszczał w ogóle domu, udając przed szefem obłożnie chorego; co najwyżej wychodził po gazetę, aby poznać finał ponurej historii, której był świadkiem. „La Tarde” opublikowała na temat linczu dwa artykuły. Okazało się, że znajdująca się pod potężną presją traumatyzowanej społeczności policja nawet nie kiwnęła w tej sprawie palcem, bo po pierwsze, sprawców trudno było zdefiniować, po drugie, nikt nie chciał zeznawać, a po trzecie, zagryziony facet

rzeczywiście miał kartotekę obfitującą w przypadki molestowania nieletnich.

W dzień wypłaty Garavito spakował więc swoją walizkę i po odebraniu pieniędzy poszedł prosto na Dworzec Centralny, skąd, jak już wspomnieliśmy, pierwszym autobusem pojechał do Bogoty.

Tu krwawe wspomnienia wyblakły, ustępując pola obrazom kuszących, skropionych deszczówką dziecięcych ciał, tak licznych w kolorowej i nieustannie tętniącej życiem dzielnicy San Cristóbal. Bestia, jakby żywiąc się tymi widokami, też powoli się rozbudzała, a mrowienie w podbrzuszu zaczynało stawać się coraz bardziej nieznosne.

Garavito odszedł od okna i zapalił papierosa. W końcu uznał, że dłużej nie wytrzyma, i sięgnął po nabytą pokątnie jeszcze w Tului gazetę z gejowską pornografią. Masturbował się przez około kwadrans, ale nie był w stanie dojść. Z mężczyznami na zdjęciach był jeden problem – taki, że byli właśnie mężczyznami, on zaś, aby się nakręcić, potrzebował chłopców, najlepiej małych, cherlawych, o jasnej karnacji i niebieskich oczach. Sama myśl o ich gładkiej skórze doprowadzała go do ekstazy, dlatego wyrzucił gazetę, zamknął oczy i zwizualizował sobie tych, z którymi było mu najlepiej. Po dziesięciu minutach usilnych prób doprowadzenia się do orgazmu skończył. Nie czuł jednak satysfakcji, to nie było to, nie tego potrzebował, to było za mało.

Ogarnął się i przez chwilę chodził od ściany do ściany, łapczywie zaciągając się papierosem, w końcu usiadł na krześle przy oknie i przez kilkanaście kolejnych minut czytał najnowsze wydanie „El Tiempo” kupione w sklepie pana Vargasa mieszczącym się na parterze budynku, w którym mieszkał. Od czasu do czasu zerkał na ulicę, gdzie baraszkowały dzieci. Już nie padało, a chmury wisiały

w zasadzie jedynie nad Monserrate ³⁵ – Bogota znów była skąpana w słońcu.

Zapalił kolejnego papierosa, otworzył butelkę La Corte i zabrał się do kartkowania *Czarnej magii*, na kilkadziesiąt minut zatapiając się w lekturze. Znał ją prawie na pamięć, ale czytanie o tych wszystkich czarnych obrzędach, czaszkach, skórowaniu i tajemnych wywarach pozwalało mu fantazjować i sprawiało przyjemność, więc po kilku rozdziałach i opróżnieniu połowy brandy znów się nakręcił.

Bestia zaczęła się rozpychać w jego żołądku. Potrzebowała ofiary z krwi.

Wyrzwał przez okno. Nie znał jeszcze okolicy na tyle, co utrudniało polowanie, ale to nie mogło go zatrzymać, bo zapolować potrzebował, diabeł też – Luis czuł narastające z każdą kolejną minutą napięcie, które przecież musiało znaleźć ujście, najlepiej szybko, inaczej nie zaśnie. Owszem, mógł spróbować upić się do nieprzytomności, aby zagłuszyć żądania bestii, ale przecież nazajutrz rano musi wstać i poszukać pracy, w przeciwnym razie wyląduje na ulicy. Miał jeszcze pieniądze na góra dwa tygodnie, potem przyjdzie mu żebrać. Raz musiał i bardzo z tego powodu cierpiał, bo nie znosił prosić ludzi o pomoc. Robił więc wszystko, aby nigdy więcej nie czuć tego upokorzenia, które przed laty zafundował mu ojciec – on poniżał go i upadlał każdego dnia.

Upił brandy i wytarł usta wierzchem dłoni. Musiał działać. Jego wzrok przykuł przewieszony przez otwarte drzwi habit. Jeśli nie miał pieniędzy, przebranie mogłoby rozwiązać problem, wszak duchowni cieszyli się w całym społeczeństwie wielkim poważaniem. Tylko chwilę zajęło mu utwierdzenie się w przekonaniu, że pomysł jest trafny. Podeszedł do drzwi, ściągnął habit i nałożył go, następnie owinał sznur wokół talii, zawiązał supeł i wyciągnął z walizki zawieszkę z krzyżem oraz sporych rozmiarów różaniec, zarzucił na

głowę kaptur i stanął przed zaśnieżonym lustrem. Przez dłuższą chwilę przypatrywał się swojemu odbiciu, w końcu uśmiechnął się do samego siebie.

– Przejdziemy się, ojciec – mruknął i zarzuciwszy na ramię sznurowy worek, opuścił mieszkanie.

Wrócił grubo po północy, odprężony, cały we krwi. Już nie czuł nieznosnego mrowienia w podbrzuszu, napięcie gdzieś uleciało, a bestia w jego trzewiach znów zapadła w głęboki sen.

On też mógł położyć się spać.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

W Bogocie spędziliśmy pięć dni. Zamieszkaliśmy w hotelu w dzielnicy Chapinero, chyba jednej z najbezpieczniejszych w stolicy Kolumbii. Po trzech dniach aklimatyzacji i poznawania typowo turystycznych regionów miasta ruszyliśmy do pracy. W międzyczasie udało nam się poznać pewnego taksówkarza Davida, młodego chłopaka, po którego dzwoniliśmy, gdy akurat był w pobliżu. Zaufaliśmy mu na tyle, że poprosiliśmy, aby nas zawiózł do San Cristóbal.

– Nie ma problemu – powiedział. – San Cristóbal nie jest aż takie straszne, jak piszą w przewodnikach. Gorzej jest w Ciudad Bolívar i tam bym się na waszym miejscu nie zapuszczał.

– Chcielibyśmy nakręcić film koło szkoły La Victoria. To możliwe? – zapytałem (do tego wątku jeszcze wrócimy).

– Możecie robić, co chcecie, ale akurat z kamerami czy aparatami to bym uważał. Ze mną raczej nic wam nie grozi, ale wolałbym nie brać odpowiedzialności...

Pojechaliśmy. To był nasz trzeci pełny dzień w Kolumbii i pierwszy, w którym wyruszyliśmy do dzielnic południowej Bogoty, czyli tych, które w przewodnikach są oznaczane na czerwono. Nie ukrywam, że baliśmy się trochę, tym bardziej że nasi przewodnicy, którzy mieli po nas przyjechać dopiero za dwa

dni, ostrzegali nas, abyśmy na siebie uważali, pilnowali kieszeni, oglądali się za plecy i w żadnym wypadku nie ruszali się poza ścisłe centrum Bogoty. Nie mogłem jednak nie zobaczyć, jak wyglądają bogotańskie slumsy. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że San Cristóbal to bardzo kolorowe miejsce, gęsto zabudowane, wydawałoby się, że w sumie całkiem przyjazne. Gdy podzieliłem się tymi spostrzeżeniami z Davidem, ten dość szybko sprowadził mnie na ziemię.

– Widzisz tych tam na rogu? – szepnął, dyskretnie wskazując na kilku wytatuowanych wyrostków podpierających pokryty bajecznie kolorowym graffiti mur. – To lokalny gang. Lepiej z nimi nie zadzierać, więc teraz się nie wychylajcie...

Spłynęliśmy prawie pod fotele, a David się roześmiał i powiedział, żebyśmy tak nie panikowali. Mimo to napędził nam stracha, a po drodze natknęliśmy się na jeszcze kilka podobnych grup. Zdecydowanie nie wyglądali na chłopców ze szkółki niedzielnej i przez prawie całą drogę czuliśmy silny stres. Pamiętam, że najbardziej stresowali mnie kierowcy skuterów, których jeździło tam tysiące, często na styk, niemal ocierając się o karoserię samochodów. Wiecznie miałem wrażenie, że zaglądają nam przez szybę, i w sumie tak było, bo co najmniej kilku, którzy nie posiadali szybki w kasku albo mieli ją uniesioną, wykazywali nienaturalnie wzmożone zainteresowanie naszą obecnością. Ostatecznie udało się dotrzeć do celu, ale przy szkole nawet nie wysiedliśmy z wozu, bo po pierwsze, trafiliśmy na godziny szczytu, a po drugie, naprawdę czuliśmy się bardzo niekomfortowo, a tak szczerze – po prostu się baliśmy.

Dziś myślę, że chyba trochę przesadziliśmy, bo bywaliśmy w dużo gorszych miejscach, a dwa dni później w slumsach Ciudad Bolívar omal nie popuściliśmy w spodnie. Do tej sytuacji jeszcze wrócę, bo sami z Przemkiem Żmudą nawarzyliśmy sobie tego piwa i gdyby nie Roberto, być może nigdy byśmy z Ciudad Bolívar nie wyjechali...

Wróćmy do Garavito. Do Bogoty przyjechał na początku grudnia i już trzy dni później zamordował kolejnego chłopca. Nie jest pewne, który był tym pierwszym – choć wspomina się

o niezidentyfikowanym dziecku nazwanym „chłopcem z wózkiem” – bo w stolicy zabił przynajmniej dwudziestu nieletnich; bardzo trudno to jednak oszacować i ofiar mogło być znacznie więcej, a niektóre źródła mówią nawet o sześćdziesięciu. Garavito zamordował go, podczas gwałtu rozcinając mu brzuch i wyciągając za życia wnętrzności. Późniejsze oględziny wskazały też kilkadziesiąt ran kłutych, oskórowane plecy i pośladki oraz brak genitaliów, które zostały wepchnięte w jamę ustną ofiary. Według patomorfologa zdecydowana większość obrażeń została zadana przed śmiercią. Wtedy też Garavito po raz pierwszy odciął ofierze duży palec u nogi, który zabrał ze sobą. W sumie podczas pierwszego pobytu w Bogocie zebrał osiem takich „trofeów”, które trzymał w swoim mieszkaniu i przy których się masturbował.

W tym czasie zaczął też regularnie stosować różne przebrania, między innymi przywdziewając habit. Dzięki temu bez skupiania na sobie zbyt dużej uwagi mógł penetrować okolice szkół, boisk czy parków i z większą łatwością nawiązywać kontakty z dziećmi, które osobom duchownym zwykle ufały dużo bardziej.

Sytuacja z pogonią za potencjalnym pedofilem w Pereirze nie miała miejsca, a przynajmniej o niczym takim nie wiem. Posłużyłem się nią na potrzeby fabuły, gdyż Garavito rzeczywiście wyjechał z Pereiry tuż po śmierci na więziennym spacerniku oskarżonego o zamordowanie „chłopca w klapkach” Víctora Manuela Quintany. Sam lincz nie jest jednak czymś, co nie mogło się wydarzyć w rzeczywistości. Pozwoliłem sobie umieścić tu taką scenę nie bez powodu, gdyż na film o podobnej treści natknąłem się w darknecie podczas researchu, jaki robiłem w czasie pisania Cheruba – trzeciej części serii z Igorem Brudnym. Ci Czytelnicy, którzy nieco lepiej znają moją twórczość, wiedzą, że spędziłem w owej sferze dobrych kilka dni, próbując zrozumieć fenomen tej osławionej „mrocznej strony internetu”. I rzeczywiście, zła sława darknetu nie wzięła się z powietrza, bo jest to miejsce z piekła rodem, a jednym z tego dowodów był kilkuminutowy film ukazujący lincz, do którego doszło gdzieś w Kolumbii na mężczyźnie oskarżonym o czyny pedofilskie. Nie wnikając

*w szczegóły, wyglądało to niemal dokładnie tak jak scena opisana
w tym rozdziale...*

Rozdział 4

Bogota, Kolumbia, styczeń – lipiec 1993 roku

Bogota przyjęła nowego obywatela z otwartymi ramionami, jak dawno niewidzianego syna. Garavito w końcu poczuł, że żyje. Ciało „chłopca z wózkiem” zostało odkryte już po dwóch dniach i aby nie kusić losu, Luis przeniósł się do leżącej na obrzeżach stolicy Soachy. Tam znalazł pracę w firmie produkującej liche odświeżacze powietrza, które sprzedawał, albo chodząc od domu do domu, albo próbując nakłonić do kupna wyrobu sklepy bądź lokale usługowe. W stolicy działało tych ostatnich zatrzęsienie, więc radził sobie przyzwoicie. Może nie opływał w luksusy, ale stać go było na wynajem mieszkania, opłacenie rachunków i tyle brandy, ile tylko chciał. Pracę tę lubił także z jeszcze jednego powodu – bo był mobilny i w zasadzie każdego dnia mógł odkrywać Bogotę, a wraz z nią wszystkie najciemniejsze zaułki miasta.

Najbardziej upodobał sobie San Cristóbal, którą to dzielnicę poznał w pierwszych tygodniach pobytu w stolicy. Miała kilka zalet. Po pierwsze, znajdowała się dwadzieścia kilometrów od Soachy, w której mieszkał, po drugie, roilo się w niej od dzieci, a po trzecie, nie była tak zdominowana przez gangi jak sąsiednie Ciudad Bolívar czy Rafael Uribe Uribe. Z nimi bywało różnie i wołał nie ryzykować, tak po prawdzie gdyby musiał wybierać, kto miałby go nakryć na molestowaniu jakiegoś dzieciaka, wołałby policję, bo oni pewnie

spuściliby mu lanie, potem go okradli i kazali spierdalać, a w najgorszym wypadku trafiłby do więzienia – no chyba żeby już zabił, wtedy konsekwencje byłyby poważniejsze... W przypadku gdyby dopadli go członkowie gangu, bez wątpienia skończyłby marnie. Tam prawie każdy chłopaczek miał starszego brata, który należał do jakiejś grupy, a te wszystkie wytatuowane wyrostki nie miałyby dla niego litości i zapewne po długotrwałych torturach oskórowane ciało wyrzuciliby na jakimś skwerze, a odciętą głową jeszcze długo graliby w piłkę na zapiaszczonym boisku – taki byłby jego koniec.

Dlatego Luis był ostrożny i nie mordował na terenie, gdzie mieszkał. Najpierw dogadał się z pracodawcą, który przydzielił mu obszar San Cristóbal, następnie z diabłem. Powiedział mu, że jeśli mają dalej ze sobą współegzystować, będzie składał mu w ofierze tylko jednego chłopca w miesiącu. Prawie mu to wyszło, bo pomimo umowy diabeł był roszczeniowy, przez co czasem natrętny, w związku z czym Luis musiał przyzwyczać się do tego, aby do swojej roboczej walizki dodatkowo pakować zawsze dwa stroje: habit i lekarski kitel, czasem też nosił ze sobą atrybuty wróżbiarza albo udawał nauczyciela. Dzieci do niego lgnęły, a zniknięciami albo nikt się nie interesował, albo poszukiwania prowadziły zrozpaczonych rodziców – jeśli takowi się znaleźli – na ślepe tory. Wszystko działało perfekcyjnie i w ciągu siedmiu miesięcy Luis zdobył siedem paluchów. Trzymał je u siebie w domu, lubił oglądać, czasem rozkładał na stole albo w oparach dymu rozrzucał na blacie w nadziei, że uda mu się wyczytać przyszłość z tego, jak się względem siebie układają. Codziennie się masturbował, często wkładał je sobie do ust niczym smoczek i wracał myślami do tych jedynych momentów, gdy czuł się naprawdę spełniony. Diabeł rzeczywiście nie kłamał. W zamian za składane ofiary dawał mu

nieziemską rozkosz, za każdym razem zachęcając do coraz bardziej wymyślnych praktyk.

Tak jak teraz...

Luis runął na ziemię. Był wyczerpany, ale spełniony. Oddychał ciężko, czując w ustach metaliczny smak krwi. Wciąż była ciepła, tak jak ta, która spryskała jego podbrzusze, klatkę piersiową, dłonie i przedramiona. Czuł, jak serce bezustannie pompuje krew do jego sterczącego, twardego jak skała penisa. Był wielki, czuł się jak Bóg, stwórca świata, to on decydował o życiu i śmierci.

Jeszcze przez kilka minut leżał, wsłuchując się w ciche jęki rozplatanego chłopca. Obok leżał jego bezgłowy kundel. Obaj w niczym nie przypominali uśmiechniętego dziecka i wesołego psiaka, których spotkał pod szkołą La Victoria. Twarz chłopaka wyglądała teraz jak zmiażdżony arbuz, z którego wylewał się jasnoczerwony miąższ, wokół brzucha niczym oślizgłe węże rozpełzły się jelita, na których wciąż tańczyły małe paluszki ofiary. Czasem rozmyślał nad istotą życia, które zdawało się trzymać tych małych ciałek, jakby wkuło się w nie swoimi pazurami i za żadne skarby nie chciało się odczepić. Garavito obrócił głowę i spojrzał na rozkwaszoną twarz dziecka. Tam gdzie kiedyś były usta, wyrastały szybko pękające bąbelki. Chłopak wciąż oddychał i to wydawało się niewiarygodne, bo okolica w promieniu kilku metrów przypominała rzeźnię. Luis odwrócił wzrok, bo nagle poczuł się źle, już nie chciał na to patrzeć, na ten miąższ i bąbelki, i tańczące na jelitach paluszki, wstał więc, podciągnął spodnie i sięgnął po bydlęcy nóż, a następnie trzema silnymi uderzeniami oddzielił głowę od korpusu. Jego ciało znów przeszył przyjemny dreszcz.

Ręce mu drżały, gdy sięgał po papierosa. Musiał ukryć zwłoki, palił więc szybko i zachłannie, jakby porcja nikotyny miała mu dodać energii. Czuł się coraz gorzej, jak zwykle w momentach „po” –

wtedy zwykle ogarniał go niepokój, nerwowość, często strach, a żadnego z tych uczuć nie lubił. Hałasy usłyszał nagle.

– Tam mam zejść? – zapytał jakiś mężczyzna, po głosie mógł wnioskować, że dość młody, na pewno młodszy od niego; w tonie dało się wyczuć brak przekonania.

– Tam go widziała po raz ostatni. Z tym kuglarzem jakimś.

– I nie dotarł do domu?

– Podobno nie. *Señora* Gaviria bardzo się niepokoi. Do domu prowadzi tylko jedna droga. „Gavi” miał wrócić przed zmrokiem, dlatego jest podenerwowana.

– Na tym zboczku jest jeden wielki śmietnik. Cuchnie jak w szambie...

Luis poczuł, że jego nogi zrobiły się jak z waty. Rozejrzał się panicznie po okolicy. Wszędzie walały się śmieci, które mieszkańcy po prostu wysypywali w dół zbocza. Gniło tu wszystko, od reszek jedzenia po ludzkie odchody, i rzeczywiście cuchnęło jak z szamba, ale wybrał to miejsce właśnie z tego powodu, aby nikt im nie przeszkodził.

Przyłgnął do ziemi, gdy ujrzał tańczące na szczycie wzgórza światło latarki. Serce zaczęło pracować tak, jakby ktoś rytmicznie miażdżył je młotem kowalskim. A co, jeśli naprawdę tu zejda? A co, jeśli go nakryją? Rozszarpią go na strzępy gołymi rękoma, to było pewne jak amen w pacierzu. Nie miałyby szans, zwłaszcza że głosów przybyło. Na górze stało przynajmniej trzech młodych mężczyzn i chyba szykowali się, aby zejść do niego, a gdy poświecili w dół zbocza i strumień światła zaczął przebijać się przez zarośla, nie miał już wątpliwości, że szukają chłopca, którego właśnie zamordował.

Zaczął się modlić, na przemian do Boga i do Szatana, do tego pierwszego chyba częściej, co było dość kuriozalne, ale podskórnie chyba bardziej mu ufał. Wpił palce w rozmokłą glebę, jakby pragnął

się z nią zespolic. Czy są w stanie go dojrzeć? Ta myśl przyssała się do niego jak żarłoczna pijawka. Znajdowali się nie dalej niż trzydzieści metrów od niego. Słyszał ich głosy. Mieli wątpliwości, zastanawiali się, czy jest sens iść dalej, nie chcieli ubabrać się w śmieciach i gównie, a jeden skarżył się, że ma randkę i jak to tak, przecież nie wypada do dziewczyny iść i gównem cuchnąć. Nie chcieli tu schodzić, bo w dół prowadziła tylko ledwo widoczna stroma ścieżka, na której łatwo było się poślizgnąć. Z pewnością wydeptały ją najbiedniejsze dzieciaki, które od czasu do czasu mogły szukać w śmieciach drogocennych dla nich skarbów. Niestety, ziemia była grząska, więc musiał zostawić odciski butów, a gdy odnajdą ścieżkę i poświęcą na ziemię, zejść tu, a potem wiadomo, wołał nie myśleć...

– Widzę jakieś ślady – usłyszał głos innego mężczyzny, jak na złość, kurwa mać. Ten był lekko zachrypnięty, bardziej szorstki, bez wątpienia należał do kogoś starszego i dla Luisa brzmiał niczym wyrok. – Wygląda na to, że ktoś tu niedawno schodził. Zejdę i sprawdzę.

Garavito poczuł mdłości. Z duszą na ramieniu podniósł wzrok. Drugi z mężczyzn postanowił towarzyszyć koledze i teraz pomiędzy liśćmi tańczyły już dwie smugi latarek. Ile mogło mu zostać czasu, zanim tu dotrą? Minuta? Może dwie, jeśli będą stapać ostrożnie? Mógł stawić im czoła, wziąć ich z zaskoczenia, ale na górze czekał co najmniej jeszcze jeden facet i jakaś kobieta. Bał się, to było za duże ryzyko, pewnie zastygłby w miejscu z tym nożem jak słup soli, łkając, bo młodzi mężczyźni to nie chłopcy i krzepę mają, bić się potrafią, jeden jego błąd i wołał nie myśleć, co dalej. Natychmiast musiał się stąd wynosić, to była jedyna rozsądna decyzja, ukląkł więc i rakiem zaczął wycofywać się w stronę jeszcze gęstszych zarośli. Ziemia delikatnie się pod nim obsuwała, dotykane liście

szeleściły mu w uszach tak głośno, jakby smagał je porywisty wiatr. Wciąż słyszał ich głosy. Zbliżali się szybciej, niż on się wycofywał. Jeden z nich zaklął siarczyście, ślizgając się na stromej ścieżce, wtedy Garavito przyspieszył, a chwilę później zniknął w gęstwinie.

Gdy usłyszał serię szpetnych przekleństw, a potem odgłosy wymiotowania, wstał i nie bacząc na raniące go krzewy, zaczął uciekać ile tchu.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Luis Garavito rzeczywiście zamieszkał w Soasze i rzeczywiście zajął się sprzedażą odświeżaczy powietrza. Trudno jednoznacznie stwierdzić, na których obszarach miasta próbował je upłynnić, pewne jest natomiast, że – przynajmniej podczas pierwszej wizyty w Bogocie – na miejsca polowania wybierał znane mu tereny dzielnicy San Cristóbal, a dokładnie okolice szkoły La Victoria. Objechaliśmy ją dookoła, ale jak wspominałem wcześniej, nie zdecydowaliśmy się wysiąść z samochodu, bo wciąż, krótko po przylocie do Kolumbii, byliśmy lekko zestresowani.

Sytuacja, którą tu opisałem, jest fikcyjna, ale coś musiało się stać, że Garavito krótko po zamordowaniu ósmej ofiary ulotnił się z Bogoty. Może został nakryty albo poczuł się zagrożony – tego nie udało mi się ustalić. Niewątpliwie był to jednak okres, gdy zaczęto znajdować zmasakrowane ciała młodych chłopców, z których większość albo uczęszczała do szkoły La Victoria, albo była kojarzona z kompleksem, na którym znajdowały się również boiska i tereny rekreacyjne przeznaczone dla dzieci. Każdej z ofiar Garavito odcinał paluch, podobno na szczęście, choć później przyznał, że wykorzystywał tę część ciała swoich ofiar (wraz z innymi zabranymi im rzeczami, na przykład zdjęciami z legitymacji), aby w okresach uśpienia się masturbować.

Z początku władze nie interesowały się tematem, lekceważąc zaginięcia dzieci. San Cristóbal nawet jeśli nie była najgorszą

dzielnicą miasta, to jednak stanowiła miejsce zamieszkania mocno spauperyzowanej części społeczności Bogoty, stąd policja niespecjalnie ingerowała w to, co dzieje się na obrzeżach, które w dużej mierze były zarządzane przez gangi młodocianych bandytów pracujących dla narkotykowych baronów. Tu warto zaznaczyć, że dziś Bogota dzieli się na obszary, które dość umownie nazwano strefami od pierwszej do szóstej. Numer jeden przypisywany jest najuboższemu, a co za tym idzie najbardziej niebezpiecznym dzielnicom, takim jak na przykład Ciudad Bolívar (tu w zasadzie funkcjonuje prawo ulicy, bo policja nie zapuszcza się w te zakątki), a na szóstkę ocenia się na przykład nowoczesne i stosunkowo bezpieczne centrum, takie jak Chapinero, w którym zamieszkaliśmy. Dziś poddzielnica La Victoria (tak samo nazywała się szkoła, gdzie Garavito nagabywał dzieci) w San Cristóbal znajduje się gdzieś pomiędzy numerem dwa a trzy, czyli wciąż uważana jest za ubogą i niebezpieczną. Według naszych przewodników to nie zmieniło się od lat dziewięćdziesiątych, możemy zatem przyjąć, że wówczas teren ten zamieszkiwali ludzie z dolnych warstw społecznych, choć dzielnica ta nie była jednocześnie sercem półświatka. Trzydzieści lat temu, gdy warunki bytowe i cała infrastruktura wyglądały znacznie gorzej niż dziś, a po ulicach wciąż biegały bez żadnej opieki tysiące dzieci, władze, zajęte wiecznymi wojenkami z będącymi u szczytu potęgi kartelami albo bojówkami FARC (które w tamtym czasie pojawiały się na wzgórzach i czasem nawet ostrzeliwały centrum miasta), najzwyczajniej w świecie nie interesowały się zniknięciami młodocianych. I choć zaczęto odnajdować zmasakrowane ciała, często w daleko posuniętym stanie rozkładu, potrzebny był jakiś impuls. Ten zaistniał, gdy w najpopularniejszym w stolicy dzienniku „El Tiempo” ukazał się artykuł pod tytułem: Otro niño: brutal ceremonia de violación y muerte (Kolejne dziecko: brutalna ceremonia przemocy i śmierci). Sprawa w końcu wyłynęła i władze, chcąc nie chcąc, musiały się nią zainteresować, zwłaszcza że dostrzeżono wspólny element cechujący ofiary: odcięty paluch, o czym dość regularnie zaczęto

informować w prasie. Od tej pory Garavito już nigdy nie odciął dziecku tej części ciała. W sumie w czasie pierwszej wizyty w stolicy „Bestia” Garavito zabił przynajmniej ośmiu chłopców w wieku od dziewięciu do jedenastu lat, z których udało się zidentyfikować czterech: Henry’ego Giovanniego Garcíę, Marca Aurelia Castaño, Juana Davida Cárdenasa i Jaime Orlanda Popayána. Garavito podczas przesłuchania tak opisywał to, co robił swoim ofiarom:

– Wtedy myślałem, że zawarłem pakt z diabłem. Praktykowałem na nich satanistyczne rytuały. Odcinałem im te palce u nóg, bo coś tam o tym wyczytałem, nie pamiętam gdzie, że pozwala uniknąć schwytania. Wykorzystywałem je do różnych celów. Poza tym znajdowałem rozkosz, gdy rozcinałem im brzuchy i wyciągałem wnętrzności. Gdy tak prześlizgiwały mi się między palcami, bardzo się podniecałem. Oni wtedy krzyczeli albo jęczeli. Ja byłem jednak spokojny. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że kosztem mojej przyjemności jest ból tych małych aniołków, jak ich nazywam. Gdy ich pieściłem, a następnie zabijałem, nazywałem to „Milczeniem niewiniątek”³⁶. Uwielbiałem ten film i oglądałem go pięć czy sześć razy.

Krótko po zamordowaniu ósmej ofiary Garavito opuścił Bogotę, kierując się z powrotem w znane sobie tereny Eje Cafetero. W dzień przyjazdu do Tului zamordował następnego chłopca, następnie udał się do Pereiry i Quimbaya, gdzie zabił kilku kolejnych, a pod koniec roku powrócił do Tului – tam jego ofiarą był Mauricio Monedero Mejía.

Rozdział 5

Tuluá, Kolumbia, grudzień 1993 roku

Dworzec Centralny przypominał ul pełen zapracowanych pszczół. Luis nie lubił takiego gwaru. Ludzie przewalali się przez zieloną konstrukcję, rozpychając się łokciami, wymachując rękami i krzycząc w stronę swoich przyjaciół czy członków rodzin, którzy rozbieranym wzrokiem poszukiwali znajomych twarzy. Tu zawsze było tłoczno. Pomimo że obiekt był całkiem spory, najwyraźniej planujący jego budowę architekt nie przewidział, że zaraz po otwarciu stanie się głównym centrum przesiadkowym pomiędzy leżącym na południe Cali a Medellín i Bogotą na północy. Kłująca w oczy wszechobecna zieleń ścian, kolumn i elementów dachowych zamiast podróźnych uspokajać, zdawała się ich tłamsić, a wściekle żółty sufit tylko pogłębiał wrażenie wyobcowania i nienormalności. Nawet pozawieszane na kolumnach donice z kwiatami nie były w stanie zmienić poczucia wyalienowania.

Luis nie miał pojęcia, czy inni mają podobne wrażenie, ale sam nie przepadał za tym miejscem. Owszem, często tu bywał, w miarę regularnie korzystał z zamykanych na klucz szafek na bagaże, zdarzało mu się nawet przespać na ławeczce noc, gdy akurat nie miał pieniędzy albo był w podróży i nie opłacało się brać pokoju na kilka czy kilkanaście godzin w przerwie pomiędzy kolejnymi kursami. Nijak nie mógł się jednak do tego miejsca przekonać,

zwłaszcza że rzadko był tu sobą, tak jakby odczuwany przezeń niepokój był karmą dla mieszkającej w nim istoty, która niemal natychmiast budziła się ze snu i wodziła go na pokuszenie.

A pokus było dużo, nawet bardzo dużo.

Sam zaczął podróżować autobusem już w wieku trzynastu, może czternastu lat, a to i tak było stosunkowo późno, bo ojciec wolał trzymać go przy sobie. Inne dzieciaki nie miały podobnych problemów i rodzice często wysyłali je w samotną podróż, głównie do wujka czy ciotki, a bywało, że po prostu do pracy. Widok dziesięcio- czy dwunastolatków objuczonych torbami niewiele mniejszymi od nich samych był więc na kolumbijskich dworcach czymś całkowicie naturalnym i nie wzbudzał niepokoju innych podróżnych. Na Garavito natomiast widok taki działał jak płachta na byka. Tak jak teraz, gdy siedział na brudnym plastikowym krzeselku, paląc papierosa, popijając piwo i taksując łakomym spojrzeniem wałęsających się po obiekcie chłopców.

Jeden z nich szczególnie wpadł mu w oko. Niewysoki brunet o jasnej karnacji, w krótkich dżinsowych spodenkach z poszarpanymi końcówkami nogawek i koszulce w jakieś bohomazy, wyglądał na zahukanego i zdezorientowanego. Niewątpliwie był sam, bo od blisko dwóch godzin siedział na schodach, brodę podpierał kurczowo ściśniętymi piąstkami, a na jego twarzy malował się smutek. Czasem wzdychał na widok przechodzącej pary z gromadką dzieciaków, innym razem wodził wzrokiem za jakąś dostojną kobietą czy ojcem mierzwiącym czuprynę dawno niewidzianego syna. Baczny obserwator mógł jednak zauważyć, że chłopak nic nie jadł i nie pił, w końcu kilkakrotnie próbował się przełamać, aby wyżebrać od mijających go ludzi kilka pesos, zawsze jednak ostatecznie się wycofywał, jakby honor albo wstyd powstrzymywały go przed poproszeniem o pomoc.

W pewnym momencie dzieciak wstał, zarzucił plecak na ramię i podszedł do punktu informacyjnego znajdującego się zaledwie kilka metrów od budki z przekąskami i piwem, przy której siedział Garavito. Panujący harmider nie pozwolił Luisowi wychwycić sensu rozmowy, ale wyraz twarzy dzieciaka świadczył, że kobieta za szybą odprawiła go z kwitkiem. Przez chwilę rozglądał się po dworcu, w końcu ruszył z powrotem w kierunku schodów, gdzie schował głowę w dłoniach i pozwolił sobie na chwilę słabości.

Podniósł ją dopiero w momencie, gdy poczuł czyjąś obecność. Nad nim stał wysoki, szczupły mężczyzna w okularach. Miał na sobie nienagannie wyprasowaną, choć nieco już przepoconą koszulę, lniane spodnie i półbuty, jakie nosili lekarze albo profesorowie uczelni.

– *Buenas tardes, amigo* – przywitał się nieznajomy, pokazując zęby w nieszczerym uśmiechu.

Chłopak popatrzył na niego podejrzliwie. Miał może z dwanaście lat, ale w jego szklistych oczach można było wyczytać doświadczenie, na które bez wątpienia składały się dziesiątki, jeśli nie setki nieszczęśliwych przypadków losu. Wyzierał z nich nieprawdopodobny smutek oraz coś trudnego do zdefiniowania, jakby rozczarowanie połączone z pełnym zaakceptowaniem sytuacji, w jakiej się znalazł, tak znajome u tych wszystkich kolumbijskich chłopców, którzy niefortunnie stanęli Luisowi na drodze, a teraz ich ciała jedzą robaki. W pierwszej chwili Garavito poczuł dojmujący żal i przeszło mu przez myśl, aby odwrócić się i odejść. Pasożyt w jego wnętrzu wyczuł jednak intencje swego nosiciela i błyskawicznie wysłał sygnał najpierw do podbrzusza, a następnie do mózgu.

Garavito sięgnął do sznurkowej torby i wręczył chłopakowi butelkę wody.

– Widzę, że jesteś spragniony. Napij się. Ja i tak wolę piwo – powiedział, siłąc się na najbardziej prostolinijny i autentyczny uśmiech, na jaki go było stać. Chłopak wytarł wierzchem dłoni łzę i chwycił butelkę.

– *Gracias, señor* – wydukał płochliwie i od razu łapczywie wypił połowę.

– Mam jeszcze dwie arepy. Może nie są pierwszej świeżości, ale Pan Bóg mówi, że należy się dzielić.

Luis wyciągnął dwa grube placki owinięte w foliową torebkę, po czym wyjął jeden z nich i podał chłopakowi. Ten chwycił smakowity podarunek i od razu zaczął jeść, aż mu się uszy trzęsły.

– Jest pan księdzem, *señor*? – zapytał, gdy przełknął pierwszy duży kęs.

– A wyglądam na księdza?

– W sumie to nie. To kim pan jest, *señor*?

– Lekarzem. Spóźniłem się na ostatni autobus do Medellín, gdzie powinienem mieć przesiadkę do Cartageny. Tam mieszkam, ale... – przysiadł na schodku obok pałaszującego arepę chłopaka – ale chyba nie dotrę do domu tak szybko, jak to sobie zaplanowałem.

– Ja chyba też...

– A gdzie się wybierasz?

– Do siostry. Rok temu wyprowadziła się z Bogoty i teraz mieszka w Sevilli. To taka niewielka miejsc...

– Znam. Ja pochodzę z Génovy.

– To blisko?

– Nawet bardzo.

– Ale... – tu chłopak przestał żuć i odetchnął smętnie – przespałem przystanek w Bugalagrande, gdzie miałem się przesiąść do drugiego autobusu. Stąd nie ma kursu do Sevilli...

– Ale przecież możesz wrócić do Bugalagrande...

– Nie mam już pieniędzy, a nawet jakbym miał, to następny autobus jest dopiero jutro pod wieczór.

– Eee tam. Na pewno coś da się na to poradzić.

– Nie sędzę.

– A ja sędzę, że jednak coś da się wymyślić. W końcu jedziemy na tym samym wózku, nieprawdaż?

Chłopak zwrócił głowę w stronę Garavito. Luis dostrzegł w jego oczach przeblask nadziei i znów poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Mrowienie w podbrzuszu przypomniało mu jednak, w jakim celu tu przyszedł, wszak cel tego spotkania był oczywisty.

– Słuchaj, młody – powiedział, delikatnie klepiąc go w kolano. – Ja też już dziś nie złapię żadnego autobusu do Medellín. A jestem zmęczony, bo miałem ciężki dzień. Jak chcesz, to możemy pójść zjeść coś porządnego, a potem napić się piwa. Pijesz już piwo?

– Piję, ale... – Chłopak sprawiał wrażenie zakłopotanego i nie do końca rozumiejącego, co się właściwie dzieje. – Dlaczego pan to robi, *señor*? Przecież pan mnie nie zna...

– Jestem lekarzem, a dokładnie pediatrą. Całe życie pomagam ludziom, zwłaszcza dzieciom. Dla mnie te kilka pesos to tyle co nic, a Pan Bóg patrzy. – Garavito skierował palec wskazujący w stronę żółtego sufitu. – Poza tym lubię towarzystwo, a ty mi wyglądasz na całkiem sympatycznego i ogarniętego faceta. W tym wieku podróżować samemu z Bogoty? – Luis gwizdnął z udawanym podziwem. – Musisz być naprawdę odważny. Jak masz na imię?

– Yerry.

– Ja nazywam się Luis Alfredo. Miło mi cię poznać, Yerry.

Garavito wyciągnął rachityczną dłoń w kierunku chłopaka, a ten, wciąż przeżuując, uściśnął ją mocno. Pomyślał, że dzieciak jest już kupiony i teraz wszystko pójdzie jak z płatka.

– To co, Yerry? Idziemy zjeść coś ciepłego? Tymi arepami to chyba brzuchów przed snem nie napelnimy...

– Nie wiem, jak panu dziękować...

– Nie musisz za nic dziękować, Yerry. Inaczej po prostu nie przystoi. I zapamiętaj, że dobro wraca do człowieka. Może kiedyś to ty mi pomożesz.

– Gdybym tylko mógł, zrobiłbym dla pana wszystko. Jest pan dobrym człowiekiem, *señor*. Bardzo, bardzo dobrym.

– Już nie przesadzaj, Yerry. Chodź. – Garavito podniósł się ze schodka i wyuczonym ruchem ręki ludzi z wyższych sfer strzepnął niewidzialne paprochy z nogawek spodni i koszuli. – Najpierw coś zjemy. Podobno podają tu niedaleko świetną mojarrę z frytkami. Potem pomyślimy nad noclegiem, a jutro nad ranem kupimy bilety. Mój autobus też jedzie przez Bugalagrande, więc możemy wyruszyć razem. Co ty na to, Yerry?

– Naprawdę nie wiem... – W oczach dwunastolatka zaskrzyły się łzy. – Niech pana Bóg błogosławi, *señor*. Niech pana Bóg błogosławi...

Chwycił dłoń swojego wybawcy i ucałował ją. Wtedy Luis poczuł gwałtowny przypływ podniecenia. Impuls był niezwykle silny i ledwo nad nim zapanował, więc niechętnie zabrał rękę i schował dłoń do kieszeni.

Pół godziny później jedli i pili. Gdy byli już syci i wyraźnie podchmieleni, ruszyli szukać noclegu, a przynajmniej tak myślał Yerry, bo szli w zupełnie innym kierunku. Chłopak nie oponował, był pijany i szczęśliwy. Po trzech godzinach od spotkania w terminalu, zaraz za zakładem Idema, Luis pchnął dzieciaka w gąszcz zarośli, powalił go i wyciągnął sznur. Dwunastolatek był w takim szoku, że przez dłuższą chwilę tylko patrzył z niedowierzaniem, a gdy Garavito z pianą na ustach ruszył w jego

kierunku, instynktownie zaczął się czołgać w kierunku pobliskiego strumienia.

– Nie ruszaj się, to cię nie zabiję – warknął oprawca, a chwilę później poślizgnął się i grzmotnął twarzą w rozmokły grunt.

Chłopak, otrzeźwiony niespodziewanym obrotem spraw, wykorzystał tę chwilę, aby dorwać się do leżącego przy strumieniu plecaka. Panicznie zaczął rozgrzebywać zawartość, wtedy poczuł odór tak silny, że aż zakręciło mu się w głowie, mimo to nie przestawał, w końcu znalazł to, czego szukał. Odwrócił się w kierunku podnoszącego się z kolan Garavito. Napastnik jedną dłoń przykładając do krwawiącego łuku brwiowego, a w drugiej trzymał drobną czaszkę. W bladym świetle księżyca niemal pulsowała od uczuć na resztkach tkanek tłustych czerwi.

– To przez ciebie, ty mały, pieprzony sukinsynu! – jęknął Garavito i rzucił czaszką w Yerry’ego. Chłopak się uchylił i krzyknął przeraźliwie, chwilę później podniósł się do pozycji pionowej, jednak smród zalegających wokół gnijących ciał sprawił, że ugięły się pod nim nogi.

– Odejdź! Zostaw mnie! – wrzeszczał, czym jeszcze bardziej rozjuszył swojego oprawcę.

Gdy Garavito rzucił się na chłopca, nawet nie poczuł małego ostrza, które rozorało mu przedramię. Weszło głęboko, tnąc ścięgna jak naprężone nici. Dopiero siedząc na szamoczącej się ofierze, poczuł silny paroksyzm bólu. Spojrzał z niedowierzaniem na głęboką ranę. Widok krwi sprawił, że bestia zerwała się ze smyczy...

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

O Tului wspominałem już kilkakrotnie, gdyż zajmuje istotne miejsce na szlaku morderstw Garavito. Jest to jedyne duże miasto

(liczące około dwustu dwudziestu tysięcy mieszkańców) na trasie z południa na północ Kolumbii, w zwięźeniu pomiędzy andyjską Kordyliera Zachodnią i Środkową. Dziś można by powiedzieć, że stanowi także swoisty hub przesiadkowy w transporcie autobusowym i pewną umowną granicę pomiędzy Eje Cafetero, które słynie z produkcji kawy, a południem kraju znanym przede wszystkim z ciągnących się po horyzont upraw trzciny cukrowej. Co istotne, leży też zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów od Trujillo, w którym Garavito dorastał.

Do Tului dotarliśmy w drodze do Palmiry, trzeciego albo czwartego dnia naszej podróży. Pamiętam, że przywitał nas nieprawdopodobny skwar, gdyż są to już tereny położone niżej i jeszcze bliżej równika. Jeśli w Génovie temperatura oscylowała wokół dwudziestu sześciu, może dwudziestu ośmiu stopni Celsjusza, to w Tului sięgała przynajmniej trzydziestu kilku. Trudno było tak naprawdę namierzyć jakiegokolwiek konkretne miejsca, w których Garavito mordował, bo robił to zwykle na obrzeżach miasta, w gęstych zaroślach albo na polach trzciny cukrowej. Miejsca, gdzie odkryto masowy grób, nie udało się nam odnaleźć, dlatego pojechaliśmy bezpośrednio do centrum, gdzie zjedliśmy porządną obiad i wypiliśmy po piwie. Zaczęliśmy od wizyty na Plaza de Bolívar, na którym Garavito często polował na swoje ofiary (jest to ważne w kontekście historii i jeszcze do niego wrócę), a następnie udaliśmy się na opuszczony już dworzec autobusowy, gdzie Garavito również się na nie zaczynał. Było to idealne miejsce, bo regularnie kręcili się tu kilkunastoletni chłopcy podróżujący z południa na północ bądź w drugą stronę, często sieroty bez pieniędzy. Szacuje się, że Garavito zwabił z samego terminalu i zamordował przynajmniej kilkunastu chłopców w wieku od dziewięciu do piętnastu lat, niestety, większości z nich do tej pory nie udało się zidentyfikować. Personifikacją owych ofiar, tak zwanych „chłopców z terminalu” (i mam tu na myśli nie tylko terminal w Tului, ale także te w innych miastach), jest Yerry, którego opisałem wyżej. Zaznaczam, że to postać fikcyjna, stworzona, by zobrazować metodę działania, jaką Garavito obrał przy wyborze ofiar. Warto oddać głos sprawcy, bo choć nie

pamiętał nazwisk wielu z zamordowanych chłopców, kilku z nich z różnych powodów bardziej niż inni zapadło mu w pamięć:

– Według tego, co mówił, przyjechał z Bogoty i zasnął w autobusie. Przegapił miejsce, w którym powinien wysiąść. Miał tylko plecak, był zagubiony, więc przysiadłem się i z nim porozmawiałem. Szybko go przekonałem. Poszliśmy coś zjeść, a potem do sklepu tytoniowego, gdzie kupiłem kilka butelek brandy. Gdy chłopiec się upił, poprowadziłem go do rejonu na obrzeżach miasta, gdzie znajdowały się różne magazyny. Znałem to miejsce dobrze, bo już wcześniej tam zabijałem. Weszliśmy w zarośla, minęliśmy strumień i wtedy go uderzyłem. Chciałem go związać i rozebrać, ale wtedy poczułem nieprzyjemny zapach. Zacząłem się rozglądać, na chwilę tracąc z oczu tego aniołka. Zauważyłem pod nogami czaszkę innego, którego zabiłem kilka tygodni wcześniej, a potem dostrzegłem pełno gnijących ciał. Wiele z nich było w stanie dalekiego rozkładu i potwornie śmierdziało. Byłem już jednak strasznie podniecony, a do tego ten chłopak też widział te ciała, dlatego jego też postanowiłem zabić. Gdy próbowałem go związać, on mnie zaatakował nożem. Nie wiem, skąd go wziął, pewnie z plecaka, który nosił. Ranił mnie i na chwilę straciłem mobilność, ale potem jego chyba, a raczej na pewno, też zabiłem.

Garavito często wypowiadał się podczas przesłuchań, korzystając z trybu przypuszczającego, używając słów „chyba”, „prawdopodobnie”, „możliwe” itp. Często powtarzał, że był mocno pijany, a do tego ogarniał go morderczy szal, a gdy się budził, niewiele pamiętał, stąd tak naprawdę – powtórzmy – trudno oszacować ostateczną liczbę jego ofiar, z których wiele było sierotami i nikt nie zgłaszał ich zaginięć. Inną z jego opowieści dotyczących terminalu był przypadek chłopca, którego Garavito zaprosił do hotelu. Jak twierdził, nie chciał go zabić i po wszystkim czuł okropne wyrzuty sumienia:

– Nigdy nie zapomnę chłopca, który siedział na schodach w terminalu. Miał jedenaście, może dwanaście lat. Poprosił mnie o pomoc i przyznał, że nie ma gdzie spać. Zaprosiłem go na kawę i porozmawiałem z nim. Powiedział, że pochodzi z wioski

niedaleko Pereiry. Pamiętam, że jego smutna historia mnie zainteresowała. Po czwartym czy piątym piwie usłyszałem ten wewnętrzny głos. Szeptał mi do ucha: „Zabierz go do hotelu”. Uległem mu i zabrałem chłopaka do hotelu Villa del Río w Cartago. Zrobiło mi się go żal, bo przypominał mi mnie, gdy byłem w jego wieku. Pamiętam, że miałem wtedy dużo odświeżaczy powietrza. Nie chciałem go zabić. To był taki okres, że czasem odczuwałem silne wyrzuty sumienia. Dlatego pomyślałem nawet, aby zabrać go do Bogoty. Zawsze jednak żyłem w strachu przed tym drugim mną, tą bestią, która we mnie mieszkała. Tej nocy dużo o tym myślałem. Dałem mu pieniądze, żeby poczuł się pewniej. Wtedy ten głos znów się odezwał. Próbowaliśmy z nim walczyć, ale nie potrafiłem, dlatego, aby nie czuć wyrzutów sumienia, upiłem się. W pewnym momencie zasugerowałem mu, żeby się położył i ściągnął ubranie. Chłopiec wydawał się zdenerwowany i niby chciał, ale nie do końca. Powiedziałem, żeby się nie martwił, że go szanuję, że ja też idę spać i rano coś poradzimy, żeby było lepiej. Gdy się położyłem, ogarnęły mnie obawy, że się komuś wygada i będzie skandal. Wypiłem jeszcze jednego drinka i zacząłem walkę, o której tyle już mówiłem, z tym potworem, co to zawsze mnie opanowywał. Chyba pierwszy raz go pokonałem, a może po prostu pokonał mnie alkohol, i zasnąłem. Rano poszedłem się rozejrzeć, bo nie chciałem, aby mnie widziano w towarzystwie tego chłopca. Powiedziałem mu, żeby nie wychodził z pokoju. Posłuchał mnie. Było tam okno, więc pomyślałem, że to będzie najlepsze rozwiązanie, aby nikt go nie zauważył. Otworzyłem je ostrożnie, on wyskoczył, a ja wyszedłem drzwiami. Wsiedliśmy do taksówki, którą pojechaliśmy do kanionów Virginia, obok rzeki Cauca. Szliśmy dość długo, a ja coraz bardziej denerwowałem się na tego chłopca, że nie chciał ze mną nic zrobić. W pewnym momencie ta istota znów zaczęła mnie kusić. Opierałem się, myślałem, żeby zawrócić, naprawdę nie chciałem go skrzywdzić, ale ta bestia, ten potwór okropny, co we mnie mieszkał, zmusił mnie do tego, więc go zabiłem.

Pozostaje tajemnicą, ile prawdy jest w tłumaczeniach Garavito. Jak zapewne zauważyliście, bardzo często tłumaczył się ze swoich ohydnych czynów tym, że „przegrywał” z mieszkającą w nim bestią. Zdecydowana większość psychiatrów i badaczy zajmujących się jego przypadkiem nie wierzy w jakąkolwiek skruchę, a tym bardziej empatię, którą próbował wykazywać się podczas przesłuchań. W ich ocenie robił to z pełną premedytacją i tylko dlatego, aby zmiękczyć śledczych i wywalczyć jak najniższy wyrok.

Szacuje się, że w całym 1993 roku Garavito mógł w okrutny sposób zamordować nawet trzydziestu chłopców...

Rozdział 6

Palmira, Kolumbia, kwiecień 1994 roku

Na dworze było gorąco i parno.

Garavito chlasnął się w twarz, zabijając pałętającą się po policzku muchę. Zgniół i wyrzucił truchło na ziemię, splunął, odstawił piwo i otworzył czarną walizkę. Na wierzchu znajdował się dziennik „El Caleño”, największy wydawany w Cali i okolicach. Kupił go krótko po powrocie z pola trzciny cukrowej, gdzie w biały dzień zamordował bezimiennego chłopca. W hotelu umył się i przebrał. Teraz, chwilowo zaspokojony, pragnął odpocząć przy piwie. Założył nogę na nogę i rozłożył gazetę.

– Hmm... – mruknął i zapalił papierosa. Uśmiechnął się pod wąsem i pomyślał, że to wszystko jest naprawdę banalnie proste.

Od początku roku zamordował już kilkunastu chłopców, może nawet dwudziestu kilku. Nie potrafił określić, ilu dokładnie, bo kilka razy był zbyt odurzony, aby spamiętać każdego, i z czasem wszystkie ofiary zaczęły zlewać mu się w jedną makabryczną całość. Pamiętał krwawe szczegóły, niektóre twarze czy charakterystyczne miejsca, zdjęcia z legitymacji trzymał, aby się przy nich masturbować, a imiona zapisywał, jeśli po wszystkim jeszcze je pamiętał. Nie zawsze było to możliwe, zwłaszcza że w ostatnim czasie na miejsca kaźni upodobał sobie pola trzciny cukrowej. Wysokie na dwóch mężczyzn liściaste łodygi doskonale wszystko maskowały, a do tego

poza okresem żniw uprawy były pozostawiane samym sobie. Nikt mu zatem nie przeszkadzał. Wystarczyło wejść kilkanaście metrów w głąb pola i można było zaczynać krwawe harce, także za dnia, gdy światło słoneczne pozwalało widzieć efekty jatki lepiej i wyraźniej. Uwielbiał, gdy krew tryskała jak z fontanny, a dzieciak wył z bólu. Jego krzyki brzmiały niczym najpiękniejsze melodie. Lubił też dekorować okolicę jelitami, rozkładać na ziemi kolejne organy czy przeglądać się w wydłubanych gałkach ocznych. Wyszarpiane wnętrzności często przykładał do własnego krocza, co sprawiało, że niemal natychmiast ejakulował. Nikt go przy tym nie poganiał, miał czas, mógł się wyszaleć. Coraz częściej starał się nagabywać dwóch chłopców naraz. Nowy bodziec okazał się bardzo silny, na wszelki wypadek wybierał jednak tych młodszych, siedmio-, ośmiolatków. Potem, katując pierwszego, z rozkoszą przyglądał się temu, którego wcześniej unieruchomił i któremu kazał na to patrzeć. Zaglądał wtedy w jego oczy i mówił, że już wkrótce to samo spotka także jego. Śmiał się, rechotał, czasem podchodził i kłuł tego drugiego śrubokrętem albo nożem, aby zaraz wrócić do jego częściowo zaszlachtowanego kolegi. Rozsmakował się także w skórowaniu. Ludzie nie mieli pojęcia, jakie to proste. Dźwięk własnoręcznie zrywanej z pleców skóry był nieporównywalny z niczym, ożywczy, podniecający i inspirujący, dający satysfakcję, o jakiej kiedyś nawet nie śnił. Jedynym minusem szaleństw na uprawach trzciny cukrowej było to, że wszystkie pola wyglądały tak samo, przez co czasem – zwłaszcza gdy wypił za dużo – wszystko mu się mieszało. Irytowało go to, bo lubił porządek, a takie luki w pamięci burzyły harmonię i sprawiały, że niekiedy dręczył go niepokój.

Dziś czuł się znakomicie. Czy ktoś mógł go powstrzymać? Oczywiście, że nie, taka opcja nie wchodziła w grę. Był mądrzejszy

od policji, sprytniejszy i bardziej przebiegły, a wieści z Tului tylko go w tym utwierdzały.

Brutalny koniec dwóch kastratorów i gwałcicieli – tak wyglądał nagłówek na pierwszej stronie. Po wczytaniu się w tekst można było się dowiedzieć, że zostali znalezieni na ulicy w pobliżu miejsca, gdzie on sam zabił kilku chłopców. Bez wątpienia sytuacja musiała przypominać tę znaną mu z Pereiry, z tą różnicą, że tym razem truchła były dosłownie zmasakrowane, bo według autora publikacji na pokłutych klatkach piersiowych mężczyźni mieli wyryte napisy „Gwałciciel dzieci”, a ich genitalia zostały odcięte i wepchnięte im w usta. Jednym z nich był dobrze znany policji pedofil José Ancízar Marín Collazos, pseudonim „El Diablo”, drugiego nie udało się zidentyfikować, bo ktoś zerwał mu skórę z twarzy.

Garavito odłożył gazetę i zamówił jeszcze jedno piwo, po czym przeniósł się na rozwieszony między dwoma palmami hamak. Ułożył się wygodnie i zaczął się huścić, rozmyślając nad swoim geniuszem. No bo niby jak ci twardogłowi gliniarze mieliby go złapać, barany, tępe fiuty, przecież robił ich w konia na każdym kroku. W czarnej teczce trzymał już kilkanaście podobnych artykułów. Jedne opisywały niesłusznie oskarżonych o jego czyny, inne śmierć tychże, a jeszcze inne idiotyczne pomysły policji, która sugerowała, że za wszystkim musi stać szajka zajmująca się handlem organami. Najbardziej bawiły go te ostatnie, bo – w sumie przypadkiem – wpadł na genialny w swoim mniemaniu pomysł, który najwyraźniej zaczął przynosić wymierne korzyści. Otóż kilka miesięcy temu z pełną premedytacją zaczął wycinać ofiarom narządy. Z początku robił to tylko dla przyjemności, ale gdy pewnego razu przeczytał w gazecie o jakiejś kobiecie, której przeszczepiono nerkę, doznał olśnienia. Z racji tego, że w niektórych miastach zaczęto już odnajdywać zwłoki jego ofiar, a na ulicach pojawiły się

plotki o potworze porywającym i w bestialski sposób mordującym młodych chłopców, pomyślał, że to znakomita szansa, aby zmylić śledczych. Wycięte organy Garavito zaczął zabierać ze sobą, a następnie porzucać w innym, oddalonym od miejsca kaźni punkcie na mapie, zwykle na polach, w przydrożnych rowach czy w rzekach. Takie kawałki mięsa trudno było odróżnić od zwierzęcych, poza tym zwykle jeszcze przed zmrokiem były pożerane przez bezpańskie psy, sępy czy inne drapieżniki. Policja oczywiście dała się na to nabrać, bo tak w Tului, jak i w Trujillo czy Cartago prowadzono śledztwa nie przeciwko jednemu człowiekowi, a przeciwko nieistniejącej szajce handlarzy organami.

Na hamaku spędził jeszcze około godziny, napawając się swoim geniuszem, po czym niechętnie z niego zszedł i lekko chwiejnym krokiem udał się do pokoju hotelowego na spoczynek. Następnego ranka wsiadł w autobus i z torbą odświeżaczy powietrza ruszył do oddalonego o około godzinę drogi na południe Corinto. Po południu mógł się pochwalić całkiem dobrym urobkiem, postanowił więc skończyć pracę trochę wcześniej i uczcić dobry dzień butelką La Corte. Jak pomyślał, tak zrobił i już po czternastej siedział na murku przy Plaza Principal, obserwując bawiące się w okolicy dzieci. Na uszach miał słuchawki, a za paskiem walkmana, na którego szarpnął się kilka tygodni wcześniej, po ubiciu dobrego interesu z jedną z sieci marketów w Tului. Słuchał muzyki, penetrując wzrokiem okolicę. Od dłuższego czasu nawet nie próbował dyskutować z diabłem. Jakakolwiek polemika mijала się z celem, więc gdy nadarzyła się okazja i w zasięgu jego wzroku znalazł się pulchny chłopaczek ze zmierzwioną fryzurą, Garavito wstał, poprawił krawat i ruszył w kierunku nic niepodejrzewającego dziesięciolatka.

Nie musiał długo namawiać go do współpracy. Doświadczenie, jakie nabył w ciągu ostatnich lat, procentowało, dlatego już godzinę

później obierał chłopca ze skóry jak cebulę w gąszczu ciągnących się aż po horyzont upraw trzciny cukrowej. Po wszystkim przebrał się i poszedł na przystanek autobusowy, po czym wrócił do Palmiry. Dzień później ponownie zjawił się w Corinto i znów udało mu się zarobić dwa razy więcej niż zwykle, zatem i tym razem pozwolił sobie na uczczenie dnia butelką ulubionej brandy. Popijając w cieniu rzucanym przez rozłożystą koronę drzewa deszczowego, liczył pieniądze, gdy dosiadł się do niego umorusany młodzieniec. W pierwszej chwili nie zwrócił na niego uwagi, zrobił to jednak z pełną premedytacją, aby oczy chłopaka mogły ponapawać się widokiem szeleszczących banknotów.

– *Disculpa, señor* ³⁷ – odezwał się po dłuższej chwili. – Czy mógłby mi pan ofiarować kilka pesos? Jestem głodny i nie mam gdzie spać.

Garavito zwinął gruby plik i schował go kieszeni. Zapalił papierosa i dopiero gdy wydmuchał pierwszą porcję dymu, skierował uwagę na gościa.

– Jesteś sierotą? – zapytał.

– Nooo... – Chłopak się zawahał. – W sumie nie, ale nie mogę wrócić do domu.

– A to czemu?

– Nienawidzę ich.

– Kogo?

– Wszystkich.

– Opowiedz mi o tym, to się zastanowię. Jestem pracownikiem fundacji społecznej Nuevo Amanecer ³⁸. Jeśli wszystko mi opowiesz, to może będę w stanie ci pomóc.

Nastolatek zmarszczył brwi i odwrócił wzrok. Zapewne nie znał tej nazwy, ale brzmiała obiecująco, o czym Luis przekonał się już kilkakrotnie. Sieroty, bezdomni czy dzieciaki z problemami łykały przynętę bez mrugnięcia okiem. Przyjrzał się bacznie chłopakowi.

Na nogach miał stare, dziurawe adidas, nosił podarte spodenki i upaćkaną koszulkę z emblematem drużyny piłkarskiej FC Barcelona, wszystko wyglądało, jakby dopiero co zostało wyciągnięte ze śmietnika, a i sam wcale nie prezentował się lepiej. Podbite oko, brak dwóch jedynek, siniaki na ramionach i podrapane kolana. Bez wątpienia jego życie nie było usłane różami.

– Nie musisz nic przede mną ukrywać. Zawodowo zajmuję się pomaganiem młodym ludziom – dodał na zachętę, wtedy chłopak z powrotem skupił wzrok na Luisie.

– Nie chcę tam wracać, bo oni mnie nienawidzą – powiedział smętnie. – Ojca nie znam, bo odszedł, zanim jeszcze się urodziłem, matka jest wiecznie pijana i kurwi się z kim popadnie, choćby za paczkę fajek, a ciotka na każdym kroku mnie poniża. Nie mam po co tam wracać. Nie chcę tam wracać. Wolę żyć na ulicy...

W oczach chłopaka zebrały się łzy i choć bardzo walczył, aby nie okazać słabości, jedna z nich w końcu urwała się i spłynęła po policzku, drażąc na ogorzałej od słońca skórze nieco jaśniejszą smugę. Garavito przytaknął ze zrozumieniem i nie było w tym krzty przesady, co z tego, gdy bestia znów zaczęła mu szeptać do ucha. Zabij, mówiła, zabij i poczuj tę niebiańską rozkosz.

– Nie! – zaprotestował, nie zdając sobie sprawy, że wyartykułował swoje myśli na głos.

– Ale... – Chłopak wyglądał na wyraźnie skonfundowanego.

– Nie – powtórzył Garavito. – Nie zgadzam się, abys żył na ulicy. Nie zgadzam się, abys cierpiał.

– Da mi więc pan jakieś pieniądze? Jestem bardzo głodny...

– Dam ci nadzieję na lepsze życie.

Chłopak znów zmarszczył brwi. Nie rozumiał.

– Najpierw pójdziemy coś zjeść. Potem opowiesz mi wszystko ze szczegółami. Pomogę ci, dobrze?

- Dziękuję, *señor*.
- Nie ma za co, młody przyjacielu. Chodź. Tu niedaleko podają pyszne *tamal* ³⁹. Jak się nazywasz, chłopcze?
- Wołają na mnie Ramon.
- Ja się nazywam Luis.

Wstali i poszli. *Tamal* rzeczywiście było pyszne, a chłopak jadł, aż mu się uszy trzęsły. Dużo rozmawiali, dzięki czemu głos diabła nie był słyszalny tak głośno jak zwykle. Może dlatego, że wczoraj zaspokoił jego głód? Tak, to chyba było rozsądne wytłumaczenie. Dzień wcześniej ofiarował mu tyle, że powinno wystarczyć na tydzień, może nawet dwa. Pomyślał, że dziś zjedzą obiad, a potem pożegna się z chłopakiem i umówi na spotkanie następnego dnia. Może zastanowi się, jak naprawdę mu pomóc? Rozumiał go doskonale. Gdy słuchał o klientach jego matki, którzy próbowali napastować także jego, najchętniej poszedłby do tego domu i rozpruł brzuchy każdemu z nich.

Po posiłku wypili jeszcze po piwie i Garavito, trochę się do tego zmuszając, pożegnał się z Ramonem i poszedł poszukać jakiegoś hotelu. Wieczorem głos diabła, dodatkowo wzmocniony butelką brandy, stał się donośniejszy i Garavito zaczął swojej decyzji trochę żałować. W pewnym momencie nawet wyszedł na spacer, ale ostatecznie, widząc na ulicach wzmożony ruch policyjnych patroli, mocno zaniepokojony tym faktem zawrócił do hotelowego pokoju. Nie mógł spać, bo ogarnął go dziwny lęk. Czyżby ktoś zdążył znaleźć zwłoki tamtego chłopaka? Wątpił w to, bo zabrał go kawał drogi od najbliższych zabudowań. Nie mógł ryzykować, aby ktokolwiek usłyszał jego wrzaski. Co w takim razie spowodowało, że na ulicach miasta pojawiło się tyle radiowozów?

Zasnął dopiero nad ranem i obudził się dwie godziny później. Od razu wypił piwo, aby nieco zaleczyć kaca, po czym opuścił hotel

i poszedł wprost do knajpy, gdzie umówił się dzień wcześniej z Ramonem na śniadanie. Chłopak czekał na niego przed lokalem, siedząc w pełnym słońcu na krawężniku i żując żdźbło trawy. Uśmiechnął się na widok Luisa i ucałował podaną mu dłoń. Garavito, tknięty przeczuciem, szybko ją zabrał, ale gdy zbliżyli się do lady, aby zamówić posiłek, do środka weszło dwóch mundurowych. Stanęli tuż obok, wpatrując się w nich jak sępy w padlinę.

- Dokumenty – rzucił pierwszy w kierunku spoconego Garavito.
- Coś się stało? – zapytał Luis, próbując zachować spokój.
- Dokumenty.

Chłopak przylgnął do swojego patrona, ale Luis go odepchnął. Drżącą ręką sięgnął po portfel, z którego po dłuższej chwili wyjął dowód osobisty i niechętnie wręczył go świdrującemu go wzrokiem policjantowi. Ten przejrzał dokument, kilkakrotnie zerkając to na zdjęcie, to na twarz Garavito, następnie skinął swojemu kompanowi, a ten chwycił Luisa za łokieć.

- Pójdzie pan z nami, *señor* Garavito.
- Ale co się...
- Morda w kubel. Jesteś aresztowany.

Gdy Garavito człapał w kierunku wyjścia, pomyślał, że wczoraj popełnił największy błąd w życiu. Po raz pierwszy nie zabił, a teraz pójdzie za to siedzieć na długie lata.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Do Corinto też nie dotarliśmy. Jest to niewielka miejscowość na południe od Palmiry, jedna z tych niebezpiecznych, które traktowane są jako centra przerzutowe kokainy. To jednak właśnie tam Garavito został osadzony w areszcie. Rzeczywiście zabił tam

trzynastolatka, którego określił jako pulchnego. Zwłoki znaleziono po latach i zidentyfikowano jako zaginionego podówczas Diego Fernando Péreza. Według patomorfologa zwłoki zostały potwornie okaleczone, a głowa z wciśniętymi w usta genitaliami oddzielona od tułowia. Cięcia, które odkryto na kościach, i zeznania Garavito sugerują też, że oprawca w kilku miejscach oskórował ofiarę za życia. Morderca tak wspominał moment aresztowania:

– Następnego dnia wróciłem, to był chyba wtorek, zgarnąłem pieniądze i pod tą samą szkołą, gdzie namówiłem tamtego, którego zabiłem, napotkałem kolejnego. Sam mnie zagadał. Pamiętam, że miałem wtedy krawat, brązową teczkę, okulary i podawałem się za pracownika fundacji Nuevo Amanecer. Dobrze wyglądałem i byłem dobrze zorganizowany. Chłopak miał czternaście lat i powiedział mi, że ma problemy w domu, że ciotka go poniża, matka nie kocha, a ojcem gardzi, bo ten zostawił rodzinę. Zrobiło mi się go naprawdę żal i zaprosiłem go na coś do jedzenia. Kusiło mnie, ale go nie zabiłem. Pożegnaliśmy się i umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia. Wtedy kilku policjantów mnie aresztowało, a następnie zabrano do więzienia. W zamknięciu spędziłem około miesiąca. Prokuratura nie znalazła jednak dowodów, bo dobrze ukryłem ciało tamtego, którego zamordowałem dwa albo trzy dni przed aresztowaniem. Rok później śledztwo zostało umorzone.

Jedyną rzeczą, jaką mogli udowodnić Luisowi Garavito, była jego obecność w Corinto w dniu zaginięcia dziecka. Kiedy jednak nie odnaleziono zwłok, uchylono areszt prewencyjny, mimo że jego zachowanie uznano za podejrzane. Według świadków był widziany tej nocy, jak pił i rozmawiał z dziećmi. Niestety, to było za mało, aby przedłużyć mu areszt, wobec czego Garavito zdołał umknąć sprawiedliwości. Ślad na życiorysie jednak pozostał, bo po raz pierwszy uznano go za podejrzanego w sprawie zaginięcia osoby nieletniej.

Cała ta sytuacja sprawiła, że Garavito rzeczywiście uwierzył w swój geniusz i poczuł się bardzo pewny siebie. W tym okresie dużo podróżował, sprzedając odświeżacze powietrza, i w każdym niemal miejscu, w którym postawił stopę, ginęło jakieś dziecko.

Jak sam przyznał, potwornie się rozzuchwalał i zabijał jak w amoku, często dwójkami, aby zintensyfikować doznania. Robiąc to niejednokrotnie pod wpływem alkoholu, nie zawsze wszystko pamiętał, postanowił więc swoje czyny dokładnie dokumentować. Zapisywał imiona i nazwiska chłopców, zbierał ich zdjęcia z legitymacji, wycinał artykuły opisujące jego poczynania, tworzył nawet mapy, na których zaznaczał miejsca zbrodni i te, gdzie porzucał zwłoki. Wszystkie te rzeczy upychał w czarnej walizce, którą wszędzie ze sobą woził.

W tym czasie nastąpiła też eksplozja jego okrucieństwa i brutalności. Garavito nie wystarczało już zamordowanie dziecka – musiał je w maksymalny sposób upokorzyć i zadać mu jak najwięcej cierpień:

– Już nie czułem przyjemności, gdy ich gwałciłem. Dużo piłem i po alkoholu nie miałem erekcji, co bardzo mnie irytowało, więc ich o to obwiniałem. Dostrzegłem też, że gdy je pieszczę (słowem „pieszczoty” Garavito nazywał zadawane ofiarom tortury), erekcja się pojawia, a gdy je pieszczę jeszcze mocniej, to jest silniejsza.

Prawdą jest też to, że Garavito zaczął wycinać ofiarom narządy. Jak przyznał, i tak robił to dla przyjemności, więc pewnego dnia wpadł na pomysł, aby je zabierać z miejsca zbrodni. Odzwierciedleniem tego, że organy ścigania z łatwością dały się wprowadzić w błąd, były artykuły w lokalnych dziennikach, jak choćby ten z 22 sierpnia 1994 roku w „Diario de Otún”, gdzie napisano, że władze obawiają się istnienia gangu zajmującego się handlem ludzkimi organami.

Garavito zaczął zabijać hurtowo. Mordował w Pereirze, Armenii, Tului, Palmirze, Trujillo, La Marinie, Santuario, Cartago, Neirze, Manizales, Tunji, Santa Rosa de Cabal – w zasadzie wszędzie, gdzie się pojawił. Pod koniec 1994 roku w prowadzonym przez niego dzienniku zbrodni widniała liczba trzydziestu sześciu morderstw, co dawało jedno na dziesięć dni. Warto dodać, że mogło być ich dużo więcej, bo – jak Garavito wielokrotnie przyznawał – wielu z nich nie pamiętał albo nie zapisał.

W kolejnych latach statystyki się nie zmniejszyły. Szacuje się, że pod koniec 1996 roku „Bestia” miała na koncie już ponad sto ofiar. W końcu jednak szczęście się od niej odwróciło. To, co wydarzyło się w bogotańskich slumsach Guacamayas⁴⁰, miało kluczowe znaczenie nie tylko w życiu samego Garavito, lecz finalnie przyczyniło się do tego, że władze w końcu wpadły na obiecujący trop.

Ale po kolei. Pozwólcie, że przeniesiemy się do Armenii roku 1996...

CZEŚĆ PIĄTA

NA TROPIE BESTII

Rozdział 1

Armenia, czerwiec 1996 roku

Dobry sprzęt, co, młody?

– *De puta madre!* ⁴¹

– No ja myślę. Matce się chyba spodoba, co nie?

– Wyskoczy z kapci!

Garavito odsunął się kilka kroków i krzyżując przedramiona na klatce piersiowej, wbił wzrok w kolorowy ekran telewizora. O to chodziło. Nic nie śnieżyło, obraz był ostry jak brzytwa, na twarzach aktorów można było dostrzec każdy, nawet najmniejszy grymas. Akurat leciała brazylijska telenowela o jakiejś niewolnicy. Rzecz działa się w XVIII wieku na jednej z licznych plantacji kawy, a główna bohaterka nazywała się Xica Da Silva i dzięki swej urodzie i sprytowi najpierw została wyzwolona, a następnie zaczęła pławić się w bogactwie. Nie znosił takich ckliwych historii, bo nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, ale serial oglądali wszyscy od Tijuany w dół, cała Ameryka Łacińska dosłownie oszalała na punkcie tej produkcji, w tym Luz Mary. A że była miłość wyciągnęła do niego rękę, postanowił jej się jakoś odwdzińczyć i dwa tygodnie po zainstalowaniu się w jej mieszkaniu poszedł do sklepu i wziął na raty nowiutki telewizor firmy Panasonic. Chwilę temu, pod jej nieobecność, z pomocą jej piętnastoletniego syna Jaime w końcu zdołał go uruchomić.

Nie mógł oderwać wzroku od żywych kolorów. Rozpierała go duma. Co prawda wziął telewizor na podstawie umowy o pracę podpisaną z firmą, z której został właśnie zwolniony, ale nie przejmował się tym ani trochę, bo po pierwsze, rata nie była wysoka i przekalkulował, że po znalezieniu nowej pracy na pewno zarobi wystarczająco, aby ją pokryć, a po drugie, podpisał ją na nazwisko Bonifacio Morera Lizcano, którego zaczął używać krótko po tym, gdy jego facjata wylądowała na okładce jednej z gazet wydawanych w leżącej na północ od Bogoty Tunji. To tam popełnił kolejny błąd. Zabił chłopaczkę, ale zwłoki szybko odkryto i prokuratura wszczęła śledztwo, co gorsza, znalazł się jakiś świadek, który widział go wychodzącego z ofiarą ze sklepu, a następnie podał policji jego rysopis. Gnojek musiał mieć świetną pamięć, bo postać na okładce tabloidu „VEA” wyglądała wypisz wymaluj jak Luis Alfredo Garavito Cubillos. Czym prędzej uciekł więc z Tunji i na wszelki wypadek postanowił się gdzieś przyczaić. Mieszkanie Luz Mary wydawało się idealnym rozwiązaniem, a że stara przyjaciółka miała do niego wyraźną słabość, dała się namówić i go przygarnęła. Kupno telewizora miało na celu tylko tę słabość pogłębić.

– To co oglądamy? – zapytał Luis, oddając pilota podekscytowanemu Jaime.

– Dziś Copa Libertadores – Chłopak zaczął skakać po kanałach. – América Cali gra z Grêmio Porto Alegre. Zapowiada się ogień.

– No nie wiem, czy matka będzie zadowolona...

– Dziś wróci późno, bo jest umówiona z koleżankami.

– No dobra. – Garavito oklapł na fotel. – Dobry mecz nie jest zły – dodał i sięgnął po gazetę.

Luis nie był wielkim fanem piłki nożnej, ale nie mając pomysłu na dzisiejszy wieczór, postanowił spędzić go z Jaime. Na swój sposób chłopak dał się lubić, a diabeł dodatkowo nie kusił. Nie wiedział

dlaczego, ale był mu za to wdzięczny, bo nie chciał krzywdzić dzieciaka i chyba nie mógłby tego zrobić. Może w innych okolicznościach, gdyby nie był synem Luz Mary? Zastanawiał się nad tym kilka razy, ale od dłuższego czasu podobne myśli już go nie nawiedzały i bardzo mu to odpowiadało.

Mecz zaczynał się o osiemnastej, zatem zostały im jeszcze dwie godziny, Luis postanowił więc, że wykorzysta je, aby wyskoczyć po coś do picia. Wrócił z ośmioma piwami i butelką La Corte. Wypił z chłopakiem po dwa, ale mecz nie dostarczył spodziewanych emocji. Grêmio wygrało po nudnym meczu jedną bramką, a piłkarze prezentowali się tak, jakby ktoś powiązał im nogi. Pod koniec spotkania Luis był już niemal pewien, że mecz został sprzedany, dlatego poszedł do sypialni i otworzył brandy, a po opróżnieniu połowy w głowie zaczęły mu się roić głupie pomysły. Wyjść? Nie wyjść? Z jednej strony zaczynało go korcić, z drugiej chciał zobaczyć reakcję Luz Mary, gdy ujrzy piękny, nowy telewizor, który kupił specjalnie dla niej. Postanowił dopić flaszkę w nadziei, że gdy zobaczy prezent, to nie będzie mu robić wyrzutów. Mecz się skończył, Jaime zaczął oglądać drugi, a Luz Mary wciąż nie było. Zaczął się wiercić, w końcu poczuł potrzebę obejrzenia wiadomości. Wyszedł do dużego pokoju i bez słowa chwycił leżącego na stole pilota, po czym przełączył kanał.

- Co robisz? – zapytał Jaime.
- Teraz moja kolej – odparł oschle i beknął.
- Mógłbyś przynajmniej zapytać. Oglądałem mecz.
- Dzieci i ryby głosu nie mają.
- Nie jestem dzieckiem.
- Jesteś. Poza tym kto kupił ten telewizor? Ja czy ty? – Garavito opadł na kanapę i wyłożył nogi na stół. Spojrzał na wyraźnie rozdrażnionego Jaime, który w jednej chwili wydał mu się

wyjatkowo irytującym szczeniakiem. – No co się tak gapisz? Coś ci nie pasuje? – zapytał, chowając pilota w szparę przy podłokietniku.

– Nie musisz być takim chamem.

– Kim?

– Chamem. I w dupę wsadź sobie ten telewizor.

– Coś ty, kurwa, powiedział?

– Nic.

Jaime wstał i podszedł do lodówki. Otworzył ją i wyciągnął mleko. Kiepsko mroziła, przez co znów zaczynało cuchnąć zepsutym jedzeniem. Skrzywił się i upił kilka łyków prosto z kartonu, a gdy odstawił reszkę i zamknął drzwiczki, zobaczył stojącego za nimi Garavito. Jego przekrwione oczy przesłaniał dziki gniew.

Wzdrygnął się i instynktownie cofnął – tuż za nim była już tylko ściana. Przełknął ślinę, wpatrując się w srogi wzrok mężczyzny, wtedy ten zrobił dwa kroki w jego kierunku i przyparł go do muru.

– N-n-nigdy więcej mnie tak nie nazywaj, b-b-bo pożałujesz – wycedził przez zęby.

Jaime przestraszył się nie na żarty. Czuł na twarzy odrażający oddech partnera swojej matki, który cuchnął, jakby nie mył zębów od miesięcy.

– No dobra, już dobra. Poniosło mnie – wyjąkał.

– Przepróż.

– Przepraszam.

– Sz-sz-szczerze.

– No... przepraszam...

Garavito wykrzywił usta w groźnym grymasie. Dopiero teraz alkohol uderzył mu do głowy. Zabij, usłyszał głos bestii, ale wtedy zgrzytnął zamek w drzwiach i do mieszkania weszła Luz Mary. Zwalczył pokusę i odkleił się od ściany, lekko się zachwiał.

– *Hola* – przywitał się. – Mam... dla ciebie... p-p-prezent – dodał, wyraźnie się jękając.

– Alfredo! – Luz Mary podniosła głos. – Jesteś kompletnie pijany. Obiecywałeś, że nie będziesz się upijał w obecności mojego syna i...

– Weź, kobieto. P-p-prezent mam. Patrz tam. – Garavito wycelował palec w telewizor i prawie potykając się o własne nogi, podszedł do kanapy. Wyrwał ze szpary pilota i zaczął przełączać kanały. – Obraz i-i-igła. Zobacz. P-p-panas-s-sonic. Naj... najlepszy na r-r-rynku.

– Skąd wzięłeś na niego pieniądze?

– Ale... – Garavito zmarszczył brwi. – Ale co? N-n-nie podoba ci się mój p-p-prezent?

– Podoba mi się, ale... – Luz Mary westchnęła i odstawiła torby z zakupami na upaćkaną kuchenkę. Pokręciła głową z niesmakiem i zerknęła na wyraźnie spłoszonego syna. – Ty też piłeś? – zapytała.

– Tylko jedno piwo.

– Jedno? – Rzuciła mu surowe spojrzenie.

– Dwa.

– Ech...

Była wkurzona. Rozmawiała z nim tyle razy, ale Luis nic sobie z tego nie robił. Jak grochem o ścianę. Nie zabraniała mu od czasu do czasu wypić piwa czy nawet tej cholernej brandy, ale zasadniczo umówili się, że nie będzie chlał w obecności Jaime, a ten nie dość, że się urzynał, to jeszcze poczęstował alkoholem syna.

Otworzyła lodówkę i zaczęła wyciągać z siatek kolejne artykuły. Gdy nagle usłyszała głośny huk, aż podskoczyła.

– To tak mi dziękujesz? – poniosło się z drugiej części pokoju. Odwróciła się i spojrzała na pochylonego nad stołem Garavito. Podpierał się pięścią o blat, na którym walały się poprzewracane

puszki po piwie. – Kupiłem ci, kurwa, amerykański ⁴² t-t-telewior, a ty...

– Luis Alfredo! – uniosła się.

– Co, k-k-kurwa, Luis Alfredo?! K-k-kupiłem ci jebany p-p-prezent! Nie p-p-podziękujesz mi?

Przez kilka kolejnych minut się sprzeczali. Luz Mary pomogła mu tylko dlatego, że obiecał pokrywać rachunki i dawać na jedzenie, a tymczasem po stracie pracy przez dwa tygodnie tylko spał, oglądał telewizję albo pierdział w kanapę. Owszem, na starcie dał jej trochę pieniędzy na utrzymanie, ale już dawno je przejadł, a teraz zamiast pójść do roboty, kupił drogi telewizor. Co z tego, że o takim marzyła, jeśli z dużym prawdopodobieństwem zabraknie im na spłatę rat, pomijając fakt, że z pewnością odbiornik przykuje Luisa do kanapy jeszcze mocniej. W pewnym momencie Garavito uniósł w górę pilota, a następnie zamachnął się i z całej siły rzucił nim o ścianę. Urządzenie przegrało to starcie i roztrzaskało się na kawałki.

– Wynoś się! – wrzasnęła Luz Mary. – Wynoś się i nie wracaj!

Garavito wpadł w furję. Stracił z blatu puszki, zbił talerz, w końcu wyrzucił cały stół. Luz Mary patrzyła z przerażeniem, jak kopniakami próbuje połamać drewniane nogi, w końcu źle się zamachnął, stracił równowagę i upadł. Zaklął siarczyście i niepewnie podniósł się, po czym wbił w matkę i syna rozjuszony spojrzenie. Chłopak zrobił krok do przodu, aby chronić matkę, ale odsunęła go ręką. Nie bała się Luisa. Wiedziała, że nie posunie się do niczego więcej, bo już kilka razy brała go pod swój dach, niestety, zawsze kończyło się to tak samo pomimo jego solennych obietnic poprawy. Sama nie wiedziała, dlaczego za każdym razem mu wierzyła. Miała do niego dziwną słabość, tak jakby tamten młody chłopak, którego poznała na plantacji kawy i którego końskie zaloty potem odrzuciła, wciąż tkwił w jej sercu, trochę jak cień –

najrozsądniej byłoby się go pozbyć, ale się tego nie robi, bo przypomina o czymś, za czym się tęskni i o czym nie chciałoby się nigdy zapomnieć.

Na tę myśl poczuła ucisk w żołądku. Gdy jednak szarpnęły nim spazmy, a następnie zwymiotował sobie na koszulkę, zrozumiała, że nie może się nad nim litować. Wyszła do sypialni i nie zwracając uwagi na dochodzący z salonu bełkot, spakowała mu do walizki najpotrzebniejsze rzeczy, a następnie wystawiła ją za drzwi. Garavito był na tyle pijany, że nie oponował. Dał się wyprowadzić, coś tam bąkając, że ona robi błąd, że on jeszcze im wszystkim pokaże i żeby lepiej wychowywała syna, bo smarkacz jest pyskаты i skończy na ulicy. Te słowa zraniły ją najbardziej i tylko utwierdziły w przekonaniu, że gdy zamknie za nim drzwi, już nigdy ich dla niego nie otworzy. Przekręcając zamek, zdała sobie sprawę, iż o tym samym myślała za każdym razem, gdy wyrzucała go z domu.

– Dobrze zrobiłaś, mamó – powiedział Jaime. – On jest strasznie dziwny i nie chcę, aby z nami mieszkał. Poradźmy sobie bez niego.

– Przepraszam.

– Nie masz za co, mamó.

Luz Mary westchnęła i ze łzami w oczach przytuliła syna. Chwilę później wróciła do rozpakowywania siatek z zakupami.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Przez ponad dwa długie lata swojej pełnej morderstw tułaczki po Kolumbii Luis Garavito zabijał z taką łatwością z kilku powodów. Jednym z nich był fakt, że jako przedstawiciel firmy sprzedającej odświeżacze powietrza bardzo często podróżował, przez co – nawet jeśli odnajdywano ciała – pozbawione scentralizowanego systemu lokalne organy ścigania nie były w stanie powiązać kolejnych spraw i namierzyć sprawcy. W czerwcu 1996 roku

Garavito popełnił jednak błąd i na okładkę tabloidu „VEA” trafiła jego twarz jako głównego podejrzanego o zabójstwo Renalda Delgado. Przeraził się nie na żarty i natychmiast opuścił rejon kraju, gdzie wychodziło to czasopismo, czym narobił sobie kłopotów u pracodawcy. Ten go zwolnił, więc Luis znów znalazł się na bezrobociu, w związku z czym postanowił odezwać się do swojej miłości z czasów młodości – Luz Mary Ocampo Orozco. Ponieważ przez te wszystkie lata starał się podtrzymywać kontakt, niewiele czasu zajęło mu przekonanie kobiety, aby udzieliła mu schronienia. Z początku wydawało się, że być może nawet uda im się stworzyć jakąś relację. Niestety, przez wybryki alkoholowe wszystko się posypało. Warto tu oddać głos samej Luz Mary:

– Alfredo wybuchał z byle powodu, był jak neurotyk. Kiedy wychodził z domu, zawsze udzielał sobie błogosławieństwa do picia i płacząc, opowiadał mi, że jego matka nie robiła nic innego, jak tylko odrzucała go i traktowała gorzej niż psa. W czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku powiedział mi, że stracił pracę i jest w złej sytuacji finansowej. Dodał też, że handluje odświeżaczami powietrza, ale że sprzedaje je do szkół i że nie ma pracy z powodu wakacji szkolnych. Poprosił mnie o nocleg i zaproponował, że znajdzie pracę i będzie opłacał rachunki, by mi pomóc. Zgodziłam się i z początku rzeczywiście wszystko wyglądało dobrze. Zapłacił mi z góry za jedzenie, ale niestety zaczął pić. Oczywiście nie było to dla mnie zaskoczeniem, nawet kilka razy rozmawiałam o tym z jego siostrą Estherą. Z czasem było coraz gorzej. Pewnego dnia przyniósł do domu telewizor, który kupił na raty. Zaczęły się awantury o to, kto ma co i kiedy oglądać. Najwięcej kłócił się z moim piętnastoletnim synem. Oskarżał go, że jest niewychowany. Raz próbował go nawet uderzyć i uszkodził jego złoty łańcuszek, który mu kiedyś podarowałam. Bardzo mnie wtedy zawiódł i poprosiłam, aby się wyprowadził. Wyszedł z domu, a ja dalej płaciłam za telewizor.

Po wyprowadzce od Luz Mary Garavito skierował się do swojej siostry Esthery – jedyne go członka rodziny, z którym utrzymywał jaki taki kontakt. Esthery nie chciała jednak, aby u niej mieszkał,

w związku z czym podrzuciła mu pomysł, by spotkał się z jednym z franciszkanów, którego poznał przed laty. Zrozumiał aluzję i się wyprowadził, zostawiając u niej swoją czarną walizkę, w której trzymał wszystkie dowody swoich morderstw, następnie założył habit i przez kolejne dwa miesiące prawie go nie ściągał. Podobno odnalazł się w tej roli znakomicie.

– Zamieniłem odświeżacze powietrza na sutannę – mówił podczas przesłuchania. – Ta sutanna była ciemnobrązowa, z kapturem i pasem, na nogach nosiłem sandały. Prosiłem o datki dla najuboższych, sprzedawałem jakieś święte kartki, wszystko to w imieniu zakonu franciszkanów.

Garavito tułał się po okolicznych miastach, dalej mordując. Z racji tego, że nie musiał pracować, zaczął pić jeszcze więcej niż zwykle, tak naprawdę wpadł w niekończący się ciąg alkoholowy. Prawdopodobnie w tym czasie wyjechał też na kilka tygodni do Wenezueli, gdzie zamordował kilku chłopców i dziewczynkę. Na to jednak – poza odkrytymi w późniejszym okresie szczątkami zamordowanych ofiar świadczącymi o podobnym modus operandi sprawcy – nie ma dowodów. Podobnie trudno ustalić, ilu chłopców padło jego ofiarą w Kolumbii, gdyż przestał dokumentować swoje zbrodnie w zeszycie, który zostawił w walizce u Esthery.

W sierpniu Garavito odnalazł się w Bogocie, gdzie tułał się po najbiedniejszych dzielnicach, w tym chyba najgorszej z najgorszych – słynnej Ciudad Bolívar. I to właśnie tam przydarzyła się nam jedna z najbardziej niebezpiecznych przygód podczas podróży jego śladami.

– Nie pojedziemy tam – oznajmili nam nasi przewodnicy, gdy zawitaliśmy do pobliskiej Soachy, gdzie Garavito też przez jakiś czas mieszkał i gdzie zamordował kilku chłopców.

– Ale ja muszę zobaczyć te slumsy – nalegałem. – Przyjechałem tu właśnie po to, aby obejrzeć takie miejsca. Jeśli mam napisać wiarygodną historię Garavito, muszę mieć na czym oprzeć swoją pracę.

– To dzielnica, gdzie policja nie ma wstępu. Tam rządzą gangi i jest bardzo, bardzo niebezpiecznie. Jeśli ktoś zobaczy dwóch

gringos z aparatami i kamerami, to nas okradną, a może się to skończyć jeszcze gorzej. Zdecydowanie odradzamy – naciskali.

– To nie zobaczą. Po prostu przejedźmy się tymi uliczkami, żebyśmy mógł je obejrzeć.

Mój szatański pomysł mógł okazać się tragiczny w skutkach. Nasi przewodnicy, choć z oporami, ostatecznie ulegli. Zgodzili się pod kilkoma warunkami.

– Pod żadnym pozorem nie wychodzicie z samochodu. To po pierwsze – mówił Roberto. – Po drugie, żadnych kamer ani aparatów. Okna zamknięte. Nie wychylacie się, a najlepiej jak położycie się na tylnych siedzeniach i sprawicie sobie peryskop – zażartował, choć już kilkanaście minut później nikomu do śmiechu nie było.

Do slumsów Ciudad Bolívar wjechaliśmy od zachodu. Prowadziła do nich dość szeroka trzypasmówka, która szybko zmieniła się w dwupasmówkę, a potem nagle przeobraziła w ciasną, dziurawą asfaltówkę. Wszystkie rozklekotane pojazdy i skutery musiały się zmieścić na drodze o szerokości kilku metrów. Zrobiło się naprawdę ciasno i jakby... bardziej gorąco. Pamiętam, że szczególnie niepokoił mnie motocykliści, bo często zwracali głowy w naszą stronę, a większość z nich miała mocno przyciemnianą szybę w kasku. Po obu stronach zaczęły wyrastać zbite z pustaków, desek i blachy falistej rudery. Pomiedzy nimi na rozwleczonych linkach wisało mnóstwo prania, które – miałem nieodparte wrażenie – powiewało na wietrze tak jakoś dziwnie posepnie. Dziś wiem, że po prostu obleciał mnie strach, ale skoro decyzja zapadła, brnęliśmy w to dalej. Jechaliśmy powoli, bo na ulicy było ciasno i inaczej się po prostu nie dało. Zerkaliśmy dyskretnie i kilkakrotnie złapaliśmy kontakt wzrokowy z wałęsającymi się dzieciakami. Były wychudzone, umorusane, niektóre prawie nagie, choć temperatura wcale nie ropieszczała, oscylując w okolicach osiemnastu, może dwudziestu stopni. Zapamiętałem dziewczynkę o indiańskich rysach i ciemnej karnacji, która mogła mieć nie więcej niż pięć, może sześć lat, miała skóttunione włosy i coś na wzór sukienki, ale zrobionej

z jakiegoś worka, podobnego do tych, jakich my używamy do przechowywania ziemniaków. Siedziała samotnie pochylona nad hałdą śmieci i w niej grzebała. Na chwilę odwróciła się w naszą stronę i odprowadziła nas wzrokiem, a potem nie wiem, pewnie wróciła do tego, czym się wcześniej zajmowała. Ogólnie klimat stał się niezwykle ponury. Takich dzieciaków było więcej, a te starsze, tak powiedzmy od dziesięciu lat wzwyż, od razu skupiały na nas swoją uwagę. Niektóre próbowały podejść i zagadać, ale Roberto od razu przyspieszał (jeśli to było możliwe) albo kompletnie je ignorował. Atmosfera była jednak nerwowa, przewodnicy zamilkli, bacznie obserwując okolicę.

– Wystarczy? – zapytał Roberto, gdy minęliśmy kolejną grupkę kilkuletnich szkrabów kopiących pod chatupą piłkę.

– Wystarczy – odpowiedziałem, bo naprawdę już pragnąłem stąd wyjechać.

Roberto zaczął kombinować, jak tu zawrócić, ale zrobiło się tak ciasno, że nie było to możliwe. Jechaliśmy więc dalej, aż dotarliśmy do niewielkiego ronda, na którym na chwilę się zatrzymaliśmy. Nasz kierowca postanowił wybrać inną drogę powrotną. Na pierwszy rzut oka wyglądała lepiej i chyba doszedł do wniosku, że szybciej dotrzemy do autostrady. Prawie miał rację, ale to „prawie” zrobiło sporą różnicę.

Z początku rzeczywiście jechało się nieźle. Nawet budynki przypominały coś, co mogło służyć człowiekowi do zapewnienia mu dachu nad głową. Co prawda zamiast szyb w otworach okiennych widniały kraty, a większość pustaków, z których były zrobione, wyglądała, jakby każdy był z innej parafii, ale generalnie wydawało się, że dość sprawnie opuścimy to mało atrakcyjne środowisko. Przypuszczenia nie sprawdziły się i już po kilometrze, może dwóch, droga się zwężyła i utknęliśmy w korku.

Przez pierwsze sekundy zapadła kompletna cisza, ale już po chwili nasi przewodnicy zaczęli się niespokojnie kręcić. Szybko zrozumiałem dlaczego, bo gdy tylko sam wyjrzałem przez okno, dostrzegłem, że nagle zjechało się mnóstwo skuterów, a z okolicznych ruder zaczęli wychodzić mieszkańcy. Wszyscy zdawali się skupiać uwagę na jednym jedynym samochodzie. Jak

zapewne się domyślacie, tym samochodem była nasza terenówka. W pewnym momencie jeden z mężczyzn zapukał, aby porozmawiać z Roberto, ale ten nie chciał mu otworzyć, coś tam gestykulując. Facet nie dał się spławić i już chwilę później zajrzał przez okno pasażera, dosłownie przyklejając nos do szyby. Nie zapomnę tej sfatygowanej życiem, częściowo wytatuowanej twarzy i błysku w oczach, gdy zrozumiał, kto siedzi na tylnych siedzeniach. Oczywiście zapukał i coś tam gadał, był bardzo nachalny i co rusz przyklejał twarz do szyby. Sytuacja zrobiła się bardzo nerwowa. Nasi przewodnicy zaczęli się kłócić, bo byliśmy zablokowani, przekrzykiwali się, tymczasem nieproszony gość odszedł kilka metrów, aby naradzić się z nadciągającymi kompanami. Pamiętam, że gwałtownie gestykulował, pokazując na nas. Głowy większości zebranych na zewnątrz skierowane były w naszą stronę, w środku było już słychać tylko krzyki Roberto i Jesusa. Wtedy poczuliśmy gwałtowne szarpnięcie i ten pierwszy po prostu wykorzystał moment, gdy zrobiło się ciut luźniej, skreślił na pobocze i nie bacząc na to, co znajdzie się pod kołami, po prostu wyrwał do przodu. Słyszeliśmy chrzęst kamieni, łoskot puszek czy butelek, w każdym razie śmieci, na pewno przeoraliśmy krzaki i chyba nawet przejechaliśmy po jakichś donicach. Nie patrzyłem jednak do tyłu, bo bałem się jak cholera, podobnie Przemek, którego wzrok mówił więcej niż tysiąc słów. Nie wiem, jak długo jechaliśmy poboczem i co tam po drodze rozwaliliśmy, ale ostatecznie ominęliśmy korek i wepchnęliśmy się na dwupasmówkę. Jeszcze przez dłuższą chwilę w samochodzie było słychać tylko szum silnika.

– Muszę obejrzeć samochód – powiedział w końcu Roberto, ciężko wypuszczając powietrze. – Jak wyjedziemy z Bogoty, to zatrzymamy się na jakiejś stacji.

– Tak jest zawsze w Ciudad Bolívar? – zapytałem, próbując rozładować atmosferę.

– Mieliliśmy dużo szczęścia. Już wiesz, dlaczego nie chcieliśmy tam jechać? – Odwrócił się przez ramię.

Coś tam burknąłem spolegliwie, bo zrobiło mi się cholernie głupio. Zdałem sobie sprawę, że przez swoją naiwność naraziłem

nas wszystkich na poważne niebezpieczeństwo. Może za bardzo liczyłem na to, że w obecności rodowitych Kolumbijczyków nic nam nie grozi? Nie wiem, być może. Jedno natomiast wiem na pewno. Chciałem po prostu zobaczyć Ciudad Bolívar, aby móc wam to później opisać.

Nie wiem, jak dalece ta sytuacja wpłynęła na późniejsze decyzje naszych kolumbijskich przyjaciół, ale mając w pamięci Ciudad Bolívar, odmówili nam wyjazdu do trzech ważnych z perspektywy tej historii miejscowości: Trujillo i Jamundí (o których już pisałem) oraz Villavicencio (o którym jeszcze wspomnę). Teraz sam już nie wiem, czy dobrze się stało, bo tak sobie myślę, że gdyby wycieczka w Ciudad Bolívar poszła gładko, to może do tego Jamundí byśmy jednak pojechali i dziś albo siedziałbym gdzieś w dżungli przetrzymywany przez ludzi kartelu, albo gnił w jakimś rowie z oskórowanym pyskiem.

Więc cóż – chyba stało się dobrze...

To było pierwsze (choć nie ostatnie) spotkanie z Kolumbią, której nie ujrzyście na widokówkach, za to prędzej poznacie, oglądając seriale w stylu Narcos. Od tej pory pilnowaliśmy się już bardzo i jak to mówili nasi kolumbijscy przyjaciele – mieliśmy cuatro ojos, czyli w wolnym tłumaczeniu „oczy dookoła głowy”.

Wracając do samego Garavito – najwyraźniej dokonawszy paru morderstw w Ciudad Bolívar, też uznał, że nie jest to miejsce dla niego, bo po kilkunastu dniach odnalazł się w poddzielnicy Guacamayas należącej do bogotańskiego San Cristóbal. I jak by to nie zabrzmiało, wpadł z deszczu pod rynnę...

Rozdział 2

Bogota, Kolumbia, sierpień 1996 roku

To nie był dobry wieczór.

Od samego rana diabeł nie dawał mu spokoju. Zabij, mówił, zabij, zarznij, wypatrosz, zdmuchnij kolejne życie i oddaj mi duszę, a ja dam ci rozkosz, jakiej jeszcze nigdy nie zaznałeś. Czy można poczuć jeszcze większą, zastanawiał się. Można, krzyczał diabeł! Udowodnię ci, tylko zrób to dziś, koniecznie dziś, zaraz, potrzebuję świeżej krwi!

A teraz się zamknął i udaje, że go nie ma...

Luis przekręcił głowę i z powrotem znieruchomiał. Syknął z bólu.

– Panienko Dolores! – wydusił, gdy zobaczył cień postawnej pielęgniarki na korytarzu. Chciał krzyknąć, lecz wówczas musiałby wysilić się bardziej, a każdy, nawet najdrobniejszy ruch czy delikatne spięcie mięśni karku albo szyi sprawiały mu cierpienie. Odczekał moment, gdy znów usłyszał kroki.

Panienka Dolores zajrzała do jego sali w momencie, gdy znów próbował wydać z siebie żalosny okrzyk. Podeszła do pacjenta i nachyliła się nad nim. Miała pulchne, ciemnobrązowe policzki i ogromne piersi, które wydawały się rozrywać opięty na klatce piersiowej kitel.

– Proszę się już tak nie wydzierać, panie Garavito – rzuciła, taksując wzrokiem aparaturę i zawieszoną na stojaku kroplówkę.

– Boli... – jęknął Luis.

– Nie dziwota, panie Garavito, nie dziwota. I jeszcze trochę poboli. I tak ma pan szczęście, że pan żyje. Inaczej by pan upadł, to strzeliłaby nie noga, tylko kręgosłup. Ale przynajmniej wtedy by nie bolało... – Rzuciła mu szelmowskie spojrzenie, ale Luisowi absolutnie nie było do śmiechu. Nie widząc reakcji, jakiej by oczekiwała, machnęła długimi na dwa centymetry pazurami i uzupełniła pojemnik, dolewając witamin i środka przeciwbólowego. – Widzi pan tamtego pacjenta? – szepnęła, kierując wzrok w róg sali. – Jemu połamali i nogi, i ręce, a nie skrzeczy jak baba – dodała, unosząc jedną z drapieżnie wymodelowanych brwi.

Garavito przełknął ślinę. Dolores wydawała się miłą kobietą, ale czasem nie był w stanie zrozumieć jej poczucia humoru, bo zachowywała się co najmniej dziwnie, a na pewno niejednoznacznie, w zależności od dnia. O poranku do rany przyłożył, po południu wbijała szpilkę, a wieczorem sypała żartami, by następnego dnia nie odezwać się słowem; do tego często odwracała kolejność, przez co nigdy nie można było mieć pewności, w jakim akurat znajduje się nastroju.

Na wszelki wypadek postanowił nie odpowiadać, kiwnął jedynie głową, gdy strosząc brwi, uniosła butelkę z wodą. Odkręciła zakrętkę, włożyła do środka słomkę, a drugi koniec wsunęła mu do ust. Pociągnął kilka łyków, próbując nie patrzeć jej w oczy, bo miał dziwne wrażenie, że mogłaby z nich wyczytać prawdę o tym, kim jest i co robi tym wszystkim dzieciom – niczym wiedźma. W jednej ze swoich książek o magii czytał, że ciemnoskóre kobiety zamieszkujące okolice północnego wybrzeża są w tym całkiem dobre. Potrafią przewidywać przyszłość, wyczuwają złą energię

i chyba dlatego tkwiący w nim diabeł nie dawał oznak życia. Może wyczuwał niebezpieczeństwo?

Pielęgniarka w końcu odstawiła naczynie i rzuciwszy mu trudne do rozszyfrowania spojrzenie, skupiła się na innym pacjencie. Garavito postanowił nie kusić losu i nie powiódł za nią wzrokiem, zamiast tego zamknął powieki i niechętnie wrócił myślami do sytuacji sprzed trzech dni. Przed oczami wciąż miał widok błyskającego przy policzku ostrza i tych trzech pijanych gnojków, którzy – gdyby nie zdecydował się na ucieczkę – zapewne urządziliby go dużo gorzej.

Tamten czwartek naprawdę był kiepski. Wszystko szło nie tak, jak powinno. Właściciel pogonił go z rudery, w której nocował, pieniędzy nie miał, tyle co na arepę, fajki i butelkę La Corte, a do tego diabeł kusił go od samego rana. W końcu – trochę wbrew sobie – założył habit i późnym popołudniem ruszył na polowanie, co z tego, gdy nie miał nic, czym mógłby skusić potencjalną ofiarę. Cukierki mu się skończyły, kupić ich nie miał za co, a żaden szanujący się ulicznik nie uwierzyłby mu na słowo, gdyby ten oferował mu pracę, nie pokazując wcześniej gotówki. Łowy zamieniły się w walkę o przetrwanie, gdy kolejny z nagabywanych poskarżył się wujkowi mającemu po drugiej stronie ulicy sklep z częściami samochodowymi. Luis sam nie wiedział, dlaczego zachował się tak lekkomyślnie. To znaczy w sumie wiedział, bo to była wina tej istoty, tej mrocznej siły, która pchała go do mordowania, kierowała nim, zdominowała go – istoty, wobec której zdawał się bezwolny niczym wykopany z grobu zombie. W tamten czwartek gniezdzący się w nim demon był wyjątkowo żądny krwi i zdawał się nie zważać na kolejne niepowodzenia. Zabij, krzyczał mu do ucha, a jego głos wybrzmiewał w niemal każdej komórce ciała nosiciela. Zadawał mu tym niemal fizyczny ból i Luis popełniał błąd

za błędem. Najpierw dwóch chłopców przed nim uciekło, kolejny wdał się w rozmowę, ale – jakby podejrzewając, że rozmówca ma wobec niego nieszczerze intencje – szybko się z niej wycofał, a jeszcze inny, chudy jak szkapa nastolatek sprzedający na ulicy losy na loterię, nawet go opluł. W pewnym momencie Luis chciał nawet zagadnąć grzebiącą w ziemi przy jednej z ławek kilkuletnią dziewczynkę, ale czuwała nad nim opatrność i tego nie zrobił, bo gdy już ruszył w jej stronę, nagle podbiegła do niej matka, która nie patyczkowała się ze swoją pociechą ani trochę i nie bacząc na płacz córki, na środku chodnika złoila jej skórę, czym pewnie uratowała jej życie, choć nigdy nie miała się o tym dowiedzieć. Nawet ta sytuacja nie dała jednak diabłu do myślenia, tak że powtarzał jak mantrę: zabij, zabij, zabij, dam ci rozkosz, jakiej jeszcze nie zaznałeś, tylko znajdź jakiegoś pieprzonego dzieciaka i wypruj z niego wszystkie flaki!

Gdy w akcie desperacji zagadnął reperującego rower dwunastolatka, a ten najpierw kazał mu spierdalać, a następnie poskarżył się wujkowi, sytuacja zrobiła się nie do pozazdroszczenia, bo wujek najpierw krzyknął coś w jego stronę, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, żwawym krokiem ruszył w jego kierunku. Luis przestraszył się nie na żarty, bo z ust mężczyzny wylewały się bluzgi i groźby, mało tego, facet wyraźnie nawiązywał do ostatnich zaginięć i odnajdywanych w okolicy ciał zamordowanych chłopców. Nie mógł wiedzieć, że to on jest sprawcą, mimo to zachowywał się tak, jakby co najmniej go o to podejrzewał. I tym razem Luisowi dopisało szczęście, bo uratował go sznur nadjeżdżających samochodów, który nagle wyrósł przed zbliżającym się mężczyzną i zanim ten w końcu przeszedł na drugą stronę ulicy, Garavito zdołał się już oddalić.

Po raz pierwszy od roku poczuł prawdziwy strach, dlatego, aby nie kusić losu, postanowił zniknąć z zatłoczonych uliczek, bo

w takich miejscach jak Guacamayas wieści czy plotki roznosiły się lotem błyskawicy i wystarczył cień podejrzenia, aby miejscowi chwycili za pałki, widły i maczety. Instynktownie skierował się więc na wschód, w stronę najbiedniejszego obszaru tej części miasta, pofałdowanego, niewyasyfaltowanego, nieoświetlonego, z tysiącami stromych, krętych, zarośniętych gęstymi krzakami zwirowych uliczek, zwykle o tej porze cichszego i spokojniejszego, gdzie człowiek w habicie zawsze był traktowany z większym szacunkiem i mógł liczyć raczej na dobre słowo niżli niechętnie spojrzenia. Wiedział, że aby wrócić do mieszkania, będzie musiał nadłożyć drogi, ale na szczęście w kieszeni wciąż miał pół butelki La Corte, dlatego gdy w końcu przysiadł pod drzewem, aby złapać oddech, wyciągnął brandy i zapalił papierosa. Szybszy obieg krwi błyskawicznie rozprowadził w żyłach alkohol i już po kilku minutach zakręciło mu się w głowie, ale gdy zza płotu nieodległej posesji wybrzmiało wściekłe ujadanie psa, przed oczami natychmiast stanął mu widok argentyńskiego doga wgryzającego się w krocze tamtego nieszczęśnika z Pereiry. Zerwał się na równe nogi tak niefortunnie, że stracił z kamienia butelkę z resztką brandy, ta zaś potoczyła się stromą ścieżką i spadła z niewielkiego urwiska.

Zaklął jak szewc. Gdzieś w dole rozległ się brzęk pękającego szkła. Puścił kolejną wiązanekę i już miał ruszyć w dół ścieżki, gdy pojął, że jego tok rozumowania wcale nie musi być dobry, a człowiek w habicie niekoniecznie jest w tych rejonach całkiem bezpieczny. Nietrudno było sobie wyobrazić, że nawet jeśli opiekun tamtego chłopaka ostatecznie odpuścił, to niewykluczone, że nagadał innym o księdzu nagabującym dzieci, takie zaś słowa w obecnej sytuacji, gdy odnajdowano coraz więcej zmasakrowanych ciał młodych chłopców, mogły znaleźć w straumatyzowanej społeczności posłuch i chęć odwetu. Ta kotłowanina myśli sprawiła, że do jego głowy

zaczęła wkładać się panika. Nerwowo zaczął się rozglądać, a gdy dostrzegł wyglądającego zza płotu mężczyznę, przykucnął, następnie zerwał z siebie habit i zmiąwszy go w dłoniach, upchnął go w gęstych zaroślach. Odczekał jeszcze chwilę, lecz każdy ludzki głos czy szczeknięcie psa wywoływały w nim nadal ataki lęku. W końcu zebrał się na odwagę, wstał i ruszył w dół ścieżki, ale pech chciał, że natknął się na trzech mężczyzn, którzy zdecydowanie wyglądali na takich, co szukają zaczepki, do tego bez wątpienia mocno nietrzeźwych, bo wzajemnie się podpierali, a jeden z nich wymiotował.

Garavito stanął jak wryty, bo nie miał jak ich wyminąć. Jeden z nich dostrzegł go w momencie, gdy pochopnie zrobił krok w tył. Przez chwilę przyglądał się Luisowi, mrużąc oczy, w końcu puścił najbardziej pijanego kompana i lekko się chwiejąc, zrobił kilka kroków w kierunku Luisa.

– A t-t-ty co t-t-tu robisz, *a-a-amigo*? – zapytał.

Garavito przełknął ślinę. Było za późno. Pomyślał, że gdyby po prostu minął ich pewnym krokiem, być może nawet nie zwróciliby na niego uwagi, niestety, popełnił błąd, doprowadzając do sytuacji, z której teraz trudno się było wywinąć. I nawet jeśli na pierwszy rzut oka nie wyglądali na bandytów, to tak naprawdę w tym rejonie miasta każdy, zwłaszcza wieczorową porą, mógł za takiego uchodzić, a tylko utwierdził się w tym przekonaniu, gdy w rękę mężczyzny błysnęło ostrze rzeźnickiego noża.

– Co się t-t-tak skradasz? Przyszedłeś k-k-kraść? – zapytał drugi, mały, krępy, łysy. – K-k-kto to, Gonzalo? Znasz t-t-tego chujka?

– Nie... A ty?

Drugi z mężczyzn zostawił wymiotującego kompana i zbliżył się do kolegi stojącego naprzeciwko Luisa.

– Ktoś ty? Co nic nie g-g-gadasz? Co tu r-r-robisz?

– Z-z-złodziejom ucina się ł-ł-łapy...

– Albo j-j-jaja...

Mężczyźni wybuchli śmiechem, ale zakładanie, że to tylko pijackie gadanie, w takiej dzielnicy jak Guacamayas byłoby co najmniej nierozsądne. Garavito wielokrotnie widział ofiary takich utarczek. Czasem wszyscy wychodzili z tego bez szwanku, częściej jednak bez palców, oka, a nawet przyrodzenia. Nie chciał ryzykować, więc nie widząc innego wyjścia, zerwał się do biegu i uniknąwszy ostrza, którym zamachnął się napastnik stojący najbliżej, ruszył przed siebie na złamanie karku.

Przebiegł kilkadziesiąt metrów, nie oglądając się przez ramię. Słyszał krzyki i obelgi rzucane pod swoim adresem, ale napędzała go adrenalina. Przeskoczył przez jeden płot, w drugim przecisnął się przez dziurę, potem znów trochę podbiegł, skręcił w boczną, zachwaszczoną uliczkę. Wiszący nad Bogotą księżyc oświeślał mu drogę, rysując przed oczami ostre krawędzie mijanych chałup, murków, kup gruzu czy wszędobylskich śmieci, ale to było za mało, bo okulary mu zaparowały, do tego te nerwy. W pewnym momencie stopa po prostu nie napotkała podłoża i jakaś siła raptownie pociągnęła go w dół. Ostatnie, co zarejestrował, to trzask pękających kości i wściekłe ujadanie psów. Potem zrobiło się całkiem ciemno, a on obudził się w szpitalu.

Diabeł zniknął, jakby go nigdy nie było.

Spojrzał na uniesioną na wysięgniku nogę. Była zagipsowana i bolała jak cholera. Do tego ten utrudniający ruchy kołnierz. Przez chwilę wpatrywał się pustym spojrzeniem w popękany szpitalny sufit, rozmyślając, co też przyniesie przyszłość. Co ona mogła mu przynieść – no wiadomo, że nic dobrego, tylko samo zło, nie da rady pracować, być może nawet normalnie chodzić, bo lekarz prowadzący nie owijał w bawełnę i zakomunikował mu, że tak

skomplikowane złamanie, które nawet udało mu się jakoś poskładać, może mieć daleko idące skutki. Będzie kulał, to na pewno. Przyda się przy zebraniu, ale czy dalej będzie mógł robić to, co sprawiało mu największą rozkosz?

Nie myśl o tym zganił sam siebie. Zresztą może to i dobrze. Może w końcu uwolni się od tej podłej istoty, która przed laty zagnieździła się w jego trzewiach, zły do szpiku kości, nienasyconej, żarłocznej, łaknącej niewinnej krwi tych wszystkich aniołków. To ona go zmieniała w potwora i może właśnie odeszła, opuściła jego ciało raz na zawsze, tchórzliwie umknęła, gdy leżał nieprzytomny na zagraconym podwórku jednej z posesji w Guacamayas, gdzie jakaś starsza kobieta opatrzyła go, a następnie wezwała karetkę. Czy zrobiłaby to, wiedząc, kim jest i co ma na sumieniu, to raczej pytanie retoryczne, prędzej by go dobiła albo zawołała swojego chłopca, syna, jego kuzynów, którzy pewnie też święci nie byli. Oni wyjęliby mu oczy, obcięli język, urznąli przyrodzenie, a następnie głowę – tępym scyzorykiem, aby nie poszło tak bezboleśnie i szybko – potem nabili ją na kij od szczotki i paradowali z nią po dzielnicy przy cichym przyzwoleniu policji, która w końcu może by zareagowała, gdy tym widokiem nacieszyliby się wszyscy, jego szkaradnym łbem z szeroko otwartą gębą i zwisającymi z szyi strzępami mięśni, ścięgien i poszarpanej skóry.

Może to i dobrze, że diabeł stchórzył i już go nie ma, jeśli go nie ma, bo przecież wciąż może w nim być i czekać, aż Luis wyzdrowieje.

Te wszystkie rozmyślania przygniotły go jak lawina błotna, co cuchnęła nie lepiej niż gówno, a on się w tym wszystkim taplał przez następne dwa dni i dwie noce. W środę w końcu podniósł się z łóżka i poszedł zadzwonić do jedynej osoby, która mogła mu pomóc, choćby ze względu na stare czasy.

- Luz Mary? – zapytał drżącym głosem.
- Luis Alfredo? Jestem...
- Poczekaj proszę. Miałem wypadek. Ledwo uszedłem z życiem. Potrzebuję pomocy i...
- Mój Boże, co się stało?

Luis opowiedział starej przyjaciółce, co mu się przydarzyło, oczywiście pomijając sprawy, o których słyszeć nie powinna, inne zaś nieco wyolbrzymiając, zwłaszcza swój ból i swoje cierpienie. Trzy tygodnie później stanął o kulach pod jej domem, ona zaś go przyjęła, a razem z nim diabła, który wciąż w nim siedział, skryty, czekający na odpowiedni moment, aby znów zacząć ryc pazurami i szczyrzyć kły.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

W Guacamayas nie byliśmy, i to nie przez wzgląd na bezpieczeństwo, ale dlatego – przyznaję otwarcie – że wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak to istotna lokalizacja. Umknęło mi to, choć myślałem, że do wyjazdu jestem przygotowany. Później oczywiście sprawdziłem to miejsce w sieci i jak się okazało, krążyliśmy z Davidem całkiem niedaleko, bo Guacamayas sąsiaduje z La Victoria, obie zaś są częścią ogromnej dzielnicy San Cristóbal. Nie wiem, czybyśmy tam pojechali, gdybym o to poprosił, bo rzeczywiście jest to jeden z najbiedniejszych rejonów miasta, położony na wzgórzach, z wąskimi uliczkami, których część do tej pory nie jest wyasfaltowana, a wiele z nich to tak naprawdę ścieżki wydrążone w skałach porośniętych dzikimi chaszczami.

W każdym razie Garavito właśnie w Guacamayas uległ poważnemu wypadkowi, którego skutki w późniejszym okresie przyczyniły się do pochwycenia go przez organy ścigania. Podobno pewnego wieczoru został zaczepiony przez grupkę mężczyzn,

którzy chcieli go okraść, i podczas ucieczki spadł z niewielkiego urwiska, czego skutkiem było skomplikowane złamanie prawej nogi, kości piszczelowej i strzałkowej, nigdy do końca niezaleczone, przez co Garavito kuleje do dziś. W szpitalu San Blas, gdzie został zoperowany, spędził dwadzieścia pięć dni, a po wyjściu przez jakiś czas tułał się po Bogocie. O tym okresie tak naprawdę nic nie wiadomo, bo jak twierdził sam Garavito, prawie nic z tamtego czasu nie pamięta, poza tym, że był w dużym dołku, nie pracował i utrzymywał się głównie z żebrania pod kościołami (co innego powiedział Luz Mary). Nie był również w stanie odpowiedzieć, czy zabijał, gdyż po pierwsze, chodził o kulach, a po drugie, znajdował się w niekończącym się ciągu alkoholowym.

Do Luz Mary odezwał się pod koniec października, prosząc ją o pomoc. Podobno był zdruzgotany i stara przyjaciółka, choć niechętnie, przyjęła go do siebie. W wywiadzie, którego udzieliła krótko po jego aresztowaniu, mówiła tak:

– Zadzwoił do mnie z Bogoty i zapytał, czy nie mogłabym go przez kilka tygodni przenocować. Twierdził, że miał wypadek, złamał nogę i jest w bardzo trudnej sytuacji materialnej i mieszkaniowej. Naprawdę zrobiło mi się go żal i powiedziałam mu, choć mocno się wahałam, żeby wrócił. Przyjechał o kulach, z kołnierzem ortopedycznym na szyi i gipsem na nodze. Gdy go zapytałam, co robił po wyjściu ze szpitala, powiedział, że pomieszkiwał z jakimś mężczyzną, z którym sprzedawali na ulicach owoce.

Garavito mieszkał u Luz Mary około dwóch miesięcy. Z jej synem dogadywał się średnio, ale podobno ograniczył picie alkoholu i starał się przynosić do domu pieniądze, głównie z otrzymywanej na ulicach jałmużny. Nie ma żadnych dowodów, że w tym okresie zabijał. Natura bestii dała jednak o sobie znać w święta Bożego Narodzenia. To wtedy doszło do olbrzymiej kłótni między nim a Luz Mary.

– Na Boże Narodzenie odwiedził nas przyjaciel rodziny – mówiła kobieta. – Ugościliśmy go, a on dał nam prezent. Alfredo bardzo się z tego powodu zdenerwował. Następnego dnia zadzwonił do mnie pijany i zwyzywał go od pedałów. Zagroził też,

że tak jemu, jak i mnie może się stać krzywda. Tego już było za wiele i powiedziałam, że to koniec i ma już nie wracać. Niestety, następnego dnia przyjechał i zrobił potworną awanturę. Wpadł do domu już o szóstej rano. Zachowywał się jak jakiś dziki zwierz. Mówił do mnie: „Suko jebana, nie wiesz, z kim zadarłaś”. Przeraziłam się nie na żarty i ukryłam się z rodziną u sąsiadki. Wróciłam, dopiero gdy upewniłam się, że wyszedł. Na stole zostawił mi kartkę, na której napisał, że bardzo za wszystko przeprasza i prosi mnie o wybaczenie. Nie dałam się jednak nabrać i już nigdy więcej nie wpuściłam go do domu. Do tej pory nie mogę przestać myśleć, jak to możliwe, że miałam w domu psychopatę, potwora, który narażał nas wszystkich na takie niebezpieczeństwo. Przecież mógł nas wszystkich zabić. Miałam w domu najgorszego mordercę na świecie.

Kontuzja, jakiej nabawił się Garavito, w późniejszym czasie stała się jednym z mocnych tropów dla organów ścigania. Przez ponad rok morderca krążył po Kolumbii od miasta do miasta, głównie żebrząc i coraz bardziej zatracając się w chorobie alkoholowej. Nie wiadomo, ile dzieci zabił, ale szacuje się, że ofiar mogło być nawet pięćdziesiąt, głównie dlatego, że w morderczym szale potrafił zabijać nawet dwóch, trzech chłopców dziennie. Pomimo to policja wciąż nie była w stanie go namierzyć, bo bardzo często zmieniał miejsce pobytu, a w latach dziewięćdziesiątych, o czym już wspominałem, system nie był jeszcze scentralizowany, w związku z czym – nawet gdy napotymano zmasakrowane ciała – nie wiążano ze sobą poszczególnych przestępstw, zakładając, że to sprawy lokalnych psychopatów. Wszystko zmieniło się w listopadzie 1998 roku, gdy w Pereirze natknięto się na masowe groby, w których odnaleziono szczątki trzydziestu sześciu ofiar. Ale zanim do tego doszło, Garavito o mało nie wpadł w ręce organów ścigania w... swojej rodzinnej wsi – Génovie.

Rozdział 3

Génova, Kolumbia, czerwiec 1998 roku

Jorge Díaz siedział pod parasolem, pił piwo i czytał gazetę. Dochodziło południe, temperatura oscylowała w okolicach trzydziestu stopni Celsjusza, w Parque Simón Bolívar harcowały dzieciaki. Lubił tu przesiadywać, miał swój stolik, który zawsze na niego czekał, a jeśli był zajęty, to i tak zaraz się zwalniał, bo każdy wiedział, że to miejsce bohatera, przelewającego niegdyś krew za matki, ojców i dzieci, które być może by tu nie dokazywały, gdyby nie Jorge. Jeśli ktoś tego nie wiedział, to właściciel baru, pan Burruchaga, który przed laty walczył w podziemiu z juntą wojskową dręczącą Argentynę, a potem przyjechał do Kolumbii i ożenił się z jedną z miejscowych dziewczyn, Camilą Toro, grzecznie prosił o ustąpienie miejsca i to zwykle wystarczyło. Kilka razy klienci oponowali, bo chodziło o przyjezdnych, a do tego pijanych i nieznających jakiegoś tam Jorge, ale jeszcze żaden wojny z panem Burruchagą nie wygrał, bo był to mężczyzna silny, a krzepę miał w ramionach taką, że i po cztery skrzynki rumu naraz do magazynu wziąć potrafił albo samochód unieść, jak kiedyś, gdy jeden przygniótł młodego Wilmara Uribe, syna Rafaela Uribe, *campesino* z dziada pradziada, gdy jego syn coś grzebał w silniku i podnośnik się zepsuł. Pan Burruchaga serwował też najlepsze steki, które kilka razy do roku sprowadzał ze swojej ojczyzny, a czasem również wino,

choć w Génovie rzadko kto je pił, co najwyżej młodzież, która posmakowała nowoczesnego świata i chciała tę nowoczesność przenieść na prowincję, gdzie wciąż rządziło piwo i rum, a najlepiej własnoręcznie pędzony bimber.

Jorge lubił najbardziej właśnie piwo, które pan Burruchaga też wytwarzał własnym sumptem, mocne jak sam diabeł, nie na wszystkie gardła, bo mówiło się, że to taki napój, który się kocha albo się go nienawidzi. Może i było w tym trochę przesady, tak przynajmniej myślał Jorge, który rzadko używał wielkich słów, nauczony, że znaczą one tyle, ile w danej chwili człowiek jest w stanie z nich obronić – i nawet jeśli, mówiąc o piwie, można było sobie na nie pozwolić, to niekoniecznie w dżungli, oko w oko z wrogiem, zwłaszcza zaś w niewoli, gdy ten wróg ostrzy maczety przeznaczone dla schwytanych, aby rozwiązać im języki.

Jorge poprawił rozchełstaną koszulę, zza której lypały szerokie blizny, pozostałość po jednym z takich przesłuchań. Odruchowo podrapał kikut prawej ręki, którą urznięto mu w siedemdziesiątym drugim na wysokości łokcia, gdy wojska rządowe dopadły ich w Tolimie, a potem przez całą noc rąbały, jak się rąbie kuraki na obiad albo na kolację, ręce, nogi, głowy też. Różnica tu tylko taka, że kurak bez głowy jeszcze pobiega, a człowiek już nie, po prostu pada, krew tryska, a wraz z nią wychodzi z niego dusza i leci gdzieś tam do nieba albo idzie do piekła, choć on w to tak naprawdę nie wierzył –

dla niego Bóg nie istniał i chodził do kościoła tylko dlatego, aby ksiądz mu nie marudził i synowie nie byli w szkole wytykani palcami. Przechylił kufel i wypił go do dna, a potem kikutem skinął, aby pan Burruchaga nalał jeszcze jeden, wtedy do stolika obok dosiadło się dwóch mężczyzn, z których jeden miał dziwnie znajomą twarz, choć Jorge nie kojarzył, aby facet tu mieszkał. Drugiego znał, owszem, nazywał się Ernest Ramírez, może kilka razy pogadali, ale

tak na siłę, bo prosty był z niego chłop, choć trzeba dodać, że w sumie uczciwy, gdyż na rodzinę pracował i niczego im nie brakowało, przynajmniej jak na warunki takiej wsi jak Génova, gdzie bieda aż piszcziała, a psy dupami szczekały. Tajemnicą pozostawało, dlaczego w piątek nie jest w robocie – może dogadał się z szefem i wziął sobie wolne. W sumie Jorge uznał, że to nie jego sprawa, i wrócił do czytania gazety. Tymczasem nowo przybyli zamówili piwo, zapalili papierosy i zaczęli gadać o polityce. Nie chciał ich słuchać, tyle że ich słowa same wpadały mu do uszu, a pieprzyli takie bzdury, że aż te uszy wiedły. Jorge jednak nie reagował – był już za stary, aby wchodzić w takie dysputy; poza tym jak na jego oko od razu było widać, że ani jeden, ani drugi nigdy w ręku broni nie trzymał, a jeśli trzymał, to co najwyżej maczetę, którą ciął trzcinę cukrową, albo bydlęcy nóż, którym rżnął gardło krowie. I tu zasłużony bojownik się mylił. Prawda była zgoła inna – jeden z nich maczetę trzymał w dłoni nie raz, ale rżnął nią nie tylko trzcinę cukrową, lecz również małych chłopców: obcinał im ręce i nogi, ściągał z nich skórę, wydłubywał im oczy i razem z genitaliami wpychał do ust jeszcze za życia, gwałcąc ich przy tym w krwawiące otwory; potem zostawiał gdzieś ich truchła, aby tam gniły i aby jadły je robaki. Tego jednak nie dało się po nim poznać, bo gdyby było inaczej, to Jorge już teraz wyszarpnąłby z pochwy swój żołnierski majcher i otworzył mu gardło, a potem wyjął język i zawiązał kolumbijski krawat.

– Pastrana.

– Serpa.

– Pastrana!

– Ni chuja, prezydentem będzie Serpa! Możemy się założyć!

Mężczyźni licytowali się, jakby to miało jakieś znaczenie, a przecież nie miało. Ktokolwiek stanie na czele państwa, to i tak

niczego nie zmieni, co najwyżej gdzieś tam na prowincji poleje się więcej krwi. Jorge nie mógł się skupić na lekturze, intrygował go mężczyzna w dżinsach, noszący przepoconą koszulę w kratę, z lichą brodą, w okularach, o przetłuszczonych włosach na jajowatej głowie, wyraźnie kulejący – miał wciąż wrażenie, że skądś go zna, ale nie był w stanie przyporządkować go do niczego i zaczęło go to trochę drażnić, bo lubił wiedzieć, z kim ma do czynienia i kto bawi w jego wsi. Mimo ciekawości postanowił trzymać się z boku; wtrącał się w cokolwiek jedynie w ostateczności, bo charakter miał taki, że stronił od ludzi, zwykle wystarczało mu jego własne towarzystwo.

– Dziesięć tysięcy pesos – rzucił ten, którego na pewno znał, choć i tak wolał pić piwo sam niż w jego towarzystwie.

– Dziesięć tysięcy i butelka La Corte – licytował ten drugi, którego chyba znał, choć głowy nie dałby sobie za to uciąć.

– Dziesięć tysięcy i trzy butelki La Corte.

– Stoi!

Zakład został przypieczętowany podaniem sobie dłoni, stuknęły kufle, a potem mężczyźni zaczęli się dalej kłócić, tym razem gadali o piłce nożnej, a dokładnie o ostatnim meczu Kolumbii, która cztery dni wcześniej po kiepskim spotkaniu przegrała z Rumunią zero do jednego w pierwszym meczu mistrzostw świata odbywających się we Francji i nic nie wskazywało, aby miała szanse na awans z grupy, bo czekały ją jeszcze pojedynki z Tunezją i Anglią, i nawet gdyby zdobyła trzy punkty z Tunezją, to z trzema punktami chyba nigdy nikt z grupy nie wyszedł. Piłką żyła teraz cała Kolumbia, piłką i wyborami, więc krew lała się już gdzieś na pewno. I z tą ponurą myślą Jorge dopił piwo, zostawił na stole kwotę z całkiem sutym napiwkiem, a potem jeszcze raz rzucił okiem na szczupłego mężczyznę w okularach, po czym założył na głowę kapelusz, wcisnął

gazetę pod pachę i skinąwszy głową panu Burruchadze, wstał i wyszedł z knajpy.

Udał się prosto do domu, gdzie czekała na niego żona i dwójka maluchów: William i María, gdyż starszy syn Andrés uczył się w szkole, a pierworodny, po ojcu Jorge, dorabiał na zboczach, zbierając kawę, jako że chciał zarobić na wyjazd do stolicy. Jorge senior, w przeciwieństwie do własnego ojca, José Antonio, nie wyrażał sprzeciwu. Wciąż miał w pamięci prawdy życiowe starego, z którymi do tej pory by dyskutował. Bo i co ojcu przyszło z tego przywiązania do ziemi génoviańskiej? – dokładnie nic. Został przez żołnierzy porąbany maczetami jak kurak, razem z dziećmi i ich matką, tylko mały Jorge, który akurat siedział w wychodku, miał szczęście tę masakrę przeżyć.

Żona właśnie kończyła wieszać pranie. Jorge przez dłuższą chwilę przyglądał się, jak to robi, od czasu do czasu wycierała wierzchem dłoni pot z czoła, a potem sięgała do kosza po kolejną koszulę, podśpiewując albo strofując ganiającą kury Marię, i tak w kółko. Kochał ją i wszystkie swoje dzieci – głęboko wierzył, że już nigdy nie będzie musiał robić tego, co robił przed laty. Czasy zrobiły się trochę spokojniejsze, działania FARC przeniosły się w inne rejony kraju, a w takich małych wioskach jak Génova kartele narkotykowe nie miały czego szukać, bo tu na taki towar zbytu nie było, a hodowanie koki też wydawało się bez sensu, jako że Kolumbia była wielka i dogodniejsze tereny pod uprawy można było znaleźć tam, gdzie nie ma żadnych dróg ani miast czy wsi i gdzie ręce władzy nie sięgają. Samego Manuela Marulandę, dziś człowieka legendę, widział po odejściu z *guerillas* tylko raz, wtedy pan Marín, bo pod tym nazwiskiem wolał go pamiętać, podziękował mu za poświęcenie i oficjalnie zwolnił ze służby, jednocześnie ogłaszając, że Jorge jest zasłużonym weteranem, bohaterem i wszyscy w Génovie mają go tak

traktować. Bo choć spalono mu na plecach i klatce piersiowej całe płaty skóry, a do tego urżnięto prawą dłoń, porucznik Jorge Díaz nie zdradził kompanów i milczał jak grób – za to należy mu się szacunek na wieki. Na odchodne dostał jeszcze solidną wypłatę. A jako że ziarenek kawy jedną dłonią zbierać nie szło – tak przynajmniej uważali pracodawcy, co w sumie wydawało się zrozumiałe, bo byłby o połowę mniej produktywny niż inni *campesinos* – dlatego za otrzymane pieniądze kupił kury, krowy, muły i jakoś zaczął żyć na swoim, może nie w luksusach, ale też niczego mu nie brakowało. Wkrótce się ożenił, potem porodziły się dzieci – słowem: zaczął wieść spokojny żywot i nawet do tego swędzącego kikuta się przyzwyczaił, choć z początku było mu trudno.

– Andrés jeszcze w szkole? – zapytał żonę, wcześniej wzięwszy czteroletnią córkę na ręce. Trochę się wyrywała, więc przytknął usta do jej brzuszka i porobił pierdziochy, które tak uwielbiała, potem zaś spuścił ją z powrotem na ziemię, by dalej ganiała kury.

– A co...? – odparła María Ana, lekko potrząsnąwszy przy tym biodrami.

Jorge stanął za żoną i położywszy rękę na jej lekko już zaokrąglonym brzuchu, pocałował ją w kark. Kolejne dziecko było w drodze, ale to dla mężczyzny oznaczało radość, nie smutek. W dodatku teraz było mu w sumie wszystko jedno, czy to będzie syn, czy córka, bo synów miał już trzech, córkę tylko jedną, najważniejsze, że wszystkie dzieciaki były zdrowe.

– María może ganiać te kury jeszcze godzinami i nawet nie zauważy, gdy wymkniemy się i... – zasugerował, przygryzając lekko małżowinę uszną żony.

– Mmm... – mruknęła María, a potem chwyciła męża za lewą dłoń i na palcach poszli do chałupy, bo pranie mogło poczekać.

- Jak się nazywacie?
- Noe Gabriel.
- A ja Luis Gonzalo.
- A na mnie wołają Carlos Andrés.
- Macie świetne imiona, chłopaki. To jak, pomożecie mi z tymi krowami?

Chłopcy jednogłośnie przytaknęli i nie szczędząc uśmiechów, przybili sobie piątki. Taki zarobek w Génovie zdarzał się rzadko, a ten mężczyzna nie dość, że był swój, to jeszcze oferował im po dwa tysiące pesos na głowę.

Luis Garavito uśmiechnął się pod wąsem i przebiegł wzrokiem wzdłuż ulicy, gdzie w prześwicie, hen, nad szczytami okolicznych wzgórz, słońce powoli kryło się za widocznym horyzontem. Chwycił swoją torbę, w której znajdowały się już sznur, lubrykant i nóż.

– No to chodźcie, bo niedługo robi się ciemno – powiedział i chwilę później cała czwórka opuściła Parque Simón Bolívar, minęła kościół, kilka zabudowań i ruszyła krętą leśną ścieżką w górę zbocza.

* * *

Poranek był rześki, a powietrze tak przejrzyste, że Jorge mógł dostrzec, jak nawet na odległych wzgórzach zbieracze kawy uwijają się niczym w ukropie. Przypominali mu armię mrówek krążących utartymi ścieżkami w dół, w górę i w poprzek zboczy – w sumie niewiele więcej dało się na ten temat powiedzieć, bo takie było to ich życie, a od mrówek może różniło ich tylko to, że wieczorami siadali, by popijać piwo i bimber, a potem tańczyli i kotłowali się w łózkach ze swoimi drugimi połówkami, chociaż mrówki też pewnie jakoś to robiły, choć on nigdy nie dowiedział się, jak to u tych malutkich stworzeń wygląda. Parsknął na myśl o spółkujących mrówkach, bo to przecież idiotyczne, że takie pomysły przychodzą człowiekowi do

głowy, i z powrotem zaczął doić krowę. Jedną dłonią szło mu powoli, ale lubił to robić, to go uspokajało. Często wtedy zastanawiał się nad rzeczami, które później wydawały mu się głupie, takimi jak te spółkujące mrówki, ale czasem myślał też o sprawach istotnych, jak to, czy aby na pewno powinien puszczać pierworodnego do stolicy samego, i wtedy natchodziły go wątpliwości, choć nie miał zamiaru mu tego kategorycznie zabraniać. W końcu wytar mosiężną wymioną tą swoją jedną dłonią tak, że mleko przestało już lecieć, wtedy poklepał zwierzę po cielsku, krowa zamuczała radośnie, a Jorge postanowił zrobić sobie krótką przerwę, bo następna już czekała na swoją kolej.

Wyciągnął papierosa i zapaliwszy, dalej rozmyślał o tym i owym, gdy za płotem dostrzegł biegnącego syna. Andrés nie miał dziś szkoły, mimo to wyszedł z domu rano, żeby bawić się z kolegami; w podobnych wypadkach rzadko wracał tak szybko, więc Jorge trochę się zaniepokoił, bo takie zachowanie było raczej dziwne. Usłyszał trzask drzwi chałupy, a potem zobaczył, że chłopak wyskoczył z niej od strony podwórza, podekscytowany, spocony, zdyszany.

– Co cię tak nosi? – zapytał Jorge, wypuszczając dym, który chwilę później porwał podmuch wiatru.

– Nie ma Noe, Luisa i Carlosa – wydyszał syn, na jego twarzy malowała się cała gama emocji, które tylko ten niepokój wzmogły.

– Jak to nie ma? – zapytał, marszcząc brwi.

– Nie ma, nie ma ich. Mama Noe chodzi i płacze i mama Luisa też. Chodzą od domu do domu, szukają wszędzie.

– Powoli, synu. – Jorge wstał, krowa zamuczała, ale już jej nie poklepał, tylko wciągnął dym w płuca i położył dłoń na ramieniu syna. – Co dokładnie się stało? Twoi koledzy zaginęli?

– Nie wiadomo, chyba tak, nikt nic nie wie. To znaczy sąsiedzi nie, ale ktoś widział, że szli do lasu z obcym.

– Jakim obcym?

– Nie wiadomo. Tato, pomożemy ich szukać?

Jorge przeniósł wzrok na zabudowania, zmarszczył brwi, przez chwilę tak patrzył, próbując przyswoić sobie informacje syna. Poczuł ukłucie w sercu, które nie do końca zrozumiał, było dziwnie silne, niemal fizycznie bolesne – nie był pewien, czy jego umysł zafrasowała myśl o własnych dzieciach, czy o czymś innym; raczej o czymś innym, jakby zapomnianym, co siedziało mu gdzieś w głowie, ale nie potrafił wydobyć tego teraz na światło dzienne, tak głęboko było ukryte. Zaciągnął się po raz ostatni, wyrzucił peta i przydepnął go sandałem.

– Pójdziemy ich szukać, synu – powiedział i ruszyli razem do chałupy, a potem na ulicę, gdzie spotkali równie zafrasowanych sąsiadów i telepiące się z nerwów matki, z oczami, w których krył się lęk, a może i przerażenie.

Pod kościołem trwało zebranie, zgromadziło się tam kilka tuzinów ludzi, głównie kobiet, bo mężowie i kochankowie od dawna pracowali. Wśród obecnych byli ksiądz, posiadacz jedyne go we wsi hotelu i dwóch właścicieli barów, szefowa sklepu i mechanik, który reperował motory i samochody. Harmider panował straszny, ludzie krzyczeli i lamentowali, sąsiedzi oskarżali sąsiadów, a w pewnym momencie zrobiło się nerwowo, bo plotki żyły już własnym życiem. Trudno było się w tym wszystkim połapać i wydobyć jakiś sens z tych wrzasków. W końcu głos zabrał Jorge, bo jako dawny bojownik był szanowany i miał posłuch we wsi jak mało kto. W ciągu następnego kwadransa ustalił niepodważalne fakty i podzielił ludzi na małe grupy, następnie wyznaczył każdej z nich zadania i obszar, na którym miały prowadzić poszukiwania, po czym wspólnie z synem, panem Burruchagą i kilkunastoma innymi mieszkańcami ruszył w stronę opuszczonej części wsi, niezamieszkałej od czasów, gdy

wojska rządowe rżnęły ludzi jak popadnie – tam podobno po raz ostatni widziano trzynastoletniego Noe Gabriela oraz dziesięcioletnich Luisa Gonzala i Carlosa Andrésa. Idąc, wydawał kolejne polecenia, aby ludzie nie tłoczyli się w jednym miejscu, więc poszczególne grupki rozdzielały się i posuwały po zboczach. On sam z synem i panem Burruchagą ruszył jedną ze ścieżek i mniej więcej w połowie drogi przypomniał sobie to coś, co tak go uwierało, a nawet bolało gdzieś tam w środku, w samym sercu albo na dnie żołądka.

Wróciły myśli o małym Luisie Alfredo, o tym, co Jorge dawno temu widział na własne oczy, splamione krwią majtki chłopca i skórę pękającą na plecach po kolejnych razach wymierzanych mu bambusowym kijem przez ojca, ćpuna i alkoholika, którego kiedyś Jorge chciał zabić za to, co robił swojemu synowi. Może to była intuicja, a może wojskowe doświadczenie, trudno mu to przychodziło ocenić, ale jakoś tak ciągnęło go do tej rudery, obok której w gęstwinie stary Manuel Antonio Garavito prał swojego dzieciaka na jego oczach, a potem, gdy zobaczył Jorge, kazał mu wypierdalać.

Budynek był w ruinie, a okna miał zabite sztachetami. Jorge wiedziony złym przeczuciem nawet nie pytał, czy ktoś tu mieszka, tylko całym ciałem naparł na drzwi i je wyważył. Wszedł do środka – cuchnęło uryną i odchodami, a także czymś jeszcze, co Jorge znał aż za dobrze, to był zapach śmierci. W powietrzu unosił się kurz, doskonale widoczny w strumieniu światła słonecznego, które wdarło się razem z nim do niewielkiej izby, pod ścianami walały się śmieci, na ścianach i na podłodze straszyły rozbryzgi zaschniętej krwi i przypominające pieczęcie odciski zakrwawionych dłoni z rozczapierzonymi palcami albo smugi pozostawione przez te palce, akurat takie jak jego dziesięcioletniego syna.

– Najświętsza Panienko – szepnął pan Burruchaga i przeżegnał się, blokując wejście do rudery pozostałym poszukiwaczom, którzy się tu zgromadzili, w tym synowi Jorge, który za wszelką cenę chciał się przecisnąć pomiędzy jego biodrem a framugą.

– Pilnuj, żeby nikt tu nie wchodził. Na razie nic nie mów – rozkazał Jorge.

Burruchaga bez dyskusji wypełnił polecenie, choć nie dało się nie słyszeć westchnień i protestów zebranych. Tymczasem stary weteran zaczął dokładniej rozglądać się po pomieszczeniu i wtedy odkrył jeszcze rozbitą butelkę. Przyjrzał się etykietce – tania brandy La Corte. Od razu przypomniał sobie rozmowę dwóch mężczyzn w knajpie Burruchagi, lokalnego *campesino* Ernesta Ramíreza i tamtego, który mu się jakoś tam kojarzył, tak twarz, jak i głos, teraz już wiedział na pewno skąd – to był Luis Alfredo Garavito Cubillos, syn Manuela Antonio Garavito, którego kiedyś chciał zabić.

Rozglądał się po pomieszczeniu, walcząc z odruchem wymiotnym. Znalazł jeszcze trzy kawałki pokrwawionego sznura i dwie gazety z obscenicznymi zdjęciami, pornograficzne, też splamione krwią i jeszcze czymś, wołał nie wiedzieć czym. Ciało jednak nie było, więc istniała jakaś nadzieja, choć przecież nadzieja jest matką głupich, o czym nieraz się na wojennej ścieżce przekonał.

Wyszedł z rudery, próbując zachowywać się godnie, choć w żołądku czuł, jakby grasowało tam stado dzikich koni. Na wszelki wypadek upewnił się, że w grupie przybyłych nie ma matek ani ojców zaginionych chłopców, a potem rozkazał zebrany rozejść się po okolicznych zaroślach. Posłuch miał, więc nikt nie oponował, a przynajmniej nie na tyle głośno, aby stanowiło to jakiś problem. Ludzie ruszyli bez gadania w gąszcz, choć w tym miejscu zbocze opadało dość stromo i trzeba było uważać, żeby nie skrócić sobie kostki albo innej krzywdy nie zrobić. Poszukał wzrokiem Andrésa,

syna jednak nie dostrzegł, więc go zawołał, a ten odkrzyknął z głębi lasu i Jorge natychmiast ruszył w tamtym kierunku.

Syn przedzierał się przez zarośla, wyraźnie zaaferowany, jak chyba wszyscy, nie bacząc na gałęzie i liście, a potem nagle się zatrzymał, stał przez chwilę i zaczął wspinać się z powrotem, wyjąc. Roztrzęsiony wpadł w ramiona ojca, owinał drobne rączki wokół jego pasa, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Kilka metrów obok zaszeleściły liście i z gąszczu wysunęła się jakaś postać – jeden z poszukiwaczy spoglądał na nich z szeroko otwartymi oczami, w których kryła się groza, tak jakby czuł, że stało się najgorsze. Jorge też to czuł, a w zasadzie był tego pewien, dlatego delikatnie odsunął od siebie syna i poszedł w kierunku, z którego ten przybiegł. Zobaczył tam trzy małe nagie ciała, zgwałcone i splugawione, porzniete okrutnie nożem. Ten widok sprawił, że nie wytrzymał i zwymiotował.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

O wizycie w Génovie już pisałem, więc powtarzać się nie będę, ale powiem, że drugiego dnia pobytu wyruszyliśmy w górę wioski, wąską, krętą ścieżką z każdej strony otuloną dziką, tropikalną roślinnością. Kierowaliśmy się wskazówkami jednego z mieszkańców, starego kaleki (jego imienia niestety nie zapisałem), faceta, który wspominał o przejmujących krzykach, gdy przed wieloma laty ojciec Luisa Garavito pastwił się nad synem w tej opuszczonej części wsi. Namierzyliśmy rudere, gdzie działy się te wszystkie rzeczy, i zdołaliśmy dotrzeć do jednego ze świadków tamtych wydarzeń. Miał na imię Andrés i mieszkał w małym gospodarstwie zaledwie rzut kamieniem od miejsca, gdzie znaleziono zmasakrowane zwłoki Noe Gabriela, Luisa Gonzalo i Carlosa Andrésa. Nosily ślady strasznych tortur i to

właśnie mój rozmówca był jednym z pierwszych, którzy pojawili się na miejscu tej niewyobrażalnej kaźni.

– Znałem ich. Znaleźliśmy ich dokładnie tam. – Wskazał palcem dość strome zbocze, dziś już w dużej części wykarczowane.

– Widziałem ich ciała na własne oczy. Pamiętam, że były całe umazane we krwi, a przynajmniej jedno zostało poćwiartowane.

– Ile miałeś wtedy lat? – zapytałem.

– Osiem chyba, może dziewięć.

– Więc mogłeś znaleźć się na ich miejscu...

– Tak.

Andrés spuścił głowę i na chwilę zamilkliśmy. Z jednej strony to wydawało się niedorzeczne, z drugiej absolutnie przerażające. Zsunąłem się ze zbocza, dokładnie w miejsce, gdzie znaleziono ciała, ale mój rozmówca został na górze. Pamiętam, że przykucnąłem i chwyciłem garść brązowej ziemi, wtedy wezbrały we mnie niezwykle silne emocje. Rozlał się we mnie taki straszny gorąc od żołądka po niemal całym ciele – podobnie miałem chyba tylko w Oświęcimiu, gdy zobaczyłem tam stosy dziecięcych bucików.

Nawet nie wiem, jak długo tam siedziałem, ale w końcu z powrotem wspiąłem się na górę. Przemek Żmuda wykonał tymczasem kilka zdjęć, coś tam nakręcił, musieliśmy jednak zrobić kilka powtórek, bo emocje, jakie się we mnie kotłowały, były niezwykle silne i strasznie plątał mi się język. Potem porozmawialiśmy jeszcze trochę z Andrém, który był niewysokim, ale krzepkim facetem, takim typowym campesino, miał zaokrągloną buzię i – może tylko takie odniosłem wtedy wrażenie – wiecznie smutne spojrzenie. Pamiętam, że postaliśmy tam jeszcze jakiś czas, a to, co mnie uderzyło, to magia tego miejsca. Piękno otaczającego nas krajobrazu, widok na skąpaną w morzu zieleni Génovę, góry porośnięte uprawami kawy i szybujący wysoko nad nami majestatyczny kondor olbrzymi tak boleśnie kontrastowały z tym, co się tam kiedyś dokonało, że było to doznanie niemal fizycznie bolesne. Na koniec wręczyłem Andrésowi za fatywę dwadzieścia tysięcy kolumbijskich pesos

(odpowiednik niecałych dwudziestu złotych), które przyjął bez gadania, i wróciliśmy do wsi, aby krótko później wyruszyć w dalszą drogę śladami „Bestii”.

W tym rozdziale pozwoliłem sobie wrócić do stworzonej na potrzeby powieści postaci Jorge Díaza, którego synowi – oczywiście również postaci fikcyjnej – nadałem imię Andrés na cześć mojego rozmówcy, bo czysto teoretycznie byłiby wtedy w podobnym wieku. Cała reszta wydaje się prawdą, bo Garavito rzeczywiście przyjechał do Génovy w połowie czerwca pod pretekstem spotkania się ze starymi przyjaciółmi: wspomnianym w tekście Ernestem Ramírezem i jego żoną o imieniu Fany. Zamieszkał w gospodarstwie Las Mercedes, oddalonym od centrum wsi o około dwa kilometry, i to właśnie ta ścieżka w górę zbocza do niego prowadzi.

Rzeczywiście w tym czasie trwał mundial, był to także okres przedwyborczy – w szranki o fotel prezydenta stanęli wspomniani Andrés Pastrana Arango z Kolumbijskiej Partii Konserwatywnej oraz Horacio Serpa Uribe z Kolumbijskiej Partii Liberalnej. Zwyciężył ten pierwszy. Faktem jest, że w aktach sprawy znajduje się zeznanie świadka, który słyszał, jak Luis Garavito licytował się w knajpie z innym mężczyzną, a stawką prócz pieniędzy miało być kilka butelek jego ulubionej brandy La Corte. Podobno zdarzyło się to w sobotę, dzień przed głosowaniem, wtedy też doszło do potrójnego morderstwa chłopców, na których poszukiwania mieszkańcy wsi ruszyli w niedzielę rano. Andrés – ten prawdziwy – był wśród nich.

Osobą, która zasugerowała, że może to być robota Garavito, okazała się jedna z lokalnych właścielek sklepu, która rozpoznała w nim byłego mieszkańca wsi, a dzień wcześniej widziała go razem z trójką zamordowanych chłopców. Służby nie miały problemu z namierzeniem miejsca, w którym mieszkał, i już krótko potem policja wdarła się do wynajmowanego przezeń lokalu w gospodarstwie Las Mercedes. Niestety, nie zastała podejrzanego w domu, zamiast tego odkryto dowody, które mogły sugerować, że to właśnie on stoi za morderstwami: sutannę, sznur

*i cztery opróżnione butelki La Corte. Sam Garavito zdołał jednak
zbiec i odnalazł się w... Ekwadorze.*

Rozdział 4

Chone, Ekwador, lipiec 1998

Luis Garavito uniósł twarz ku niebu i rozłożył ręce jak ptak skrzydła, gdy zbiera się do lotu. Stał na skraju urwiska, zupełnie nagi, ubłocony i spryskany krwią, a u jego stóp, jak okiem sięgnąć, roztaczał się widok na Chone.

Przez myśl przeszła mu wyjątkowa bezecna myśl – że wygląda jak sam Jezus Chrystus, ten sprawujący pieczę nad słynnym Rio de Janeiro, miastem, w którym mógłby żyć i zabijać, w którym kiedyś pewnie stałby się naprawdę sławny, bo „Bestia z Rio” brzmi zupełnie inaczej niż „Bestia z Genuy” czy nawet „Bestia z Bogoty”, a tym bardziej z jakiegoś zapomnianego przez Boga Chone na zapyziałej ekwadorskiej prowincji. Usłyszał w głowie chichot diabła, a potem otworzył oczy i raz jeszcze ogarnął wzrokiem otulone chmurami miasto – zdawało się delikatnie pulsować niczym mrowisko, niby uśpione, ale jednak pełne życia. Wtedy znów poczuł ten impuls. Zabij, usłyszał. Już zabiłem, diabelski pomocie, odpowiedział na głos, poirytowany, ale istota w jego wnętrzu wciąż była głodna krwi, bardziej rozjuszona niż syta. On nie, on nie był głodny, on był usatysfakcjonowany, choć gdyby miał się nad tym głębiej zastanowić, to chyba jednak nie do końca tak było, przecież gdyby obok znalazł się kolejny aniołek, to nie czekałby ani chwili i z największą rozkoszą rozerwałby go na strzępy.

Spojrzał na zmasakrowane zwłoki. Leżały w niewielkim zagłębieniu, częściowo przykryte liśćmi palmowymi i gałęziami. Zbierająca się w środku woda powoli otulała ciało ofiary, skurczone, z podkulonymi do piersi nogami i główką bez oczu, z pociętymi policzkami, wygryzionymi wargami, które – miał wrażenie – jeszcze jakby się poruszały, choć już chyba nie powinny, z naderwanym, poprzecznie, dziwnie tak jakoś ułożonym uchem. Skrzywił się. W sumie nie wiedział, dlaczego to robi. Diabeł tego nie oczekiwał, diabeł chciał tylko krwi, a przynajmniej tak mu się wydawało, poza tym dawał mu wolną rękę, więc Luis korzystał, jak zwykł to robić już dziesiątki albo i setki razy, sam tego nie wiedział do końca, co go trochę irytowało, bo jednak uważał się za skrupulatnego człowieka. Tak czy siak, lubił ten piskliwy skrzek ofiary, zresztą diabeł chyba też, lubili to obaj, więc dlaczego nie, przecież człowiek został stworzony, aby korzystać z życia i robić to, co sprawia mu przyjemność, choć Luis czasem miał wątpliwości, ale nie teraz – teraz podziwiał swoje dzieło.

Gdzieś niedaleko zagrzmiało, a niebo przecięła pajęczyna błyskawic, ich jasny blask sprawił, że cała ta kompozycja wydała mu się idealna, spektakularna, wręcz mistrzowska, tak jakby stworzył ją wybitny artysta, ktoś, kim zawsze chciał być, uwielbianym przez miliony geniuszem zbrodni. Przypatrywał się swojemu dziełu jeszcze przez jakiś czas, potem spojrzał na swoje nagie ciało. Dłonie, przedramiona, klatka piersiowa i nogi były już czyste, deszcz je opłukał z błota i krwi, teraz wystarczyło się ubrać i wrócić do hotelu i tak pewnie by zrobił, gdyby nie diabeł, który wciąż sącył mu do ucha: zabij, zabij, zabij, chcę więcej krwi.

Ściągnął z gałęzi przewieszane przez nią spodnie i koszulę. Były przemoczone do suchej nitki, ale nic to, nie pierwszy i nie ostatni raz chodził mokry jak kura, dlatego odział się, a potem zebrał jeszcze

kilka gałęzi i dokładniej przykrył ciało, po czym ruszył ścieżką w dół zbocza. Droga do pierwszych zabudowań zabrała mu prawie godzinę. Wciąż kuśtykał, więc schodził ostrożnie, powoli, podpierając się kawałkiem drąga, bo kule posiał pijany gdzieś w gąszczu pod Santo Domingo, na miejscu zgładzenia dwunastoletniej dziewczynki, przez co do tej pory nachodziły go lęki, że ktoś mógł je znaleźć. Jej zamordowanie nie sprawiło mu aż takiej przyjemności, zdecydowanie wolał chłopców, ale akurat trafiła się okazja, więc skorzystał, bo diabeł kusił mocno i Luis nie mógł mu się oprzeć. Może nie było warto, pomyślał, zsuwając się błotnistą ścieżką, przecież przez to musiał wyjechać do Chone, gdzie do tej pory nikt go nie widział, tu jednak też było całkiem dobrze, bo hotele tanie, a ludzie jacyś tacy bardziej hojni i pod kościołami dawali jałmużny tyle, że nigdy nie brakło na butelkę, chleb i czasem dach nad głową. Polubił to miejsce, ale nauczony doświadczeniem na polowanie często ruszał gdzieś dalej, i tak zamordował kolejnych kilku chłopców z największą rozkoszą, teraz jednak zabił tu, bo już nie mógł wytrzymać – impuls przyszedł znienacka i był bardzo silny, ten cholerny diabeł nie chciał odpuścić.

Gdy Luis dotarł do terminalu, dochodziła szesnasta. Ulewa się skończyła, a spomiędzy chmur nieśmiało wyglądało słońce, kupił więc butelkę Trópico, usiadł na ławce i zaczął pić, próbując nie słyszeć podszeptów diabła, który wciąż go prowokował, mówiąc: zabij, zabij, zabij, chcę więcej krwi. Okazja nadarzyła się sama, a w zasadzie przyszła, boso, w poszarpanych spodenkach i poplamionej koszulce na ramiączkach, z uśmiechem na ustach.

– Wypastować buty, *señor*? – zapytała.

– Ale pod jednym warunkiem – odparł.

– Jestem do pana usług, *señor* – odparła okazja, która miała dziesięć, może dwanaście lat, nie więcej niż sto pięćdziesiąt

centymetrów wzrostu, czterdzieści kilogramów wagi, czarne skołtunione włosy i kilka wybitych zębów.

– Pomożesz mi, chłopcze, objuczyć muły. Dobrze zapłacę. Oddzielnie za wypastowanie butów i za pomoc przy tych mułach – oświadczył Garavito, pokazując własne zęby, bez ubytków, choć żółte i przesiąknięte odorem alkoholu.

– Z największą przyjemnością, *señor*.

Godzinę później byli już na moście oddzielającym ostatnie zabudowania od okalających miasto wzgórz. Luis patrzył na swoje buty, niedawno podkute, bo podeszwa prawej stopy szybciej się ścierała, teraz czyste i lśniące, prawie jak nowe, prosto ze sklepu. Chłopak maszerował z uśmiechem na ustach, czasem podawał domniemanemu dobroczyńcy ramię, aby Luis mógł się na nim wesprzeć, nie mając pojęcia, że podpiera samego diabła, nawet nie jego wysłannika, ale samego diabła właśnie, potwora z najgorszych koszmarów, który choć też się do niego uśmiecha, to chce go obedrzeć ze skóry, wypatroszyć i tarzać się w jego wnętrznościach, gdy ten będzie jeszcze żył, krzycząc i błagając o litość, której nie doświadczy. W swej niewiedzy przeszedł z Garavito przez most i wspólnie minęli jeszcze kilka zrujnowanych zabudowań, gdzie mieszkali najbiedniejsi mieszkańcy Chone, następnie skręcili w wąską ścieżkę prowadzącą do miejsca kaźni, które było może pół godziny drogi od kępy krzaków, którą właśnie mijali.

Luis spojrzał w górę. Chmury wciąż wisiały nisko, a za szczytami wydawały się jeszcze ciemniejsze i bardziej złowrogie, poza tym grzmiało w oddali i te grzmoty były dobrze słyszalne.

– To tam. – Wskazał ręką, drugą trzymał drąg, którym się podpierał, w myśli go przeklinając, bo był tak nieporęczny, że już raz prawie się przewrócił. Chłopak jakoś tak dziwnie mrugał oczami, gdy patrzył w górę, w niknącą w gąszczu ścieżkę, grząską,

niepasującą do opowieści o mułach, bo niby po co trzymać muły w takim miejscu, niedostępnym, gdzie są tylko krzaki i las i żadnej drogi.

– Tam pan trzyma muły, *señor*? – zapytał i Luis poczuł, że musi coś zrobić, co mu się nie spodobało, bo zabudowania wciąż były w zasięgu wzroku, a on z tym drągiem pod pachą nie czuł się najpewniej.

– Tak, tam na górze jest droga. Prowadzi do ciężarówki, którą mój wspólnik zaparkował kawałek dalej – powiedział, lekko napierając kijem na plecy chłopaka.

– Tam nie ma drogi, *señor*. Znam ten teren, bo mieszkam niedaleko.

– Tam jest droga. Chodźmy.

– Zapewniam pana, że tam nie ma drogi, *señor*. Musiało się panu coś pomylić.

– Tam jest droga!

Chłopak zmarszczył brwi i spojrzał na Garavito, jakby ten mówił w innym języku i ni w ząb go nie rozumiał, po czym spojrzał na kotłujące się nad wzgórzami chmury, a potem na Luisa, potem znów na chmury i na ścieżkę, z której wyszedł inny mężczyzna.

– Pan zapyta tego pana, *señor* – zwrócił się do Garavito, który wolną ręką już grzebał w przewieszanej przez ramię torbie w poszukiwaniu bydłowego noża, ale szybko puścił rękę, słysząc słowa chłopaka, swojego niedoszłego aniołka, którego chciał rozplatać jak rybę.

– Pomyliłem się – rzucił krótko, zerkając na zbliżającego się czarnoskórego, na oko młodego i krzepkiego mężczyznę, który bez problemu powaliłby go jednym ciosem, nawet gdyby Luis wyciągnął nóż i zaczął nim wymachiwać.

– Czego tu szukacie? To teren prywatny! Wypieprzać stąd! – rzucił facet, a Garavito poczuł, że nogi się pod nim uginają i gdyby nie miał drąga, to pewnie by upadł.

– Ten pan twierdzi, że...

– Idziemy stąd! – przerwał chłopcu Garavito, sycząc przez zęby jak wąż, piorunując go spojrzeniem, w którym widać było, że przemawia przez niego nie człowiek, ale jakaś mroczna istota, być może sam Szatan.

Chłopak odsunął się, popatrzył na kroczącego w oddali mężczyznę, potem na Garavito, prosto w jego oczy przesiąknięte gniewem i czymś tak złym, że mały już nie chciał z nim dłużej iść, odwrócił się więc na pięcie i bez słowa pobiegł ile sił w nogach, nie oglądając się za siebie. Luis ruszył za nim, pospiesznie kuśtykając, czując na sobie oddech mężczyzny, który nie mógł mieć dobrych zamiarów, a jeśli przypadkiem natknął się na zwłoki, to już nie wróżyło nic dobrego. Tak czy siak, ta sytuacja musiała wydać mu się co najmniej podejrzana; gorzej, jeśli czytał gazety, bo tam już pojawiły się wzmianki o zaginionych dzieciach i człowieku z twardym kolumbijskim akcentem, co prawda w Santo Domingo i Guayaquil, a nie tu w Chone, choć co do tego nie miał stuprocentowej pewności.

Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy mężczyzna znalazł się za jego plecami, a potem wyrósł tuż przed nim, czarny jak drzewo hebanowe i co najmniej równie twardy i wytrzymały.

– Co tu robisz, obdartusie? – warknął, taksując go spojrzeniem z góry na dół, chwilę później przeniósł wzrok na niknącą w oddali mikrą postać. – I kim jest ten chłopak? Nie wygląda na kogoś, kto by cię znał...

– Zgubiłem się, *señor* – odparł Garavito poddańczym tonem, za wszelką cenę próbując ukryć swój charakterystyczny akcent.

- Wypierdalaj stąd!
- Tak, *señor*.
- Albo poczekaj. I gadaj, co tu robisz, bo coś mi się tu, kurwa, nie podoba. Słyszysz, obdartusie jebany?

Zagrzmiało i Garavito udał, że nie słyszy, zaczął kuśtykać w stronę zabudowań, palce wolnej ręki zacisnęły się na rękojeści noża skrytego w torbie. Wtedy silna graba zacisnęła się na jego wąłym ramieniu i Luis zadziałał instynktownie, wyjął narzędzie i wbił je w brzuch mężczyzny, przekręcił, przeciągnął w bok. Kolejne sekundy przypominały poklatkowo puszczonego film, a właściwie bardziej koszmar niż film: szeroko otwarte oczy nieznajomego, jego wyszczerzone zęby, fontanna krwi, uderzenie, Luis na ziemi, w błocie, kurczowo zaciskający palce na rękojeści, jeden kopniak, drugi, potem spokój, mężczyzna w błocie, trzymający się za brzuch, wypływające mu przez palce jelita, przyływ nowych sił, powstań, zamach, rozplątane gardło, mężczyzna wijący się w śmiertelnych spazmach, krew płynąca wzdłuż ścieżki, grzmot, błyskawica, ściana deszczu.

Potem terminal, bilet do Santo Domingo, bilet do Algo Agrio, granica z Kolumbią. Pereira. Kolejny aniołek...

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Do Ekwadoru nie dotarliśmy z kilku powodów. Po pierwsze, nie było szans, aby towarzyszyli nam przewodnicy, po drugie, byłoby to wielce niebezpieczne (gdybyśmy podróżowali samochodem przez granicę) lub bardzo czasochłonne i kosztowne (przy podróży samolotem z Cali do Quito, a następnie do Santo Domingo lub Chone), po trzecie zaś, uznaliśmy, że nie mając szans na jakiekolwiek wsparcie na miejscu, trudno byłoby z tego cokolwiek wyciągnąć. Dokumentacja, jaką przygotował nam Jesus

Sepulveda, choć nie do końca oczywista, ostatecznie – mam nadzieję – wystarczyła, aby nie wnikając w szczegóły, pokrótce opisać tę część historii Luisa Garavito. Inna sprawa, że o tym rozdziale jego życia tak naprawdę niewiele wiadomo, może poza jego zeznaniami i informacjami zawartymi w jego słynnym zeszycie.

Nie odwiedzając opisywanych miejsc ani nie mogąc w pełni skorzystać z materiałów źródłowych, ostatecznie postanowiłem nieco zmienić stan faktyczny i połączyć kilka różnych zdarzeń w jedno, które w dość przystępny sposób będzie w stanie przedstawić szereg sytuacji, do jakich doszło w Ekwadorze.

Luis Garavito spędził w Ekwadorze około miesiąca. Prawdopodobnie przyjechał tam pod koniec czerwca albo na początku lipca 1998 roku. Trudno jednoznacznie stwierdzić, dlaczego zdecydował się na taki ruch, bo nigdy tego nie zdradził (przynajmniej ja do takich informacji nie dotarłem), ale można zakładać, że obawiał się schwytania w Kolumbii, gdzie coraz głośniej mówiło się i pisało o odnajdywanych na obrzeżach miast i polach trzciny cukrowej zmasakrowanych zwłokach dzieci. Mógł też myśleć – zresztą nie bez powodów – że w rodzinnej Génovie stosunkowo szybko odkryją ciała trzech zamordowanych chłopców i z racji jego pochodzenia szybko go namierzą, a co za tym idzie, zrobią nalot na miejsce, w którym mieszkał. Tajemnicą pozostaje, dlaczego na farmie Las Mercedes Garavito pozostawił po sobie tyle śladów, być może po prostu spanikował i nie bacząc na konsekwencje, w pośpiechu uciekł za granicę. Tak czy siak, jego wyczyny nie pozostawały niezauważone w zasadzie już w całym kraju, choć poszczególne jednostki policji wciąż nie potrafiły się dogadać i zespolić tych ponurych odkryć w jedną całość.

W Ekwadorze Garavito, choć po niezaleczonym wypadku w Guacamayas wciąż chodził o kulach i używał kołnierza ortopedycznego, znów poczuł się bezkarny. Pierwsze dziecko zamordował zaraz po przyjeździe. Przyznał się do tego podczas jednego z przesłuchań:

– W czwartek drugiego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku przybyłem w nocy do Santo

Domingo de los Colorados. Znajdowałem się przed terminalem, w hotelu Patricia. Kilka dni spędziłem, żebrząc o jałmużnę w różnych pobliskich miejscowościach. Nie mogłem podjąć żadnej pracy fizycznej, bo wciąż używałem ortopedycznej ortezy szyi i laski. W piątek dziesiątego lipca, jak wynika z moich zapisków w dzienniku, piłem alkohol w pobliżu terminalu. Byłem zrozpaczony, udręczony i jedyne, czego wtedy pragnąłem, to skontaktować się z młodym człowiekiem. Wiedziałem, że w pobliżu alei znajduje się teren zalesiony. Pokręciłem się po terminalu, ale nie natrafiłem na żadnego chłopca, więc kupiłem butelkę likieru Trópico, bardzo mocnego. Wtedy zauważyłem nieletniego i znów wstąpiła we mnie ta diabelska siła. Miał piętnaście lat, był chyba w białych spodenkach i tenisówkach. Porozmawiałem z nim, przekonałem, aby ze mną poszedł, a potem ruszyliśmy na długi spacer, aż dotarliśmy do lasu. Tam go związałem, rozebrałem i pieściłem, a na koniec zabiłem. Przez kilka następnych dni nie widziałem w gazetach żadnych zdjęć tego dziecka.

Być może właśnie dlatego Garavito poczuł się pewniej. I już dzień później znów ruszył na polowanie. Zabił kolejnego chłopca, a kilka dni później, już w Chone, kolejnego:

– Poszedłem do parku i nawiązałem kontakt z chłopcem, około dwunastoletnim, który zajmował się polerowaniem butów. Według moich notatek był gruby, nosił dżinsowe spodnie i czarną koszulkę z krótkim rękawem. Bardzo spodobała mi się jego jasna karnacja. Gdy znaleźliśmy się w zaroślach, związałem go, rozebrałem, pieściłem i zabiłem. To była moja druga ofiara, ale tym razem zdjęcie aniołka pojawiło się w gazecie, więc jeszcze tego samego dnia pojechałem do Chone na zachódzie kraju, gdzie znów byłem zmuszony żebrać o jałmużnę. W poniedziałek dwudziestego lipca bardzo padało, więc wolałem pić i postanowiłem poszukać nieletniego. Na widok jednego, którego zobaczyłem w terminalu, znów ogarnęła mnie ta okropna siła. Dzień wcześniej wypolerował mi buty i ponieważ już mnie znał, łatwiej mi go było przekonać, aby ze mną poszedł. Zabrałem go w kierunku jakichś wzgórz, przeszliśmy przez most i wąwóz. Jego też zabiłem, ale tym razem

zgubiłem swoją laskę. Nie pamiętam, gdzie ją zostawiłem, bo dużo piłem. Wróciłem do hotelu, wziąłem kąpiel, ogarnąłem się, założyłem ortezę, znalazłem kij do podpierania się i poszedłem w okolice galerii, gdzie zobaczyłem kolejnego chłopca. Namówiłem go, aby do mnie dołączył, przeszliśmy przez ten sam most i wąwóz, o którym wspomniałem wcześniej, potem w kierunku zboczy i wzdłuż drogi, gdzie rosną drzewa, następnie ścieżką na samą górę. Z tego miejsca widać całe miasto Chone. Jego też zabiłem, następnie udałem się do centrum, kupiłem więcej alkoholu i poszedłem szukać kolejnego. Ta siła opętała mnie totalnie, więc nie próżnowałem i kolejnego znalazłem późnym popołudniem. Robiło się ciemno, więc poprowadziłem go tą samą drogą i kiedy już miałem go zabrać w krzaki, wyszedł stamtąd jakiś mężczyzna. Chłopak przestraszył się i uciekł, a ja natychmiast wróciłem do hotelu, w którym mieszkałem, przebrałem się i poszedłem do terminalu. Trzydziestego lipca, we wczesnych godzinach porannych, postanowiłem pojechać autobusem do Quito i w terminalu w tym mieście kupiłem bilet do Lago Agrio, skąd pojechałem z powrotem do Kolumbii.

Jak zapewne zdążyliście zauważyć, nie ma tu mowy o tym, że Garavito zasztyletował mężczyznę, który według jego słów wyszedł z krzaków i przestraszył niedoszlą ofiarę. Postanowiłem nieco zmienić fakty, gdyż (a o tym jeszcze nie wspominałem) Garavito jest podejrzewany o zabójstwo kilku dorosłych osób. Nigdy mu tego nie udowodniono, a on się do tych morderstw nie przyznał, ale w okolicach miejsc, gdzie odnajdywano zwłoki jego ofiar (tak w Kolumbii, jak i Ekwadorze), znaleziono szczątki kilku dorosłych osób, których nigdy nie zidentyfikowano. Policja podejrzewa, że osoby te mogły zostać zabite niejako przez przypadek, choćby dlatego, że nakryły Garavito na gorącym uczynku. W swoim tekście wspomniałem też o zamordowanej dziewczynce, której zwłoki odnaleziono niedaleko szkoły dla dziewcząt w Santo Domingo, tuż obok ciała niezidentyfikowanego chłopca. Do tej zbrodni Garavito się jednak nie przyznał, nie została też odnotowana w jego zeszycie, choć to tam po odkryciu dziecięcych szczątków zasadziła się na niego policja.

I tu warto dodać, że ekwadorskie media i organy ścigania zorganizowały się znacznie szybciej niż kolumbijskie i w przestrzeni publicznej zaczęły pojawiać się sygnały o grasującym gwałtcielu i mordercy. W notatkach Garavito znaleziono na przykład wycinek z dziennika „Extra” wydawanego w Guayaquil, gdzie być może zauważono jego obecność. W artykule zatytułowanym Psicosis por violador (w wolnym tłumaczeniu Psychoza z powodu grasującego gwałtciela) pojawiła się wzmianka, w której napisano, że „rodzice odprowadzający dzieci do szkoły w Guale natknęli się na brudnego mężczyznę średniego wzrostu, w poszarpanym ubraniu, kamuflującego się wśród drzew w pobliżu budynku”. Czy tym człowiekiem był Garavito? Być może, bo w swojej kolekcji wycinków z gazet morderca przechowywał tylko teksty bezpośrednio związane ze swoją przestępczą działalnością.

Garavito wrócił do Kolumbii pod koniec lipca i w krótkim odstępie czasu zabił w Pereirze sześciu chłopców, następnie udał się do Villavicencio, gdzie zamordował kolejnych czterech. To był już morderczy amok, w trakcie którego przestał w zasadzie dbać o swoje bezpieczeństwo. W listopadzie doszło do przełomu, który stał się początkiem końca najstraszniejszego seryjnego mordercy w historii świata...

Rozdział 5

Pereira, Kolumbia, listopad 1998 roku

Garavito dokuśtykał do sklepu monopolowego, wszedł do środka, zawieszony nad drzwiami dzwoneczek oznajmił sprzedawcy i zarazem właścicielowi, że pojawił się nowy klient. Przysadzisty mężczyzna z bujnym wąsem podniósł wzrok znad gazety i przyjrzał się przybyszowi. Facet wyglądał tak jak większość odwiedzających ten przybytek. Wytarte dżinsy, kraciasta koszula z podwiniętymi rękawami, wszystko to mokre, bo cały dzień dżdżyło, do tego twarz sterana życiem, co w jego ocenie było cechą charakterystyczną prawie każdego Kolumbijczyka. Tego tu wyróżniał pokraczny chód, jakby od urodzenia miał coś z nogą albo ktoś mu pogruchotał kości, więc czujność należało zachować, bo choć na ulicach miasta nie trzeba długo szukać guza, to rzadko kiedy łamią kulasy za nic, ot tak, prędzej za coś, choć powodów może być wiele, gospodarz jednak postanowił tego nie roztrząsać, wystarczyło mieć faceta na oku.

W radiu słyhać było głos reporterki, która właśnie kończyła gadać o grasującym w Pereirze seryjnym mordercy młodych chłopców – podobno policja znalazła jakieś trupy, nawet dużo, bo czternaście. Nie pierwszy raz słyszał podobne newsy, ale jego własne dzieciaki już wyrosły i wyjechały szukać szczęścia do Bogoty, tam też narobiły wnuków, więc niespecjalnie się tym przejął, zresztą jakiś czas temu też o tym gadali, a potem ludzie zrobili z takim porządek,

psy na pedofila spuścili, a te jajca mu wyżarły i po krzyku. Ten tutaj nie wyglądał na kogoś, kto mógłby muchę skrzywdzić, był chudy jak najbardziej zabiedzona szkapa i taka mucha prędzej by mu się odwinęła, niż on by ją ukatrupił. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc jednak na niego zerkał. Poza tym chuj jeden już podłogę w sklepie ubłocił, właściciel zatem pomyślał, że jak facet zaraz nic nie kupi i przyszedł tu tylko po to, aby schować się przed ulewą, to go wywali na zbity pysk. Chudzielec jednak podszedł do kasy, spojrzał – jak można się było spodziewać – na półkę, gdzie stały najtańsze alkohole, między innymi czarna, pękata butelka z etykietą, na której widniał biegnący ukosem napis La Corte.

– Ale lunęło, co nie? – zapytał klient, wycierając chusteczką mokre czoło i wciąż mocząc mu podłogę.

– Co podać? – zapytał sprzedawca, niechętnie podnosząc się z krzesła.

– La Corte. I papierową torbę.

No oczywiście, że La Corte, bo cóż by innego, pomyślał właściciel i sięgnął po butelkę, zapakował ją, postawił na blacie, zabrał gotówkę i schował do kasy.

– Czy ja dobrze słyszałem w tym radiu? – zapytał Garavito, chwytając drżącą dłonią zakupiony asortyment.

– Co niby?

– Coś o pedofilu mówili jakimś. Jak wszedłem, to chyba coś takiego słyszałem.

– Nie wiem. Nie słuchałem.

– Aha...

– Coś jeszcze?

– Nie, dziękuję.

Było jasne jak słońce, że oznaczało to koniec konwersacji. Garavito ruszył w kierunku wyjścia, zerkając przez szybę w niebo, na

którym kłębiły się ciemne chmury – nic nie zapowiadało, że się w najbliższym czasie rozstapia, nie było więc sensu czekać na to jak na zbawienie. Wyszedł bez pożegnania i skierował się wprost do domu Gracieli Zabalety. Pomyślał, że tam w spokoju napije się brandy, a potem pomyśli, co dalej, bo wydawało mu się, że diabeł w nim coś tam mruczy i trudno było ocenić, co z tego wyniknie. Droga na przedmieścia zajęła mu pół godziny i gdy wszedł do mieszkania, miał już mokre nawet gacie, choć jak na złość akurat przestało padać i tylko lekko siąpiło.

– *Hola* – przywitał się ze swoją partnerką czy raczej współlokatorką, bo jaka to z niej była partnerka, skoro seksu nie uprawiali, Graciela była co najwyżej towarzyszką, z którą dzielił rachunki i dach nad głową.

– *Hola* – odparła, nie odrywając wzroku od telewizora, gdzie leciał kolejny z idiotycznych brazylijskich tasiemców, których tak nie znosił.

Luis poszedł do małej łazienki, przebrał się w suche ciuchy, wyszedł i usiadł w kuchni, która łączyła się z salonem. Otworzył butelkę i nalał brandy do szklanki, wypił i otworzył lodówkę, ale poza fasolą w puszcze i kilkoma warzywami nic w niej nie znalazł, nawet cholernych jajek nie było, bo pewnie zeżarł je ten jej gówniarz, oj, gdyby mógł, toby mu pokazał.

– Jest coś do jedzenia? – zapytał, zapalając papierosa. Wydmuchnął dym, czekając na odpowiedź, ale ta nie nadeszła. – Pytałem, czy jest coś do...

– Widziałeś zawartość lodówki, więc co mi dupę zawracasz? – odparła pytaniem na pytanie wyraźnie rozdrażniona, bo twarze na ekranie i towarzysząca im muzyka z głośnika sugerowały jakąś ważną fabularnie scenę, choć Luis wiedział, że przecież fabuły w tych wytworach dla idiotek nie było żadnej.

– Naprawdę musisz wciąż to oglądać? Chciałbym zobaczyć wiadomości.

– Musisz poczekać.

– Ile?

– Jak to się skończy.

– Ja też płacę za mieszkanie. Mam prawo i...

– Jeszcze pięć minut. Nie gadaj, bo nie słyszę, co mówią.

Luis machnął ręką, nalał sobie drugą porcję, po której wychyleniu lekko zaszumiało mu w głowie. Dobrze, że Graciela przynajmniej nie czepiała się, że pije, więc w sumie mógł poczekać, bo mieszkał i z takimi, co niby nie miały nic przeciwko, ale ciągle ten temat podejmowały: nie pij tyle, nie pij tyle, gadały, ble, ble, ble... Opróżnił trzecią szklankę, a telenowela jakoś nie chciała się skończyć. Ona wciąż gapiała się w telewizor jak zaczarowana, jajek w lodówce dalej nie było, ani chleba, ani arepy też nie, kompletnie nic, więc wyciągnął tę fasolę i zjadł ją na zimno prosto z puszki.

– Kiedy to się skończy? – zapytał, wycierając wierzchem dłoni brodę z resztek po posiłku.

– Zaraz.

– Zaraz to ma Indianka w dupie.

– Jesteś wulgarny.

– To powiedz mi konkretnie. Ile to jeszcze będzie trwać?

– Już...

Na ekranie pojawiły się napisy końcowe, ale Graciela nie podniosła się z sofy, tylko rzuciła pilota na stojący obok fotel, tak żeby miał bliżej. Luis zgasił peta w popielniczce, chwycił w garść szklankę i usiadł w fotelu, upił brandy i zaczął przełączać kanały.

– Czytałeś gazety? – zapytała, skupiając uwagę na swoim partnerze-współlokatorze.

– Nie, a co?

– Piszą, że w Nacederos znaleźli masowy grób. Przecież to rzut kamieniem stąd i...

– To Kolumbia. Nic nowego.

– Wykopali mnóstwo małych kości.

I wtedy to do niego dotarło – znienacka, tak jak znienacka w drzewo uderza piorun i natychmiast je zapala, tak i teraz Garavito poczuł, jakby został rażony piorunem i zaczął płonąć. Żar rozlał się po całym ciele, do tego pojawił się nieprzyjemny ucisk w żołądku, ale tym razem nie miał on nic wspólnego z mieszkającym w środku diabłem, bo ten w tego typu sytuacjach zwykle się chował, jakby udawał, że go nie ma, choć przecież był, bo regularnie drapał go w podbrzuszu na widok młodych chłopców, których on później zabijał.

– Gdzie ta gazeta? – zapytał, próbując zachować neutralny ton, co nie było wcale łatwe, ale chyba wyszło nie najgorzej.

– Nie wiem, chyba w sypialni – odparła Graciela i perorowała dalej: – Podobno dzieci nie da się na razie zidentyfikować, bo ciała są poćwiartowane i w ogóle. Boże przenajświętszy, co to się w tym kraju dzieje? Jak nie kartele, to *guerillas*, jak nie *guerillas*, to seryjni mordercy. Ja naprawdę już nie wiem, co...

Garavito był już w drodze do sypialni. Nie chciał słuchać tego biadolenia, było mu nawet trochę wstyd, tak jakby sumienie w nim się odzywało, ale przede wszystkim przeraził się nie na żarty, wszak czternaście trupów to nie jeden czy dwa i policja tego nie odpuści, a w mieście ludzie pewnie znów wyjdą z domów i rozpęta się piekło. Jedno polowanie na pedofilów już w Pereirze przeżył, widział, jak za jego grzechy wielki prawie jak słoń dog argentyński rozrywa zębiskami krocze mężczyzny – krew tryskała jak z fontanny, a ludzie patrzyli i kibicowali psu. Mówiąc krótko, jeśli to prawda, że policja

coś odkryła, to trzeba się ewakuować, i to szybko, bo ryzyko jest zbyt duże.

Przeczytał i to była prawda, policja znalazła to miejsce. Luis poczuł, że zbiera mu się z nerwów na wymioty, ale jakoś się powstrzymał, wypił kolejną szklankę, przeczytał artykuł jeszcze raz i zrozumiał, że to dopiero początek – przecież czternastu chłopaczków to on ubił może w jednym roku, więc jest tylko kwestią czasu, gdy znajdą więcej ciał... Dopiero wtedy pobiegł do łazienki i zwymiotował.

Przez kolejne dwie godziny oglądał wiadomości. Tam też gadali już o tych dziecięcych trupkach, a w zasadzie kościach, bo odkryli stare miejsce, do którego dawno już nie zaglądał. Przypomniał sobie jednak, że i ostatnio się tam kręcił, ale na szczęście z polowania nic nie wyszło – bo i tak się czasem zdarzało, że choć diabeł kazał, to nie wychodziło. Późnym wieczorem podjął decyzję, ta zaś mogła być tylko jedna, musiał wyjechać, zniknąć, zagrzebać się gdzieś daleko, wszędzie, tylko nie w Pereirze. Ostatecznie wybrał południe kraju, bo tam policja inne rzeczy ma w głowie, tam przecież trwa ciągła wojna z kartelami, więc może dadzą mu spokój.

– Mam do ciebie prośbę – zwrócił się do przysypiającej już Gracieli.

– Ty wiecznie masz jakieś prośby, ale okej...

– Muszę na jakiś czas wyjechać w interesach.

– Na długo?

– Nie wiem. Kilka tygodni, może miesięcy. Kolega powiedział, że to dobra robota, w handlu. Wiesz, tam idzie zarobić.

– To chyba dobrze, co nie? A gdzie i kiedy chcesz wyjechać?

– Jeszcze tej nocy. Najpierw do Bogoty, a potem nie wiem, bo to zależy od delegacji.

– Co to za prośba?

– Będę dużo podróżował i chciałbym zostawić u ciebie moją teczkę. Na miejscu mam dostać nową, a w starej są papiery z poprzedniej firmy i nie będzie mi teraz potrzebna. Wolałbym ją jednak zachować, bo wiesz, jak jest, nigdy nie wiadomo, kiedyś mogą się przydać. Czy możesz mi ją przechować na czas mojej nieobecności?

– No dobra, to żaden problem.

– Tylko nie otwieraj, bo jest pełna ważnych dokumentów i nie chciałbym, żeby jakieś zginęły. I schowaj tak, żeby syna nie kusiła, bo wiesz, jak to jest z dziećmiakami.

– Tego już nie musiałeś dodawać, Luis. Potrafię wychowywać syna i na pewno nie będzie zaglądał do cudzych teczek.

– Przypilnuj tego. Tylko o to cię proszę. Za przechowanie zapłacę, jak zarobię, może być?

Zabaleta podrapała się po głowie, wykrzywiła usta w szelmowskim grymasie i już było wiadomo, że się zgodzi. Luis postanowił nie czekać, bo pierwszy i ostatni tego dnia autobus w kierunku Cali odjeżdżał jeszcze przed północą, spakował więc do małej torby najpotrzebniejsze rzeczy, pożegnał się i nie bez obaw opuścił budynek. Gdy szedł na dworzec, nogi mu drżały, a diabeł udawał, że go nie ma.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Pierwszego listopada 1998 roku policja natknęła się w dzielnicy Nacaderos w Pereirze na masowy grób, z którego wydobyto czternaście rozczłonkowanych szkieletów młodych chłopców. To odkrycie spowodowało, że do pracy zaprzęgnięto setki policjantów, którzy dniami i nocami przeszukiwali tereny podmiejskie, centymetr po centymetrze, szukając podobnych mogił. I te działania przyniosły dość szybko rezultaty, bo do końca roku na

terenach departamentów Risaralda (głównie w Pereirze i okolicach) oraz Valle del Cauca odkryto ponad osiemdziesiąt ciał, odpowiednio: czterdzieści jeden i czterdzieści dwa, w różnym stadium rozkładu. Z racji bestialstwa, z jakim potraktowano ofiary, i szokującej ich liczby z początku wykluczono, że sprawcą może być jeden człowiek. Śledztwo poprowadzono dwutorowo: pierwsze skupiło się na namierzeniu satanistycznej sekty, drugie opierało się na założeniu, że na terenie środkowej Kolumbii działa zorganizowana grupa przestępcza handlująca ludzkimi organami. Dopiero z czasem zorientowano się, że w niemal wszystkich miejscach porzucenia zwłok znajdują się te same rzeczy: sznur nylonowy oraz nakrętki i butelki po brandy La Corte, a badania patomorfologów wykazały wyraźne podobieństwa na kościach czy tkankach ofiar. Śledztwo prowadził wówczas detektyw Aldemar Durán. Ale po kolei...

O Pereirze pisałem już kilka razy, więc nie będę się powtarzać. Z jednym wyjątkiem – to tam znajduje się Nacederos, jedna z najbiedniejszych dzielnic miasta (jeśli nie najbiedniejsza), w której Garavito pomieszkiwał kilkakrotnie. Dotarliśmy tam dziesiątego albo jedenastego dnia od wyjazdu z Bogoty, już solidnie wymęczeni. To tam po raz drugi znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia i – czego do dziś do końca nie rozumiem – w takiej krytycznej sytuacji nasi przewodnicy bardzo niemile nas zaskoczyli.

Najpierw objechaliśmy samą dzielnicę. Wyglądem przypominała znane wielu z Was, choćby z filmów, fawele z Rio de Janeiro. Jedna wielka kupa byle jak poskładanych kamieni, pustaków i cegieł, blachy falistej, sztachet i kartonów, wszystko zaś gęsto upchnięte na obu zboczach wąwozu, w którym płynęła rzeka Otún. Z początku miałem obawy, czy tam wjeżdżać, ale o dziwo przewodnicy uznali, że niebezpieczeństwo nam nie grozi.

– To nie Bogota – powiedział Roberto. – Może wizualnie wygląda to gorzej niż Ciudad Bolívar, ale tu przynajmniej po ulicach jeździ policja. Z nami nic wam nie grozi.

Poczuliśmy się z Przemkiem Żmudą bezpieczniej, więc przejechaliśmy się wąskimi uliczkami Nacederos, a nawet kilka

razy wysiedliśmy, aby nagrać trochę materiału. Przemek rozkręcił się na tyle, że w pewnym momencie, zresztą zupełnie niepotrzebnie, bez pytania wkroczył na czyjeś podwórko, aby zrobić kilka ujęć drugiego brzegu rzeki, to zaś – jak nietrudno się domyślić – od razu wywołało gwałtowną reakcję gospodarza. I znów zrobiło się gorąco.

Facet miał z pięćdziesiąt lat, był raczej mikrej postury, ale w prawej dłoni trzymał słusznych rozmiarów majcher. Towarzyszyła mu rzucająca srogie spojrzenia kobieta (prawdopodobnie żona) oraz kilkunastoletni chłopak. Mój przyjaciel nie zna języka hiszpańskiego, a do tego często żywiołowo gestykuluje, więc spanikował, zaczął coś tam dukać po angielsku, wymachiwać rękami, ja wołałem, aby natychmiast wracał. Nie wiem, jak by się to potoczyło, gdyby do akcji nie wkroczył Roberto z Jesusem, a obok nie przejeżdżał radiowóz. Skończyło się na zadośćuczynieniu w postaci pięćdziesięciu tysięcy pesos (nieco ponad pięćdziesiąt złotych) i szybkiej ewakuacji z miejsca zdarzenia, co zresztą też nie wyszło najlepiej, bo jeszcze w tej dzielnicy (choć dobrych kilkaset metrów dalej) zgasał nam samochód (na szczęście Roberto otworzył maskę i po kilku minutach ogarnął temat). To małe spięcie okazało się jednak niczym w porównaniu z sytuacją, która zastała nas kilkadziesiąt minut później na słynnej opuszczonej stacji benzynowej, za którą znaleziono wspomniane czternaście rozczłonkowanych szkieletów.

Zajechaliśmy na tyły, obok budynku, który przypominał zakład mechaniki samochodowej. Gdzieś tam słychać było postukiwania, dźwięk szlifierki, męskie głosy. Chciałem namierzyć lokalizację bardzo dokładnie, więc zapytaliśmy jakiegoś faceta, grzebiącego przy kole jednego z pojazdów, czy to aby na pewno to miejsce, gdzie w 1998 roku odnaleziono masowy grób ofiar Luisa Garavito.

– Tak, to w tamtych krzakach – odparł i wskazał kluczem miejsce oddalone o nie więcej niż kilkadziesiąt metrów.

Facet co prawda miał aparycję typa, który w cuglach mógłby wygrać casting na jednego z żołnierzy Pablo Escobara w serialu Narcos, ale wydawał się normalny, mówił miękkim, przyjaznym

głosem, no po prostu taki gość, co to pomoże, a nawet zaprowadzi, żeby człowiek się w gąszczu uliczek nie pogubił. Uliczek tam nie było, tylko wylany betonem plac oraz pordzewiałe i z pewnością niedziałające już dystrybutory paliwa, a za nimi te krzaki, więc grzecznie podziękowaliśmy i podjechaliśmy we wskazane miejsce. Wysiedliśmy, przeciągnąłem się, rozejrzałem, Przemek zaczął szykować sprzęt. Wtedy z budynku, gdzie – jak założyliśmy – znajdował się warsztat samochodowy, podniosły się krzyki, które w wolnym tłumaczeniu brzmiały: „Co tu robicie z tymi kamerami? To teren prywatny, wypierdalać albo was zajebimy, skurwysyny, gringos jebani, kto to, kurwa, w ogóle jest?”.

Jako że zdążyliśmy odejść od samochodu dobrych kilka metrów, Roberto na nas nie zaczekał, po prostu spalił gumę i odjechał. Zostaliśmy z Przemkiem sami. Niespieszno mi było wchodzić w dyskusję z tymi wytatuowanymi jegomościami, którzy nagle zmaterializowali się na zewnątrz warsztatu i żwawym krokiem podążali w naszą stronę, zwłaszcza że w rękach nieśli różne całkiem dobrze odbijające światło słoneczne przedmioty – do tej pory chcę wierzyć, że to były świeżo zakupione narzędzia... Zadziałaliśmy instynktownie. Pamiętam tylko, że bieглиśmy między tymi rdzewiejącymi dystrybutorami z rękami uniesionymi w górę, ja burczałem pod nosem jakieś przeprosiny, Przemek zaś prawie zgubił GoPro, bo nie zdążył solidnie zamocować kamery do uchwytu i ten dyndający uchwyt oderwał się w biegu. Na szczęście główna ulica była niedaleko, więc mężczyźni odpuścili, a przed nami zmaterializowała się nasza piękna biała terenówka.

– Wskakujcie i spadamy stąd. To teren prywatny – rzucił krótko Roberto, jakbym jeszcze, kurwa, tego nie wiedział, a potem odjechaliśmy.

Na pytanie, dlaczego zostawili nas przy tych krzakach samych, nasi towarzysze nabrali wody w usta, a w końcu nieśmiało zaczęli swoje zachowanie tłumaczyć tym, że brakowało czasu, że lepiej było ich nie drażnić, że musieli nawrócić, aby nas później zabrać, i tego typu bzdury. Nie ukrywam, że po tej akcji nasze zaufanie do całej ekipy zostało, delikatnie mówiąc, trochę nadwreżone.

Ostatecznie sprawa jakoś rozeszła się po kościach, bo już dwa dni później odlatywaliśmy do Santa Marty, więc nie było sensu chować urazy, zwłaszcza że do tej pory nasza współpraca układała się znakomicie. Samo miejsce, gdzie odkopano szczątki dzieci, przynajmniej na pierwszy rzut oka wydawało się mało spektakularne, całkowicie zarośnięte gęstymi krzakami i prawdopodobnie w niczym nie przypominało tego sprzed dwudziestu pięciu lat, stąd jakoś to przetknęliśmy, temat zamknęliśmy i już do niego nie wracaliśmy.

Taka nam się przytrafiła przygoda i w sumie nie wiem, czy to ta, czy któraś z poprzednich sprawiła, że zrobiło nam się bardziej gorąco. Według Roberto dużo niebezpieczniej było w Ciudad Bolívar, bo w przeciwieństwie do akcji na stacji benzynowej, w Bogocie trafiliśmy do serca dzielnicy, gdzie patrolu policji nie widziano od lat, a może i od dekad, w Pereirze natomiast wciąż znajdowaliśmy się na obszarze pod jurysdykcją władz, a nie karteli czy lokalnych gangów.

Wracając jednak do samego Garavito, nie wiadomo, gdzie przebywał w dniu, gdy świat poznał informację o odkryciu masowego grobu w Nacaderos. Powyższy rozdział należy więc traktować jako fikcję literacką, choć oczywiście nie można wykluczyć, że sytuacja wyglądała podobnie. Ale to właśnie 1 listopada 1998 roku można nazwać datą graniczną – od tego dnia zaczęło się polowanie na Luisa Garavito. Nawet w przesiąkniętej przemocą Kolumbii takie odkrycie musiało zrobić wrażenie, więc prowadzący śledztwo Aldemar Durán dostał od przełożonych zielone światło i zaprzągnął do pracy najlepszych specjalistów z wielu dziedzin: daktyloskopii, mechanoskopii, traseologii, badania mikrośladów; zatrudniono także speców od rekonstrukcji twarzy, gdyż podjęto próbę identyfikacji wszystkich ofiar (co zresztą nigdy się nie udało). Głównodowodzący akcją poprosił nawet o pomoc Amerykanów, a dokładnie FBI, nalegając o dodatkowe wsparcie w stworzeniu profilu psychologicznego sprawcy. Odpowiednia opinia pojawiła się stosunkowo szybko, a policjanci z grupy Durána na jej podstawie wyselekcjonowali tysiąc pięciuset mężczyzn, którzy w ciągu dziesięciu ostatnich lat

byli oskarżani o kontakty z małoletnimi. To jednak wciąż było zbyt dużo. Choć na liście znalazł się również Luis Alfredo Garavito Cubillos – szukano dowodu, który pozwoliłby zawęzić listę podejrzanych.

Po blisko dziesięciu latach bezkarnego mordowania Garavito mógł poczuć się naprawdę zagrożony. Machina zaczęła się rozpędzać i wydawało się tylko kwestią czasu, kiedy morderca zostanie schwytany. Dni „Bestii” były już policzone, tym bardziej że ścigany zaczął popełniać kolejne błędy. Ten najpoważniejszy przytrafił mu się w leżącej na południu kraju Palmirze...

Rozdział 6

Palmira, Kolumbia, luty 1999 roku

Jeziora krwi, rzeki lawy, wyspy z kości. Tysiące ludzi nabitych na pal, wyjących wniebogłosy, ścieżki wyłożone czaszkami, wielkie gary, w nich cierpiętnicy, ich wrzaski, skóra, która spływa z twarzy, wisi na palcach, jakby była z gumy, wielkie różna, na tych różnach ludzkie korpusy, skapujący tłuszcz, smród palonego mięsa, a na środku na tronie z ludzkich kości rogaty diabeł.

– Chodź do mnie, Lusie Alfredo, nie obawiaj się, zbliż się – rzecze i przywołuje go kościstym palcem, a potem wykonuje szponiastą dłonią zamaszysty gest, bacznie go obserwując. – To jest moje królestwo, a że byłeś mi wiernym sługą, wszystkie te rozkosze są twoje. Rżnij, gwałć, pal, rób wszystko, czego sobie zażyczysz, bo teraz moje królestwo jest i twoim królestwem. Na wieki wieków...

Diabeł rechocze, rechot niesie się po gargantuicznej pieczarze, echo odbija się od ścian, których nie widać, a Luis stoi z szeroko otwartymi oczami i ustami. Lęk miesza się w nim z fascynacją i niedowierzaniem, bo chyba nigdy tak naprawdę w to nie wierzył, a jednak jest tu, w królestwie podziemi, w piekle, które widywał na ilustrujących Biblię obrazkach i które miało być bujda dla niegrzecznych dzieci. To nie bujda, przekonywała go gnieźdząca się w nim istota, to szczerą prawdą, słuchaj mnie, a się o tym przekonasz, obiecuję ci, że przyjdzie czas, gdy zstąpisz do miejsca,

gdzie ziemskie przyjemności zbledną, odnajdziesz tam rozkosz, o jakiej nawet nie śniłeś.

Jednym uchem wpuszczał, drugim wypuszczał, nie wierzył tej prymitywnej bestii, a mordował tych chłopaczków, bo to lubił i rzeczywiście dawało mu to satysfakcję, jakiej nigdy nie miałby szans osiągnąć z kobietą ani z dojrzałym mężczyzną. Bestia jednak często o tym przypominała, a podobno kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą i może tak właśnie się stało. Jest teraz w piekle i z niebywałą rozkoszą słucha tej symfonii grozy, jęków, lamentów, wrzasków i błagań, zupełnie niepotrzebnych, lecz grzesznicy głupi, to drą japę bez sensu i w sumie niech drą dalej, to bardziej podnieca, a ich i tak czeka nieskończone cierpienie.

Zerka niepewnie na diabła, jego oczy lśnią czerwienią, zębiska ociekają krwią, szpony też, wygląda na głodnego i Luis czuje się nieswojo, ale w myślach słyszy znajomy głos: zabij, zabij, zabij.

Spogląda na rozsypane obok rozżarzone węgle, nad nimi wielki rożen, a na nim, nabity nań jak kapibara, ojciec, Manuel Antonio Garavito. Patrzy na syna błagalnym wzrokiem, jego nagie ciało pokryte pęcherzami telepie się jak galareta, ale jeszcze żyje, czy to w ogóle możliwe?

– Synu... – jęczy, ale Luis tylko szyderczo się uśmiecha i dorzuca węgla, żar robi się coraz większy, skóra ojca zaczyna skwierczeć, czernieć, on wyje, drze się, błaga o litość, ale Luis tylko dokłada więcej i więcej, tłuszcz skapuje, w końcu bucha ogień, płomienie oplatają ciało ojca, pieszczą je, tak jak on pieścił tych chłopców – tak, to są prawdziwe pieszczoty, w końcu na tego skurwysyna przyszedł czas.

Luis wpatruje się w ten obrazek jak zaczarowany, tak długo czekał, aby w końcu się zemścić za wszystkie doznane krzywdy, i to jest prawdziwa, niepojęta rozkosz. Ogień płonie, bucha coraz

mocniej, ojciec przestał krzyczeć, znieruchomiał na tym rożnie, poczerniały, przypominający już nie człowieka, a co najwyżej kawał spalonego mięsa, lecz ogień wciąż bucha, bucha coraz mocniej, teraz już oplata swoimi językami samego Luisa i robi się coraz cieplej i cieplej, w końcu zaczyna parzyć, parzy i piecze, piecze jak jasna cholera, boli, kurwa, dlaczego diabeł go oszukał, to nie tak miało być!

Poruszył się, zakaszał, otworzył oczy i zobaczył ścianę ognia. Instynktownie poderwał się z miejsca. Nie był sam, obok pokieroszowane zwłoki jakiegoś chłopaka, dwa metry dalej drugie, poderżnięte gardło, głowa odchylona, jakby zaraz miała się urwać i poturlać w dół niewielkiego zbocza. Najbardziej piekła ręka, lizana płomieniami płonącej trzciny cukrowej, czerwona, pulsująca bólem.

Okulary, pomyślał, gdzie te jebane okulary? Wokół jasno, gorąco, wszystko spowite dymem i językami płomieni. Luis spróbował wstać, opuszczone na kostki majtki sprawiły, że stracił równowagę, wywrócił się, przeturlał kilka metrów, tam je podciągnął na tyłek i zaczął rozglądać się za szortami. Trawił je ogień, podobnie jak buty i torbę z rzeczami osobistymi. Rozprzestrzeniał się błyskawicznie, bo otaczające go krzaki były suche na wiór. Pieniądze, buty, co jeszcze, kurwa mać?!

Biały dym stał się tak gęsty, że zaczął się dusić. Płomienie już lizały ciała obu martwych chłopców i wszystko, co należało do niego i do nich. Mrużył oczy w poszukiwaniu okularów, ale nie był w stanie ich dostrzec. Kaszłał, charczał, każdy oddech palił przętyk, jakby ktoś wlał do niego kwas. Pomyślał, że musi się ewakuować, bo ogień już zbyt duży i nie da się go ugasić, bez wątpienia zaraz dotrze do pola trzciny cukrowej i dopiero wtedy się zacznie, sucha trzcina to jak las zapalek i wszystko obróci się w popiół. Tylko jak miał uciekać na golasa, przecież zaraz zjadą się tu ci wszyscy pieprzeni

campesinos, potem służby, na pewno straż pożarna, może nawet policja. Gdy go zobaczą, to już po nim, kurwa, kurwa, kurwa mać, kłął szpetnie, przedzierając się przez chaszcze łądyg i liści. Ręka potwornie piekła, czerwona skóra zaczęła się marszczyć, następnie pęcznieć, pęcherze rosły w oczach, niektóre były wielkości małej piąstki, w końcu ten najbardziej napęczniały pękł, oblewając przedramię surowicą, ale nie zwracał na to uwagi, musiał się ratować, uciekać, zniknąć z tego pieprzonego pola, zanim ktoś go spostrzeże.

Ogień rzeczywiście dotarł do upraw, a gdy powiał wiatr, płomienie rozlały się niczym biblijny potop, słup dymu przyciągnął ciekawskie oczy i od strony drogi już wyły klaksony, a chwilę później syreny. A on biegł, biegł przed siebie, już nie czuł bólu, po prostu biegł, bo jeśli chciał żyć, to nie miał innego wyjścia. W końcu dotarł do kolejnego wzgórza, wspiał się na nie i ze szczytu skryty za pnem palmy przez chwilę obserwował akcję gaśniczą, która nie miała szans powodzenia, bo pożar był już zbyt duży. Odetchnął, odkaszlnął, zwymiotował, pomyślał, że musi znaleźć jakieś ubranie i jak najszybciej wyjechać, choć jeszcze nie wiedział dokąd, byle dalej od Palmiry. Wzdrygnął się, gdy dostrzegł jakiś ruch, ale to był tylko cień sępa. Ptaszysko przeleciało dziwnie nisko, tuż nad nim, a potem zobaczył na niebie jeszcze cztery, kołujące po drugiej stronie szosy, i wtedy zdał sobie sprawę, że całkiem niedawno też tam był i tam zgwałcił oraz zabił dwóch chłopców, a ich ciała nawet nie zakopał, bo był zbyt pijany.

Pieprzony diabeł, pomyślał i wbił palce we własny brzuch, jakby chciał go rozszarpać. Nic to nie dało, więc rozejrzał się za czymś innym, bo nóż też zostawił na miejscu zbrodni, w końcu sięgnął po jakiś badyl i jego ostrą krawędź skierował we własne podbrzusze.

– Giń, ty skurwysynu! – syknął i zaczął haratać nim własne ciało. – Giń, przepadnij, diable, istoto nieczysta, zostaw mnie w spokoju, odejdz i nigdy nie wracaj!

Skóra pękła, rozeszła się w kilku miejscach, ale ból był zbyt silny, do tego ta ręka, a na niej bąble wielkie, napęczniałe, bolesne. Nie miał w sobie dość siły, aby wypędzić bestię, badyl też nie nadawał się do rżnięcia ludzkiego ciała, choć może gdyby nie był tchórzem, to jakoś dałby radę, wtedy rozplatałby swój własny brzuch i tu szczył, z flakami na wierzchu, i sępy miałyby ucztę. Zacisnął pięści, wałnął nimi w skronie, raz, drugi, trzeci, potem zaczął się drapać po głowie, no bo przecież jak miałyby patrzeć na ptaszyska, gdy wbijają w niego te ogromne dzioby i wyciągają na wierzch jelita, ale może one wydobyłyby z niego diabła, one może tak. Odrzucił badyl i się rozplakał. Miał już tego dość. Miał dość diabła, który go oszukał, miał dość siebie, potwora z Génovy i tego pierdolonego, niesprawiedliwego świata, w którym przyszło mu żyć i zabijać. W końcu mózg zaprotestował, a on padł na kolana i zaczął modlić się do Boga, bo już chyba tylko w nim była jakaś nadzieja – on podobno wybaczają najgorsze grzechy i Luis pomyślał, że najchętniej przyjąłby teraz najsroższą pokutę, oby tylko Bóg nie pojawił się w postaci sępa, bo tego to by chyba nie zniósł.

Obudził się o zmierzchu, od razu spojrzał na pola, które już w znacznej większości były spopielone, choć wokół ludzie wciąż walczyli z żywiołem. Przyjrzał się poparzonej ręce, która wyglądała koszmarnie, brzuch trochę lepiej, bo tu były tylko zadrapania pokryte strupami. Co robić, myślał, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Bóg milczał, a Szatan, ten zakłamanym, pierdolony tchórz znów udawał, że go w nim nie ma, taki właśnie był, zwykły tchórz, po stokroć gorszy od swego żywiciela.

Ocknął się, gdy zrobiło się już całkiem ciemno, a na niebie świeciły miriady gwiazd. Przez chwilę patrzył w nie, a potem podniósł się i w bladym świetle księżyca ruszył przed siebie, nie wiedząc, gdzie go nogi poniosą.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Palmira jest miastem w południowo-zachodniej części Kolumbii liczącym około ćwierci miliona mieszkańców i wchodzi w skład aglomeracji ponaddwumilionowego Cali. Z czego słynie? Oczywiście z trzciny cukrowej, ale w mniejszym zakresie uprawiane są tam też kawa, kakao czy tytoń.

Był to najbardziej wysunięty na południe punkt naszej wyprawy. Niżej się nie zapuszczaliśmy z powodów, o których już wcześniej nieraz wspominałem. Do centrum samej Palmiry też nie wjeżdżaliśmy, bo nasi przewodnicy uznali, że nie jest to konieczne. W zamian obiecali namierzyć dokładnie miejsce, gdzie doszło do najważniejszego odkrycia śledczych ścigających Garavito. Niestety, nie mamy pewności, czy to, do którego dotarliśmy, było tym poszukiwanym, bo nikt z lokalnych mieszkańców nie był w stanie nam tego jednoznacznie potwierdzić – i trudno się dziwić, gdyż teren wokół miasta niemal w całości pokrywają albo uprawy trzciny cukrowej, albo pastwiska i wszystkie te miejsca wyglądają niemal identycznie. Ostatecznie powłóczyliśmy się po kilku potencjalnych lokalizacjach, ale nawet to wystarczyło, aby jakoś sobie wyobrazić, co mógł czuć Garavito, gdy popełnił największy błąd w swojej karierze mordercy.

Czy tak to mogło wyglądać? Z dużym prawdopodobieństwem, bo dokładna analiza na miejscu zbrodni wykazała, że Garavito po zamordowaniu trzeciego chłopca po prostu zasnął z papierosem w ustach, czym doprowadził do wzniesienia ognia, a następnie do pożaru. Później przyznał, że był bardzo pijany i niewiele z tego wszystkiego pamiętał. Jego sen to już moja wizja, choć Garavito

wielokrotnie powtarzał, że pasjonował się satanizmem, prowadził dialogi z Szatanem i często wyobrażał sobie piekło, a ponieważ najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie nienawidził swojego ojca, pozwoliłem sobie umieścić na rożnie właśnie Manuela Antonio. Wróćmy jednak do faktów...

Szóstego lutego 1999 roku na niewielkim zboczu przylegającym do pola trzciny cukrowej natknięto się na trzy ciała zamordowanych chłopców. Do odkrycia doszło przypadkowo, gdyż był to teren, który został strawiony przez ogień. Spalone ciała ofiar miały skrępowane ręce, nosiły ślady gwałtu i długotrwałych tortur, szyje zaś były pocięte tak głęboko, że omal nie doszło do dekapitacji. W tamtym okresie w okolicach Palmiry już znajdowano podobnie okaleczone zwłoki młodych chłopców, ale tym razem śledczy natrafili na coś więcej.

– Na miejscu zbrodni znaleźliśmy trzynaście dowodów w postaci rzeczy należących do sprawcy, w tym te najważniejsze: buty i okulary – tłumaczył jeden ze śledczych, kryminalistyk Carlos Hernán Herrera.

Na miejscu natknięto się także na kilka innych cennych dowodów, takich jak: butelki po La Corte, bielizna, szorty czy nadpalone pieniądze. Błyskawicznie ustalono, że mężczyzna, który je tam zostawił, jest tym samym, który mordował w innych częściach kraju. Herrera wraz ze swoim zespołem specjalistów zabrał się do intensywnej pracy i stosunkowo szybko ustalił dwie niezwykle istotne rzeczy.

- Buty – po ich dokładnym przebadaniu śledczy wysnuli kilka wniosków, w tym te najważniejsze. Rozmiar stopy i nacisk na podłoże pozwoliły określić przybliżony wzrost podejrzanego, który w ich ocenie wahał się pomiędzy sto sześćdziesiąt trzy a sto sześćdziesiąt siedem centymetrów. Drugą, niezwykle istotną kwestią był fakt, że jeden z butów miał wyraźnie przetartą podstawę obcasa, co oznaczało, że jego właściciel, chodząc, nie stawiał nogi prawidłowo, ciężar ciała opierając, a następnie okręcając na jednej

stopie. Innymi słowy – morderca kulał, kuśtykał, więc albo cierpiał na jakieś wrodzone schorzenie, albo kiedyś uległ wypadkowi.

- Okulary – na ich podstawie śledczy byli w stanie ustalić przybliżony wiek sprawcy, który według nich liczył sobie pomiędzy czterdzieści a pięćdziesiąt lat (wcześniej szukano mężczyzn pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym piątym rokiem życia), oraz jednoznacznie stwierdzić, że podejrzany cierpiał na astygmatyzm w lewym oku.

To były mocne dowody, które pozwoliły zawęzić listę wyselekcjonowanych wcześniej podejrzanych do dwudziestu pięciu osób. Sprawca był zatem mężczyzną w średnim wieku, mierzącym około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, miał wadę wzroku i regularnie pił brandy La Corte. Na tej ostatecznej liście pozostał Luis Alfredo Garavito Cubillos.

Praca śledczych ruszyła pełną parą. Każdy zespół wziął pod lupę jedno nazwisko i tak eliminowano kolejnych podejrzanych. Presja, aby jak najszybciej odnaleźć mordercę, była tak duża, że przez pomyłkę aresztowano innego pedofila, Pedro Pablo Ramírezę Garcíę, który niemal idealnie wpisywał się w profil mordercy, gdyż miał czterdzieści cztery lata i utykał na prawą nogę. Zeznania jednego z chłopców, który przyznał, że niedawno był przez niego molestowany, niemal upewniły śledczych, że złapali odpowiednią osobę. Niestety, García wypierał się wszystkiego, a jego odciski palców nie pasowały do tych zostawionych na pieniądzach czy butelkach La Corte. Śledczy znów znaleźli się w kropce, tym bardziej że w innych miastach Kolumbii dalej ginęły dzieci i odnajdywano zmasakrowane ciała.

Tymczasem głównodowodzący akcją poszukiwawczą Aldemar Durán zaczął podejrzewać kogoś innego. Podczas przeglądania akt z licznych przestępstw na nieletnich natrafił na jedno, które bardziej niż inne zwróciło jego uwagę. Dotyczyło morderstwa dokonanego na dwunastoletnim Renaldzie Delgado w Tunji, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Bogoty. Według

dokumentów modus operandi sprawcy był niemal identyczny z tym, który cechował mordercę atakującego w regionie Eje Cafetero, co jednak ważniejsze, w aktach widniały protokoły oraz zeznania kilku prostytutek oraz właściciela jednego ze sklepów, którzy twierdzili, że widzieli ofiarę wychodzącą z nieznanym mężczyzną. Świadców odnaleziono i pokazano im zdjęcia z zawężonej listy podejrzanych. Prawie wszyscy wskazali na Garavito.

Durán błyskawicznie dotarł do informacji, że w czerwcu ubiegłego roku w Génovie, wsi, gdzie Garavito przyszedł na świat, zostało zamordowanych trzech chłopców. Skontaktował się z komendantem lokalnej policji, który przyznał, że podejrzanym jest właśnie Garavito, niestety, mężczyzna zdołał umknąć i ślad po nim zaginął. Jego uwaga skierowała się więc na Trujillo, gdzie się wychowywał i gdzie wciąż był zameldowany. W okolicach tego miasteczka na przestrzeni wielu lat też zgłoszono zaginięcia kilkunastu nieletnich oraz odkryto kilka ciał, dlatego Durán poczuł, że trafił w dziesiątkę, i natychmiast udał się pod adres zamieszkania podejrzanego. Na miejscu zastał jedynie jego siostrę, Estherę, która przyznała, że nie widziała brata od miesięcy, ale za to przekazała śledczym jego teczkę (takich teczek odnaleziono kilka, do czego jeszcze wrócę), ta zaś zawierała masę dowodów: zdjęcia młodych chłopców, ich legitymacje z danymi osobowymi, bilety, paragony z hoteli, wycinki z gazet czy wreszcie własnoręcznie prowadzone dzienniki szczegółowo opisujące kolejne morderstwa. Od tego momentu nie ulegało wątpliwości, że poszukiwanym mordercą dzieci jest Luis Alfredo Garavito Cubillos.

Tożsamość mordercy już w zasadzie ustalono, ale wciąż trudno było go namierzyć, gdyż zeznania jego siostry sugerowały, że Garavito bardzo często przemieszcza się po całym kraju. Zaczęło się polowanie, poinformowano jednostki w innych miastach, Durán zaś i jego zespół bardzo dokładnie badali zawartość teczek. W trakcie jednej ze szczegółowych analiz natrafili na niewielki świstek, który jakimś cudem umknął ich uwadze – przekaz pieniężny na nazwisko jednej z partnerek podejrzanego: Gabrieli

Zabalety. Natychmiast udali się do jej mieszkania, niestety, ona również nie widziała Garavito od miesięcy. Wręczyła im jednak kolejną wypchaną dowodami teczkę, którą u niej zostawił przed wyjazdem. Okazało się, że te są jeszcze mocniejsze, bo poza gazetami, zdjęciami czy dziennikami w środku znajdowały się przedmioty podobne do tych, które odkryto na miejscach zbrodni: sznur, lubrykanty, a nawet śrubokręty czy żyłki, którymi Garavito torturował, a następnie zabijał swoje ofiary.

Durán postawił hipotezę, zresztą prawidłową, że skoro sprawca morderstw w Palmirze zostawił na miejscu zbrodni tyle dowodów, w tym tak potrzebne do codziennego funkcjonowania okulary, prawdopodobne jest, że mógł przypadkiem sam wzniecić pożar. Założył też, że skoro uciekł z miejsca zdarzenia w takim pośpiechu, mógł ulec poparzeniom. Idąc tym tropem, postanowił wydać polecenie, aby policjanci z miast, gdzie odnajdywano ciała dzieci, przesłuchali wszystkich właścicieli aptek oraz zakładów optycznych. I trafił w dziesiątkę, bo okazało się, że jeden z aptekarzy w Pereirze obsłużył klienta z poważnymi poparzeniami lewej ręki – klient ten miał twarz Garavito.

Teraz wystarczyło już tylko skupić się na schwytaniu kulejącego mężczyzny w okularach, z opatrunkiem na ręce. Garavito, jakby czując, że śledczy już depczą mu po piętach, zniknął, nie pozostawiając żadnych śladów, i pomimo szeroko zakrojonej obławy jeszcze przez ponad dwa miesiące był nieuchwytny. Odnalazł się w odległym o dziesięć godzin jazdy od Pereiry, wyjątkowo podłym i niebezpiecznym Villavicencio...

Rozdział 7

Villavicencio, Kolumbia, kwiecień 1999 roku

Luis wypił resztkę piwa i zgniótł puszkę. Wyrzucił ją za siebie w krzaki, po czym beknął i przymknął powieki. Był przytłoczony, zmęczony i przygnębiony. Nie miał już siły, aby walczyć z diabłem, który go opętał. Ta istota wciąż wierciła się w środku, drapała tymi szponiastymi paluchami jego podbrzusze, jakby specjalnie mściła się na nim za to, że zapragnął wyrwać ją z własnych trzewi wtedy, gdy o mało sam nie spłonął na tamtym polu trzciny cukrowej. Ręka wciąż się babrała i bolała, więc pił jeszcze więcej, aby ten ból zagłuszyć, pił bez ustanku, żebrał i pił, prawie nie jadł, zabijał, pił, żebrał, zabijał.

Nie miał pojęcia, dokąd zmierza jego życie. Czuł, że chyba donikąd, najpewniej do piekła, bo raczej nie do nieba, z tym, że Bóg mu nie wybaczy, już dawno się pogodził. Diabłu jednak nie ufał, przecież to pierwszy łgarz, perfidny uwodziciel i kłamca, który mówi jedno, a robi drugie, do tego jednak tchórz, bo gdy działo się źle, to wtedy zawsze znikał, aby pojawić się w momencie, gdy było lepiej i Luis zaczynał wierzyć, że podły pasożyt zniknął na zawsze. Tak jak teraz, gdy już plątał mu myśli, sączył do ucha złe słowa, mówił: zabij, zabij, zabij, chcę więcej krwi.

– Zamknij się! – warknął Luis, łapiąc się za skronie i rwąc z głowy włosy, a potem gadał do siebie, szpetnie kląc, i jego monolog

w zasadzie nie miał sensu, gadał dla samego gadania, aby zagłuszyć wewnętrzny głos.

Temperatura gwałtownie spadła, niebo zasnuło się stalowymi chmurami, ale czego mógł się o tej porze roku spodziewać na granicy świata cywilizowanego i amazońskiej puszczy, no prawie, bo po drodze było jeszcze trochę pastwisk, a przed lasem deszczowym uprawy koki. Dwa dni temu widział dwa trupy bez głowy. Leżały w rowie przy drodze i jadły je czerwie, choć wcześniej chyba dobrały się do nich trochę większe zwierzęta, bo widać było ślady kłów, pazurów i dziobów, zwłoki zaś nie przypominały już ludzi, raczej ściervo, kupę kości i flaków, cuchnącą i niewartą uwagi, gdyby nie to, że to coś, z czego się wzięła, niedawno jadło, srało i gadało, a może miało też dzieci. Nie przejął się tym ani trochę, nikogo też nie poinformował, bo podobne znaleziska absolutnie tu nie dziwiły. W takich miejscach jak Villavicencio, miastach bezprawia, trupy widywało się często w rowach, śmietnikach, a czasem na głównych placach, gdy ktoś kartelowi podpadł, wtedy zwykle bez skóry na głębie albo bez przyrodzenia lub w ogóle w kawałkach z kutasem i jajcami w gardle. Taki był ten świat i po co było z tym walczyć, on więc nie walczył i robił swoje, choć może nie mógł tak oficjalnie, bo dzieci to jednak inna sprawa. On musiał te ciała chować w zaroślach, a gdy się dało, zakopywać albo topić w rzece, taka to była jebana niesprawiedliwość na tym świecie, że oni mogli się tym chwalić, a on musiał się z tym kryć i miał już tego naprawdę serdecznie dość.

No to wstawaj, ty chuju nieszczęsny, pomyślał i podniósł się z ławki, zatoczył się, ale nie upadł, przechylił się tylko na lewą stronę i podparł ręką. Poprawił luźne spodnie – zgubił gdzieś pasek, a że ostatnio mało jadł, to schudł wyraźnie i trochę mu one z dupy spadały. Nie był głodny, bo jakoś tak się porobiło, że tego głodu mocno nie odczuwał. Potrafił nie jeść nawet kilka dni z rzędu,

musiał pić i to był jedyny warunek, wskrobał więc z kieszeni spodni kilka wygniecionych banknotów i rozejrzał się za jakimś sklepem z alkoholem. Nie dostrzegł żadnego, ale przypomniał sobie, że na pobliskim placu jest taki jeden, więc dłużej się nie zastanawiał, poszedł tam, kupił co trzeba i przysiadł na kolejnej ławce, otworzył butelkę i zaczął pić.

Obserwował ludzi, którzy mijali go, jakby nie istniał, jakby był powietrzem. Patrzył i wyobrażał sobie, jak ich wszystkich zarzyna, choć wolałby jakiś karabin maszynowy, wtedy zrobiłby to samo, co kiedyś zrobił Campos Elías Delgado Morales, zabijając dwadzieścia dziewięć osób i raniąc dwanaście w restauracji Pozetto w Bogocie, a potem najlepiej sam by się zastrzelił i to byłaby piękna śmierć w blasku fleszy, nie musiałby dalej tułać się po kraju tylko po to, aby żreć, srać i zabijać młodych chłopców, no i tarmosić się z tą przekłętą bestią mieszkającą w jego własnych trzewiach. Siedział, palił skręta, pił i patrzył z pogardą na ignorujących go ludzi, gdy nagle stanął przed nim młody chłopak i się uśmiechnął.

– Zechce pan spróbować szczęścia, *señor*? – zapytał i wyciągnął wachlarz kuponów na loterię, które Luis dobrze znał, bo już nie pierwszy jakiś smark chciał mu wcisnąć losy, samemu pieczętując swój los.

– A przyniosą mi szczęście, *amigo*? – odpowiedział pytaniem na pytanie, równie sztucznie się uśmiechając.

– Miliony, miliony do wygrania, *señor*. Moje ręce są szczęśliwe.

– W takim razie zaryzykuję.

– Ile pan chce, *señor*?

– Wezmę kilka, ale najpierw muszę wziąć z hotelu pieniądze. To tam, niedaleko, wiesz, gdzie jest Rosa Blanca ⁴³?

– Oczywiście, *señor*.

Poszło gładko, diabeł gryzł i szarpał pazurami. Garavito wcale tam nie mieszkał, ale znał teren, bo kiedyś, gdy jeszcze sprzedawał odświeżacze powietrza, zdarzało mu się wynajmować tam pokój – to było znakomite miejsce, kawałek dalej rosły gęste zarośla i zaczynała się dżungla. Ruszyli, gawędząc przyjaźnie. Chłopak był bardzo otwarty, dużo mówił i naprawdę mu się podobał, aż w podbrzuszu się gotowało. Przedstawił się jako Iván, liczył sobie dwanaście, może trzynaście lat, bardziej obfity w kształtach, nosił koszulę oraz wytarte dżinsy i chwalił się, że zbiera na naukę, bo w domu bieda aż piszczy, a matka, choć go kocha, to nie da, bo niby z czego, jak nie ma.

Droga wlokła się strasznie, bo cierpliwości Luisowi brakowało już od jakiegoś czasu i strasznie go korciło, aby rozerwać chłopakowi tę koszulę, a potem przyssać się do piersi i ssać, gryźć, potem rozebrać, wziąć żyłki albo nóż i wiadomo, co dalej. Przy Rosa Blanca chłopak przystanął, rozejrzał się, a on powiedział, że spokojnie, to tu mieszka, przy Carrera 37, co oczywiście było kłamstwem, ale tam rosły drzewa i zaczynał się gęsty las. Gdy tylko doszli do podanej ulicy, Garavito rozejrzał się wokół, nie zobaczył ludzi, samochodów też nie, więc wyciągnął z torby swój bydlęcy nóż i przyłożył go chłopakowi do gardła.

– Włóż w zarośla – powiedział, napierając ostrzem na skórę. – I nie waż się krzyczeć albo płakać, bo poderżnę ci gardło i wypruję ci flaki, gnoju mały, skurwysynu.

Chłopak zareagował tak jak wszyscy, z którymi miał przyjemność się spotkać i nóż na gardle im położyć. Skończył gadać, ucichł w jednej chwili, jakby ktoś mu język wyrwał, tylko oczy mu trochę poczerwieniały. Grzecznie przeszli przez ulicę i zniknęli w zaroślach, gęstych i mokrych, bo wciąż była tu rosa. Wtedy

Garavito wyjął sznur i spętał ręce Ivána, na nogi zabrakło czasu, tak był podekscytowany.

– A teraz zrobisz to, co ci każę, mały sukinsynu – warknął i popchnął go na ziemię.

– Proszę mnie nie krzywdzić – błagał chłopak, łzy płynęły mu z oczu, ale to tylko Luisa rozsierdziło.

– Mnie prosisz, gnojku mały? – dopytywał i bluźnił przeokropnie. – Teraz cię wyrucham. Wyrucham cię, a ty będziesz siedział cicho. Jestem zboczeńcem i sadystą, więc jak zaczniesz się drzeć, to ci tym ostrzem dziury w ciele porobię i zgwałcę w te otwory, potem wybebeszę, a może też utnę ci chuja i do gęby włożę, żebyś się udławił, więc milcz i nie becz, ty mały sukinsynu, smarku pierdolony!

Na dworze panował półmrok, choć w widocznych z zarośli budynkach paliło się światło. Tam ludzie nie mieli pojęcia o gehennie Ivána, którego dorwała bestia z najgorszych koszmarów i robiła mu ohydne rzeczy, a on milczał, w nadziei, że tylko na tym się skończy, na gwałcie, i dlatego nie krzyczał, tylko trochę popiskiwał. Bestia jednak dalej się nakręcała, zaczęła wyć, charczeć i bluzgać, jakby przez nią sam Szatan przemawiał. Nagle w zaroślach coś zaszeleściło, a potem poleciały kamienie.

– Zostaw go, sukinsynu. Puść go, diable, pieprzony sadysto! – rozległo się wołanie. Garavito sięgnął po bydlęcy nóż i odwrócił się w stronę, skąd dochodził ów głos.

Poczuł, że wzbiera w nim gniew i przerażenie, bo znów ktoś go nakrył i teraz już nie miał wyjścia, musiał tego kogoś uciszyć, zabić jak najszybciej, bo głos człowiek miał donośny i mógł ściągnąć tu innych ludzi. Kolejne kamienie leciały w jego stronę, puszki i jakieś badyle też, jeden trafił w bark, drugi w klatkę piersiową i aż mu dech odebrało. Postać na drodze darła się wniebogłosy, wołała, że

bałamuć dziecko, wtedy Garavito się obejrzał i dostrzegł, że chłopak nie leży już na ziemi, tylko biegnie i znika w gąszczu. Zaklął wyjątkowo szpetnie, ale zaraz ucichł, stracił rezon i już nie miał odwagi wyjść na drogę, aby zabić tego wyjącego sukinsyna, bo przecież jak wyjdzie, to mu dzieciak ucieknie, a jak nie wyjdzie i pogoni chłopaka, to zaraz zlecą się inni, a wtedy to już lepiej samemu sobie szybko gardło poderżnąć, niż dać się dopaść i zostać rozszarpanym na strzępy gołymi rękoma albo pozwolić, by jakiś pies wyżarł mu kłami przyrodzenie.

Wizja ta, najgorsza z możliwych, stanęła mu przed oczami jak żywa, wtedy kolana się pod nim ugięły i już nie myślał ani o biegnącym chłopaku, ani o facecie na drodze, myślał tylko o tym, aby uciec jak najdalej od tego miejsca, a najlepiej wyparować, choć przecież to nie było możliwe. Przedzierając się przez gęste krzaki, przeklinał siebie i tchórza, który w nim siedział i teraz nie mówił: zabij, zabij, zabij, chcę więcej krwi, tylko milczał jak grób.

* * *

Iván Sabogal siedział okryty szmatami, jego ciało drżało z zimna i przerażenia.

Wokół panował potworny harmider. Ludzie głośno rozmawiali, krzyczeli, klócili się z policjantami, którzy w sile dwóch radiowozów pojawili się na miejscu zdarzenia.

– Sukinsyny! Pieprzone cioty! Do niczego się nie nadajecie! – wołali i wymachiwali rękoma tu zebrani, kobiety również, jakby było w nich jeszcze więcej zaciekleści.

Funkcjonariusze próbowali z nimi rozmawiać, ale trudno było zapanować nad wulkanem emocji ojców i matek stanowiących głos mieszkańców Villavicencio. Tu prawie każdy znał kogoś albo znał kogoś, kto zna kogoś, kto w ostatnich latach stracił dziecko, wszak

trupy młodych chłopców odnajdywano na tym terenie niemal nieustannie, okropnie zmasakrowane, odarte ze skóry, rozczłonkowane, zbezczeszczone w najbardziej szkaradny sposób, tak że nie dało się ich nawet pożegnać, bo na pogrzebach trumny ze szczątkami zawsze były zabite gwoździami. I gdy w końcu podejrzany został złapany na gorącym uczynku, wymknął się z taką łatwością, po prostu wszedł do lasu, a policjanci postanowili go nie ścigać.

– Musimy zachować się racjonalnie – próbował uspokajać zgromadzonych jeden z nich, sierżant Pedro Babativa. – Jest już ciemno, że oko wykoł, a las gęsty. Trzeba poczekać, aż wyjdzie, a jeśli będziecie tu stać i wykrzykiwać, to nigdy tego nie zrobi!

– Pierdol się, tchórze!

– Wal się, cioto!

– Do roboty, szmaciarze!

Tłum był wściekły i nie dawał się przekonać. Napierał na policyjne auta i wydawało się, że zaraz dojdzie do rękoczynów, ale wtedy nadjechał kolejny radiowóz. Jeden z posterunkowych uprzedził Ivána o tym, kogo może się w nim spodziewać, dlatego chłopak podniósł się na równe nogi i zrobił kilka kroków w stronę pojazdu, a gdy drzwi się otworzyły i z wnętrza wysiadła jego matka, pobiegł i rzucił się w jej ramiona. Przez dłuższą chwilę ściskali się wzajemnie, płacząc i dziękując Bogu, potem znów się ściskali, w końcu przerwał im sierżant Babativa.

– Musimy się wycofać – powiedział służbowym tonem. – Ale chciałbym, aby pani syn pojechał z nami.

– W jakim celu?

– Nie wycofujemy się zupełnie. To tylko zmyłka. Chcemy dopaść sprawcę tego okropnego ataku, ale najpierw musimy wywabić go z buszu. Pani syn jest jedynym świadkiem, który może rozpoznać

tego człowieka. Potrzebujemy go, aby w odpowiednim momencie nam go wskazał. Wtedy go aresztujemy.

María Sabogal spojrzała na syna, a ten przytaknął, więc nie oponowała i już po chwili siedzieli w radiowozie. Sierżant Babativa podjął ostatnią próbę uspokojenia emocji, ale w odpowiedzi usłyszał tyle obelg, że tylko skinął na swoich podwładnych i przy akompaniamencie wyzwisk oraz krzyków wozy patrolowe odjechały, zostawiając wściekły tłum samemu sobie.

Przez kolejną godzinę Iván wypatrywał przez okno mężczyzny, który go zaatakował, albo słuchał policyjnej szczekaczki, bo rzeczywiście coś tam się działo i policjanci szykowali jakąś akcję, a włączyli się do niej również taksówkarze, którym policja udostępniła nawet swój kanał radiowy. Nie zdziwiło to Ivána, bo też nie było tajemnicą, że i oni mieli na pieńku z potworem mordującym dzieci, gdyż syn jednego z nich kilka lat wcześniej padł ofiarą tej bestii, która teraz najprawdopodobniej kryła się w buszu. Podczas jazdy matka albo go tuliła, albo zagadywała policjantów, co ich trochę irytowało i co w końcu dali jej do zrozumienia, więc zamilkła i tylko pod nosem wzywała imię Boga albo Najświętszej Panienki, której podobiznę w postaci wisiorka noszonego na szyi skrycie od czasu do czasu całowała. Wkrótce do taksówki dosiadł się ojciec Ivána, który też swoje dołożył i zaczęło robić się nerwowo, bo jak to tak, że policja tylko jeździ bez celu i nic poza tym nie robi, gdy jego syna napadnięto i zbałamucono.

Tak minęła kolejna godzina – na kręceniu się wzdłuż drogi, raz z jednej strony, raz z drugiej, na wsiadaniu i wysiadaniu, rozmowach z mieszkańcami oraz informowaniu ich, żeby mieli oczy szeroko otwarte, bo w okolicy grasuje potwór, i to zapewne ten, który w bestialski sposób zamordował w ostatnich latach tyle niewinnych dzieci. I gdy to wszystko zaczęło się już robić groteskowe,

szczekaczka znów się odezwała i dało się słyszeć jednego z taksówkarzy:

– Ktoś wychodzi zza krzaka, ktoś wychodzi zza krzaka – powiedział głośno i wyraźnie, ale zabrzmiało to tak, jakby zaraz chciał wziąć sprawy w swoje ręce, więc sierżant Babativa ostrzegł go jednoznacznie, aby nie podejmował żadnych prób obywatelskiego zatrzymania, a potem z piskiem opon zawrócił i popędził w miejsce, gdzie zameldowano obecność podejrzanego.

Droga zajęła niecałe pięć minut, podczas których serce Ivána omal nie wyskoczyło z piersi – sam nie wiedział, czy ze strachu, czy z gniewu, bo bardzo chciał się odegrać na tym bandycie za to, co zdążył mu zrobić. Noc była ciemna, a w budynkach mieszkalnych powoli gasły światła, lecz reflektory radiowozu świeciły, jak należy, i w pewnym momencie w ich zasięgu znalazła się wychudzona, zgarbiona postać, która miała na sobie wymiętą kraciastą koszulę i dżinsy oraz lewą rękę owiniętą bandażem od nadgarstka aż po bark.

– To on! To ten, który chciał mnie zgwałcić! – krzyknął John Iván Sabogal i wskazał nań palcem, a potem znów zaczął się trząść.

Sierżant Babativa zachował zimną krew i zatrzymał radiowóz w niedalekiej odległości od podejrzanego, następnie ostrzegł ojca, matkę i samego Ivána, aby pod żadnym pozorem nie wysiadali z wozu, a potem sam z niego wysiadł i poświecił na mężczyznę strumieniem światła z latarki. Nieznajomy nie zareagował, człapał dalej, jakby niczego nie zauważył, wtedy z naprzeciwka podjechała taksówka i zagrodziła mu drogę. Chwilę później dołączyły do niej jeszcze trzy, dopiero wtedy podniósł głowę, odwrócił się, przytknął dłoń do czoła.

– Dokąd pan zmierza, *señor*? – zapytał sierżant Babativa, gdy się do niego zbliżył; powiedział to głosem spokojnym, choć

stanowczym.

– Pochodzę z Acasías i tam się udaję – odparł równie spokojnym tonem mężczyzna, wskazując palcem w przeciwną stronę.

– Zatem cóż tu robisz, człowieku, skoro wylotówka na Acasías jest po drugiej stronie miasta? – zapytał Babativa i odpiął od paska kajdanki.

– Ja... najpierw chciałem się... przespacerować i...

– Pan pojedzie z nami, señor.

Babativa nie czekał na odpowiedź, bo z mroku zaczęli wyłaniać się rozwścieczeni mieszkańcy. W rękach trzymali kije, widły i maczety, a ich okrzyki zwiastowały najgorsze. Czym prędzej założył mężczyźnie kajdanki i poprowadził go do drugiego radiowozu, który tymczasem zdążył się pojawić. Gdy jechał na komendę, przez myśl mu nawet nie przeszło, że właśnie zatrzymał najbardziej przerażającego seryjnego mordercę w historii świata.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Ten rozdział potraktowałem wyjątkowo faktograficznie, bo akurat moment zatrzymania Luisa Garavito został udokumentowany w sposób bardzo dokładny. Wszystko, co tu opisałem, wydarzyło się naprawdę, każdy umieszczony w powyższym rozdziale dialog czy zdanie padło z ust czy to niedoszłej ofiary Johna Ivána Sabogala, czy to sierżanta Babativy, także taksówkarzy, wściekłego tłumu mieszkańców, no i w końcu samego Garavito. Niestety, miejsce akcji – czego bardzo żałuję – mogłem opisać tylko na podstawie zdjęć, bo do samego Villavicencio nigdy nie dotarłem.

Zanim wrócę do samego momentu aresztowania, wyjaśnię, dlaczego tak się stało i pomimo tego, że stolica departamentu Meta leży zaledwie niecałe sto trzydzieści kilometrów na południowy wschód od Bogoty, podjęliśmy decyzję, aby tam nie

jechać. Zapewne po części się domyślacie, bo ująłem to w tekście powyżej, ale w tym wypadku – po przeczytaniu mojego planu podróży – nasi przewodnicy zakomunikowali nam to, jeszcze zanim wsiedliśmy do samolotu do Kolumbii.

– Do Villavicencio nie pojedziemy, bo to jedno z najbardziej niebezpiecznych miast w Kolumbii, jeśli nie najniebezpieczniejsze – powiedział Jesus Sepulveda, gdyż Roberto jeszcze wtedy nie znałem.

Pamiętacie też zapewne, gdy pisałem o tych punktach stykowych, które są swoistymi bramami pomiędzy cywilizowaną częścią kraju a tą niemal zupełnie dziką, gdzie panuje całkowite bezprawie. Villavicencio to taki właśnie punkt, bo to ostatnie większe miasto w części kraju, gdzie nie tylko teoretycznie, ale też praktycznie rządzą kartele narkotykowe, często wspomagane przez byłych członków komunistycznej partyzantki FARC. Dalej jest już tylko dżungla amazońska...

Jedną z anegdot dotyczących właśnie Villavicencio jest ta z mojej rozmowy z Roberto, który jako kierowca i ochroniarz odwiedził to miasto dwukrotnie. I dwukrotnie, pomimo że jest Kolumbijczykiem, omal nie stracił życia.

– Dlatego nie używam już nawigacji – mówił, gdy go podpytywałem przy wyjeździe z koszmarnej zakorkowanej Bogoty i próbowałem się wykazać, dziś to w sumie naprawdę nie wiem czym, szukając w smartfonie jakiegoś objazdu. – To tak à propos tego Villavicencio, na które podobno naciskałeś – kontynuował. –

Za pierwszym razem wiozłem tam dwóch niemieckich turystów. Znam trochę ten język, bo przed laty studiowałem w Hamburgu i często pracuję właśnie dla Niemców. Tak więc pojechaliśmy tam, bo chcieli robić jakiś materiał naukowy o plemionach zamieszkujących tereny na wschód od Villavicencio. Dobrze płacili, więc ich zawiozłem. W pewnym momencie zachciało nam się sikać i zatrzymaliśmy się na jakimś zjeździe. Wiesz, jak to się skończyło?

– Mów, mów...

– Zanim się zorientowaliśmy, nadjechały dwa samochody i wysiadło kilku facetów z bronią. Musieli nas śledzić, bo od razu

wiedzieli, że wiozę gringos. Na szczęście tylko nas okradli i zostawili samochód. Niecały rok później znów trafiła mi się fucha na wyjazd do Villavicencio. To miała być zwykła podwózka pary Kolumbijczyków z Bogoty, więc niespecjalnie się zastanawiałem, w końcu to moja robota. Przyjąłem zlecenie, wrzuciłem adres w nawigację i ruszyliśmy do celu, ale na miejsce nie dotarliśmy, bo satelita poprowadził nas jakimiś bocznymi drogami do miejsca, gdzie powinien być most, ale go nie było. Prawdopodobnie został zniszczony przez przetaczające się przez ten rejon silne ulewy, ale nieważne. Miejsce to znajdowało się na obrzeżach miasta, w jednej z dzielnic biedoty. Nasza obecność natychmiast przykuła uwagę mieszkańców, a gdy tylko zatrzymaliśmy się przed zniszczonym mostem, błyskawicznie doskoczyła do nas zgraja kilkunastu młodych mężczyzn z bronią.

Nie ukrywam, że z początku trochę nie dowierzałem, bo to, czego naczytałem się o Kolumbii, traktowałem z lekkim przymrużeniem oka. Już kilka godzin później w Ciudad Bolívar przekonałem się, że wszystko, co robili nasi przewodnicy, robili z myślą o naszym bezpieczeństwie. Tymczasem, na jednej z tych zakorkowanych ulic Bogoty, z głupim uśmieszkiem na ustach, słuchałem dalej.

– Też was okradli? – zapytałem.

– Tym razem zabrali wszystko, począwszy od samochodu, na butach kończąc. I żeby nie było, wszystko z nożem na gardle, co gorsza, kilku przebąkiwało, że tak na wszelki wypadek to lepiej byłoby się nas pozbyć. Ostatecznie puścili nas w samych majtkach i w tych majtkach musieliśmy tarabanić się piechotą do centrum miasta, gdzie ostatecznie wylądowaliśmy na jednym z posterunków policji. A teraz wyobraź sobie, że jesteś na takim posterunku, ale nie masz absolutnie nic. Ani samochodu, ani dokumentów, ani pieniędzy, kart kredytowych czy telefonu, gdzie są zapisane numery do rodziny czy przyjaciół mogących ci pomóc. Do Bogoty udało się nam wrócić dopiero po dwóch dniach, i to tylko dlatego, że znałem na pamięć numer do jednego z moich przyjaciół, który po nas przyjechał.

Pamiętam, że przetłumaczyłem tę historię Przemkowi Żmudzie. Słuchał, coraz szerzej otwierając oczy i coraz głębiej zapadając się w siedzeniu.

– Ja na takie rzeczy się nie pisałem – powiedział w końcu, rechocząc, choć jak go znam, do śmiechu mu nie było.

– A teraz pomyśl, Pepe – kontynuował Roberto. – Na pace mamy cały wasz dobytek. Te wszystkie laptopy, kamery, ciuchy na cały pobyt, nie wspominając o paszportach, kartach kredytowych czy gotówce, jaką pewnie trzymacie przy sobie. Chciałbyś ryzykować, żeby to wszystko stracić i tak jak ja zostać w samych gaciach? – Roberto odwrócił się przez ramię i spojrzał na mnie pytająco. Dostrzegłszy moje delikatne zawahanie, uśmiechnął się i dodał: – A to i tak w najlepszym wypadku, bo gringos mają dla tych bandytów dodatkową wartość: można za nich dostać okup.

Poczułem się przekonany, choć nie na tyle, aby zrezygnować z odwiedzenia bogotańskiego Ciudad Bolívar, którego południowe zbocza widzieliśmy przez większość pobytu w stolicy, no i zza okien wlokącej się na południe Bogoty terenówki. Głupi byłem i się do tego przyznaję, bo ostatecznie wymusiłem na nich przejażdżkę po najgorszych slumsach Bogoty, co już wcześniej wam opisałem i co o mały włos nie skończyło się tragicznie. Tamta przygoda ostatecznie zamknęła temat wyjazdu do Villavicencio.

Wracając jednak do momentu aresztowania Garavito, doszło do niego dokładnie 22 kwietnia 1999 roku, a kajdanki na nadgarstki założył Luisowi wspomniany sierżant Pedro Babativa. Morderca podobno nie protestował i sam pospiesznie wszedł do radiowozu, obawiając się linczu. Tłum był tak rozwścieczony, że w pewnym momencie zaczął atakować policyjne samochody, ale ostatecznie udało się dowieźć podejrzanego do komendy w Villavicencio. Wydawało się, że sprawa jest banalnie prosta, tymczasem Garavito był na ten moment świetnie przygotowany...

Rozdział 8

Villavicencio, Kolumbia, kwiecień 1999 roku

Pedro Babativa odstawił kubek z kawą i skrzyżował ręce na klatce piersiowej. Przez dłuższą chwilę przypatrywał się podejrzanemu. Facet był niepodobny do nikogo i wyglądał dokładnie tak jak większość jemu podobnych. Miał na sobie wypłowiałe jasnoniebieskie dżinsy oraz żółtą koszulę w czarną kratę, która wyglądała, jakby wyciągnął ją psu z gardła. Wymizerowany, zgarbiony, cuchnący gorzej niż gówno muła, nie przejawiał jakichkolwiek oznak zdenerwowania, po prostu siedział na krześle, w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w podłogę, od czasu do czasu brzęcząc założonymi na nadgarstki kajdankami. Było w nim jednak coś niepokojącego. Bił od niego trudny do zdefiniowania chłód, a ten spokój wydawał się nienaturalny, niemal wystudiowany.

Babativa upił kawy, zapalił papierosa i potarł czubek nosa. Zerknął na leżącą na biurku zawartość plecaka podejrzanego. Może nie były to dowody obciążające go w stu procentach, ale znalezione wśród rzeczy osobistych nylonowy sznurek i pudełko wazeliny nie należały do standardowego zaopatrzenia przeciętnego spacerowicza. Sierżant odchrząknął i sięgnął po notes i długopis.

- Pokaż mi swój dowód osobisty – zażądał.
- Zgubiłem go – odburknął mężczyzna.
- Jakiś inny dokument potwierdzający tożsamość?

– Nie posiadam.

Takie odpowiedzi też nie należały do rzadkości, bo większość tutejszych pastuchów pastuchami była tylko z nazwy. Babativa doskonale o tym wiedział, tak jak wiedzieli o tym jego podwładni, ich rodziny oraz każdy mieszkaniec Villavicencio. Wielu przybywało tu dorobić na pracy dla karteli, co nie było powodem do dumy, dlatego w zdecydowanej większości przyjezdni posługiwali się fałszywymi nazwiskami. Dopóki niczego nie zbroili, policja przymykała na nich oko, a na odczepne najłatwiej było powiedzieć, że nie ma się dokumentów.

– Imię i nazwisko?

– Bonifacio Morera Lizcano.

– Numer dowodu.

– Dwanaście, sto dwadzieścia, sześćset dziewięćdziesiąt dwa.

– Zamieszkały?

– Neiva w departamencie Huila.

– Co robiliście na tej drodze?

– Nic.

Spokój tego faceta zaczął się stawać irytujący. Babativa zapisał odpowiedzi i znów omiótł podejrzanego wzrokiem. Upił łyk kawy, zaciągnął się papierosem, cmoknął, lekko zirytowany. Miał doświadczenie i zwykle szybko wychwytywał, gdy ktoś konfabulował, ale ten obdartus zdawał się mówić prawdę. Sięgnął po telefon i wykręcił numer do centrali, a następnie wypytał o zapisane dane.

– Numer należy do Bonifacio Morery Lizcano, lokalnego polityka z Neivy.

– Polityka?

– Tak, coś jeszcze?

– Możecie mi przesłać więcej informacji na temat tego faceta?
I jakieś zdjęcie...

– To zajmie trochę czasu.

– Dzięki.

Babativa podał numer faksu i znów wbił wzrok w podejrzanego. Nie kojarzył żadnego polityka o nazwisku Lizcano, więc jeśli facet nie kłamał, to musiał być co najwyżej jakimś podrzędnym biurokratą. I akurat po tych skurwysynach można było się spodziewać tylko najgorszego.

Przez kolejną godzinę Babativa pił kawę, palił papierosy i wydawał komendy posterunkowym, którzy musieli utrzymać dyscyplinę na zewnątrz. Tam tłum robił się coraz liczniejszy, w rękach wirowały kije, siekiery i maczety, tak że sierżant zaczął mieć obawy o możliwość szturm na komendę. Lekko podminowany przewertował archiwa, gdzie odnalazł kilka dokumentów, które sprawiły, że serce zabiło mu jeszcze mocniej.

Mężczyzna o wzroście między sto sześćdziesiąt trzy a sto sześćdziesiąt siedem centymetrów, wiek między czterdziestym a czterdziestym piątym rokiem życia, wada wzroku i przede wszystkim ślady po oparzeniu lewego ramienia. Zgadzało się co do joty. Co prawda zdjęcie z dowodu poszukiwanego Luisa Alfredo Garavito Cubillosa było nie najlepszej jakości, a do tego bezsprzecznie wykonano je wiele lat temu, jednak podobieństwo było zauważalne. Skuty mężczyzna ze sporym prawdopodobieństwem mógł być ściganym w całym kraju seryjnym gwałcicielem i mordercą dzieci.

Babativa postanowił zachować spokój. Widział już wiele rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydawały się oczywiste, a okazywały się fałszywymi tropami. Pomyślał, że wszystko wyjaśni się, gdy tylko otrzyma dane tego polityka. Gdy usłyszał zgrzyt faksu, natychmiast

zerwał się z krzesła. Przejrzał dokumenty jeszcze przy maszynie, po czym, próbując zachować spokój, z powrotem usiadł za biurkiem. Przez dłuższą chwilę porównywał przesłane zdjęcia Bonifacio Morery Lizcano i siedzącego przed nim mężczyzny. Podobieństwo było uderzające, co mocno zachwiało jego przekonaniem, że właśnie ujął najgorszego mordercę Kolumbii, tym bardziej że na każde zadane pytanie facet odpowiadał zgodnie z tym, co było wydrukowane na przefaksowanych kartkach papieru. Wzrost, data urodzenia, adres domowy i biurowy, imię i wiek żony oraz dzieci, marka samochodu, facet znał nawet imię psa. Nie zdołał złapać go na najmniejszej rozbieżności z tym, co miał przed oczami. Poczul się strasznie zawiedziony, bo ewidentnie musiało dojść do jakiejś koszarnej pomyłki. Oczywiście nie znaczyło to, że zatrzymany jest niewinny, wszak został wskazany przez ofiarę ataku, ale zawód był jednak duży.

Babativa westchnął ciężko i raz jeszcze przejrzał nadesłane papiery. Zapalił kolejnego papierosa, w końcu odłożył plik dokumentów i podrapał się po skroniach, wtedy mężczyzna po drugiej stronie biurka uniósł głowę i zaczął mówić głosem spokojnym, opanowanym, niemal uprzejmym.

– Panie dowódco – rzekł. – Nie wiem, skąd ten pomysł, że mogłem dopuścić się tak ohydneho i bezbożnego czynu. Zapewniam, że ten chłopiec się myli, na pewno się myli. Naprawdę nic złego nie zrobiłem i jestem w tym momencie całkowicie szczery.

– Więc co tam robiłeś?

– Spacerowałem. Fakt jest taki, że nie układa mi się z żoną. Po raz kolejny się pokłóciliśmy i wyszedłem z domu. Tyle.

– Dlaczego więc masz mokre spodnie i trawę na podeszwach butów?

– Bo...

Babativa czekał na odpowiedź, ale ta nie nadeszła. Gdy powtórzył pytanie, mężczyzna po raz pierwszy zaczął gubić się w zeznaniach, bo owszem, każdy miał prawo późnym wieczorem wybrać się na spacer, zwłaszcza po kłótni z żoną, ale nikt po zmroku nie zapuszczałby się na ten spacer w gęsty busz. Miał zatem w biurze człowieka, który zaatakował Johna Ivána Sabogala. Pytanie brzmiało, czy ten sam człowiek zgwałcił i bestialsko zamordował pozostałych czternastu chłopców, których zwłoki w ciągu ostatnich lat odnaleziono w okolicach miasta.

Pomyślał, że to za dużo jak na jeden dzień pracy. Zawołał jednego z podkomendnych i kazał mu zamknąć podejrzanego w celi, a sam wykręcił numer do śledczego, który zajmował się tymi morderstwami. Gdy okazało się, że prokurator Fernando Aya jest aktualnie nieuchwytny, sięgnął po gazetę, wyłożył nogi na stół i zatopił się w lekturze.

* * *

MIGAWKI Z PODRÓŻY

Garavito rzeczywiście był świetnie przygotowany na moment schwytania. Przesłuchujący go Pedro Babativa przyznał później, że po odebraniu zamówionych z centrali danych człowieka, za którego aresztowany mężczyzna się podawał, to jest Bonifacio Morery Lizcano, zaczął mieć poważne wątpliwości.

– Numer identyfikacyjny się zgadzał i to była pierwsza rzecz, która mnie zaskoczyła – mówił Babativa. – Policyjny nos podpowiadał mi jednak, że to może być Garavito. Zacząłem go więc maglować i pytałem dosłownie o wszystko, ale okazało się, że ten facet jest niesamowicie inteligentny. Emanował spokojem i na każde pytanie udzielał konkretnej, szczegółowej odpowiedzi. Wszystko zgadzało się z tym, co otrzymałem z centrali, więc musiał znać życie tej osoby na pamięć. Regularnie powtarzał też, że nie ma nic wspólnego z atakiem na Johna Ivána Sabogala. Był

przy tym bardzo uprzejmy i muszę przyznać, że wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. Trudno mi było sobie wyobrazić, żeby taki człowiek był w stanie gwałcić i mordować dzieci w tak okrutny sposób. Naprawdę w pewnym momencie się zawahałem, ale ostatecznie postanowiłem powiadomić śledczego zajmującego się sprawą śmierci młodych chłopców – Fernando Ayę.

Aż trudno uwierzyć, że tożsamość Garavito została jednoznacznie potwierdzona dopiero 14 lipca. Kwestia wydawałaby się prosta, mimo to śledczy potrzebowali na to blisko trzech miesięcy. Sprawę w Villavicencio rzeczywiście przejął prokurator Fernando Aya, który dość szybko zorientował się, że aresztowany mężczyzna – pomimo że podawał się za kogoś innego – wykazuje wszystkie podobieństwa do ściganego na szczeblu centralnym Luisa Alfredo Garavito Cubillosa. Niewiele wiadomo o tym, dlaczego ustalenie jego tożsamości zajęło tak wiele czasu. Może była to zwykła opieszałość organów ścigania, do której te organa nie chcą się przyznać, być może zadecydowały o tym inne względy. Faktem jest jednak, że w tym czasie podejrzany był wielokrotnie przesłuchiwany, a podpisywane protokoły (zawsze nazwiskiem Lizcano) dość wyraźnie się od siebie różniły. I to te podpisy przekonały Ayę, że mężczyzna nie jest tym, za kogo się podaje.

Aya postanowił więc skontaktować się z prowadzącym śledztwo przeciwko Garavito detektywem Aldemarem Duránem. Przesłał mu fotografię mężczyzny zatrzymanego w Villavicencio oraz zdjęcia fantów znalezionych w jego torbie. To 14 lipca zaowocowało zwołaniem w Pereirze spotkania prokuratorskiego zespołu badającego morderstwa setek dzieci na terenie Kolumbii. Porównano wszystkie zebrane do tej pory dowody, w tym karty daktyloskopijne ze śladami odcisków palców z miejsc zbrodni oraz mężczyzny zatrzymanego za atak na Johna Ivána Sabogala. I tym razem wszystkie co do jednego wskazywały, że w końcu w areszcie w Villavicencio znajduje się nie kto inny jak poszukiwany Luis Alfredo Garavito Cubillos.

Trudno ocenić, co kierowało śledczymi, którzy uznali, że to wciąż za mało. Być może kaliber sprawy był tak duży, że

postanowiono szukać kolejnych dowodów, tym bardziej że aresztowany w Villavicencio mężczyzna wciąż uparcie twierdził, że nie nazywa się Garavito. Detektyw Durán postanowił więc wziąć go fortelem i wysłał do jednej z partnerek Garavito dwóch ludzi pod przykrywką, śledczych Hernána i Antonia. Kobieta nazywała się Amparo Toro, a jej adres znaleźli w jednej z dwóch czarnych teczek, które zostały im przekazane już wcześniej, odpowiednio przez: Estherę (siostrę Garavito) i Gracię Zabaletę (jego byłą partnerkę). Tajniacy, aby nie wzbudzać podejrzeń, podali się za jego przyjaciół, ale Toro najwyraźniej wyczuli, że coś jest nie tak, i nie chciała udzielić żadnych informacji na temat byłego partnera. Śledzili ją więc przez kilka dni, szpiegując każdy jej ruch, niestety ich starania nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, więc po około tygodniu bezowocnych poszukiwań powiedzieli jej, że są z wydziału śledczego CTI Prokuratury Generalnej. Wtedy Toro przyznała, że pewnego razu Garavito powierzył jej czarną teczkę, a ona obiecała, że nigdy jej nie otworzy i nikomu nie pokaże jej zawartości, następnie przekazała ją śledczym. W środku znaleźli to, czego szukali: zdjęcia zamordowanych dzieci, dziecięce ubranka, odcinki biletów podróżnych, wycinki z gazet opowiadające o zamordowanych i zgwałconych dzieciach oraz egzemplarz tabloidu „VEA”, w którym na pierwszej stronie pojawił się artykuł okraszony zdjęciem Garavito, oskarżający go o zabójstwo chłopca w mieście Tunja. Absolutnie kluczowym dowodem była jednak fotografia Garavito, na której prezentował oparzone ramię, a rany idealnie pokrywały się z bliznami człowieka przetrzymywanego za kratami. To zaś oznaczało, że mężczyzna aresztowany w Villavicencio bezsprzecznie nazywa się nie Bonifacio Morera Lizcano, a Luis Alfredo Garavito Cubillos.

Co ciekawe, nawet wtedy nie zdecydowano się na postawienie mu zarzutów. Śledczym bardzo zależało na tym, aby w końcu go złamać i aby człowiek podejrzewany o zamordowanie setek dzieci wreszcie przyznał się do winy. Kolejny fortel zdecydował, że nie mógł już dłużej wypierać się swojej tożsamości. Aldemar Durán do spółki z Fernando Ayą założyli, że walizek z dowodami może być

jeszcze więcej, więc namówili Amparo Toro, aby udała się do więzienia i spróbowała wyciągnąć od podejrzanego jakieś informacje na ten temat. Kobieta zgodziła się tylko dlatego, że święcie wierzyła, że jej były partner jest niewinny, i za wszelką cenę chciała udowodnić, że to nie on jest odpowiedzialny za wszystkie zarzucane mu bestialskie mordy.

Kolejną ciekawostkę stanowi fakt, że Prokuratura Generalna odmówiła pokrycia kosztów takiej operacji, więc zespół śledczych – i to już zakrawa na kpinę – postanowił przeprowadzić loterię fantową na kwotę pięciuset tysięcy pesos, aby pokryć niezbędne wydatki. Na szczęście udało się zebrać potrzebną kwotę i Amparo Toro dotarła do Villavicencio. Na miejscu Durán z Ayą ukryli jej pod koszulką mikrofon i wysłali na widzenie. Długa rozmowa przyniosła oczekiwane rezultaty, bo Garavito postanowił wykorzystać sytuację i ratować skórę. Do tej pory nie miał pojęcia, że znaleziono już jego trzy czarne teczki. Być może założył, że tak siostra Esthera, jak towarzyszki Graciela Zabaleta czy właśnie Amparo Toro nie wydadzą ich śledczym, a być może żył w przeświadczeniu, że policjanci nawet do nich nie dotrą, w każdym razie poprosił Toro, aby odebrała czwartą z teczek – tę, która leżała w ostatnim miejscu jego zamieszkania, a którą na jego prośbę zabrała żona współwięźnia, którego poprosił o pomoc. Śledczy natychmiast udali się z kobietą pod wskazany adres i odzyskali teczkę. W środku znajdowały się najtwardsze dowody winy: osobisty pamiętnik Garavito, w którym własnoręcznie zapisywał szczegóły swoich zbrodni, fotografie zamordowanych dzieci, charakterystyka każdej z ofiar oraz novum – kalendarze, w których morderca za pomocą symboli, gwiazdek i kółek zapisywał czerwonym atramentem daty i miejsca, w których dokonał brutalnych zbrodni. W końcu fotografie dwojga dzieci niedawno zgwałconych i zamordowanych w Villavicencio. To był kolejny niezwykle mocny dowód popełnionych zbrodni, bo sprokurowany przez samego Garavito. Ale organom ścigania wciąż było mało...

Uznano, że dla absolutnej pewności potrzebne jest jeszcze badanie wzroku podejrzanego (aby porównać wadę ze

znalezionymi w Palmirze okularami) oraz pozyskanie próbek DNA, w związku z czym w więzieniu, w którym był przetrzymywany, zarządzono badanie wzroku dla wszystkich osadzonych. Garavito stawiał się u lekarza, a śledczy w międzyczasie weszli do jego celi i z materaca i różnych przedmiotów osobistych pozyskali próbki śliny, naskórka i włosów. Wyniki były jednoznaczne i dla Garavito druzgocące.

Z takim arsenalem dowodów 28 października 1999 roku główna prokurator María Lily Naranjo przedstawiła Luisowi Alfredo Garavito akt oskarżenia...

EPILOG

Decydując się na napisanie tej książki, chciałem, aby to nie była tylko kolejna historia psychopatycznego pedofila i mordercy. Pragnąłem zrozumieć, co sprawiło, że przez blisko dziesięć lat Luis Garavito szwendał się po prawie całym kraju i bezkarnie mordował setki dzieci. Co musiało dziać się w jego głowie, gdy mordował tych bezbronnych chłopców? Co czuł, gdy krzyczeli i błagali o litość, a on ich gwałcił, kroił, przypalał, kastrował i obdzierał ze skóry? Dlaczego to robił i czy miał z tego powodu wyrzuty sumienia? Zdawałem sobie sprawę, że dopóki nie stanę oko w oko z „Bestią”, pewnie nigdy nie pojnę skali tego niewyobrażalnego okrucieństwa. Postanowiłem więc zawańczyć o pełną pulę i poprzez naszych przewodników zwróciłem się do INPEC ⁴⁴ o możliwość zorganizowania spotkania z Garavito w więzieniu La Tramacúa, w którym aktualnie odsiaduje wyrok. Ku mojemu zdumieniu (niespecjalnie liczyłem na odpowiedź) otrzymałem informację zwrotną, w której napisano, że osadzony wyraził zgodę na widzenie, a administracja stworzy mi możliwość przeprowadzenia wywiadu (przy szeregu różnych obostrzeń). Nawet Leszek Adamiec (o którym wspomnę później, a który był głównym organizatorem całej tej ekspedycji) wydawał się mocno zaskoczony, a to przecież absolwent między innymi studiów latynoamerykańskich, człowiek od wielu lat obecny w Kolumbii, także w służbie dyplomatyczno-konsularnej. Ostatni przystanek zaplanowaliśmy więc w stosunkowo bezpiecznej miejscowości Santa Marta, oddalonej od Valledupar, gdzie mieściło się więzienie La Tramacúa, o niecałe trzysta kilometrów. Postanowiliśmy

z Przemkiem Żmudą spędzić tam kilka dni, aby spokojnie przygotować się do przeprowadzenia wywiadu. Niestety, już kilkadziesiąt godzin po przyjeździe wydarzyło się coś, co uniemożliwiło nam spotkanie z „Bestią”. I ta sytuacja pokazała nam więcej, niż można by sądzić. Kolumbia zaś potwierdziła, że nie bez kozery wciąż jest uznawana za jeden z najbardziej niepewnych, skorumpowanych i niebezpiecznych krajów na świecie. Ale po kolei...

Do słonecznej i niezwykle gorącej Santa Marty dotarliśmy samolotem z Pereiry 8 maja, jakoś krótko przed południem. Już z okna samolotu mogliśmy podziwiać zapierające dech w piersiach widoki, bo niewielkie lotnisko leży przy samych wodach krystalicznie czystego Morza Karaibskiego, niemal wciśnięte pomiędzy majestatyczne góry. Wysiedliśmy, wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy do zabukowanego wcześniej Park Hotel. Po blisko dwóch tygodniach spania w siermiężnych, brudnych, dusznych, często okratowanych hotelach centralnej Kolumbii ten sprawiał wrażenie cywilizowanego. Położony tuż przy promenadzie, rzut kamieniem od plaży, z wieloma lokalami i tymi wszystkimi stoiskami dla turystów z milionem bezwartościowych pierdół, wydawał się przyjemną odskocznią od tego wszystkiego, co musieliśmy znosić na szlaku „Bestii”. Zameldowaliśmy się, zrzuciliśmy graty i postanowiliśmy zrobić sobie spacer. Na dzień dobry kawka w jednej z knajpek, coś na ząb, następnie drink na rozluźnienie i kąpiel w morzu. Rozkręciliśmy się na tyle, że uznaliśmy, iż należy nam się mały reset. Gdy zapadł zmrok, ruszyliśmy w miasto.

Nie to, żeby zdarzyło się to w Kolumbii pierwszy raz, ale gdy tylko weszliśmy pomiędzy kolorowe, głośnie uliczki, niemal rzuciły się na nas prostytutki i dilerzy narkotyków. Nie wiem, czy tak jest tam

zawsze, natomiast początek maja uznawany jest za sezon niski i zagranicznych turystów jest tam jak na lekarstwo, być może dlatego obie te branże cierpią na brak klientów i stąd ten nachalny atak. Pierwszy jakoś odparliśmy, ale lekko przytłoczeni zdecydowaliśmy się odbić w jakieś spokojniejsze miejsce. W jednym ze sklepików kupiliśmy po dwa małe piwka i przysiedliśmy sobie w parczku oddalonym od promenady może o dwadzieścia metrów – jak zapewne zgadliście, nazywał się Parque Simón Bolívar. Długo się tam nie nasiedzieliśmy.

– *Buenas tardes* ⁴⁵ – przywitał się jeden z ośmiu policjantów, którzy niemal natychmiast podjechali do nas na czterech motorach (w Kolumbii prawie zawsze jeżdżą dwójkami).

– *Buenas tardes* – odparliśmy, szczerze się uśmiechając.

– Skąd panowie są? – zapytała jedna z funkcjonariuszek, a my grzecznie odparliśmy, że z Polski, przy okazji tłumacząc, że przysiedliśmy, aby na spokojnie wypić piwko.

– Musicie panowie stąd iść. Tu jest niebezpiecznie – powiedział chyba ten sam, który się przywitał.

– Ale – wskazałem palcem promenadę – przecież to zaledwie dwadzieścia metrów i...

– To nie ma znaczenia. Tu jest niebezpiecznie. Proszę unikać takich miejsc i spędzać czas tylko tam, gdzie jest bezpiecznie.

– A gdzie jest bezpiecznie? – zapytałem i usłyszałem, że któryś parsknął śmiechem.

– Tam gdzie są ludzie – odparł dość surowym tonem policjant, a jego partnerka dorzuciła, żebyśmy uważali na portfele oraz telefony i trzymali je w bocznych kieszeniach, a najlepiej takich zapinanych na zamek.

Podnieśliśmy się, podziękowaliśmy za ostrzeżenia i wróciliśmy do centrum Sodomy i Gomory. Uliczki Parque de los Novios ⁴⁶ tętniły

życiem i latynoską muzyką, kolorowe tłumy przewalały się jak sztormowe fale na Bałtyku, wszystko to w oparach seksu i wszelkich możliwych używek, oczywiście na czele z wszechobecną kokainą. Nie zliczę, ile razy nas zaczepiali i chcieli wcisnąć towar, pomimo że wokół kręcili się policjanci z psami, ale zapewniam was, że na tych kilku kilometrach kwadratowych mogło być więcej towaru niż spożywa się w Warszawie przez tydzień. Nie będę tu opisywał w szczegółach całego wieczoru, w każdym razie czuliśmy się bezpiecznie i pozwoliliśmy sobie na kilka drinków, a potem wróciliśmy do hotelu.

Następny dzień przeznacziliśmy na pracę. Przemek coś tam sklejał z tych wszystkich nagranych wcześniej filmów, a ja dopieszczałem pytania, głównie zaś szykowałem się mentalnie do stanięcia oko w oko z „Bestią”. W przerwie poszliśmy zjeść mojarrę z frytkami, wykąpaliliśmy się w morzu, wieczorem zaś drineczek, ale już na spokojnie, na hotelowym tarasie. Napięcie jednak rośnie z każdą kolejną godziną, bo dzień spotkania z Luisem Garavito zbliżał się nieuchronnie. Trzeba było załatwić transport i nocleg w Valledupar, przygotować sprzęt i tak dalej – wiedzieliśmy, że wszystko musimy dopiąć na ostatni guzik, gdyż mamy tylko jedno podejście. Po śniadaniu dnia następnego całe to napięcie wyparowało, bo w poczcie elektronicznej odczytałem taką oto wiadomość od INPEC:

Cordial saludo

Por medio de la presente, la oficina asesora de comunicaciones se permite informar que el PPL LUIS ALFREDO GARAVITO amparado en el ART.16 y ART.20 de la CONSTITUCIÓN POLÍTICA DE COLOMBIA, se abstuvieron de realizar la entrevista, por tal motivo se da por terminado el trámite de la misma,

Atentamente,
OFICINA ASESORA DE COMUNICACIONES

(Serdeczne pozdrowienia,
niniejszym Biuro Doradcze ds. Komunikacji informuje, że PPL LUIS ALFREDO GARAVITO, chroniony przez art. 16 i 20 KONSTYTUCJI KOLUMBII, wstrzymał się od przeprowadzenia wywiadu, z tego powodu proces ten został przerwany.

Z wyrazami szacunku
BIURO DORADCZE DS. KOMUNIKACJI)

Cóż... Oczywiście liczyłem się z tym, że rozmowa z numerem jeden pośród seryjnych zabójców świata może napotkać problemy, i szczerze mówiąc, nawet trochę odetchnąłem, bo po prostu nieco się tego wszystkiego obawiałem, wszak myśl, że sam z siebie decyduję się przekroczyć bramę jednego z kolumbijskich i jednocześnie najcięższych więzień na świecie, sprawiała, że czasami zastanawiałem się, czy mi się w głowie nie pomieszało, a te niby-żarty naszych przewodników, którzy sugerowali, że komendant takiego więzienia chętnie nas do siebie przyjmie, ale bez sutego napiwku niekoniecznie będzie chciał nas ze swojego przybytku wypuścić, jednak wprowadzały w naszych głowach lekki ferment. W każdym razie coś trzeba było zrobić, więc zadzwoniłem do Juana Carlosa i Jesusa (nasi przewodnicy nie polecieli z nami do Santa Marty, gdyż nie obejmowała tego umowa) i poinformowałem ich o zaistniałej sytuacji. Oni koordynowali całą tę wyprawę, w naszym imieniu wysłali prośbę o widzenie, przypomnieli się kilka dni przy wylotem do Santa Marty, dostarczyli fotokopie naszych paszportów i wszystkie dane, generalnie zaś pilnowali, aby wszystko poszło

zgodnie z planem. Zapytałem ich, co powinniśmy zrobić, ale nie robili nam wielkich nadziei, bo taka decyzja jest już raczej nieodwołalna.

– No to kilka dni wakacji i spadamy do domu – powiedział Przemek, gdy skończyłem rozmowę, i choć teatralnie spuścił głowę, to chyba i jemu też z lekka ulżyło.

Pomysł, aby odpocząć, wydawał się całkiem sympatyczny, bo okolica zachwycała. Park Narodowy Tayrona, szczyt Cristóbal Colón (czyli Krzysztof Kolumb), wznoszący się na pięć tysięcy siedemset siedemdziesiąt pięć metrów nad poziomem morza, tajemnicze indiańskie miasta i wiele, wiele innych atrakcji kusiło, aby zostać kilka dni dłużej. Wszystkie te plany legły w gruzach jakieś dwie godziny później, gdy otrzymałem pierwszą wiadomość od pewnej prawniczki. Wysłała ją na Messengera i przedstawiła się jako osoba reprezentująca więźniów, mająca też bezpośredni kontakt z Luisem Garavito. Nawiązałem z nią kontakt, porozmawialiśmy i wlała w moje serce trochę nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone, gdyż jest szansa, aby przekonać „Bestię” do rozmowy. Jakoś tak się dziwnie złożyło, że chwilę później zgłosiło się do mnie dwóch kolejnych adwokatów/przyjaciół Garavito, w tym pewien facet podający się za kogoś, kto osobiście reprezentuje „Bestię”. Przejrzałem sieć, bo zacząłem mieć wątpliwości, czy aby na pewno nie pakuję się na jakąś minę. Wydawało się, że rzeczywiście są tymi, za których się podają, a wyżej wspomniany adwokat był ponadto autorem wydanej w Kolumbii książki. Brzmiało nieźle, tym bardziej że podczas rozmowy telefonicznej nalegał, aby przyjechać do nas do hotelu, i nie oczekiwał żadnych pieniędzy. Na wszelki wypadek jednak uczuliłem go, że już nic więcej przy sobie nie mam, ale to go nie zniechęciło, więc pomyślałem, że może jednak szczęście nam sprzyja.

Następnego dnia, jakoś krótko po śniadaniu, przywitaliśmy eleganckiego mężczyznę w białym garniturze, ciemnych okularach Diora, na głowie miał stylowy kapelusz i sznurowane buty ze skóry krokodyla.

Usiedliśmy w lobby, zamówiliśmy kawę i zapytałem, czy Przemek Żmuda może zacząć nagrywać, bo od początku wyprawy staramy się wszystko dokumentować.

– Przykro mi, ale to niemożliwe – powiedział i od razu zapaliła mi się czerwona lampka.

Przez następne kilkadziesiąt minut rozmawialiśmy o możliwościach, jakie mężczyzna oferuje. To był bez wątpienia wyedukowany i świetnie prezentujący się facet, więc dyskusja się kleiła, a on na każde moje pytanie odpowiadał przekonująco, z sensem, bez najmniejszego zająknięcia. W międzyczasie zadzwonił jego telefon, a on nieco zbyt teatralnie pokazał mi, skąd przychodzi połączenie. Na wyświetlaczu było napisane... „La Tramacúa”.

Nie wiem, czy myślał, że jesteśmy aż tacy tępi (starałem się Przemkowi wszystko na żywo tłumaczyć), aby nie wyczuć, że coś tu śmierdzi, ale dał mi telefon, abym osobiście pogadał z „szefem strażników”, ten natomiast za wszelką cenę chciał mnie przekonać, że wszystko da się załatwić. Pogadałem, przytaknąłem, udając, że to wspaniała nowina i bardzo się cieszę, iż mamy takie szczęście. Potem jeszcze chwilę pogawędziliśmy i umówiliśmy się na późniejszy kontakt, bo mężczyzna stwierdził, że musi jeszcze dograć kilka tematów. Pożegnaliśmy się, poszliśmy na hotelowy balkon i przy kawie spojrzeliśmy sobie z Przemkiem w oczy.

– Co o tym sądzisz? – zapytałem.

– To lipa – odparł bez wahania.

– Poczekajmy jeszcze.

I poczekaliśmy. Niedługo. Już po około dwóch godzinach mężczyzna oddzwonił i zasugerował, że po rozmowach ze swoimi ludźmi w więzieniu może takie spotkanie zorganizować za dziesięć tysięcy euro. Pamiętam, że głupio się wtedy do Przemka uśmiechnąłem, choć wcale do śmiechu mi nie było.

– Muszę pogadać z wydawcą, bo sam nie mam już prawie żadnych pieniędzy – odparłem, choć od tego momentu musiałem już odgrywać teatrzyk.

– Ile to zajmie? – dopytywał.

– Nie wiem, pewnie jakiś czas. Może nawet kilka dni, bo muszę ich przekonać.

– Okej, daj znać, jak załatwisz.

Od tej pory nie mieliśmy już żadnych złudzeń, że facet próbuje nas oszukać. Zaraz po skończeniu rozmowy wykręciłem więc numer do Leszka, który jako były oficer wywiadu miał pewne możliwości, aby ostatecznie zweryfikować, w co się wpakowaliśmy. Powiedział, że potrzebuje kilku godzin, które my poświęciliśmy na rozpoznanie zagrożenia i zaplanowanie ewentualnych dalszych ruchów. Po mniej więcej dwóch godzinach mężczyzna zadzwonił ponownie.

– I jak z tą kasą? Rozmawiałeś już z wydawcą? – dopytywał.

– Tak. Muszą zwołać zebranie i to przedyskutować – tłumaczyłem.

– Jutro będzie wiadomo?

– Nie wiem, może. Dam znać.

– Załatw te dziesięć tysięcy jak najszybciej, okej?

– Staram się.

Zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie, bo w tonie tego człowieka już nie wyczuwało się, że mówimy tu o propozycji. On żądał od nas dziesięciu tysięcy euro i choć nie wyartykułował żadnej groźby, to jednak wisiała nad każdą kolejną rozmową, których w przeciągu następnych kilkunastu godzin przeprowadziłem jeszcze co najmniej

parę. Naprawdę poczuliśmy się zagrożeni. Siedzieliśmy, debatowaliśmy, myśleliśmy, jak wybrnąć z tej sytuacji, ale jedyny pomysł, który wydawał się sensowny, to ten sugerujący powrót do domu. W pewnym momencie oparłem się o barierkę i tak po prostu wodziłem wzrokiem po krążących na promenadzie ludziach. Nawet nie pamiętam, o czym wtedy myślałem, pewnie o domu, za którym już się trochę stęskniłem, w każdym razie to wtedy po raz pierwszy dostrzegłem niepozornego mężczyznę, który siedział na murku obok jednej z knajpek i palił papierosa. Patrzył na mnie, a gdy nasze spojrzenia się spotkały, szybko odwrócił wzrok. Aż się wzdrygnąłem i z powrotem usiadłem na kanapie, a gdy znów dyskretnie zerknąłem w tamto miejsce, nie było go, ale... był na ławeczce obok i też się na mnie gapił.

– Zrobiło się grubo, Żmudzio – powiedziałem. – Chyba zostawili nam kogoś pod hotelem.

– Co ty gadasz?

Przemek poderwał się z miejsca, ale z powrotem go usadziłem.

– Nie tak gwałtownie – powiedziałem i sam usiadłem obok, po czym natychmiast wybrałem numer do Leszka.

Nie odbierał, więc postanowiliśmy sprawdzić, czy nasze podejrzenia nie są efektem przewrażliwienia, i ustaliliśmy, że wybierzemy się na krótki spacer. To była najbardziej bezpieczna okolica w mieście, mimo to gdy facet ruszył za nami, nasze serca zabiły mocniej. Przemek to trochę taki nerwus i szalapat, więc z najwyższym trudem powstrzymywał się, aby nie oglądać się za siebie, ja zaś zerkąłem, jednak dyskretnie. To przysiedliśmy na ławeczce, to na murku, aby wypić piwko, to zapozowaliśmy, żeby strzelić sobie fotkę. Mężczyzna trzymał się wciąż kilkadziesiąt metrów za nami. Gdy byliśmy już na sto procent pewni, że jesteśmy

śledzeni, postanowiliśmy wrócić do hotelu. Krótco później udało się w końcu skontaktować z Leszkiem.

– Panowie – powiedział tonem, który sprawił, że nie musiał już nic dodawać – sytuacja zrobiła się poważna, bo ten gość to człowiek o wyjątkowo szemranej reputacji. Odsiedział kilka lat w więzieniu za oszustwa i groźby pozbawienia życia, między innymi burmistrza Barranquilli. Z informacji, do których zdołałem dotrzeć, wynika, że ma też kontakty z ludźmi z FARC, a chyba nie muszę wam mówić, kim oni są i czym się kiedyś zajmowali.

– Zostawili nam człowieka pod hotelem – odparłem, czując coraz większą suchość w gardle, a następnie pokrótce opisałem nasz spacer, na którym jednoznacznie potwierdziliśmy, że przykleili nam ogon.

Leszek wysłuchał uważnie, westchnął ciężko. Nie dało się nie wyczuć, że po części czuje się odpowiedzialny za to, co się wydarzyło, wszak to on był osobą, dzięki której udało się zorganizować całą wyprawę.

– Moja rada jest taka – powiedział w końcu. – Musicie się stamtąd jak najszybciej ewakuować. Niestety, jeśli znaleźliście się pod obserwacją, to prawdopodobnie istnieją wobec was poważne plany. Nie twierdzę, że na pewno, bo równie dobrze może to być tajniak, którego policja przysłała do was już pierwszego dnia po przybyciu do hotelu, a wy, nie mając żadnych podejrzeń, po prostu go nie zauważyliście. To częsta procedura wobec *gringos*, zwłaszcza takich, którzy przyjechali do Kolumbii w konkretnym celu, i jest stosowana po to, aby was chronić. Jeśli jednak ten człowiek został wysłany przez ludzi, którzy nie życzą wam dobrze, to sprawa robi się naprawdę poważna.

– Co zatem powinniśmy zrobić?

– Jedno jest pewne: tego wywiadu już nie zrobicie, więc misję możecie uznać za zakończoną. Zalecam, abyście jak najszybciej opuścili Santa Martę, a najlepiej Kolumbię. W tej chwili poza przekazaniem wam kontaktu do znajomego konsula, którego oczywiście mogę uprzedzić o zaistniałej sytuacji, nic więcej nie mogę zrobić. Zaraz wyślę wam do niego bezpośredni numer i jeśli poczujecie, że wasze zdrowie lub życie jest w niebezpieczeństwie, nie wahajcie się dzwonić.

Nie powiem, ale trochę mnie zmroziło. Z jednej strony wciąż czuliśmy się w hotelu w miarę bezpiecznie, z drugiej zaś – i to trzeba wyraźnie podkreślić – znajdowaliśmy się w Kolumbii, kraju obcym i jednym z najbardziej niebezpiecznych na świecie, wyrosłym w kulcie przemocy, na kokainowym biznesie, gdzie gwałty, porwania i morderstwa są na porządku dziennym. Jaka była prawda i czy rzeczywiście chciano nas oszukać? Kto mógł maczać w tym palce? Nie zamierzam tu nikogo oskarżać, bo dowodów nie mamy, w każdym razie sytuacja zrobiła się naprawdę nerwowa. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że nie warto ryzykować i jak najszybciej trzeba opuścić Kolumbię. Przedyskutowaliśmy więc jeszcze kilka spraw, Leszek wytłumaczył nam, czego powinniśmy unikać, i krótko po zakończeniu rozmowy zaczęliśmy szukać jakichś sensownych połączeń. Jak się zapewne domyślacie, znalezienie lotu z dnia na dzień z Santa Marty do Polski nie było zadaniem ani łatwym, ani tym bardziej tanim. Ostatecznie udało nam się namierzyć w miarę sensowne połączenie Santa Marta – Panama –

Cancún – Frankfurt nad Menem – Berlin i choć pierwszy lot mieliśmy późnym popołudniem, z łóżek zerwaliśmy się jeszcze przed świtem, w nadziei, że o tej porze nikt nie będzie na nas czekał pod hotelem. Zamówiliśmy taksówkę i czym prędzej pojechaliśmy na lotnisko, gdzie poczuliśmy się bezpieczniej, choć tak naprawdę

odetchnęliśmy, dopiero gdy koła samolotu oderwały się od kolumbijskiej ziemi. Samo połączenie nie było płynne i musieliśmy nocować w Meksyku. Bez przygód się jednak nie obyło, bo jeszcze tego samego wieczoru dopadło mnie zapalenie gardła i zupełnie straciłem głos. Piszac „zupełnie”, mam na myśli to, że nie byłem w stanie wydusić z siebie żadnego słowa, choćby wyartykułować dźwięku, i miałem poważne obawy, czy na którymś z lotnisk nie wyślą mnie na testy na koronawirusa. Wątpię, abym akurat nabawił się COVID-19, choć tego nie sprawdzałem, w każdym razie poza utratą głosu nic poważniejszego mi nie dolegało, a po wzięciu antybiotyku (w który na całe szczęście zaopatrzyłem się jeszcze przed wylotem do Kolumbii), już w Cancún zaczęło delikatnie puszczać i byłem w stanie artykułować poszczególne dźwięki. We Frankfurcie nad Menem ledwo zdążyliśmy na samolot do Berlina, ale ostatecznie dotarliśmy cali i zdrowi. Nawet sobie nie wyobrażacie, z jaką ulgą przekroczyłem granicę w Słubicach. Etap terenowy misji roboczo nazwanej „Projekt Garavito” został ukończony i nawet jeśli nie udało się stanąć oko w oko z „Bestią”, to nie mogłem narzekać, bo materiałów miałem ilości nieprzebrane. Teraz należało tylko skończyć zaczęte *Prawo matki*, odetchnąć i skupić się na spisaniu historii Luisa Garavito.

Tyle zza kulis, ale zapewne jesteście ciekawi, jak dalej potoczyła się historia samego Garavito. A to wcale nie było tak oczywiste, bo skala i poziom brutalności, jakie ukazały się organom ścigania, zszokowały nawet tak przyzwyczajone do przemocy społeczeństwo Kolumbii. Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że za kratami siedzi przestępca, który swoimi wyczynami przebił wszystkich dotychczasowych seryjnych morderców w historii światowej kryminologii i który o kilka długości wyprzedza wszystkich znanych i popularnych w popkulturze amerykańskich seryjniaków pokroju

Teda Bundy'ego, Jeffreya Dahmera, Johna Wayne'a Gacy'ego czy choćby ukraińskiego kanibala Andrieja Czikałło. Każdy z nich jest uważany za potwora, ale przy Garavito wszyscy razem wzięci jawili się co najwyżej jako niesforne łobuzy. Wystarczy wspomnieć, że liczba ofiar wyżej wymienionej czwórki w najlepszym wypadku przekraczała połowę z tych, które przypisano „Bestii z Génovy”. To oznaczało, że kolumbijski wymiar sprawiedliwości stanął przed arcytrudnym zadaniem, bo – przynajmniej teoretycznie – w bardziej cywilizowanych krajach wszyscy wymienieni zostali skazani na karę śmierci, a w Kolumbii takowa w kodeksie karnym zapisana nie była, mało tego, ustawa nie przewidywała nawet dożywocia!

Trudno było sobie wyobrazić, aby taki potwór jeszcze kiedykolwiek mógł wyjść na wolność, zaczęto więc szukać rozwiązania. Ponieważ sprawa była tak skomplikowana, organy ścigania postawiły sobie za punkt honoru dać absolutną pewność społeczeństwu nie tylko Kolumbii, ale również całego świata, że to właśnie Garavito jest odpowiedzialny za te wszystkie mordy. Dowody były miażdżące i w zasadzie niepodważalne, ale brakowało przyznania się do winy samego zainteresowanego. Pierwszą próbę podjęła prokurator María Lily Naranjo i 28 października 1999 roku przesłuchiwała podejrzanego. Jeśli ktoś z Was jest zainteresowany przeczytaniem protokołu (jest dość długi, ale idealnie podsumowuje tę ponurą historię), odsyłam na stronę 384, gdzie znajduje się zapis całej rozmowy. Pomimo wielokrotnego gubienia się w zeznaniach Garavito nie przyznał się jednak do popełnienia choćby jednego z zarzucanych mu morderstw. Wtedy do akcji wkroczył ten, który zdołał już poznać „Bestię” od podszewki – detektyw Aldemar Durán; postanowił on, że nie wyjdzie z pokoju przesłuchań dopóty, dopóki Garavito nie przyzna się do winy.

Nie będę wam cytował protokołu z tego przesłuchania, bo jego zapis zająłby pewnie z dwieście kolejnych stron. W każdym razie maglował „Bestię” przez ponad osiemnaście godzin, bez chwili odpoczynku, zadając coraz to trudniejsze pytania. Garavito wciąż jednak obstawał przy swoim. Durán wytoczył więc najcięższe działa i mniej więcej od połowy przesłuchania, przez około dziesięć godzin przypominał mu jego kolejne zbrodnie, posiłkując się wszystkimi najdrobniejszymi detalami. To było bardzo drastyczne, nawet dla człowieka za to wszystko odpowiedzialnego. Prawdziwe maglowanie mózgu i miazga emocjonalna, powtarzane wielokrotnie, niemal bez ustanku. Żeby spróbować wam to uzmysłowić, wymienię pokrótce tortury, które zadawał Garavito swoim ofiarom, a które przez te dziesięć godzin były mu powtarzane do znudzenia (uwaga, drastyczne): bicie po całym ciele rękami albo różnego rodzaju narzędziami, kopanie, chłostanie, dźganie śrubokrętem lub nożem również po całym ciele, wydłubywanie oczu, ucinanie języka, obdzieranie ze skóry (najczęściej pośladków i pleców), cięcie żyłkami po twarzy i ciele, wkładanie ostrych narzędzi do odbytu, wycinanie odbytu bądź nakłuwanie korpusu i gwałcenie ofiary w powstałe rany, rozcinanie brzucha i wyciąganie wnętrzności, którymi następnie karmiono ofiary, wycinanie poszczególnych organów, w tym nerek, wątroby czy serca, przypalanie zapalniczką bądź płonącymi gałęziami, odcinanie penisa i wkładanie go do ust ofiary oraz gwałcenie w powstałą ranę, podcinanie gardła, dekapitacja, ćwiartowanie maczetą, piłą albo nożem dla bydła.

Wszystkie wymienione wyżej tortury Garavito zwykle zadawał jeszcze za życia swoich ofiar, których zwłoki często gwałcił, dodatkowo się nad nimi pastwiąc. W ten sposób z jego ręki zginęło przynajmniej dwustu chłopców, kilka dziewczynek i kilkoro dorosłych, choć niektórzy szacują, że ofiar może być nawet sześćset,

gdyż szczątki dzieci są odkrywane na terenie Kolumbii, Ekwadoru i Wenezueli aż do tej pory. Ale wracając do samego przesłuchania – po osiemnastu godzinach maglowania Garavito w końcu pękł. Do historii przeszła jego reakcja, gdy w końcu nie wytrzymał natłoku oskarżeń.

– *Por qué, por qué, por qué?*⁴⁷ – powtarzał jak nakręcony, wylewając morze łez, a krótko później przyznał się do wszystkich zarzucanych mu czynów.

Nie było wątpliwości, że nie konfabuluje, bo wszystkie opisy jego morderstw idealnie korespondowały z zebranymi dowodami. Niestety, liczba odkrytych zwłok wciąż znacznie przewyższała te zapisane w kajetach „Bestii”. Z początku nie wiadano, co z tym zrobić. Aby uspokoić choć trochę rozjuszony i domagający się sprawiedliwości społeczeństwo Kolumbii, postanowiono oskarżyć Garavito o te zbrodnie, co do których nie było najmniejszych wątpliwości, że są jego dziełem, i do których ostatecznie się przyznał. Prokuratura naliczyła sto siedemdziesiąt takich przypadków, a po krótkim procesie uznano go za winnego stu trzydziestu ośmiu zarzutów. 27 maja 2000 roku sąd skazał Garavito na tysiąc osiemset pięćdziesiąt trzy lata więzienia, co przy braku w kodeksie karnym kary śmierci i dożywocia mogło się wydawać karą – przynajmniej w odbiorze strauumatyzowanego społeczeństwa – co najmniej satysfakcjonującą, lecz okazało się, że to tylko chwyt propagandowy. Z kilku powodów, bo po pierwsze, wystarczyło wykonać jedno proste działanie matematyczne, aby zrozumieć, że Garavito za każdą bestialsko zamordowaną ofiarę otrzymał zaledwie trzynaście lat za kratkami, a po drugie – i to naprawdę rozwścieczyło opinię publiczną – kolumbijskie prawo karne nie przewidywało możliwości pobytu w więzieniu przekraczającego czterdzieści lat. W związku z tym 3 listopada 2001 roku sąd ostatecznie skazał

Garavito na maksymalny dopuszczalny przez prawo wymiar kary, co oznaczało, że wyrok miał się nijak do rzeczywistości, bo najstraszliwszy seryjny morderca świata – przynajmniej teoretycznie – na stare lata miał jeszcze szansę wyjść na wolność. Szok stał się znacznie większy, gdy w zamian za pomoc w odnalezieniu ciał innych ofiar (Garavito w 2003 roku przyznał się do zabicia jeszcze kilkudziesięciu dzieci, co sprawiło, że liczba ofiar podskoczyła do dwustu dwudziestu jeden) kara została skrócona do zaledwie dwudziestu dwóch lat pozbawienia wolności!

I teraz puenta, bo to wydaje się szczytem absurdu. Luis Alfredo Garavito Cubillos, pedofil, nekrofil i seryjny morderca odpowiedzialny za co najmniej dwieście dwadzieścia jeden ekstremalnie brutalnych morderstw, mógł wyjść na wolność już wiosną 2022 roku! I nie, drogi Czytelniku, to nie jest błąd, bo Garavito w maju 2021 roku postanowił przypomnieć o zawartym z wymiarem sprawiedliwości układzie i przy wsparciu Narodowego Instytutu Penitencjarnego i Więziennictwa (INPEC) poprosił sędziego o przyznanie zwolnienia warunkowego, powołując się na termin wyroku z maja 2000 roku. Co ciekawe, dyrektor więzienia o zastrzonym rygorze La Tramacúa w Valledupar, w którym osadzony jest Garavito, załączył szereg dokumentów na poparcie tegoż wniosku, a wśród nich list chwälący dobre zachowanie swojego podopiecznego.

Jak się zapewne domyślacie, Garavito ostatecznie murów więzienia nie opuścił, jako że opinia publiczna, której dzięki dziennikarzom ta sprawa została przypomniana, wpadła w furję. W debacie pojawiły się głosy, iż nie przeżyje na wolności choćby godziny, bo jeśli nie zostanie rozniesiony na strzepy przez gawieź, to dobiorą się do niego grupy przestępcze, które stosunek do pedofilów i morderców dzieci mają dokładnie taki sam jak u nas

(w więzieniu Garavito jest całkowicie odizolowany od innych osadzonych). Ludzką wściekłość dodatkowo nakręcał sam zainteresowany, który nawet nie próbował się krygować, twierdząc, że już od dłuższego czasu przygotowuje się do tego momentu, w związku z czym podjął studia politologiczne i po wyjściu na wolność ma zamiar wystartować do parlamentu, a gdy dostanie mandat, to będzie chciał stworzyć organizację mającą na celu pomaganie dzieciom z rodzin patologicznych oraz tym, które w jakikolwiek inny sposób doświadczyły przemocy. Oczywiście nikt mu nie uwierzył, a sama świadomość, że taki potwór – nawet jeśli już starszy wiekiem i schorowany – ma wyjść z więzienia, oraz ewentualne skutki, które taka decyzja może wywołać na całym świecie, sprawiły, że organy wymiaru sprawiedliwości zaczęły gorączkowo szukać rozwiązania, aby ominąć prawo i zatrzymać „Bestię” za kratami. Temat stał się na tyle znaczący, że w sprawie wypowiedział się nawet ówczesny prezydent Kolumbii, przebywający akurat na konferencji klimatycznej ONZ w Glasgow, Iván Duque Márquez:

– Chcę wyrazić moje głębokie oburzenie, że ktoś w ogóle zasugerował możliwość wypuszczenia z więzienia tej bestii Garavito. On jest bandytą, przestępcą, śmierdzącym szczurem, który tylko krzywdził dzieci – powiedział Duque.

Sprawa stanęła na ostrzu noża i prokuratura wpadła na pomysł (a sąd sprawę przyklepał), aby fakt, że Garavito nie jest w stanie spłacić zasądzzonego zadośćuczynienia względem rodzin ofiar, zamienić na dodatkową odsiadkę, dzięki czemu udało się go zatrzymać w więzieniu na kolejnych kilkanaście miesięcy. Ten czas jednak mija nieubłaganie...

Trudno powiedzieć, jak zachowa się władza, bo problem wciąż wydaje się z prawnego punktu widzenia trudny do rozwiązania

i trochę przypomina ten, z jakim musieliśmy się zmierzyć całkiem niedawno, gdy w 2013 roku rząd Platformy Obywatelskiej przypomniiał sobie o tym, że na fali przemian systemowych 7 grudnia 1989 Sejm PRL ogłosił amnestię, na mocy której najgorszym zwyrodnialcom i mordercom karę śmierci zamieniono na wyroki dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności. W związku z tym 22 listopada 2013 roku parlamentarzyści uchwalili ustawę, potocznie nazwaną ustawą o bestiach – miała ona być antidotum uniemożliwiającym powrót na łono społeczeństwa tym, których personifikacją stał się Mariusz Trynkiewicz, pedofil i morderca czterech chłopców w wieku od jedenastu do trzynastu lat. Podjęto decyzję o stworzeniu ośrodka w Gostyninie dla tych, którym kończyły się zasądzone wyroki, ale którzy z różnych względów w ocenie psychiatrów i innych specjalistów nie mogli mieć zwróconej wolności, gdyż ich zachowanie wzbudzało podejrzenia, że po wyjściu z więzienia mogą dopuścić się kolejnych poważnych przestępstw, zwłaszcza tych przeciwko zdrowiu i życiu innych obywateli. Taki ośrodek udało się stworzyć i kolejni zwyrodnialcy są tam kierowani regularnie, choć czysto teoretycznie powinni mieć już za sobą rozliczenie z polskim systemem sprawiedliwości. O samym Gostyninie i kontrowersjach, które wzbudza właściwie do dziś, nie będę pisał, bo to już zupełnie inna historia, ale bezsprzecznie można przyjąć, że dzięki ustawie o bestiach największe potwory zostały czasowo wyeliminowane z naszego społeczeństwa. Jaką zatem decyzję podejmą władze Kolumbii? Czy ktoś z rządzących wpadnie na podobny pomysł? Sprawa jest wielowymiarowa, ekstremalnie skomplikowana i chyba przemyślnie zagmatwana, w związku z czym z Kolumbii wychodzą mętne tłumaczenia i sprzeczne sygnały. I w tej chwili chyba nikt nie jest

w stanie definitywnie odpowiedzieć na pytanie, jak ta sprawa ostatecznie się zakończy.

W momencie finalizowania prac nad tą książką żadna jednoznacznie oparta na prawie decyzja nie została podjęta, a według ugody, jaką Garavito zawarł z kolumbijskim wymiarem sprawiedliwości, ostateczny termin opuszczenia przez niego murów więzienia przypada na... listopad 2023 roku. Więc, drogi Czytelniku, droga Czytelniczko, być może gdy czytasz te słowa, „Bestia” znów jest wśród nas...

Zapis z protokołu przesłuchania przeprowadzonego przez prokurator Marię Lily Naranjo dnia 28 października 1999 roku. Krótko później przedstawiono Luisowi Garavito akt oskarżenia.

NARANJO: Proszę nam powiedzieć... dlaczego pana zdaniem został pan aresztowany?

GARAVITO: Ponieważ oskarżają mnie o rzekomy gwałt.

N: Kiedy ostatni raz był pan w Quindío?

G: Niedawno, po trzęsieniu ziemi, byłem w Armenii.

N: Czy miał pan jakieś problemy ze zdrowiem fizycznym lub psychicznym?

G: Cóż, jedyny problem, jaki mam, to noga, którą mam zespoloną płytkami i śrubami. Złamała się, gdy uciekałem przed napastnikami w Bogocie. Jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, to uważam, że jest w porządku. Nigdy nie miałem żadnych problemów psychicznych.

N: Jak wygląda pana życie seksualne?

G: Stosunkowo normalne, jak u większości ludzi. Choć to trudno określić, bo dla jednych normalnie jest wtedy, gdy seks uprawia się codziennie. U mnie wypada to rzadziej, bo mniej więcej raz na tydzień. W jednym czasie spotykam się zwykle z jedną partnerką. To w moim odczuciu normalne.

N: Czy kiedykolwiek utrzymywał pan stosunki homoseksualne?

G: Nigdy.

N: Czy kiedykolwiek miał pan problem z uzależnieniem od narkotyków lub alkoholu?

G: Od narkotyków nigdy, ale swojego czasu uczęszczałem na spotkania Anonimowych Alkoholików. Traktuję to jednak bardziej

jako relację towarzyską, bo mam tam wielu przyjaciół, a do tego potrafimy bawić się bez alkoholu. Uczęszczałem na takie spotkania przez około osiem lat.

N: Czy wyznaje pan jakąś religię?

G: Zostałem ochrzczony w Kościele katolickim, rodzice wpoili mi chodzenie na mszę i odmawianie różańca, a teraz w więzieniu praktykuję religię ewangelicką. Wstąpiłem do Światowego Ruchu Misyjnego. Jesteśmy grupą dwudziestu pięciu więźniów i codziennie modlimy się i czytamy Pismo Święte.

N: W dokumentach znalezionych w pana teczkach znajdowało się mnóstwo zapisków, dzienniki. Skąd ten pomysł?

G: Mam taki nawyk, bo mój ojciec dużo czytał i wiele rzeczy zapisywał.

N: Co lubi pan pisać?

G: Nie, cóż, nic specjalnego, zwykle jakieś tam rzeczy z podróży, czasem zapisuję urodziny i takie tam.

N: Jeśli w pana dokumentach pojawia się informacja, że gdzieś pan był, to dlatego, że rzeczywiście tam pan był?

G: Oczywiście, tak. Powiedzmy, że na przykład byłem w Bogocie i w Pereirze, to wtedy zapisuję datę. Tak na wszelki wypadek, gdybym musiał tam wrócić.

N: Czy kiedykolwiek był pan w gminie Génova, w stanie Quindío?

G: Génova? Génova w Quindío? Nie.

N: Czy zna pan Ernesto Ramíreza i jego żonę Fanny?

G: Tak, poznałem ich w Pereirze, ale nie widzieliśmy się od września zeszłego roku, kiedy byłem na ich farmie. Znajduje się ona obok Génovy, w pobliżu rzeki Río Gris, czy może Río Rojo? Byłem tam przez jeden dzień z moją żoną Graciela i synem Rodolfo.

N: Jaki był powód państwa wizyty?

G: Przyjechałem w odwiedziny. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, bardzo ich szanuję, bo zawsze dobrze mnie traktowali.

N: W swoich pierwszych odpowiedziach powiedział pan, że nigdy nie był w gminie Génova, a teraz informuje nas pan, że jednak tam był. Jak pan to wytłumaczy?

G: Myślałem, że mówi pani o mieście.

N: Czy zatem pojechaliście państwo do miasta Génova?

G: Nie.

N: Ze śledztwa prowadzonego przez prokuraturę wynika, że chodził pan na wizyty do psychiatri. Czy to prawda?

G: Tak, czasem korzystałem z takich usług. Bywałem znudzony, innym razem, gdy brałem narkotyki. Generalnie zdarzało mi się szukać wsparcia, ale nie dlatego, że uważałem się za chorego.

N: Czy kiedykolwiek miał pan zamiar popełnić samobójstwo?

G: Nigdy nie miałem myśli samobójczych. Przecież życie jest piękne.

N: Z dokumentacji medycznej wynika, że kiedyś jednak prosił pan o pomoc, ponieważ chciał popełnić samobójstwo. Jak pan to wytłumaczy?

G: W pewnym okresie, gdy jeszcze pracowałem w Supermercados Centrales, zacząłem mieć problemy z przełożonymi. A to nie chcieli mi dać urlopu, a to stwarzali inne problemy. Poszedłem więc do psychiatri, ale głównie dlatego, aby nie musieć chodzić do pracy i dostawać pensję. W Manizales mnie zbadali i zatrzymali na jakiś czas, ale nie dlatego, że byłem szalony. Byłem tam chyba przez miesiąc, to wszystko. Potem, o ile pamiętam, już nie.

N: Kiedy odwiedził pan Génovę, zatrzymując się u państwa Ernesto Ramíreza i Fanny Montoyi, to kiedy dokładnie to było i co pan tam wtedy robił?

G: To było w czerwcu zeszłego roku, ale we wrześniu też tam pojechałem. W czerwcu było to dwudziestego albo siedemnastego, nie pamiętam dokładnej daty. Zacząłem pić brandy, potem poszedłem do łóżka i zaczęliśmy rozmawiać. Następnego dnia Fanny dała mi trochę rosołu, a potem poszedłem w okolice szkoły, tam jest most i na tym moście wypilem wodę sodową. Wsiadłem do przejeżdżającego samochodu i po jakimś czasie dotarłem do Génovy. Tam poszedłem popytać o mojego wujka Gustavo. Powiedziano mi, że go nie ma, więc zacząłem pić piwo. Wypilem około siedmiu czy ośmiu. Kupowałem je koło parku, w takiej kawiarence. Potem kręciłem się i piłem, ale od szóstej nie sprzedawali już piwa, bo takie było nowe prawo, więc kupiłem trochę mięsa i zaniósłem Fanny, żeby zrobiła pieczeń. Nie pamiętam, czy wtedy piłem, czy nie. Następnego dnia wstaliśmy i poszedłem z Don Ernesto do centrum Génovy i tam chyba postawiłem mu piwo. Spędziliśmy wspólnie kilka chwil.

N: Dlaczego początkowo zaprzeczył pan, że był pan w Génovie?

G: Cóż, no tak, zaprzeczyłem, ale nie bez powodu. Ach, to przez ten proces w Tunji, który dokładnie śledziłem. Wiedziałem, że w Génovie, według wersji Ernesto i Fanny, zaginęło troje nieletnich. Później mi powiedzieli, że zostałem powiązany z tymi wszystkimi zgonami, ale to oczywista bzdura. Myślę, że powodem było to, że pochodzę z Génovy i w tym czasie byłem we wsi, więc dla policji logiczne wydawało się, że to była moja wina. Zostałem jednak o te morderstwa oskarżony, więc może dlatego zaprzeczyłem.

N: Co wie pan o zaginionych dzieciach z Génovy?

G: Nic nie wiem, tyle co od pani Fanny i pana Ernesto oraz z programu informacyjnego, gdzie podano, że w górnej części

Génovy znaleziono kilkoro martwych dzieci. I jeszcze, że to wzbudziło w ludziach niepokój i strach. To wszystko.

N: Czy w czasie pobytu w Génovie miał pan kontakt z dziećmi?

G: Nie, ja nie, nic...

N: Jak dobrze zna pan Génovę?

G: Park, drogę, którą idzie się do Don Ernesto. Następnego dnia byłem w tym parku, a nawet grałem tam w bilard. Potem piłem piwo i tyle. Nie znam innych części Génovy.

N: Czy wie pan, gdzie znajduje się część Génovy znana jako Río Gris?

G: Río Gris, Río Gris? Nie, znam Río Rojo, ale nie Gris, nie. Wydaje mi się, że tam się urodziłem, ale nie mam tam żadnych znajomych, w zasadzie nikogo.

N: Czy będąc w Génovie, kupił pan coś w sklepie?

G: Cóż, pamiętam, że kupowałem mięso, o ile pamiętam, trochę słodczy, które zaniósłem pani Fanny. To wszystko.

N: Jaki alkohol zabrał pan do Fanny?

G: Ten sam, który kupiłem w Pereirze. To brandy o nazwie La Corte. Zabrałem tam nie pamiętam ile butelek, jakieś siedem czy osiem, coś w tym stylu. Wszystkie zabrałem do Fanny.

N: Czy zna pan ten dokument, który jest panu przedstawiany? (Garavito pokazano kawałek papieru, który był częścią materiału dowodowego znalezionego podczas przeszukania przeprowadzonego przez 16. Prokuraturę w Villavicencio).

G: Tak, proszę pani, ten papier jest mój. Miałem go w rzeczach, które przechowuję. Nie pamiętam, gdzie go miałem, bo mam wiele zapisanych rzeczy. Tu jest napisane Cooperativa de Transportadores de Génova, za dziesięć tysięcy pesos. I dalej trzy tysiące za słodczy, bochenek chleba, miś dla pani Fanny, skarpetki, które zaniósłem Don Ernesto, dwa tysiące za *mecato* ⁴⁸, które kupiłem, idąc do Don Ernesto, dalej za *mecato* dla Carlosa.

Zapisałem jako kupione w Génovie i dobrze. Dalej dziesięć tysięcy za posiłek w knajpie, dwa tysiące dla chłopca na skarpetki, tysiąc za podwózkę, trzy tysiące za bilet do Armenii, trzy za bilet do Génovy, dziewięć tysięcy na brandy, dwa tysiące na jałmużnę, jest też napisane, że dwa tysiące dałem Rodolfo, pani Fanny dałem pięć tysięcy, bo ugotowała mi mięso i chyba wyprała dla mnie jakieś ubranie, nie pamiętam dobrze. Trzy tysiące pesos za losy na loterię i pięć tysięcy za mięso. Na odwrocie napisano Génova, bilet, trzy piwa, trzy brandy, dwa tysiące za nóż i tysiąc... nie rozumiem, za co ten tysiąc. Nie, chodzi o to, że zapłaciłem za bilet tam w nocy, tysiąc czy trzy tysiące, bo stary uznał, że to blisko, i policzył mi więcej.

N: Gdzie kupił pan te przedmioty, które są wymienione na odwrocie dokumentu?

G: Nie pamiętam, nie wiem, czy to było w Génovie czy w Pereirze.

N: Po co kupił pan ten nóż?

G: Tu nie jest napisane, że nóż, tylko ostrza do golenia ⁴⁹, jedno z tych, no... do maszynki do golenia. Powtarzam, nie nóż, a ostrze. Kupiłem je, żeby się golić, bo przecież co dwa, trzy dni trzeba się golić.

N: Czy golił się pan w Génovie?

G: Kto? Nie... Nie pamiętam, ale ostrza kupiłem i miałem przy sobie.

N: Jak pan wyglądał podczas wizyty w Génovie?

G: No cóż, tak samo jak teraz. Może włosy miałem trochę dłuższe, co do brody, to nie pamiętam. Minał ponad rok, więc mam prawo nie pamiętać takich rzeczy.

N: Jakiego typu ostrza do golenia pan kupuje?

G: Jedne z tych lepszych. Mają niebieski albo czarny kolor, popularne na rynku.

N: Na dokumencie widać wyraźnie napisane słowo „cuchillo”, niech nam Pan powie, dlaczego upiera się przy „cuchillas”?

G: Tu jest napisane... no nie wiem... nie pamiętam, żebym kupował noże, nie pamiętam tego.

N: Kiedy mówi nam pan, że w poprzedniej części dokumentu jest napisane „pięć tysięcy mecatos kupiłem dla Carlosa”, to o którego Carlosa panu chodzi?

G: Carlos, nie, nie, cóż, nagle kupiłem tam, cóż... Ponieważ przynosiłem mu *mecato*, cóż... to chyba chodziło o Johna Jairo albo Víctora, cóż, pomyliłem z Carlosem i nie wiem, naprawdę nie wiem.

N: Proszę nam powiedzieć, czy to zdjęcie, które jest panu pokazywane, należy do pana? (Pokazuje się Garavito zdjęcie oznaczone numerem jeden).

G: To zdjęcie, które zrobiłem w Girardot jakieś trzy lata temu. Zrobiłem je, bo zapuściłem włosy i brodę i chciałem mieć taką fotkę z brodą i dużymi wąsami.

N: Czy w czasie podróży do Génovy miał pan włosy takie jak na tym zdjęciu?

G: Nie pamiętam, nie wiem, nie pamiętam. Chyba miałem taką brodę, nie jestem pewien.

N: Proszę nam powiedzieć, czy posiada pan jeszcze okulary, które ma na zdjęciu?

G: Tak, ale nie przy sobie. Zostawiłem je w więzieniu, bo wyszedłem po sprawunki. Zwykle je noszę, bo mam problem z astygmatyzmem.

N: Kiedy przyjechał pan do Fanny, to oprócz alkoholu miał pan inne rzeczy przy sobie?

G: Nie pamiętam. Miałem walizkę, ale nic więcej nie pamiętam.

N: Co było w walizce?

G: Cóż, ubrania. Zawsze noszę dobre ubrania.

N: W jakim stanie były te ubrania?

G: Cóż, były tam brudne ubrania, pogniecione ubrania, czyste ubrania...

N: Pani Fanny, w swoim oświadczeniu złożonym w prokuraturze pod przysięgą, oświadczyła, że wyprała dla pana ubrania, które były bardzo brudne. Proszę powiedzieć, dlaczego były tak brudne?

G: Były pogniecione i brudne, ponieważ byłem we Florencji, ale u Gracieli wytrzymałem tylko jeden dzień, a następnego wyjechałem do Gény i dlatego wysłałem je do prania.

N: W ramach postępowania złożono zeznania pod przysięgą, z których wynika, że w czasie wyborów prezydenckich przebywał pan w rejonie Río Gris. Co może nam pan na ten temat powiedzieć?

G: Doszedłem tylko do sklepu, w którym był mój wujek, to wszystko.

N: Ale jest też dowód fotograficzny, który wskazuje, że jednak kręcił się pan po rejonie Gris de Génova.

G: Cóż, nie, proszę pani, nie było mnie w tym rejonie.

N: Czy może nam pan wyjaśnić, co oznacza ten dokument? (Pokazuje się Garavito dokument Kratta, który jest częścią protokołu z obławy przeprowadzonej przez 16. Prokuraturę w Villavicencio).

G: To bardzo proste. Zapisywałem to w podróży, które odbywam, dwa razy byłem w Putumayo [50](#), ale do wiosek, nie wiem, czy mnie pani rozumie, zapisywałem, ile nagle zarobiłem, tysiąc pesos, dwa tysiące pesos, jeśli mnie pani rozumie.

N: Co oznaczają te kreski i kropki?

G: Zapisywałem to tu, to tam to, ile i gdzie zarobiłem.

N: A co oznaczają liczby po lewej stronie dokumentu?

G: No cóż, dwa tysiące, trzy tysiące, cztery tysiące, pięć tysięcy i do dziewięćdziesięciu ośmiu tysięcy.

N: Jeśli tyle pan zarabiał, to jak pan wytłumaczy to, że wysyłał pan Gracieli większe kwoty?

G: To było z towaru, który kupilem. Jak wyjaśniłem, laski to są zarobki, bo nie widzę innego przeznaczenia, a te tutaj po lewej to pesos, ale to są zarobki z różnych artykułów, bo wtedy dobrze zarobiłem.

N: Co oznaczają GE3 i ECU4?

G: Nie wiem, co chciałem tam wpisać. Może chciałem zaznaczyć, że zarobiłem trzy tysiące, albo coś innego, co kupilem.

N: Te kreski, które się tu pojawiają, pokrywają się z liczbą przypadków znalezienia martwych dzieci. Jak to wyjaśnić?

G: Cóż, nie wiem, jak to wyjaśnić.

N: Czy ten fragment, w którym jest napisane GE3, może oznaczać, że był pan w Génovie trzy razy?

G: Nie.

N: W pana rzeczach osobistych znaleziono trzy bilety do Génovy. Jak pan to wytłumaczy?

G: Byłem w Génovie tylko dwa razy, w czerwcu i wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

N: Czy w maju był pan w Génovie?

G: Nie.

N: W takim razie co to są za bilety?

G: Ach, tak, ma pani całkowitą rację. Za pierwszym razem, kiedy poszedłem szukać Don Ernesto, Fanny powiedziała mi, że jej brat zasugerował wysiąść na moście Río Rojo i pójść w górę, a ja poszedłem za pierwszym razem w nocy i szedłem koło jakichś słupów, ale chodzenie o tej porze w tamtym miejscu było podobno niebezpieczne, więc wróciłem.

N: W pana rzeczach znaleziono czasopisma, które zawierają artykuły o psychopatach, mrocznych rytuałach, samobójstwach, ostrych aktach seksualnych, gwałtach itp. Dlaczego przechowywał pan takie czasopisma?

G: Załóżmy, że... co... gwałty, psychopaci? Cóż, jedyną rzeczą, jaką chciałem z tym zrobić, to przechowywać je, aby pokazać Rodolfo, jak straszne jest życie.

N: Rodolfo twierdzi, że nigdy nie podjął pan z nim tych tematów.

G: Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie, także z Carlosem Andrésem.

N: Powiedział nam pan również, że nigdy nie utrzymywał stosunków homoseksualnych. W dokumentacji medycznej jest o nich mowa. Czy może pan to wyjaśnić?

G: Nie pamiętam, nie, nie, nie pamiętam, żebym je miał.

N: Powiedział nam pan również, że nie ma problemów ze swoją seksualnością. Jednak Graciela stwierdziła, że nie miała z panem żadnych kontaktów seksualnych z powodu niemożności uzyskania przez pana wzwodu. Proszę nam to wyjaśnić.

G: Cóż, nie wiem, czy to z powodu picia, czy czego innego, ale czasem mój penis nie staje. Ale byłem wobec niej czuły i traktowałem ją jak żonę. Dotykałem jej, rozumie pani, wiele razy, byliśmy rozebrani, ale nie mieliśmy pełnych stosunków seksualnych.

N: Czemu przypisuje pan swoją dysfunkcję seksualną?

G: Nie wiem, nie potrafię tego wytłumaczyć, bo lubiłem ją, czułem się przy niej dobrze i tak dalej.

N: W dokumentacji medycznej jest napisane, że pewnego razu stał się pan agresywny w stosunku do swojej partnerki, ponieważ insynuowała panu kontakty seksualne. Co może nam pan powiedzieć na ten temat?

G: Cóż, nie, powiedzmy, że nie byłem wobec niej agresywny, raczej ona wobec mnie. Ja nie byłem agresywny, może ona źle to zrozumiała. To była Cielo, ta, z którą najczęściej chodziłem w Armenii.

N: Czy zna pan Ancízara Vargasa z Armenii?

G: Ancízar, Ancízar... W supermarkecie Centrales spotkałem Ancízara.

N: Pan Ancízar twierdzi, że gdy mieszkaliście w jednym budynku, czasami widział pana w towarzystwie młodych chłopców. Jak pan to skomentuje?

G: To nieprawda. O ile pamiętam, nigdy nie potrzebowałem towarzystwa młodych chłopców, a już na pewno nigdy nie przyprowadzałem żadnych dzieci do domu.

N: Czy miał pan problemy, gdy mieszkał w tym budynku?

G: Wydaje mi się, że raz miałem problem, ale z innym lokatorem lub dozorcą, który zamknął mi drzwi i nie chciał mnie wpuścić. Byłem wtedy pijany i się z nim pokłóciłem.

N: Czy od tamtego czasu miał pan problemy z alkoholem?

G: Cóż, jak piłem, to piłem. Wtedy już uczęszczałem na spotkania Anonimowych Alkoholików, ale zdarzało się, że i tak piłem.

N: Jak się pan czuje, kiedy pije pan alkohol?

G: Cóż, czasami staję się agresywny, ale tylko wtedy, gdy zostanę sprowokowany. Zwykle jestem spokojny.

N: Czy w Génovie, kiedy pan pił, stawał się pan agresywny?

F: Nie pamiętam, nie pamiętam zbyt wiele, choć mogło mi się zdarzyć, że używałem wulgaryzmów. Tak, czasem zdarza mi się mówić ostro.

N: Czy zdarza się panu zapominać o sytuacjach z przeszłości, gdy spożywa pan alkohol?

G: Cóż, jeśli wypijesz za dużo alkoholu, to czasem może się to zdarzyć. Ale ja się tak mocno nie upijam, więc raczej nie.

N: Dlaczego niektóre rzeczy, które wydarzyły się w Génovie, pamięta pan tak wyraźnie, na przykład to, że kupił pan mięso, a innych pan nie pamięta. No chyba że tylko pan mówi, że ich nie pamięta...

G: Bo nagle, proszę pani, są rzeczy... bo ja o nich wiem, bo... przez alkohol można stracić osobowość, nawet jeśli jest się najbardziej przyzwoitym człowiekiem. Nie mam jednak odpowiedzi na pani pytanie.

N: W postępowaniu pojawiły się okoliczności, które wskazują na pana udział w brutalnej śmierci trojga dzieci z Génovy, w wydarzeniach, które miały miejsce dziewiętnastego i dwudziestego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Co ma pan na ten temat do powiedzenia?

G: Nie mam nic do powiedzenia na ten temat, ponieważ nie mam z tym nic wspólnego.

N: Dlaczego, gdy wrócił pan we wrześniu do pani Fanny i pana Ernesto, okazał pan tak silne zainteresowanie i troskę w związku z odnalezieniem zwłok dzieci, prosząc nawet, aby dali panu gazetę, w której opisano tę sytuację?

G: No cóż, ponieważ artykuł został opublikowany w całym kraju. Pochodzę z Génovy, a oni są moimi przyjaciółmi, więc zwróciłem się do nich z tą prośbą. Chciałem też pokazać ten artykuł Rodolfo oraz moim siostrzeńcom i siostrzenicom.

N: Skoro wiemy, że nie utrzymuje pan kontaktów z rodziną biologiczną, to dlaczego powiedział pan, że wziął gazetę, aby pokazać ją siostrzeńcom?

G: No cóż, może kontakt nie jest bliski, ale jeśli wie pani, o co mi chodzi, to... no cóż... Czasami jeżdżę na przykład do mojej siostry

Esthery, rzadko, bo rzadko, ale wtedy planowałem ją odwiedzić.

N: Dlaczego nie odwiedza pan Esthery zbyt często?

G: Ponieważ mam mało czasu. Ale z Estherą dogadujemy się świetnie.

N: Co zrobił pan z gazetą, w której były informacje o zamordowanych dzieciach z Génovy?

G: Nie wiem, czy jest w walizce, czy gdzieś tam indziej.

N: Czy zazwyczaj kolekcjonuje pan tego typu gazety?

G: Każdy rodzaj gazet, w których są wiadomości nie tylko o tych sprawach, ale także o innych.

N: W pana rzeczach znaleziono jednak tylko gazety i czasopisma, w których były artykuły o śmierci dzieci. Dlaczego je pan przechowuje?

G: Cóż, nie wiem, może po to, aby pokazać znajomym, którzy mają dzieci.

N: Proszę nam powiedzieć, skąd się wzięła ta blizna na lewym ramieniu?

G: To od poparzenia benzyną, które przytrafiło mi się w Putumayo w lutym tego roku. Poszedłem coś zabrać, zamotałem się i zapaliłem od benzyny. To wydarzyło się w małym miasteczku o nazwie Piñuña Negro. Sprzedawałem tam takie rzeczy jak kosmetyki, ołówki, pompki czy parasole.

N: Kto panu pomógł po tym, jak się pan oparzył? Czy to było w Putumayo?

G: Nie, pojechałem Trans Ipiales. Od jednej pani dostałem krem, a następnie pojechałem prosto do Pereiry.

N: Czy do Pereiry dotarł pan jeszcze tego samego dnia?

G: Nie, podróż zajęła mi prawie dwa dni. To było mniej więcej drugiego lub trzeciego lutego, coś koło tego.

N: Czy szukał pan pomocy lekarskiej?

G: Tak, szukałem w Pereirze u Don Carlosa, który prowadzi izbę przyjęć.

N: Graciela powiedziała nam, że pojechał pan po pomoc do szpitala w Pereirze, ale ostatecznie pan tam nie został. Dlaczego pan podjął taką decyzję?

G: Ponieważ nagle poczułem się tam samotny i nie chciałem w tym miejscu zostać sam.

N: Przedstawił się pan tam jako Alfredo Salazar. Dlaczego?

G: Jaki Alfredo? Salazar? Alfredo Salazar czy Bonifacio, raczej Bonifacio, w każdym razie podałem inne dane ze względu na problem z Tunją. Generalnie zmieniłem nazwisko, żeby zobaczyć, czy znajdę prawnika i czy uda mi się ten problem rozwiązać.

N: Kiedy pojawił się ten problem z Tunją, za który jest pan ścigany?

G: To było jakoś w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, chyba w czerwcu, nie wiem, którego dnia, nie wiem, czy to był drugi czy trzeci czerwca.

N: Skoro był pan zaniepokojony sprawą Tunji, to dlaczego przez ponad trzy lata nie postarał się pan rozwiązać tego problemu?

G: No cóż, ponieważ mój własny brat zasugerował mi, abym zniknął. Później nie miałem pieniędzy, pojawił się strach, przecież nawet opublikowali moje zdjęcie w gazecie. Dlatego postanowiłem się nie wychylać.

N: Graciela powiedziała nam, że według pana słów poparzenie było wynikiem wypadku drogowego. Jak pan to skomentuje?

G: Kto? Ona? Powiedziałem tak, żeby jej nie przestraszyć. Nie chciałem, żeby myślała, że w Putumayo jest tak niebezpiecznie i ktoś mnie przypalił, bo pewnie by nalegała, żebym już tam nie jeździł.

N: Jednak powiedział pan psychiatrze i potwierdził to też w swoim oświadczeniu złożonym w prokuraturze w Villavicencio, że

doznał pan oparzenia w Bogocie, a nie w Putumayo. Co może pan nam na ten temat powiedzieć?

G: Nie, dobrze... powiedziałem to... ponieważ... w każdym razie... to jest czerwona strefa... Chyba mnie rozumiecie, w żadnym momencie nie chciałem niczego ukryć, byłem zdezorientowany...

N: Dlaczego pan nas okłamuje, dlaczego pan sam sobie zaprzecza?

G: Bez powodu, w każdym razie, nie wiem, ale w żadnym wypadku nie kłamię. (To pytanie jest stawiane jeszcze dwukrotnie, ale Garavito milczy).

N: W swoich odpowiedziach często zaprzecza pan sam sobie, co kompromituje pana w prowadzonym przeciwko panu postępowaniu karnym. Czy pan to widzi?

G: Nie wiem, nie mógłbym... bo czasami są pytania, ale w każdym razie powiedziałem prawdę, nic więcej.

N: Czy chce pan jeszcze coś dodać?

G: Nie, bo co ja mogę jeszcze dodać? Niech sami to sprawdzą.

N: Ponieważ niniejsze postępowanie nie ma innego celu, zostaje ono zamknięte, a protokół podpisany przez tych z nas, którzy w nim uczestniczyli, po odczytaniu i zatwierdzeniu o godzinie siedemnastej trzydzieści pięć.

OD AUTORA

Geneza powstania tej książki sięga końcówki 2021 roku. I jak to zwykle bywa – o pomysł na podjęcie tego tematu zdecydował przypadek. To była jesień, chyba październik. Wybrałem się wtedy na urlop na Karaiby. Pewnego dnia leżałem w pokoju hotelowym i jeden jedyny raz włączyłem telewizor. Już na pierwszym kanale ujrzałem twarz Luisa Garavito.

Reportaż od razu przykuł moją uwagę, bo choćby ze względu na tematykę, jaką podejmuję w swojej twórczości, moje zainteresowania orbitują także wokół historii seryjnych morderców. „Bestia z Génovy” nie była mi oczywiście postacią zupełnie obcą. Znałem jej życiorys (choć z perspektywy czasu widzę, że bardzo pobieżnie) i miałem świadomość, że otwiera wszystkie listy „seryjniaków”, a większość jej podobnych, którzy przebili się do mainstreamu, kolokwialnie mówiąc, mogłaby czyścić Garavito buty. Słuchałem więc z uwagą i wtedy padła informacja, po której w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka.

„Luis Garavito wiosną 2023 roku ma wyjść na wolność!”

Przyznam szczerze, że nie miałem o tym pojęcia, wszak trudno sobie wyobrazić, aby człowiek, który w tak brutalny, wręcz bestialski sposób zgwałcił i zamordował przynajmniej dwustu dwudziestu jeden chłopców, mógł opuścić mury więzienia. Szybko wszedłem w internet i zacząłem szukać informacji na ten temat. Rzeczywiście, okazało się, że Luisowi Garavito kończy się wyrok. A że akurat byłem świeżo po przeczytaniu rewelacyjnie napisanej powieści true crime Jacka Piekiełki pt. *Doberman*, opisującej historię rosyjskiego

seryjnego mordercy i kanibala Aleksandra Spiesiwcewa, pomyślałem, że skoro tak dobrą książkę napisał Jacek, to dlaczego nie spróbować samemu. Czerwona lampka powoli zmieniła się w stale wyjący alarm: przecież znam hiszpański, kilka lat spędziłem w towarzystwie Latynosów, znam tę kulturę całkiem dobrze, a wyjazd do Kolumbii w sumie da się jakoś ogarnąć. Wystarczy chcieć...

No to zachciałem. I to bardzo mocno. Zaraz po powrocie odezwałem się do Wydawcy i przedstawiłem swój pomysł na napisanie powieści true crime o najstraszniejszym, najbardziej przerażającym i najokrutniejszym seryjnym mordercy w historii światowej kryminologii. Dyrektor Czarnej Owcy w pierwszej chwili mocno się zdziwił, ale po namyśle pomysłowi przyklasnął, zwłaszcza że na Zachodzie ten gatunek literacki zaczyna święcić triumfy, a znając realia wydawnicze, z opóźnieniem ta moda zawita i do nas. Ponieważ do tej pory jeszcze nikt na całym świecie nie podjął się tego, aby opisać historię „Bestii z Génovy”, wspólnie uznaliśmy, że to mógłby być mocny akcent pozwalający płynnie przenieść ten trend na rynek w Polsce. Dla mnie byłoby to ogromne wyzwanie, bo postanowiłem zagrać o pełną pulę i w więzieniu La Tramacúa przeprowadzić rozmowę z samym Luisem Garavito.

Wyjazd do Kolumbii okazał się dużym przedsięwzięciem, tak logistycznym, jak i finansowym. Postanowiliśmy więc poprosić o pomoc doskonale znanego Wam Vincenta V. Severskiego, który dzięki swoim kontaktom mógł ułatwić nam zorganizowanie takiej wyprawy. Vincent jest wspaniałym człowiekiem, więc już podczas pierwszej rozmowy skontaktował się z jednym ze swoich przyjaciół –

Leszkiem Adamcem, który pół życia spędził w służbie dyplomatycznej w Kolumbii i ma ogromne doświadczenie na tamtym terenie. Leszek okazał się fantastycznym facetem i od razu

wziął się do pracy, dzięki czemu udało się zaprząć do pomocy miejscowych specjalistów: Juana Carlosa oraz Jesusa Alberto, następnie zaś, gdy wyjazd został potwierdzony – kierowcę i ochroniarza Roberto. Nie będę tu wnikał w szczegóły, ale same przygotowania zajęły ponad cztery miesiące. W tym czasie otrzymałem mnóstwo materiałów dotyczących Luisa Garavito, począwszy od akt sprawy, przez protokoły zeznań świadków, po artykuły z gazet ukazujących się w latach dziewięćdziesiątych, czyli w okresie najaktywniejszego działania „Bestii”. Przez ponad trzy miesiące wgryzałem się w temat. Dzięki uprzejmości Wydawcy mogłem wytypować człowieka, który na miejscu miał dokumentować całą wyprawę. Propozycję złożyłem przyjacielowi Przemysławowi Żmudzie, który – jako stary obieżyświat – oczywiście na ofertę przystał. Zorganizowaliśmy sprzęt i w drugiej połowie kwietnia wylecieliśmy samolotem z Berlina do Bogoty (przez Barcelonę), gdzie spędziliśmy trzy tygodnie, krocząc śladami najpotworniejszego seryjnego mordercy w historii. Resztę przeczytaliście w książce.

Nie ukrywam, że napisanie *La Bestii* było dla mnie ogromnym wyzwaniem. Długo zastanawiałem się, jak podejść do tematu. Bo jak ująć w słowa historię człowieka, który zgwałcił i w bestialski sposób zamordował setki dzieci? Jak zrobić to tak, aby na dzień dobry nie wywracało żołądka Czytelnika na drugą stronę?

Nie było to łatwym zadaniem, ale po powrocie z Kolumbii miałem już w głowie pierwszy plan, który zakładał podejście do tematu dwutorowo. Jako że mam spore doświadczenie dziennikarskie, postanowiłem, że poza tradycyjną, fabularyzowaną i momentami stylizowaną formułą użyję również formy typowo reportażowej, która w zamierzeniu miała dopełniać tę fabularną. Czy mi się to udało? Czy zadziałało? Ocenę, drodzy Czytelnicy i Czytelniczki, jak

zawsze zostawiam Wam. Dałem z siebie wszystko. Poświęciłem tej książce ponad rok. Zbadałem wszystkie detale życia Luisa Garavito, aby opisana na kartach tej powieści historia była jak najbliżej prawdy. Jak zapewne zdążyliście zauważyć, w kilku fragmentach pewne rzeczy zmodyfikowałem, czasem nawet dodałem coś od siebie, ale za każdym razem robiłem to w pełni świadomie, głównie po to, aby nadać tej historii odpowiedni rytm i Was nie zanudzać. Ale jeśli w którymś momencie popełniłem błąd, jeśli coś przeoczyłem albo posunąłem się za daleko, wybaczenie, proszę. Każdą z Waszych uwag obiecuję wziąć sobie do serca i przy kolejnej okazji mieć ją na uwadze.

I tu najwyższy czas, aby złożyć podziękowania wszystkim tym, którzy tak bardzo pomogli mi w napisaniu *La Bestii*. Tym razem pozwolę sobie zacząć od dyrektora Wydawnictwa Czarna Owca, Marka Korczaka, bez którego ten projekt w takiej formie nie miałby szans powodzenia. Zatem, Panie Marku – dziękuję Panu za to, że Pan mi zaufał i cały czas mocno we mnie wierzy. Świadomość, że mam w Wydawnictwie takie wsparcie, jest dla mnie niezwykle ważna i pozwala ze spokojem patrzeć w przyszłość. Dziękuję też Katarzynie Słupskiej, której zdanie w kwestii tego projektu było jednym z decydujących, także za to, że mocno mnie wspiera przy redakcji i wszystkich tych sprawach technicznych, których jest cała masa, a niekoniecznie są one widoczne. Dziękuję też reszcie ekipy, która trzyma nade mną pieczę: Annie Bukowskiej, Annie Szymańskiej, Marcie Jankowskiej i Adamowi Dzikowi. Zawsze mogę na Was liczyć i to jest doprawdy wspaniałe. Dziękuję też dwóm genialnym lektorom: Mariuszowi Bonaszewskiemu i Filipowi Kosiorowi, którzy czytając tę powieść w duecie, wznieśli ją na jeszcze wyższy poziom. Osobne podziękowania należą się redaktorowi Wojciechowi Adamskiemu, z którym współpracowałem po raz pierwszy, a który

okazał się absolutnym mistrzem w swoim fachu. Jego uwagi co do treści i stylu przyjmowałem z pełnym zrozumieniem i pokorą. Wiem, że dzięki tej współpracy wiele się nauczyłem.

Ogromne podziękowania należą się dwóm fantastycznym ludziom, bez których z pewnością nie doszłoby do wyprawy w głąb Kolumbii, a bez wątplenia nie otrzymałbym na miejscu takiej pomocy, na jaką mogłem liczyć. Dziękuję zatem Vincentowi V. Severskiemu, który tak naprawdę wspiera mnie od samego początku mojej przygody z Czarną Owcą – to dzięki jego pomocy udało się skontaktować z kimś, komu kłaniam się jeszcze niżej. Leszek Adamiec okazał się bezdyskusyjnie kluczową postacią w „Projekcie Garavito”, bo to on wziął na swoje barki ciężar zorganizowania wyjazdu do Kolumbii, w tym zatrudnienia miejscowych przewodników. Bardzo, bardzo mocno Tobie, Leszku, dziękuję. Byłeś mi wsparciem nie tylko przy organizacji całego przedsięwzięcia, ale także w najtrudniejszych momentach, w tym pod koniec wyprawy, gdy zrobiło się naprawdę niebezpiecznie.

Wielkie podziękowania należą się trójce kolumbijskich przyjaciół: Juanowi Carlosowi, Jesusowi Alberto i Roberto. Wspólnie przeżyliśmy prawie dwa tygodnie, zjechaliśmy ponad tysiąc kilometrów bezdrożami Kolumbii, czasem w strugach deszczu, czasem w upiornym upale, zawsze jednak z uśmiechem na ustach. Dzięki Wam dotarliśmy do miejsc, do których sam bym się nigdy nie zapuścił. Dziękuję za Waszą ciężką pracę, przygotowanie wszystkich materiałów dotyczących Luisa Garavito, za opowiadane przy kawie historie, za wieczorne wypady na szklaneczkę rumu i przede wszystkim – dbanie o nasze bezpieczeństwo. I wybaczenie, że czasami bywałem taki narwany i uparty, a przez swoje dyletanctwo kilkakrotnie przyprawiałem nas wszystkich o szybsze bicie serca.

Dziękuję Wam za wszystko ogromnie i mam nadzieję, że kiedyś się jeszcze spotkamy.

Chciałbym też złożyć wielkie podziękowania na ręce dokumentalisty wyprawy, a zarazem mojego wiernego przyjaciela Przemysława Żmudy. To właśnie Ty najbardziej wystawiałeś się na strzał. Wiecznie z kamerą, niczym mój cień, w oczach niekoniecznie przychylnych nam mieszkańców kolumbijskich slumsów byłeś pierwszym potencjalnym celem. I nigdy nie zrejterowałeś. Dziękuję Ci za to, że ze mną pojechałeś i byłeś dla mnie silnym wsparciem. Od niepamiętnych lat jesteś mi drogim przyjacielem i wiem, że zawsze mogę na Ciebie liczyć. Raz jeszcze, Przemku, wielkie dzięki.

Dziękuję również koledze po piórze Jackowi Piekiele, który – choć nieświadomie – w pewnym sensie zainspirował mnie do stworzenia *La Bestii*. Gdybym wcześniej nie przeczytał jego świetnego *Dobermana*, to być może w ogóle nie podjąłbym tematu. Ale przeczytałem i Was również do tego zachęcam, bo to naprawdę kawał rewelacyjnego true crime z najwyższej półki.

Koniecznienie chciałbym podziękować rodzinie, przede wszystkim kochanym rodzicom Marioli i Tomaszowi oraz moim przewspaniałym dzieciakom: Kubie i Lenie. Wszyscy jesteście dla mnie drogowskazem, bez którego trudno byłoby mi iść przez życie. Dziękuję też przyjaciółom, przede wszystkim Krzyśkowi, Romanowi, Andrzejowi i Adze, którzy zwykle są pierwszymi osobami, do których trafia każda moja świeżo ukończona książka. Wasze uwagi zawsze mocno biorę sobie do serca, bo wiem, że są szczerze do bólu.

Na koniec chciałbym podziękować Wam, drodzy Czytelnicy i Czytelniczki, za to, że udaliście się ze mną w tę mroczną i jakże przerażającą wyprawę w głąb Kolumbii. Głęboko wierzę, że sprostalem zadaniu i dostaliście to, czego oczekiwaliście. Jeśli gdzieś zawiodłem, to raz jeszcze przepraszam. Nie wahajcie się do mnie

napisać, bo każda merytoryczna krytyka jest mile widziana. Kto wie, może kiedyś znów spróbuję napisać powieść w podobnej formule – wtedy może się przydać.

Nie żegnam się z Wami na długo, bo już latem będziecie mieli okazję przeczytać mój mocno przeredagowany debiut (och, ile było z tym roboty), czyli *Kod Himmlera*, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, to jesienią wróci Luta Karabina. A to i tak nie wszystko w tym roku, ale wybaczcie – więcej zdradzić nie mogę...

Raz jeszcze dziękuję wszystkim wspomnianym powyżej oraz tym, o których śmiałem zapomnieć, a którzy w jakiś sposób przyczynili się do napisania *La Bestii*. Widzimy się wkrótce!

Pozdrawiam serdecznie

Przemysław Piotrowski

Kolumbia – Polska, listopad 2021 – styczeń 2023

Przypisy końcowe

1. Hiszpańskie nazwiska zwykle mają co najmniej dwa człony. Ma to związek z tym, że dzieci zawsze otrzymują dwa nazwiska: jedno po ojcu, a drugie po matce. [\[wróć\]](#)
2. Campesino (hiszp.) – wieśniak. Tak potocznie nazywa się chłopów pracujących w Kolumbii na polach z kukurydzą, kawą i przy innych uprawach. [\[wróć\]](#)
3. Gordito (hiszp.) – Grubasek. [\[wróć\]](#)
4. Los pájaros (hiszp.) – ptaki. Tak potocznie nazywano zbrojne bandy składające się głównie z ludzi o poglądach konserwatywnych, którzy w okresie La Violencii „wlatywali” do odizolowanych górskich wiosek i terroryzowali ich mieszkańców, a następnie „wylatywali” i wracali do normalnego życia. [\[wróć\]](#)
5. Gaitanistas (hiszp.) – zwolennicy Jorge Eliécera Gaitána, kolumbijskiego polityka i adwokata, kandydata na prezydenta z ramienia Kolumbijskiej Partii Liberalnej, zamordowanego w 1948 roku. [\[wróć\]](#)
6. „El Tiempo” – dziennik wydawany w Kolumbii od 1922 roku, założony przez Alfonso Villegasa Restrepo. [\[wróć\]](#)
7. Amigo (hiszp.) – przyjaciel. [\[wróć\]](#)
8. Señor (hiszp.) – pan, używany zwłaszcza w zwrotach grzecznościowych. [\[wróć\]](#)
9. Mondongo (hiszp.) – popularna w Kolumbii zupa z wieprzowych, wołowych bądź kozich podrobów oraz warzyw, trochę przypominająca polskie flaki. [\[wróć\]](#)
10. Parque Simón Bolívar – Park Simóna Bolívara. Centralny punkt w Génovie obok kościoła. Znajduje się tam większość lokali, gdzie mieszkańcy mogą spędzić wolny czas z rodziną i przyjaciółmi. [\[wróć\]](#)
11. Pepe – imię, które dla ułatwienia zawsze przyjmuję w krajach, gdzie głównym językiem jest hiszpański. [\[wróć\]](#)
12. Eje Cafetero – region w Kolumbii słynący z uprawy i produkcji kawy. Do tego umownego obszaru zaliczają się departamenty: Quindío, Caldas, Risaralda, Tolima i Valle del Cauca. [\[wróć\]](#)
13. Río Gris (hiszp.) – Rzeka Szara; rzeczka mająca źródło nieopodal Génovy, lewy dopływ Río Barragán. [\[wróć\]](#)
14. Arepa – rodzaj tortilli z mąki kukurydzianej, odpowiednik naszego chleba. Zwykle podawana z serem, jajkiem i warzywami. W przeciwieństwie do jej

meksykańskiej kuzynki jest robiona na grubym cieście i czasem nadziewana dodatkami. Podstawowe danie kuchni kolumbijskiej. [\[wróć\]](#)

15. Padre (hiszp.) – ojciec, tu: ojcie. [\[wróć\]](#)

16. Mi hijo (hiszp.) – mój synu. [\[wróć\]](#)

17. Gringo – pierwotnie określenie cudzoziemców nieznających języka hiszpańskiego, które następnie wyewoluowało w pejoratywną nazwę mieszkańców Ameryki Północnej i Anglii, aby w końcu stać się przymiotnikiem definiującym wszystkich przybyszów o urodzie charakterystycznej dla krajów Północy. [\[wróć\]](#)

18. Yanabe (dialekt amazoński), hormiga conga (hiszp.) – lokalna nazwa gatunku czarnych mrówek z podrodziny Paraponerinae zamieszkujących tropikalne lasy Ameryki Środkowej i Południowej. Ich rozmiary są imponujące, długość ciała dochodzi nawet do trzech centymetrów, a ból po ukąszeniu jest mniej więcej trzydzieści razy silniejszy niż w przypadku użądlenia osy i porównywalny do postrzału, stąd bardziej rozpowszechniona nazwa hormiga bala, czyli mrówka pocisk. [\[wróć\]](#)

19. La selva (hiszp.) – dżungla, określenie odnoszące się głównie do dżungli amazońskiej. [\[wróć\]](#)

20. Republika Marquetalii – rejon w południowo-wschodniej części departamentu Tolima, gdzie w połowie lat pięćdziesiątych Manuel Marulanda („Tirofijo”) utworzył faktycznie niezależną jednostkę terytorialną. W kolejnych latach trwały tam długie i krwawe walki z wojskami rządowymi aż do czerwca 1964 roku, gdy po kilku zwycięskich bitwach wojska rządowe ostatecznie zajęły tereny samowładzającej republiki. [\[wróć\]](#)

21. Hola, chicas (hiszp.) – Cześć, dziewczyny. [\[wróć\]](#)

22. Hijo de puta (hiszp.) – Skurwysyn. [\[wróć\]](#)

23. Sancocho (hiszp.) – gęsta zupa mięsna na bazie bulionu przypominająca rzadki gulasz. W wersji kolumbijskiej najczęściej podawana z kurczakiem, ziemniakami, kukurydzą i juką. [\[wróć\]](#)

24. Księga Rodzaju 22,1–2 – tłum. wg Biblii Tysiąclecia. [\[wróć\]](#)

25. Wolne tłumaczenie podanej oryginalnej nazwy Basílica Menor del Señor de los Milagros. [\[wróć\]](#)

26. Carriel (hiszp.) – niewielka skórzana tradycyjna torba męska, bardzo charakterystyczna dla mieszkańców środkowej części Kolumbii, w tym Eje

Cafetero. [\[wróć\]](#)

27. Los Tiburones (hiszp.) – Rekiny. [\[wróć\]](#)
28. El niño (hiszp.) – dziecko. [\[wróć\]](#)
29. Mucho gusto (hiszp.) – forma używana przy powitaniach, w wolnym tłumaczeniu znaczy „miło mi”. [\[wróć\]](#)
30. Bandeja paisa – tradycyjna potrawa z Eje Cafetero, bardzo kaloryczna i syta, bo w zamierzeniu podawana jako jeden duży posiłek dla rolników pracujących na uprawach kawy. W jej skład wchodzi m.in.: biały ryż, czerwona fasola, smażony platan, awokado, jajko sadzone, smażone mięso mielone, pikantna kiełbaska chorizo, bekon lub pieczona wieprzowa skóra. [\[wróć\]](#)
31. Samanea saman (hiszp.) – albicja saman, inaczej drzewo deszczowe, gatunek z rodziny bobowatych występujący w Ameryce Południowej i Środkowej, naturalizowany w wielu rejonach tropikalnych. Jego wysokość dochodzi nawet do trzydziestu metrów, a szeroka, parasolowata korona może osiągać pięćdziesiąt metrów średnicy. [\[wróć\]](#)
32. Parque Sucre (hiszp.) – jeden z parków w Armenii, który jest znany z tego, że rośnie w nim gigantyczne drzewo deszczowe. [\[wróć\]](#)
33. Calarcá – miasto na wschód od Armenii liczące około siedemdziesięciu pięciu tysięcy mieszkańców. [\[wróć\]](#)
34. Santeros (hiszp.) – wyznawcy santerii, synkretycznej afroamerykańskiej religii będącej mieszaniną wierzeń i mitów niewolników pochodzących z Afryki Zachodniej (głównie z zamieszkującego dzisiejsze tereny Nigerii, Beninu i Togo plemienia Jorubów) oraz wpajanej im przymusem wiary katolickiej. Praktykuje się w niej między innymi składanie ofiar ze zwierząt i wchodzenie w rytualny trans, podczas którego wykorzystuje się kości, czaszki i prochy zmarłych czy przywołuje się duchy. [\[wróć\]](#)
35. Monserrate – najwyższa góra Bogoty o wysokości trzy tysiące sto pięćdziesiąt dwa metry nad poziomem morza. Na jej szczycie znajduje się siedemnastowieczny kościół poświęcony El Señor Caído (w wolnym tłumaczeniu: Upadającemu pod Krzyżem Chrystusowi). [\[wróć\]](#)
36. „Milczenie niewiniątek” – tu Garavito nawiązuje do słynnego filmu Jonathana Demme Milczenie owiec z Anthonym Hopkinsem w roli Hannibala Lectera. W tym wypadku posłużyłem się dosłownym tłumaczeniem, gdyż

- w kolumbijskich kinach film wyświetlany był pod tytułem El Silencio de los Inocentes, co znaczy właśnie „Milczenie niewinnych”. [\[wróć\]](#)
37. Disculpa, señor (hiszp.) – przepraszam pana, proszę wybaczyć. [\[wróć\]](#)
38. Nuevo Amanecer (hiszp.) – w wolnym tłumaczeniu: Nowy Dzień; amanecer (hiszp.) – wschód słońca. [\[wróć\]](#)
39. Tamal (hiszp.) – tradycyjna potrawa wielu regionów Kolumbii. Przypomina polskie gołąbki, z tą różnicą, że farsz jest zawijany w liście bananowca. Podstawę nadzienia stanowi masa kukurydziana wymieszana z mięsem wołowym, wieprzowym lub drobiowym, marchewką, ciecierzycą i zielonym groszkiem. Tamal podaje się zwykle z sosem pomidorowym i cebulą. [\[wróć\]](#)
40. Guacamayas – jedna z poddzielnic San Cristóbal znana z panującej tam biedy. [\[wróć\]](#)
41. De puta madre (hiszp.) – zajebisty. [\[wróć\]](#)
42. Panasonic jest firmą japońską. [\[wróć\]](#)
43. Rosa Blanca – Biała Róża, jeden z tanich hoteli w Villavicencio. [\[wróć\]](#)
44. INPEC – skrót od Instituto Nacional Penitenciario y Carcelario, odpowiednik polskiej SW, czyli Służby Więziennej. [\[wróć\]](#)
45. Buenas tardes (hiszp.) – dobry wieczór. [\[wróć\]](#)
46. Parque de los Novios – Park Kochanków, najbardziej zabawowa dzielnica Santa Marty. [\[wróć\]](#)
47. Por qué? (hiszp.) – dlaczego? [\[wróć\]](#)
48. Mecato – rodzaj lokalnych słodczy. [\[wróć\]](#)
49. Po hiszpańsku el cuchillo to nóż, a la cuchilla to żyletka do golenia, stąd wyjaśnienie. [\[wróć\]](#)
50. Putumayo – region na południu Kolumbii graniczący z Ekwadorem. [\[wróć\]](#)